

SZÓSTY TOM BESTSELLEROWEGO CYKLU „ZŁOTY WIEK”

JAN
GUILLOU

**PRAWDZIWE
AMERYKAŃSKIE
DZINSY**

Złoty
wiek



JAN
GUILLOU
PRAWDZIWE
AMERYKAŃSKIE
DZINSY

Z języka szwedzkiego przełożył
Maciej Muszański



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Spis treści

Złoty wiek. Tom VI

Drzewo genealogiczne

1953

Brand New Cadillac

1954

Tomahawk

1955

Jasne półrocze

Mroczne półrocze

1956

Mon père Antoine i siostrzyca

I'm dreaming of a white Christmas

1957

Sylvia i Sputnik

1958

Nagroda za cnotę

TARZAN IS DOWN!

1959

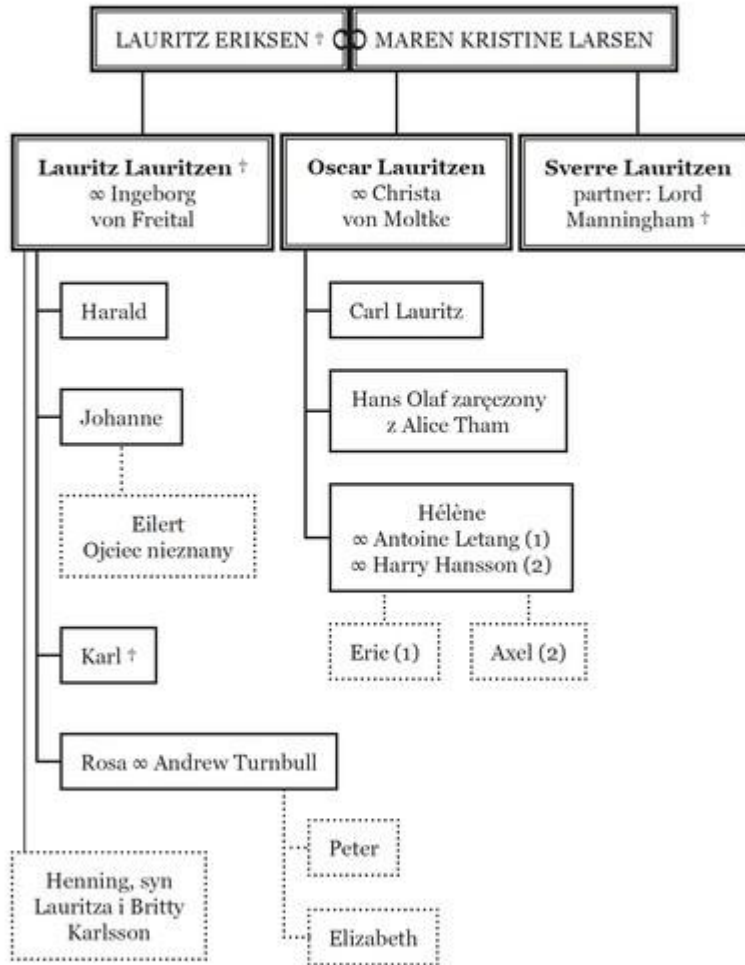
La Belle Américaine

Przypisy

ZŁOTY WIEK

TOM VI

DRZEWO GENEALOGICZNE
ROK 1953



BRAND NEW CADILLAC

Kiedy się dowiedziałem, że zmarł Stalin, pobiegłem z płaczem do mamy.

Po szkole Johan i ja poszliśmy do lasu za Igelbodą, bo miał mi pokazać mrowisko na osłonecznionym zboczku, na którym stopniał prawie cały śnieg. Tamtejsze mrówki już się obudziły z zimowego snu. Nie pamiętam, co z nimi zrobiliśmy – pewnie coś, czego nie chce pamiętać.

Oczywiście byliśmy spóźnieni i wpadliśmy na pomysł, że pojedziemy do domu na gapę pociągiem z Igelbody. Johan miał tylko dwa przystanki, a ja trzy.

Na dworcu w Igelbodzie zobaczyliśmy straszną wiadomość na pierwszej stronie „Aftonbladet” – tylko trzy słowa, ale zapisane wielkimi czarnymi literami:

STALIN

NIE ŻYJE

Kiedy pociąg przyjechał, głęboko wstrząśnięci wsiedliśmy do pierwszego wagonu. Nie mówiliśmy wiele, bo co mogliby o tym powiedzieć dwaj dziewięciolatki? Siedzieliśmy ze spuszczonej głowami i go wspominaliśmy, mieliśmy przed oczami jego obraz, szczególnie spojrzenie i wąsy. Dopóki Johan siedział obok mnie na małej, wysuwanej drewnianej ławce na samym przodzie, tuż przy kabinie maszynisty, byłem opanowany. Kiedy jednak wyskoczył na Ringvägen, łzy zaczęły mi się cisnąć do oczu, nie mogłem ich powstrzymać. Oczywiście było mi wstyd. W naszej rodzinie się nie płacze, zwłaszcza jeśli się jest mężczyzną. Wiedziałem o tym bardzo dobrze.

Ale kiedy przybiegłem do domu i mama z niepokojem zapytała, gdzie byłem, nie wytrzymałem, objąłem ją, oparłem głowę na jej piersi i szlochając, wyjawilem okropną nowinę.

Zszokowany zauważyłem, że najwyraźniej nie rozumie mojego smutku. Przeciwnie – stwierdziła, że naprawdę był już najwyższy czas i że żaden chłopiec z dobrej rodziny nie powinien przez to płakać, a jeśli już, to nikt nie może tego widzieć. Zapytała też, skąd się biorą takie dziwne pomysły w mojej słodkiej główce.

Jej reakcja mnie zaskoczyła, próbowałem tłumaczyć, że przecież to najśmieszniejszy człowiek na świecie, zwłaszcza kiedy mnóstwo policjantów z pałkami goni otwartą ciężarówką.

Reakcja mamy była jeszcze bardziej niezrozumiała. Zaczęła się śmiać, z początku jakby miała czkawkę, a potem wręcz nieprzystojnie głośno jak na mamę.

Przytuliła mnie i pogładziła po policzkach, otarła łzy pocałunkami i znów dopadł ją atak śmiechu.

– Nie, mój mały kochany chłopczyku – powiedziała z wesołym błyskiem w oku, kiedy się pozbierała. – Tobie chodzi o Chaplina, a on z całą pewnością nie zmarł. O Stalinie usłyszałam, kiedy poszedłeś do szkoły. Naprawdę nie ma powodu do płaczu.

Moje zmieszanie musiało być absolutne, tak samo jak ulga, którą poczułem. Jednocześnie dziwiło mnie, że można się cieszyć z czyjejś śmierci.

Kim w takim razie był ten ktoś, jeśli nie Chaplinem?

Na pewno zapytałem, ale wspomnienie tego, co odpowiedziała mama, zupełnie się zatarło w mojej pamięci. Nie wiedziałem nic o polityce, poza tym, że to jedna z trzech rzeczy, o których nie wolno rozmawiać, nawet dorosłym, przy niedzielnym obiedzie w dużej willi. Pozostałymi dwiema były pieniądze i choroby.

Co odpowiedziała mama na pytanie o Stalina?

Teraz, piętnaście lat później, owe niegodne zaufania wspomnienia zlewają się z czystymi domysłami w coś w rodzaju rekonstrukcji słów, które mama zapewne wypowiedziała, będąc tym, kim była – członkinią rodu Lauritzenów.

Po pierwsze, pewnie stwierdziła, że Stalin stał na czele wszystkich komunistów na świecie, a komuniści są jeszcze gorsi niż czerwoni.

Wiedziałem, że czerwoni są czymś strasznym. Chcieli nam zabrać wszystko, co posiadaliśmy, wszystko, co zbudowali dziadek Oscar i jego bracia, a poza tym nasze samochody i łodzie. Pod tym względem, jak rozumiałem, czerwoni byli jeszcze gorsi od Anglików. Przynajmniej dziadek często tak twierdził. Tożsamość owych czerwonych pozostawała jednak zagadką. U nas w Saltsjöbaden chyba ich nie było. Pewnie siedzieli w Sztokholmie. Albo w Norrköpingu.

A więc Stalin był gorszy od czerwonych i Anglików. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co to oznacza. Z komunistami było prościej. Komuniści to szpiegzy, a szpiegzy są najgorsi ze wszystkich, nawet jeśli nie do końca wiadomo, czym się zajmują. Wydawało się, że istnieje jakiś związek pomiędzy szpiegami a tymi, którzy zestrzeliwali nasze samoloty. Dobrze pamiętam, że Harry często wracał do tego tematu. Na linii czasu musiało to być po przeprowadzonych rok wcześniej procesach szpiegów – członków ligi Enboma i „morskiego szpiega” Hildinga Anderssona, a także po zestrzeleniu DC-3 – „naszego cywilnego samolotu pogodowego” – i Cataliny.

Teraz, piętnaście lat później, kiedy wiadomo, że proces mitomana Enboma i jego „ligi” był pomyłką wymiaru sprawiedliwości, a DC-3 wypełniał misję szpiegowską dla Stanów Zjednoczonych, trudno sobie wyobrazić ówczesną niewiedzę, a jeszcze trudniej ją pojąć. Jako dziewięcioletek byłem bardziej usprawiedliwiony.

Tego wieczoru po jedzeniu Harry oczywiście dodał do zwyczajowego lania dodatkową serię, bo miał powód. Za późno wróciłem ze szkoły.

Dziwne, że zawsze myślałem o tym człowieku „Harry”, a nigdy „tata”, choć nie wiedziałem, że jest tylko moim ojczymem. W tej sprawie pamięć mnie nie zawodzi, choć nie potrafię wyjaśnić kryjącej się za tym psychologii. Wstydziłem się go, bo nie był taki jak inni ojcowie. Żaden kolega z klasy nie dostawał lania od taty, a ja obrywałem każdego dnia po jedzeniu i tego też się wstydziłem.

Lanie po posiłku było dobrze przeciwionym rytuałem, czymś oczywistym, a dodatkowa seria też nie była niczym szczególnym. Przecież przyszedłem za późno.

Gdybyśmy poszli do domu Johana pograć w Monopol albo w grę labiryntową od Brio, wystarczyłoby zadzwonić do domu i o tym powiedzieć, ale tam przy mrowisku nie było przecież telefonu.

Mimo wszystko tego wieczoru szedłem spać z pewną ulgą. Byłem przyzwyczajony do spania na brzuchu, kiedy za bardzo piekły plecy i tyłek. Poza tym Chaplin nie umarł.

Nie mogłem zasnąć z innego powodu niż bóle. Martwiłem się kolejnym dniem. Chodziło o samochody.

Samochody miały twarze. Volvo PV444 było sympatyczne – okrągłe, z szerokim uśmiechem z przodu, bo kratka nie wyglądała groźnie. Przypominała po prostu zwykły szwedzki płot, tyle że z chromu. Amerykański samochód wyglądał jak orka – miał szeroko rozstawione, drapieżne oczy i paszczę z dwoma rzędami błyszczących zębów. Stojąc przed nim, odnosiło się wrażenie, że czarny potwór żyje i za chwilę rzuci się do przodu z otwartą paszczą, pochłaniając wszystko na swej drodze, tak jak orka.

Anders i Johan długo wiercili mi dziurę w brzuchu – dlatego w końcu im obiecałem, że będą mogli przyjść i zobaczyć samochody w garażu. Zwłaszcza Anders bardziej się interesował

samochodami niż czymkolwiek innym, mówił właściwie tylko o samochodach i sprawiał wrażenie, że wie o nich wszystko.

Ja czułem, że mają w sobie coś zakazanego, ale nie potrafiłem stwierdzić co dokładnie, bo nikt nic na ten temat nie mówił. W tamtych czasach większość rodzin w Saltsjöbaden miała samochód. Niektórzy ojcowie nawet jeździli nimi rankiem do miasta, choć pociągiem było szybciej.

Z jednej strony brak wyraźnego zakazu. Z drugiej stanowczo zbyt podekscytowani koledzy z klasy, którzy stwarzali taką atmosferę, jakby w garażu kryła się jakaś tajemnica.

Ten dzień w szkole przeleciał szybko – zapamiętałem go tak, jakbyśmy tylko pograli trochę w hokeja na lodzie i już mogli iść do domu. Lodowisko i tor łyżwiarski znajdowały się zaledwie kilka metrów od drzwi. Choć lód robił się już miękki i spękany, nadal siedzieliśmy w klasie w łyżwach, z drewnianymi ochraniaczami na płozach. Kiedy rozbrzmiewał dzwonek na przerwę, poprawiało się wiązania i wychodziło prosto na lód – chłopcy z kijami hokejowymi (tylko kilku miało stare kije do unihokeja, z czubkiem z przodu), a dziewczynki w białych figurówkach. Klasa 3A została przeniesiona do Idrottsgården w Saltsjöbaden, bo roczniki były liczne.

To się wydarzyło zaledwie kilka dni po tym, jak mogliśmy wyjąć rowery. Wprawdzie zwirowe ścieżki były gdzieniegdzie oblodzone, ale lepiej raz się wywrócić, niż wracać całą drogę piechotą.

Już po kwadransie ustawiliśmy rowery przy garażu. Było trochę strasznie, kiedy otwieraliśmy ciężkie, skrzypiące drzwi i szybko je za sobą zamykaliśmy. Okna zarastał kurz, a cały garaż spowijał mrok. Oczy potrzebowały chwili, żeby się przyzwyczaić. Pośrodku, tuż przed nami, stała orka z połyskującym, groźnym pyskiem.

Andersowi udało się prawdziwe gwizdnięcie na palcach – takie jak na popołudniowym seansie w kinie – które trudno było naśladować, nie ośmieszając się.

– Kurza twarz! – zawołał, podszedł do samochodu i ze znanostwem kopnął jedną z opon balonowych z białymi bokami. – To pięćdziesiątka trójka, ma silnik V8, co najmniej sto sześćdziesiąt koni mechanicznych. Można na niego rzucić okiem?

Nie odpowiedziałem ani tak, ani nie. Sam potrafiłem tylko wejść i wyjść tylnymi drzwiami i nie wiedziałem, co trzeba zrobić, żeby rzucić okiem na silnik. Anders był jednak bardziej obcykany – szybko podniósł maskę i podparł ją specjalnym prętem. Zaraz przystąpił do wygłaszania wykładu o budowie V8, wskazywał cylindry, głowicę i zawory i tłumaczył, dlaczego w amerykańskich samochodach filtr oleju jest o wiele większy niż w szwedzkich.

Potem sprawdziliśmy, jak się siedzi z przodu, na miękkiej niebieskiej skórze. Anders usiadł za kierownicą w kolorze kości słoniowej. Po jakimś czasie przenieśliśmy się do tyłu – można tam było rozłożyć dwa dodatkowe siedzenia, na których zmieściłaby się połowa drużyny piłkarskiej. Pomiedzy nimi znajdowała się mahoniowa skrzyneczka z dwiema kryształowymi karafkami i czterema kieliszkami. Jeśli sądzić po brunatnej barwie, w jednej z karafek był prawdopodobnie koniak.

Wobec PV Anders był trochę krytyczny. Samochód miał już parę lat i na jego dachu widniał wskaźnik kierunkowskazów.

– Ta wypustka w kształcie litery T pokazuje, że samochód będzie skręcał – pouczał Anders.

Najpierw mrugało niebieskie światło – „żeby przyciągnąć uwagę jadących z tyłu”. Potem pomarańczowy sygnał wskazywał lewo lub prawo, czyli stronę, w którą się chciało skręcić. W miejscu montowania wskaźnika przez dach zwykle przeciekała woda, więc przestano je produkować. Był jednak jeszcze gorszy feler. Kiedy kierowca dodawał gazu, żeby wyprzedzić,

przestawały działać wycieraczki. To był paskudny problem, jeśli akurat padało. Poza tym wóz miał tylko czterdzieści cztery konie mechaniczne – nic w porównaniu ze stu sześćdziesięcioma cadillaca.

PV – zakurzony i nieużywany od dłuższego czasu – nie musiał być poddawany dokładniejszej inspekcji. Nasze oczy zdążyły już się przyzwyczaić do ciemności. W głębi garażu, za wysokim stosem zapasowych opon, stał długi samochód, w całości przykryty ciężką szarą plandeką.

– To musi być ten, o którym wszyscy gadają – powiedział Anders, podszedł i chwycił prawy dolny róg plandeki. – Pomóżcie mi z tym! – komenderował z zapalem. – Jeżeli damy radę ją zdjąć, to i założymy z powrotem!

Dobrą chwilę ciągnęliśmy i szarpaliśmy. Zastłony sekret był dłuższy i szerszy od Jankesa, ale na szczęście także niższy. Nie byliśmy wtedy zbyt wysocy.

Stanęliśmy jak wryci. Wielki czarny potwór nie przypominał niczego, co można było zobaczyć na drogach. Przednie srebrne reflektory połyskiwały tak samo jak ramiona podtrzymujące opuszczany dach. Miał trzy boczne szyby, a nie dwie jak zwykle samochody. Z przodu tkwiła trójramienna srebrna gwiazda otoczona kółkiem.

Anders pierwszy doszedł do siebie.

– A niech mnie, przecież to Sanie Hitlera!

Sekundę później był już przy samochodzie i próbował otworzyć maskę. Dopiero po chwili zrozumiał, że otwiera się ją z boku, a nie z przodu.

Silnik był dużo większy od tego, który zamontowano w Jankesie. Anders naliczył dwanaście cylindrów, ale nie miał pojęcia, ile ma koni, więc nie mógł kontynuować wykładu z taką samą pewnością w głosie. Przyznał, że nigdy nie widział Sani Hitlera na własne oczy. Nie wiedział nawet, skąd się wzięła ta nazwa.

Z tyłu było nawet bardziej przestronnie niż w Jankesie, bo znajdowały się tam dwa fotele umieszczone naprzeciwko siebie. A do tego zapasowe, opuszczane z boków, pod dodatkową boczną szybą. Skóra nie była niebieska, lecz czarna. Zmieściłoby się tam pół klasy.

Naciągnięcie plandeki z powrotem na tajemnicze auto okazało się trudniejsze niż jej zdjęcie, ale nie wyszliśmy z garażu, dopóki nam się to nie udało. Zanim się wymknęliśmy, wytarliśmy wszystkie odciski butów w kurzu. Johan i Anders obiecali solennie, że nikomu o tym nie powiedzą.

Kiedy wyszliśmy na świeże powietrze, padał deszcz ze śniegiem. Zabawa w kowbojów i Indian koło jaskini albo w jodłowym lesie nie wchodziła już w grę. Zaprosiłem więc moich kolegów z klasy do dużego domu i zapytałem jedną ze służących, czy możemy dostać czekoladę i cynamonowe bułeczki.

Sekret udało się utrzymać przez prawie dwa tygodnie. Zacząłem wierzyć, że niebezpieczeństwo minęło, a wstęp do garażu może wcale nie jest zabroniony.

Ale był, choć nikt nie wiedział dlaczego.

– Ludzie we wsi plotkują – powiedział Harry, kiedy nadszedł czas lania, tym razem z dodatkową turą.

Ponieważ i tak już miałem oberwać, zapytałem Harry'ego, co to są Sanie Hitlera. Dowiedziałem się, że to głupie określenie i nie wolno go używać. I dostałem pięć kolejnych razy oprócz tych dodatkowych za garaż.

Zrobiło się tego sporo i po wszystkim krwawiłem w paru miejscach. To zawsze było nieprzyjemne, bo rano, kiedy człowiek się przebierał, strupy zaczęły o pizamę i znów zaczęła lecieć krew.

Dziwnie wyraźnie pamiętam tamtą noc. Okno było otwarte, pachniało wiosną i zasnąłem

chyba dopiero wtedy, kiedy zaczęło się rozwidniać i usłyszałem ostrożną pieśń sikorki bogatki. To, że tu i ówdzie trochę bolało, nie miało nic wspólnego z bezsennością. Bywało gorzej. Po prostu leżąc, zacząłem sobie przypominać książkę *Snorre Sål*. To wspomnienie było równie nagłe, co niewytłumaczalne.

Żadna inna książka dla dzieci nie zapadła mi w pamięć tak mocno jak przygody foczki imieniem Snorre, nawet *Tomtebobarnen* z rysunkiem trzech małych Krasnalątek leczących nocą przez Skandynawię na grzbiecie nietoperza.

Mama miała zwyczaj czytać mi na dobranoc, zanim poszedłem do szkoły i sam się nauczyłem. *Snorrego Såla* przeczytałem chyba najwięcej razy ze wszystkich książek, chyba po norwesku. W każdym razie byłem prawie pewien, że to norweska książka. Już dawno temu zaginęła. Nie mogłem jej nigdzie znaleźć, podobnie jak baśni braci Grimm. Dorośli czasem uznawali, że niektóre książki dla dzieci są dla nich nieodpowiednie. Johan miał w domu kilka książek o Pippi Pończoszance, ale u mnie były zakazane, choć nigdy się nie dowiedziałem dlaczego.

Dlaczego Pippi była zakazana, można się było domyślić – trochę podczytywałem te książki u Johana, kiedy chodziliśmy do drugiej klasy i byliśmy bardziej dziecinni.

Pippi Pończoszanka psociła i nie robiła tego, co kazali jej dorośli. Nie słuchała nawet policjantów. Takie rzeczy z pewnością mogły rozdrażnić dorosłych.

Ale foczka Snorre?

Ilustracje były tak ładne, że można się było rozmarzyć i polecieć dzięki nim aż nad Ocean Arktyczny. Snorre leżał na lodzie, wsparty na płetwach jak na łokciach, i dużymi okrągłymi oczyma patrzył w niebo, na rozognione fale zorzy polarnej. Snorre też łatwo uciekał od rzeczywistości w marzenia, choć wszędzie czyhały niebezpieczeństwa. Najgorsza była orka, która pożarła jego tatę. Ale to nie było takie straszne, bo jego mama była dobra i go nie biła, nawet kiedy zrobił coś głupiego.

To oczywiście cadillac – Jankes, jak nazywał go Anders – przywołał wspomnienie Snorrego. Groźny amerykański samochód wyglądał z przodu jak orka. Miał też płetwy z tyłu.

Tych obrazów nie dało się zapomnieć. Kiedy tak leżałem tej wczesnej wiosennej nocy, wróciły ostre jak brzytwa. Miłe oczy mamy Snorrego, pocieszającej synka, złośliwe spojrzenie niedźwiedzia polarnego, wujek mors, który wyglądał jak dziadek Oscar. Wszyscy wyszli z mroków zapomnienia, jakby to wczoraj mama siedziała na brzegu mojego łóżka, pocieszała mnie po wyjątkowo tęgim laniu i czytała o Snorrem. Musiała wiedzieć, że to moja ulubiona książka. Może w historii miłej mamy i pożartego taty był jakiś ukryty sens. Jednak tego rodzaju freudowskie nadinterpretacje musiały pozostawać poza zasięgiem dziewięcioletniego chłopca.

Kiedy miałem dziewięć lat, mój smak literacki był nieco bardziej rozwinięty niż w czasach Krasnalątek, Snorrego i nieodpowiedniej Pippi Pończoszanki. Moją wyobraźnię zdominował Książę Waleczny.

Kiedy byłem mały, wujek Hans Olaf co tydzień przez kilka lat wycinał strony z historyjkami obrazkowymi o Księciu Walecznym z tygodnika „Hemmetts Journal” i wklejał do dużych albumów, tworząc całe książki. To z pewnością wymagało cierpliwości, ale rezultat był wspaniały. Mogłem w jeden wieczór przeczytać to, co wujek Hans Olaf przygotowywał przez rok. Książę Waleczny był Norwegiem, ale najwyraźniej bez problemu porozumiewał się też po angielsku, odkąd był giermkim Sir Gawaina. Tak jak kuzyn Peter, który mieszkał w Szkocji i wielbił Księcia Walecznego równie mocno jak ja. Widywaliśmy się tylko w Boże Narodzenie i na innych zjazdach rodzinnych, ale przynajmniej już od początku mieliśmy oczywisty temat do rozmowy. Wspomnienie Księcia Walecznego jest równie ostre jak wspomnienie Snorrego albo Krasnalątek. Niektóre rzeczy po prostu znikają, a inne zostają – w moim przypadku ma to chyba

związek przede wszystkim z obrazkami. Krasnalotka na nietoperzu, foczka Snorre na lodzie pod zorzą polarną, Księżę Waleczny w masce demona, unoszący się nad przerażonymi wyskiewiczami.

Bezsenna wiosenna noc musiała być szczególnie bogata we wspomnienia, jakby Snorre przywołał cały ich ciąg.

Następnego ranka w drodze do szkoły pamiętałem, jak się nazywali orka i niedźwiedź polarny (przyznaję, że teraz już nie pamiętam, ale sprawdzę). Imiona zapamiętuje się zupełnie inaczej niż obrazy.

Wprowadziłem rower pod pierwszą stromą górkę na Kallvågen, bo nie chciałem ryzykować, że na rozmiękłym żwirze stracę równowagę i wpadnę do strumyka. Jeśli człowiek się ubrudził w drodze do domu, nie było to nic groźnego – wystarczyło się przebrać po powrocie. Jednak w szkole należało być czystym i schludnym, bo w Saltsjöbaden mieszkali zwyczajni ludzie. Nie tak jak w Norrköpingu.

Dokładnie tak musiało wyglądać to połączenie w mojej głowie. Od dawna już nie myślałem o Norrköpingu, to było coś równie zapomnianego jak książki dla dzieci. Ale obrazy zaczęły wracać.

Tam na miejscu to wszystko nie było aż takie dziwne, przynajmniej na początku. A może kogoś, kto zaczyna pierwszą klasę, wszystko dziwi jednakowo – w Norrköpingu czy gdziekolwiek indziej.

Strumień obrazów, które zdawały się pochodzić znikąd, przepływał mi przez głowę. Zielona woda w basenie, tęgie starsze panie, które chwyciły jednego pierwszaka po drugim za kark, wciskały go do dużej drewnianej balii z cynkową obudową i szorowały, aż jego skóra robiła się całkiem różowa, koledzy z klasy, którzy nie umieli pływać, to, że – jakżeby inaczej – zostałem zwolniony ze szkoły pływackiej i mogłem się bawić, ile chciałem, w basenie dla dorosłych, podczas gdy koledzy z klasy musieli siedzieć po turecku w paskach z korka i ćwiczyć pływanie na sucho. To były miejskie dzieci, mieszkające daleko od morza. Nie miały tak dobrze jak te z Saltsjöbaden i Sandhamn, które uczyły się pływać już w wieku pięciu lat. Bez dyskusji i bez pardonu dziadek wrzucał wszystkie dzieci Lauritzenów z pomostu do wody, bez względu na temperaturę. Dla Lauritzena pływanie było równie oczywiste jak żeglowanie.

W każdym razie dobrze nam się mieszało w Norrköpingu, po sąsiedzku z Riksbanken i tuż przy ratuszu z wieżą sięgającą do nieba.

Harry miał przejąć jedną z fabryk dziadka jako tak zwany dysponent. Kupił czerwony samochód z otwieranym dachem. To był angielski austin A90 atlantic, ale dziadkowi i tak by się pewnie nie spodobał. Harry w każdym razie twierdził, że ma dziewięćdziesiąt koni mechanicznych i można go rozpędzić do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dało się to zobaczyć na prędkościomierzu.

Najdziwniejsze w Norrköpingu było to, że mieszkańcy nie wydawali się zwyczajni jak w Saltsjöbaden. Po drugiej stronie rzeczki okrążającej przędzalnię bawełny Tuppen mieszkali ludzie zupełnie innego rodzaju. Mama zabroniła mi przechodzić przez most.

Po jakimś czasie zmodyfikowała nieco ten zakaz. Miałem w klasie kolegę o imieniu Lasse, a jego ojciec, jakkolwiek mama się o tym dowiedziała, był dysponentem Tuppen. Gdy po lekcjach dostawałem zaproszenie do domu Lassego, to mogłem też zapraszać jego, a więc także przechodzić przez most na drugą stronę rzeczki.

Wiedziałem, że mostowy zakaz w końcu wpędzi mnie w tarapaty, to była tylko kwestia czasu. Kiedy ta chwila nastąpiła, sytuacja w niepojęty sposób rozwinęła się w koszmar.

Zostałem zaproszony do Jane – tak zapisywała swoje imię, choć wymawiała je Jén.

Już wcześniej u mnie była, bawiliśmy się w doktora w moim szalasiu na terenie

posiadłości. Teraz wypadła jej kolej, żeby zaprosić mnie – jak dotąd nie było w tym nic dziwnego.

Mieszkała jednak po drugiej stronie rzeczki.

Kiedy to sobie uświadomiłem, nie mogłem już odmówić. Wyjaśnienie, że mama zabroniła mi przechodzić na drugą stronę, wydawało mi się za trudne, sam tego nie rozumiałem. Prądy były co prawda niebezpieczne, ale dlaczego akurat ja miałbym wpaść do wody? Poza tym skoro mogłem przechodzić przez most w drodze do Lassego, to czemu wizyta u Jane miałaby być bardziej niebezpieczna?

W dodatku ryzyko, że zostanę przyłapany, było małe. Jeden raz to nie raz. No i nikt nie naskarzy.

Przejście przez most do tego, co zakazane, ekscytowało w niewytłumaczalny sposób. Z kominów leciał dym, wszystkie czerwone domy z cegły i wszystkie klatki schodowe wyglądały tak samo. Na ulicach widziałem tylko dzieci wracające ze szkoły do domu, żadnych dorosłych.

Jane mieszkała cztery przecznice od mostu, w jednym z wysokich ceglanych domów. Nie było tam windy.

Kiedy weszliśmy do niej na trzecie piętro, wziąłem głęboki wdech i postanowiłem, że zrobię wszystko jak trzeba i będę dobrze wychowany. Tak się zaczął zły sen i to, co wyglądało na ekscytujące, zrobiło się okropne.

Zdecydowanym krokiem podszedłem do gospodyni, która stała przy cynkowym blacie ze zlewozmywakiem i właśnie zapalała kuchenkę spirytusową. Ukłoniłem się i oznajmiłem, że jestem Eric Lauritzen, a Jane mnie zaprosiła.

Gospodyni dziwnie spojrzała i nie powiedziała ani słowa.

Zaproponowałem więc, że Jane i ja przejdziemy do jej pokoju i będziemy odrabiali pracę domową na następny dzień.

Wtedy gospodyni spojrzała na mnie jeszcze dziwniej, powiedziała coś, czego nie zrozumiałem, pewnie w swoim dialekcie, a potem wskazała ławkę ze szczebelkowym oparciem, stojącą po drugiej stronie kuchni. Usiedliśmy tam obok siebie i otworzyliśmy elementarz szkoły ludowej, zaczynający się od czytanki o tacie, który wiosłuje, i mamie, która jest słodka.

Gospodyni zaczęła smażyć śledzie. Jane wyszeptwała, że nie ma swojego pokoju, bo drugi pokój należy do mamy i taty. Wyglądała, jakby się wstydziła, a ja zacząłem żałować, że przyszedłem, choć przecież mnie zaprosiła.

Potem było jeszcze gorzej.

Tata Jane przyszedł do domu z jej starszym bratem i jeszcze jednym dorosłym – jej wujkiem, jak się okazało.

Oczywiście wstałem, próbowałem się przywitać i przedstawić, ale oni tylko wybuchnęli śmiechem, popatrzyli na siebie i pokręcili głowami, jakbym zrobił coś nie tak.

To wszystko było niezrozumiałe.

Mężczyźni po kolei ochlapywali twarze i myli się pod pachami przy kranie z zimną wodą i zlewozmywaku.

Prawdopodobnie zamierzali zjeść wczesną kolację. Podano świeżo usmażone śledzie z gotowanymi ziemniakami. W pierwszej chwili mnie nie częstowano, ale może nie należało się dziwić – przecież byłem tylko pierwszakiem.

Musiałem jednak wziąć się w garść, żeby się nie ośmieszyć jeszcze bardziej. Wziąłem tylko jednego śledzia, tak jak pozostali, ale nałożyłem sobie mniej ziemniaków.

Zbyt późno zauważyłem, że pozostali nie filetują śledzia, tylko zjadają go razem z płetwami, ośćmi i całą resztą.

Przy stole zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mojego wyfiletowanego śledzia, a tata Jane

uderzył pięścią w stół i powiedział coś, co brzmiało jak „dosyć już tego, do diabła!”.

Powiedzieli mi, żebym w te pędy zmiatał do domu. Byłem tak zaskoczony, że siedziałem w miejscu i nie rozumiałem, co się dzieje, a wtedy tata Jane groźnie wstał. Szybko czmychnąłem do drzwi. W ostatniej chwili przypomniałem sobie, żeby się obrócić, uklonić i podziękować za posiłek.

Kiedy zszedłem na ulicę, wypełniali ją ludzie wracający do domu z fabryk. Większość była ubrana na niebiesko. Mężczyźni mieli czapki, a kobiety chusty. Wszyscy szli na piechotę – po tej stronie rzeczki nie jeździły żółte tramwaje.

Ten cały obraz był nierzeczywisty. Jakby to wszystko się nie wydarzyło, choć moje ubranie nadal cuchnęło smażeniną. Kiedy dotarłem do mostu, zatrzymałem się na chwilę, opuściłem wzrok na czarne wiry i pomyślałem, że dobrze by było trochę się przewietrzyć, żeby zapach mnie nie zdradził.

To nie pomogło.

Niepojęte wydarzenia tak mnie przepelniały, że wkrótce sam się zdradziłem – zapytałem mamę, dlaczego niektórzy nie filetują śledzi albo nie obierają ziemniaków. Od razu się domyśliła, że byłem po drugiej stronie rzeczki. Wpadłem przez czystą głupotę.

Oczywiście skończyło się na dodatkowej rundzie poobiedniego lania.

Następnego dnia Jane powiedziała, że ona też dostała lanie po obiedzie, bo zaprosiła do domu kogoś, kto najwyraźniej nie był wystarczająco dobry. Jaki inny wniosek mogłem wysnuć? Jane użyła wtedy określenia, którego nigdy wcześniej nie słyszałem i którego po tak długim czasie nie mogę sobie przypomnieć.

Prawdopodobnie chodziło o „wroga klasowego”.

Ale pamięć jest zdradliwa. Z pierwszego roku szkolnego w Norrköpingu pamiętam głównie basen – to, jak pierwszy raz się odważyłem skoczyć z trzeciej platformy, jak jeden z instruktorów się mną zajął, kiedy koledzy nadal pływali w pasach z korka, i nauczył mnie dużo lepiej pływać kraulem – z bardziej wyprostowanymi rękoma i nieruchomą głową. Albo duże czarne chmury skrzeczących kawek wokół wieży ratusza na tle ciemnego jesienno nieba. Albo to, jak kolega dostał pod choinkę amerykański czołg, albo wycieczkę do domku letniskowego naszej pani, przy czarnej krętej rzeczce z wodnymi chrząszczami i nartnikami podskakującymi na powierzchni wody. Albo to, jak mama i Harry urządzili wielkie otwieranie prezentów dla wszystkich kolegów z klasy mieszkających po właściwej stronie rzeczki, albo jak marudziłem, że chcę dostać amerykański czołg, a to nie wchodziło w grę, choć na pewno nie był zbyt drogi.

Na szczęście na wygnaniu do Norrköpingu przebywaliśmy tylko rok. Potem Harry nie mógł już być dysponentem, sprzedał czerwony angielski samochód, a my się przenieśliśmy do domu w Saltsjöbaden.

Zacząłem naukę w klasie 2A mieszczącej się w siedzibie rady gminy, którą wybudował prastryj Lauritz. W Saltsjöbaden wszyscy byli tacy sami, nie to co w Norrköpingu, gdzie człowiek ryzykował ośmieszenie u kolegi lub koleżanki z klasy, jeśli nie był wystarczająco elegancki. Po obu stronach mostu Tattby mieszkali zwyczajni ludzie.

W Boże Narodzenie tego roku wywołałem skandal, równie trudny do przewidzenia, jak i zrozumienia. Małą pociechą mogło być to, że Harry również nie zrozumiał stopnia mojego niewychowania i zgodnie z umową pierwszy dzień świąt mógł być wolny od lania po obiedzie.

Nie czułem szczególnej wdzięczności za ten akt łaski, bo nietrudno było pojąć, z czego wynikał. Raczej nie miał związku ze świątecznym spokojem i Dzieciątkiem Jezus.

Dziadek nie lubił wymierzania dzieciom kar cielesnych, jak na to mówiono, choć nadal były zgodne z prawem. A w wielkiej willi to on decydował. I tyle.

W mieszkaniu szofera, do którego wprowadziła się mama z rodziną, bo nie było już

szofera, sprawy miały się zupełnie inaczej. Tam nikt niczego nie widział i nie słyszał.

Zresztą co miałyby się wydarzyć po świątecznej kolacji w willi Bellevue? Harry nie mógł przecież przeprosić i zabrać „swojego chłopaka”, jak mnie nazywał, do któregoś z salonów na poobiednie lanie. Poza tym nie miał przy sobie swoich przyborów – szczotki do ubrań, długiej i wąskiej łyżki do butów ze stali nierdzewnej ani smyczy dla psa, która służyła też jako pejcz i zadawała największy ból.

Z tego powodu święta były najprzyjemniejszym okresem w roku, oprócz wakacji w Sandhamn, bo wówczas Harry’ego przez większość czasu nie było w Sztokholmie.

Między mną a kuzynami była duża różnica – w przeciwieństwie do nich znałem willę Bellevue jak własną kieszeń. Mogłem przebywać w pokoju zabaw tak długo, jak chciałem, pod warunkiem że potem schowam wszystko na miejsce do szafek. Poza okresem świątecznym ja i mój młodszy brat Axel byliśmy jedynymi dziećmi w okolicy, a on był jeszcze za mały na przygody ukryte w przestronnych szafkach z zabawkami – pozostałościami z dzieciństwa mamy, wujków, ciotki Johanne i ciotki Rosy.

Były tam kolejki elektryczne, tysiące części systemu Meccano, maszyny parowe, samochody, konie na biegunach, wiernie odwzorowane lalki, kompletnie umeblowane domki dla nich, skórzane kostiumy Indian, rewolwery w kaburach, łuki ze strzałami, tomahawki, modele samochodów i inne rzeczy. Ale nie tylko szafki kusiły w willi Bellevue. Było jeszcze duże, upiorne poddasze. Prowadzące nań schody zaczynały się w korytarzu za drzwiami pokoju zabaw.

Na poddaszu było mnóstwo kryjówek – wśród mebli ogrodowych, szaf na ubrania, skrzyń ze starymi flagami, klaksonem „Beduina” albo jakiejś innej łodzi, starych kół sterowych, odbijaczy, kotwic, latarni, ogromnych papierowych lampionów na przyjęcia z rakami, rzędów wilczych futer na przejażdżki saniami, obrazów, którym nie znaleziono miejsca albo którymi ktoś się znudził, starodawnych lamp z jedwabnymi abażurami, małych marmurowych statuetek albo poidełek dla ptaków odlanych z żelaza. To był inny świat, pełen cudów, w którym wszystko mogło się zdarzyć.

Choć spędzałem tam najwięcej czasu, minął ponad rok, zanim w przegródce schowanej na dnie jednej z dużych szaf na ubrania znalazłem ukryty skarb.

Powoli i bezszelestnie wpelzłem pod szafę, wykonując tajne zadanie dla Dżunglowego Patrołu z komiksu *Fantomen*, i nagle odkryłem, że dno szafy jest nierówne. Jeżeli się zajrzało przez drzwi od góry, wyglądało, jakby na całej długości szafa miała równą głębokość.

Jednak od dołu dało się zauważyć przegródkę. Odkrycie, w jaki sposób ją otworzyć, wymagało czasu – konstrukcja była przemyślna. W końcu znalazłem ukrytą blokadę i wystarczyło tylko ostrożnie unieść pokrywkę.

W środku leżała czarna aktówka. Była ciężka, ale nie zamknięta.

Kiedy z mocno bijącym sercem ją otworzyłem, natychmiast ukazał się skarb.

Najpierw zobaczyłem duży sztylet w czarnym skórzanym futerale, ze srebrną okładziną i rękojeścią wykonaną prawdopodobnie z kości słoniowej.

Poza tym były tam głównie papiery z tekstem w języku, którego nie znałem, a na nich zielona aksamitna poduszka z dziwnym pierścieniem i czterema czarno-srebrnymi medalami. Najpierw przyjrzałem się pierścieniowi, przypominającemu ten z czaszką, który nosił Fantom, choć zamiast jednej dużej czaszki było na nim kilka małych, a pomiędzy nimi widniały tajemnicze znaki przypominające runy wikingów.

Medale sporo ważyły, może były z prawdziwego srebra. Nie rozpoznałem, co to takiego, ale doszedłem do wniosku, że muszą być jednocześnie wartościowe i tajne.

Nie mówiłem nikomu o tym sekretnym skarbie, nie pisałem ani słowa. Nie mogłem. Coś, co zostało tak starannie schowane, nie powinno zostać znalezione przez ciekawskie dzieci –

tego każdy mógł się domyślić.

W te święta my, dzieci, mogliśmy się bawić i rozrabiać do woli przed kolacją. Mama mówiła, że kiedy sama była dzieckiem, wyglądało to inaczej. Ona i bracia musieli siedzieć prosto jak świece w świeżo wyprasowanych marynarskich ubrankach i czekać na kolację. Szczególnie surowa atmosfera panowała w pierwszym dniu świąt.

Teraz jednak były nowe czasy i obowiązywały nowoczesne zasady. „Kuzyni” – czyli synowie cioci Johanne i cioci Rosy – i ja bawiliśmy się w pokoju zabaw w wojnę rycerzy. Każdy miał konia na patyku. Najpierw kuzyn Peter ze Szkocji swoją trochę dziwną angielszczyzną powiedział, że wojna powinna się toczyć pomiędzy Szkocją i Norwegią z jednej strony a Szwecją z drugiej.

Ale tak się nie dało – to byłoby niesprawiedliwe, bo Peter i ja, którzy mielibyśmy reprezentować Szkocję i Norwegię, byliśmy o dwa lata młodszy od Eilerta i Henninga, którzy reprezentowaliby Szwedów. Zaczęliśmy się więc bawić w wojnę domową – Henning i ja po jednej stronie, a Peter i Eilert po drugiej.

Zaczęliśmy od drewnianych mieczy. Ale to za bardzo bolało, a przecież nie mogliśmy się pokrwawić przed kolacją. Zamieniliśmy je na poduszki. Bitwa była ostra i wyrównana, w końcu nie wygrała żadna ze stron, ale wszyscy się zmęczyli.

Kiedy po wszystkim siedzieliśmy roześmiani i próbowaliśmy odsapnąć, Peter powiedział, że gdyby taka walka rozegrała się w Szkocji, wszyscy dostaliby medale.

Wtedy przyszedł mi do głowy ten niewiarygodnie głupi pomysł. Gorączkowo, bez zastanowienia, czerwony na policzkach, popędziłem na poddasze po medale.

Chwilę później galopowaliśmy w dół po schodach na naszych koniach i byliśmy przekonani, że dorośli będą się śmiali i bili nam brawo, kiedy zrobimy rundkę po salonie. Siedzieli z drinkami przy kominku, a mój młodszy brat i młodsza siostra Petera, Elizabeth, wyglądali jak zapalone świece z czasów, kiedy mama była dzieckiem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a my prawie zatoczyliśmy pełne koło i byliśmy w drodze do drzwi jadalni. Naprawdę niewiele brakowało, żeby nam się upiekło.

Wtedy jednak babcia Christa krzyknęła, a jej krzyk był donośny i rozdzierający, jakby coś ją bardzo zabolalo. Gwałtownie się zatrzymaliśmy, babcia Christa pokazała palcem i w pokoju zrobiło się cicho. Dorośli gapili się na nas, jakby nie wierzyli własnym oczom.

Przeraziły ich tajne medale.

Ciocia Johanne doszła do siebie jako pierwsza. Podeszła do mnie długim, zdecydowanym krokiem i odpięła mi medal. Wziąłem ten najlepszy, który powinien wisieć na szyi, na czarno-biało-czerwonej tasiemce. Potem podeszła do Eilerta i Henninga i po prostu wyciągnęła rękę. Oni posłusznie odpięli medale. Również kuzyn Peter szybko go odpiął i jej podał, jakby parzył go w rękę.

Oczywiście nikt nie miał wątpliwości, kto jest winowajcą.

– Pokaż mi natychmiast, gdzie je znalazłeś! – rozkazała ciocia i wlepiła we mnie wzrok.

Kiedy zawstydzony szedłem przed nią przez rozsuwane drzwi do dużej jadalni i dalej do schodów na piętro, w świątecznie udekorowanym salonie panowała kompletna cisza.

Na poddaszu ciocia Johanne zobaczyła aktówkę, szybko przejrzała kilka papierów leżących na samej górze, poddała się, niedbale wrzuciła cały brzęczący stos do aktówki i z powrotem ją zamknęła.

Przez chwilę siedziała w kucki i wyglądała na pogrążoną w myślach, aż w końcu gwałtownie wstała z aktówką w rękę.

– Zajmę się tym – powiedziała. Nie wydawała się szczególnie rozżłoszczona. – Są pewne rzeczy, o których się nie mówi, i to jest jedna z nich. Przemówię do rozumu moim chłopakom,

a potem będzie tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Zrozumiano?

Nie miałem nic przeciwko temu. I w ogóle nic do powiedzenia.

Świąteczna kolacja przebiegła bardzo spokojnie, zarówno przy stole dorosłych, jak i przy stole dzieci, gdzie wszyscy bez grymaszenia jedli lutefisk – rybę w ługu. Nikt nie powiedział ani słowa na temat skandalu, wszyscy udawali, że nic się nie stało. Ale się stało.

Sztokholm, maj 1968

Muszę przyznać, że wolałbym teraz przebywać w jakimkolwiek innym miejscu. W Paryżu robotnicy i studenci się zjednoczyli i stoją na tych samych barykadach. Ponad dziesięć milionów francuskich robotników przystąpiło do strajku generalnego, ponad trzydzieści fabryk okupowano. Prawie wszyscy studenci strajkują i zajmują się jednym wielkim zadaniem – gruntowną przemianą Republiki Francuskiej. Wszędzie powiewają flagi Wietkongu. Tam można mówić, że „światlana przyszłość jest nasza”, tam – wśród moich rodaków – powinienem teraz być. Dzięki francuskiemu paszportowi nie mogą mnie zatrzymać na granicy jak innych europejskich studentów.

Ale rewolucja może poczekać. Mam egzamin końcowy z ogólnych zagadnień prawa, który muszę zdać przed końcem semestru. Potem wystarczy tylko napisać pracę i zostanę prawnikiem. Jeżeli mam być pisarzem, muszę mieć zawód i źródło utrzymania. Człowiek uczciwy intelektualnie nie może się utrzymywać z pisania.

Myślę, że się teraz uśmiechasz. Najpierw egzaminy, potem powieść, a później być może rewolucja. Ład i porządek, obowiązek na pierwszym miejscu. Pod tym względem przypominam chyba dziadka Oscara i Twojego ojca Lauritza, którego nie było mi dane poznać.

Bądźmy jednak znów poważni i wróćmy do Twojej krytyki.

Najpierw pewien szczegół. Uważasz, że żywi i żądni wiedzy chłopcy, tacy jak my, bez problemu powinni rozpoznać niemieckie odznaczenia wujka Haralda. Zapewniam jednak, że tak się nie stało. Nie domyślił się nawet, że są niemieckie.

Z pewnością zwodzą Cię Twoje specjalne zdolności, bo oczywiście rozpoznałabyś Krzyż Rycerski i Żelazny Krzyż I klasy z odległości dziesięciu metrów. W końcu w czasie wojny byłaś brytyjskim szpiegiem i nawet tajny pierścień SS nie uszedłby Twojej uwadze.

Dla nas, małych chłopców, sytuacja była inna. Biegaliśmy do kina w Neglinge na popołudniowe projekcje starych amerykańskich filmów – przestarzałych, ale oczywiście tanich. W tych filmach na przykład Rosjanie wciąż byli dobrymi sprzymierzeńcami – szczególnie dobrze pamiętam film z Humphreym Bogartem o konwoju do Murmańska. Witano tam Amerykanów co najmniej jak aliantów. Standardowy niemiecki szwarzcharakter, który ma superjasne włosy, mówi po angielsku z silnym niemieckim akcentem i – trzeba przyznać – często nosi na szyi Krzyż Rycerski, jest z późniejszego okresu.

Tym bardziej uważam za dziwne, że ani Johan Hallström, ani ja niecałe dziesięć lat od zakończenia wojny nie wiedzieliśmy, kim był Stalin, i nie mieliśmy pojęcia, do czego się odnosi określenie „Sanie Hitlera”. Pytanie brzmi, czy byliśmy dziećmi chronionymi, oszukiwanymi, czy raczej jedno i drugie. Oczywiście w dobrej wierze.

Mój Boże, moja *Tante* (mamy to wymawiać z niemiecka czy z francuska? Tylko się droczę, *ma chère tante*) w czasie wojny miała stopień majora Special Operations Executive, wujek był Sturmbannführerem SS, a wszystkie tego typu informacje zostały pogrzebane pod warstwą milczenia w willi Bellevue. Gdybyś mi o tym nie opowiedziała, byłbym równie nieświadomy jak wówczas. Widziałem zresztą notatkę w gazecie, że szpital Willa Bellevue będzie zburzony, a na jego miejscu powstanie osiedle willowe.

Sama widzisz, cały czas zmieniam temat. Ale chyba można mi to wybaczyć – wszystko potrafi się poplątać, kiedy człowiek próbuje wkroczyć w lata pięćdziesiąte – czas swojego

dzieciństwa, sugerować się dziecięcym sposobem myślenia i próbować opowiedzieć o kłamstwach, ciszy i tajemnicach, nie pokazując ich otwarcie. Ale to Ty ustaliłaś reguły i bardzo dobrze rozumiem dlaczego. Nie wolno mi raportować w dziennikarskim stylu z 1968 roku. A tym bardziej głędzić, popadając w jeden wielki francuski słowotok, co jest moją nieszczęsną specjalnością. Robi się trudno. Ale walczę – zakład to zakład. Kontynuuję jak młody Kandyd – dziesięć lat w jednym rozdziale. Nie poddajemy się.

Poza tym uważam, że powinnaś napisać pamiętniki z czasów wojny. W tej sprawie na pewno się nie poddam. Będę powtarzał to żądanie jak późny Katon Starszy.

TOMAHAWK

Ostatnie dni przed zakończeniem roku szkolnego miałem wolne, bo w planie był wyjazd do Norwegii na pogrzeb. Zmarła mama dziadka Oscara i prastryja Sverrego. Czyli babcia mamy. A moja prababcia od strony dziadka ze strony matki, o ile można tak powiedzieć po szwedzku. Język norweski miał na to słowo *oldemor*.

Byłem już kiedyś w Norwegii, kilka lat wcześniej, i pamiętałem niewiele ponad to, że woda była dużo bardziej słona, a z brzegu albo z pomostów dało się łowić małe kraby – przynętą były omułki na sznurku.

Dorośli kłócili się trochę przy niedzielnym obiedzie, kto pojedzie, a kto nie. No, może nie kłócili i na pewno nie przy stole. Ale już od początku nie wszyscy byli zgodni.

Wujek Carl Lauritz w pierwszej chwili nie chciał jechać, bo przegapiłby pierwsze letnie regaty w Vaxholmie. Ale dziadek postanowił, że ten jeden jedyny raz może nie wystartować.

Ciocia Johanne powiedziała, że chętnie pojedzie, bo babcia Maren Kristine była jej bardzo bliska. Chłopców zostawiła jednak w Sztokholmie u pomocy domowej, bo norweski pogrzeb nie jest dla dzieci. Dziadek nie miał nic przeciwko temu.

Trochę mnie martwiło, że Eilertowi i Henningowi się upiecze, podczas gdy ja najwyraźniej muszę jechać. Mama stwierdziła, że mnie weźmie ze sobą, a mojego młodszego brata i Harry'ego nie.

Wujek Hans Olaf powiedział, że planuje pojechać bez Alice, bo są tylko zaręczeni. Potem bez końca rozmawiali o tym, co będą mieli na sobie – jakby istniało coś takiego jak typowo norweskie ubrania.

Sam po namyśle uznałem, że taka długa podróż będzie fajna. Poza tym Anders powierzył mi tajne zadanie, które można było wykonać tylko w Norwegii.

Rankiem w dniu, kiedy mieliśmy wyruszyć z Saltsjöbaden, okazało się, że babcia Christa miała atak jednej ze swoich dziwnych chorób i musi zostać w domu. Mama i dziadek nie wydawali się ani trochę zdziwieni czy zaniepokojeni z tego powodu. Dziadek tylko westchnął i wyglądał na trochę obrażonego.

Harry miał nas zawieźć cadillakiem na Dworzec Główny w Sztokholmie. Był w wyjątkowo dobrym humorze. Pewnie dlatego, że mógł w tajemnicy pożyczyć samochód na cały tydzień.

Na Dworcu Głównym czekali wujkowie Carl Lauritz i Hans Olaf oraz ciocia Johanne. Prastryj Sverre pojechał pierwszy, a ciocia Rosa miała przylecieć z rodziną do Bergen z Aberdeen w Szkocji.

Zawsze lubiłem jeździć pociągiem – sama podróż do Sztokholmu koleją Saltsjöbanan była ekscytująca, choć trwała tak krótko.

Do Oslo jechaliśmy cały dzień – obiad i kolację jedliśmy w wagonie restauracyjnym. Podróż pociągiem była dla mnie równie wielką przygodą w rzeczywistości, jak w wyobraźni.

Kiedy pociąg meandrował wśród lasów, a po obu stronach przelatywały kurtyny drzew, wyciągałem wielki magiczny miecz z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, który ścinał wszystkie drzewa z taką łatwością jak kosa na polu, ukazując otwartą przestrzeń. A na terenach, które już były otwarte, na pełnych czerwcowej zieleni pastwiskach z pasącymi się krowami, puszczałem najnowocześniejsze samoloty – „latające beczki” J29 – tak nisko i w tak niewielkiej odległości od okien przedziału, że widziałem pilotów w maskach tlenowych. Na mostach, wysoko nad wodą, pociąg dostawał skrzydeł. Kiedy jechaliśmy przez miasta, wszystko zmieniało się w zestaw kolejki elektrycznej Märklin. Wysoko na niebie siedział olbrzym – czyli ja – i przy

pomocy transformatora z czerwonym przełącznikiem regulował prędkość. Zdarzało się jednak, że rzeczywistość była tak piękna, iż nie musiałem jej przerabiać. Nigdy mi się nie nudziło i nie potrzebowałem wypełniać czasu czytaniem, jak dorośli.

W Oslo zabawa się skończyła – musieliśmy się przesiąść do innego pociągu z czerwonymi wagonami i przedziałami sypialnymi, w których okna zasłonięto zaciemniającymi kotarami, żeby letnie słońce pozostawało na zewnątrz. Mama i ja jechaliśmy w jednym przedziale. Kiedy myślała, że śpię, ostrożnie się wymknęła – pewnie na papierosa.

Regularny stukot kół na torach musiał mnie szybko uspić. Kiedy się obudziłem, było mi zimno, a przez szczelinę pomiędzy czarną zasłoną a oknem do środka wpadał śnieg. Musiałem przez chwilę się zмагаć z zasłonką i oknem, zanim całkiem je zamknąłem. Kiedy z powrotem wspiąłem się na moje górne łóżko, mamy nadal nie było.

Nie mogłem już spać. Trząsałem się i pocierałem dłonie, które zziębły i zeszywniały od zimna, a niechciane wizje cisnęły się nieprzepartym strumieniem. Mama została porwana przez złoczyńców, trzymali ją jako zakładniczkę, a kiedy dziadek zaproponował wymianę na niego, też został zakładnikiem. Potem zabrano wujków. Złoczyńcy mieli kowbojskie kapelusze i czarne chusty na twarzach. Byli w wagonie restauracyjnym i zmusili wszystkich pasażerów, żeby po kolei opróżnili kieszenie, oddali portfele i złote zegarki.

Obudziłem się, kiedy dotarliśmy do Dworca Głównego w Bergen. Mama trochę irytująco poklepała mnie po policzku i nazwała susłem. Wtedy się zawstydzilem, bo zasnąłem, kiedy ona i dziadek padli ofiarą bandytów. Powinienem przynajmniej doprowadzić moją fantazję do szczęśliwego końca.

Dopiero na promie płynącym na Osterøy zacząłem naprawdę czuć, że jestem w innym kraju. To, że wszyscy dookoła mówili po norwesku, nie miało wiele do rzeczy – przez całe życie słyszałem mieszankę szwedzkiego i norweskiego i nie myślałem o tym, który język jest który.

Ale fiord, wysokie góry, niektóre ze śniegiem na szczycie, choć był prawie środek lata, błyskające słońce, woda zmieniająca odcień z zielonego na ciemnoniebieski, białe domy wspinające się po stokach gór, wodospady, zupełnie inne łodzie – to wszystko było zagraniczne. Także zapach morza był zupełnie inny, znacznie silniejszy niż w Sandhamn czy Saltsjöbaden.

Ciocia Johanne siedziała obok mamy i mnie, opowiadała, jak się nazywają poszczególne stacje, co ładują, a co rozładowują przy pomoście i mówiła, że to ten sam prom, którym pływała jako młoda dziewczyna, a także podczas wojny, kiedy odwiedzała babcię.

Mama i ciocia Johanne przeszły na norweski, pewnie nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Może krajobraz fiordu i zapach morza skłoniły je do zmiany języka. Ja na początku o tym nie myślałem, bo zastanowiło mnie, co to może znaczyć, że ciocia Johanne była na pokładzie tego statku także „podczas wojny”. Nic, co widziałem, nie wskazywało na to, że toczyła się tu wojna.

Nagle mama oznajmiła, że chce porozmawiać z ciocią Johanne o czymś, co nie dotyczy dzieci, i poprosiła, żebym poszedł się przywitać z kuzynem Peterem, który siedział na pokładzie rufowym z ciocią Rosą i swoim tatą.

Posłusznie, choć pewnie z lekkim ociąganiem, poszedłem. Nie wiedziałem, co im powiedzieć, choć miałem wpojone, że jeśli się pochodzi z dobrej rodziny, trzeba mieć opanowaną sztukę konwersacji. Tak to się nazywało i oznaczało mniej więcej tyle, że umiejętność rozmowy o nieważnych rzeczach jest bardzo ważna.

– Naprawdę nam się poszczęściło z pogodą – w Vestland bywa niezwykle deszczowo – zacząłem konwersować, kiedy poszedłem do ich stolika.

– *Indeed* – odpowiedział tata Petera i odłożył dużą lornetkę na stół przed sobą. – Imponujący krajobraz. Tyle widać.

Poprosili, żebym usiadł i przez chwilę rozmawialiśmy o pogodzie. Peter i jego tata mieli na sobie takie same tweedowe marynarki, koszulki polo i pumpy. Oczywiście zamierzali się przebrać do kolacji.

Ja byłem ubrany w zielony płaszcz z lodenu. Babcia Christa nauczyła mnie, na czym polega różnica pomiędzy lodenem a tweedem i przede wszystkim wyjaśniła, że tweed to angielski wynalazek, którego powinno się unikać. Na polowaniu, na morzu i podczas wietrznej pogody najlepszy był loden. Jednak w tamtej chwili nie mogłem nie myśleć o tym, że Peter i wujek Andrew są o wiele bardziej eleganccy ode mnie, a w każdym razie, że Peter wygląda doroślej niż ja.

– Czy ty też jesteś żeglarzem, młody człowieku? W końcu wy, tam na archipelagu, macie długie tradycje – konwersował dalej wujek Andrew swoją dziwną odmianą szwedzkiego.

A może chodziło mu o coś innego. Nie sądzę, żebym zrozumiał pytanie i nie mam pojęcia, jak brzmiała moja odpowiedź. Prawdopodobnie odparłem, że później tego lata muszę się wybrać na kurs żeglarski jachtklubu Kungliga Svenska Segelsällskapet na wyspie Lökholmen.

Na nabrzeżu w Tyssebotn czekała cała norweska rodzina – łatwo było ją rozpoznać, bo jej członkowie stali w osobnej grupie i mieli na sobie czarne ubrania. Było tam co najmniej dwadzieścia pięć osób, w większości dzieci. Ale nikt się nie uśmiechał.

Teraz naprawdę czułem się jak obcokrajowiec.

Dziadek Oscar jako pierwszy zaczął schodzić po trapie, pozostali ruszyli za nim gęsiego. Peter i ja szliśmy ostatni.

Podchodziliśmy i witaliśmy się z każdym po kolei. Ubrani na czarno krewni – był wśród nich prastryj Sverre, również w czerni – podawali ręce i ze spuszczonego wzrokiem mamrotali coś, co brzmiało jak: „Pokój z wami, witajcie w Tyssebotn”.

Kiedy wydawało im się, że nie widzimy, spoglądali na nas szeroko otwartymi oczyma, jakbyśmy popełnili jakiś skandaliczny błąd. Niektóre dzieci wręcz wytykały mamę palcami i chichotały, a potem dostawały burę.

Mama ubrała się jak zwykle do podróży. Nie miała nakrycia głowy, rozpuściła włosy, włożyła długie spodnie, sweter i okulary przeciwsłoneczne. Dla mnie nie wyglądało to dziwnie, ale norwescy krewni najwyraźniej widzieli w tym skandal.

Po powitaniach wszyscy ruszyli w milczącej procesji do gospodarstwa Frøynes, które od razu rozpoznałem. Długi dom przypominał ten w Sandhamn, ale był dużo większy, a na kalenicach widniały głowy smoków wyrzeźbione z drewna.

W długim domu czekał posiłek. Łosoś z *rømme* – kwaśną śmietaną, młode ziemniaki i sałatka z ogórków. Wyglądało to jak zwykły niedzielny obiad w Saltsjöbaden.

Goście zostali zakwaterowani w dużym domu – były tam alkowy z piętrowymi łózkami, też przywodzące na myśl Sandhamn. Nic w tym dziwnego, oba domy wybudował brat dziadka – prastryj Lauritz.

Jedzenie w milczeniu zajęło kilka godzin, bo po łososiu podano suszoną baraninę, słodkie bułki i kawę. Przez resztę wieczoru musieliśmy być cicho i siedzieć spokojnie – goście osobno, a norweska rodzina osobno. O łowieniu krabów nie było mowy.

Teraz przynajmniej przydały mi się książki, które mama próbowała mi wcisnąć podczas podróży pociągiem, kiedy ich nie potrzebowałem. Dostałem je od wujka Hansa Olafa i były to książki, które czytał, kiedy sam był mały – *Old Shatterhand* i *Ostatni Mohikanin*.

Następnego dnia ośmiu mężczyzn – w tym dziadek Oscar i prastryj Sverre – przeniosło trumnę z *oldemor* do kościelnej łodzi. Mieli wysokie kapelusze i dziwne kamizelki. Mama mówiła, że rybaczką zawsze powinna odbywać ostatnią podróż w łodzi, którą wiosłują jej synowie.

Pozostali pojechali wozem zaprzęgniętym w konie, które miały coś w rodzaju czarnych ozdób.

Wszyscy nazywani „Szwedami” mieli teraz zwykle ciemne garnitury z białymi krawatami i wyglądało na to, że reszta w pełni to akceptuje.

Wujek Andrew i Peter włożyli jednak kilty, czyli coś w rodzaju spódniczek, z takim samym kraciastym wzorem. Powyżej czarne kurtki, a poniżej białe podkolanówki i czarne buty ze sznurówkami, które sięgały do łydek. Co najgorsze, obaj mieli nóż wetknięty w prawą skarpetkę.

W pierwszej chwili wydawało mi się to tak żenujące, że aż nie miałem odwagi patrzeć. Norweska rodzina gapiała się wytrzeszczonymi oczyma, jakby to było jeszcze gorsze niż długie spodnie mamy. O ile to one ją wzburzyły. Może chodziło o okulary albo o brak nakrycia głowy.

Ciocia Rosa chodziła od jednego Norwega do drugiego i informowała szeptem, że w Szkocji to najbardziej godny strój, jaki można włożyć na pogrzeb. To samo mówiła nam. Wszyscy akceptowali jej wyjaśnienie i kiwali głowami z namysłem, choć bez śladu uśmiechu.

Msza w kościele Hosanger trwała długo. Było dużo psalmów. I długie kazanie.

Peter i ja siedzieliśmy w tylnych ławkach po prawej stronie i przynajmniej przez pierwszą godzinę udawało nam się nie wiercić, nie odwracać, nie drapać i nie szeptać. Kiedy Peter w końcu głośno westchnął, jedna ze starszych osób się odwróciła i wbiła w niego gniewne spojrzenie.

Wreszcie ośmiu mężczyzn zaniósł trumnę do grobu. Dziadek Oscar i prastryj Sverre szli z przodu.

Trumna została opuszczona na sznurach w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Wszyscy przechodzili obok grobu, przystawali i składali pokłon *oldemor* Maren Kristine. O pogrzebach wiedziałem niewiele, ale wszystko, co mi powiedzieli koledzy, okazało się zgodne z prawdą.

Poza jednym. Nikt nie płakał. Widziałem, że ciocia Johanne była bliska płaczu, ale się opanowała.

Po powrocie do Frøynes wszyscy jedli razem przy ogromnym stole, przy którym mogły siedzieć też dzieci – ale u jego dołu. Dorośli dostali steki baranie i pili dużo piwa. Na naszym krańcu stołu podano coś, co się nazywało *vørterøl* i przypominało *svagdricka* – szwedzki niskoprocentowy napój. Było jednak smaczniejsze.

Wprawdzie już po kilku godzinach mogliśmy odejść od stołu, ale norweskie dzieci z sąsiedztwa musiały natychmiast wracać do domów, bo zabawa i głośne rozmowy były zakazane. Kiedy odchodziły w czarnych, dorosłych strojach, wyglądały jak karły.

Kuzyn Peter i ja przez chwilę siedzieliśmy sami na podeście werandy, przejeźdzeni i wymęczeni. Peter twierdził, że było prawie jak w Szkocji. Rok wcześniej zmarł jego dziadek ze strony ojca i pogrzeb zorganizowano w podobnym stylu, jedynie grano weselszą muzykę. Potem cała rodzina musiała się przenieść do domu dziadka, bo tata był jego najstarszym synem. Widocznie Norwegowie i Szkoci byli podobni.

Nie miałem żadnego poglądu na ten temat. Zacząłem więc konwersować o kilcie – zacząłem od pytania, dlaczego w skarpetce nosi się nóż.

Do Bergen wracaliśmy w żałobnych strojach. Mama wyjaśniła, że to konieczność. Norweska rodzina nie lubiła, kiedy w czasie żałoby ludzie chodzą w zwykłych ubraniach, wkładanych na podróż.

Wujek Andrew i Peter musieli więc marznąć w nogi na pokładzie promu. Poza tym wszyscy się na nich gapili. Gdyby tylko Norwegowie wiedzieli, że pod kiltami nie mieli bielizny. Peter mi to udowodnił.

Z wybrzeża w Bergen pojechaliśmy limuzynami prosto do hotelu Sentral, żeby się

przebrać i przepakować bagaże. Wujkowie Hans Olaf i Carl Lauritz ledwo zdążyli na popołudniowy pociąg do Sztokholmu. Z różnych powodów śpieszyło im się do domu. Prastryj Sverre poszedł zwiedzić jakieś muzeum sztuki.

Oczywiście dorośli zamierzali znowu zasiąść do posiłku. Statek do Aberdeen miał odpłynąć dopiero późnym popołudniem.

Nie było jednak tak źle, jak Peter i ja się obawialiśmy. Wjechaliśmy kolejką linową na szczyt góry, gdzie mieściła się restauracja z widokiem na całe miasto i duży fragment fiordu. Pogoda nadal była ładna, więc mogliśmy siedzieć na zewnątrz. Dorośli czuli się chyba tak samo uwolnieni od czarnej, posępnej atmosfery jak Peter i ja. Nawet żartowali między sobą, opowiadali o dzieciństwie w Bergen i o *oldemor* Maren Kristine, która była wyjątkowo oszczędna w słowach, a jednocześnie fantastycznie elokwentna, kiedy mówiła w swoim staromodnym języku. Ciocia Johanne zaczęła ją naśladować, ale Peter i ja nie rozumieliśmy nic a nic.

Wolno nam było zjeść tak mało, jak chcieliśmy, i mimo to dostaliśmy na deser lody.

Poszliśmy ze Szkotami na prom do Aberdeen. Dla żartu zaczęliśmy się nazywać Szkotami i Szwedami, bo tak właśnie postrzegali nas norwescy krewni.

Sternik przy trapie powiedział, że prognozy pogody w dalszym ciągu są dobre. Przeprawa przez Morze Północne miała przebiegać spokojnie.

Szkoci stali na pokładzie rufowym i machali białymi chusteczkami, kiedy prom odbijał od brzegu. Pewnie się cieszyli, że to wszystko dobiegło końca. Ja w każdym razie byłem zadowolony, że nie było nas już tak wielu – im więcej ludzi porozeżdżało się w różne strony, tym mniej zostawało z pogrzebowej atmosfery. Trochę jak z zapachem kulek na mole na ubraniach, który się ulatniał, kiedy się wyszło na świeże powietrze.

Wracaliśmy spacerem wzdłuż nabrzeża, a późne popołudniowe słońce upodabniało rzędy różnokolorowych drewnianych domów do rozświetlonych chorągiewek. To miejsce naprawdę wyglądało zagranicznie.

Wieczorem zjedliśmy prosty obiad w ogródku restauracji hotelu Sentral. Mieliśmy do wyboru dorsza z masłem klarowanym i pastę jajeczną albo wysmażony na chrupko boczek, pokrojony w kostkę. Miło było zjeść zwyczajny posiłek, czułem się tak, jakbyśmy już byli w domu. Dorośli pili białe wino, a ja poprosiłem o *vørterøl* i nie było z tym problemu.

Przez chwilę dorośli rozmawiali o tym, co zrobią ze spadkiem. To było trochę dziwne. Dorośli nigdy nie mówili o sprawach związanych z pieniędzmi, zwłaszcza przy jedzeniu i przy dzieciach. Ale teraz tylko ja byłem dzieckiem, a rozmowa trwała bardzo krótko.

Temat jako pierwszy poruszył prastryj Sverre, kiedy zauważył, że pozostali nie są szczególnie zainteresowani obrazami, które oglądał w muzeach. Był zdania, że – jak się wyraził – sytuacja jest nieskomplikowana. Po śmierci ich brata Lauritza dziadek Oscar i prastryj Sverre byli jedynymi spadkobiercami. Do czego im było potrzebne Frøyne? Powinni więc zrzec się spadku na rzecz krewnych z Osterøy.

– Prawda? – zapytał prastryj.

– Tak, oczywiście – zgodził się dziadek i więcej o tym nie rozmawiali.

Ciocia Johanne opowiedziała kilka historii o dzieciństwie w Bergen i o tym, jak musieli uciekać do Szwecji, kiedy zaczęto ich nazywać niemieckimi szczeniakami, a koledzy z klasy prawie pobili na śmierć jej brata Haralda.

Niewiele z tego rozumiałem, ale nie miałem odwagi się wtrącać i po prostu siedziałem cicho.

Następnego ranka bez problemu zdążyliśmy na pociąg. Portierzy z hotelu Sentral przenieśli bagaże i ulokowali je w wagonie, a dziadek oprowadził nas po budynku dworca.

W końcu wybudował go jego brat Lauritz.

Prastrij Sverre uważał, że to bardzo romantyczna budowla, trochę jak królewski zamek z sagi Snorrego Sturlassona – po części średniowieczny, a po części żartobliwie wikiński. Uznał, że czuć w nim rękę brata.

Kiedy dorosli rozmawiali o granitach i reliefach, ja miałem coraz większe wyrzuty sumienia. Zobowiązałem się wykonać tajne zadanie dla Andersa. Koło restauracji na środku głównej hali był duży kiosk. Nie miałem jednak norweskich pieniędzy, szwedzkich zresztą też nie.

Żadna doza pomysłowości nie mogła pomóc w rozwiązaniu tego problemu. Ostrożnie wzięłem mamę za rękę, lekko odciągnąłem na bok i przedstawiłem sprawę. Ani trochę się nie zdenerwowała, być może nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa i nielegalności mojej propozycji. Tylko wybuchnęła śmiechem i zaprowadziła mnie do kiosku, żeby wykonać tajne zadanie.

Kiedy rozpoczęła się podróż do domu, siedziałem z nosem przy szybie przedziału. Na początku jechaliśmy pod górę z tak niewielką prędkością, że miałem wrażenie, iż wystarczy wyciągnąć rękę, żeby pogłaskać wszystkie białe kwiatki na drzewach owocowych. To było jak morze, jak wkładanie ręki do wody i ciągnięcie jej za sobą w spokojny letni wieczór podczas łowienia ryb na trolling wokół Sandhamn. Nie potrzeba było żadnej magicznej kosi, żeby upiększyć krajobraz. Szwedzkie myśliwce też nie miały tu nic do roboty – byliśmy w Norwegii.

Jak bardzo norweski tak naprawdę byłem? Tuż przy drzwiach przedziału siedzieli dziadek i prastrij Sverre i rozmawiali ze sobą w czystym języku norweskim, a nie w półnorweskim, którego używali w dyskusjach ze Szwedami.

Naprzeciwko mnie, przy oknie, siedziała mama, która mówiła po norwesku tylko w obecności ubranych na czarno krewnych z Osterøy, niezbyt dobrze rozumiejących po szwedzku. Obok niej siedziała ciocia Johanne, jak zwykle z nosem w książce. Ona władała norweskim równie dobrze jak ja szwedzkim. Czyżby była zarówno Norweżką, jak i Szwedką?

A ja? Na pewno dało się to ustalić.

Babcia Christa była stuprocentową Niemką. Wszyscy udawali, że tego nie dostrzegają, ale tak było. Mówiła najdziwniejszą szwedczyzną ze wszystkich w rodzinie, z wyjątkiem wujka Andrew.

Dziadek był pełnej krwi Norwegiem. A więc mama była w połowie Niemką, a w połowie Norweżką.

W takim razie ja byłem w jednej czwartej Norwegiem i w jednej czwartej Niemcem. Ale również w połowie Szwedem, bo Harry był Szwedem i absolutnie nikim więcej, jak często podkreślał.

Czułem w sobie pierwiastek norweski. Ale niemieckiego ani trochę.

Ciocia Johanne i jej rodzeństwo musieli uciekać z Bergen, bo nazywano ich niemieckimi szczeniakami. Tak opowiadała przy obiedzie w hotelu Sentral. Dlaczego Norwegowie nienawidzili Niemców tak bardzo, że koledzy z klasy prawie zatłukli wujka Haralda? To było nie do pojęcia. Czy nadal ich nienawidzili? Czy ciocia Johanne to już nie dotyczyło? W końcu potrafiła się zamaskować, bo mówiła po norwesku równie dobrze jak wszyscy inni Norwegowie.

Moi norwescy krewni z Osterøy byli podobni, a jednak różni, jakby mieszkali po drugiej stronie rzeczki. Czy mógłbym być jednym z nich? Musiałem sobie wyobrazić zwykły słoneczny dzień nad fiordem, podczas którego wszyscy chodzą w zwykłych ubraniach, a dzieci mogą ze sobą rozmawiać tyle, ile chcą, a nawet głośno się śmiać i łowić kraby z pomostów. Nasze ostatnie spotkanie było przecież pogrzebem. Może norwescy kuzyni – którzy tak naprawdę nie byli kuzynami, ale tak należało o nich myśleć – też byli zupełnie normalni.

Byłem też Norwegiem, a norweska flaga o wiele bardziej mi się podobała niż szwedzka. Jednak z czysto matematycznego punktu widzenia byłem przede wszystkim Szwedem – w pięćdziesięciu procentach. Pod jednym względem to się zgadzało. Wśród kolegów z klasy w Saltsjöbaden byłem równie szwedzki jak wszyscy inni, a nawet mówiłem lepiej w tym języku niż inni.

Z drugiej strony nie czułem się najlepiej z tym, że cała moja szwedzkość pochodziła od Harry'ego. Coś się tu nie zgadzało. Nie czułem się spokrewniony z członkami rodziny Harry'ego, byli jeszcze dziwniejsi niż rodzina z Norwegii, czasami jeszcze trudniej było ich zrozumieć. A ja nigdy nie nazywałem taty Harry'ego dziadkiem.

Miejscowość Hammarbyhöjden pod Sztokholmem odwiedziliśmy kilka razy. Mamie niespecjalnie się podobała. Takich rzeczy nie sposób nie zauważyć.

Po raz ostatni byliśmy tam zeszłego lata, tuż po tym, jak „Beduin” i motorówka odpłynęły na sezon do Sandhamn. Dlaczego mama, ja i mój młodszy brat mieliśmy przyplnąć później – tego nie wiedziałem.

Jednak tuż po pożegnaniu łodzi na pomoście w Saltsjöbaden miała nas spotkać miła niespodzianka. Przynajmniej tak powiedział Harry. Wsiadliśmy do cadillaca i przejechaliśmy przez Sztokholm na drugą stronę, do Hammarbyhöjden, które nie było ani miastem, ani wsią. Wszystkie domy wyglądały tak samo, stały w długich rzędach i były równie wysokie. Między nimi rosło trochę drzew i krzewów, były place zabaw, trzepaki i żwirowe placówki ogrodzone wysoką siatką, na których chłopcy mogli grać w piłkę.

Stary Harry'ego miał na imię Folke, czy jakoś tak, i był pierwszym pocztynionem, czyli listonoszem. Ostatnio nie robił zbyt wiele, ale miał fajne akwarium z mieczykami Hellera, gupikami i molinezjami ostropyskimi – rybami, które rodzą młode, a potem je zjadają.

Harry miał dwie siostry – Sivan i Anki. Głoskę „i” w imieniu „Sivan” wymawiali zupełnie inaczej niż zwykli ludzie, bardziej nosowo. Im dłużej się ich słuchało, tym bardziej było to wyraźne.

Mama Harry'ego próbowała być dla mnie miła i sama ugotowała kompot malinowy.

Zostaliśmy zaproszeni na letni lunch przy stole śniadaniowym. Nie pamiętam, co podano, przypominam sobie jedynie to, że w rodzinie Harry'ego jedzono bardzo dziwnie. Mama siedziała sztywno wyprostowana i od czasu do czasu karmiła mojego młodszego brata. Dało się zauważyć, że nie chce tam być. Równie wyraźnie było widać, że Sivan jej nie lubi – zapalała papierosa, dmuchała dymem w twarz mamy i mówiła „ups”.

Z kolei tata Harry'ego wydawał się dość miły. Opowiadał o rybach i o tym, jak dbać o akwarium.

Ich mieszkanie miało tylko trzy pokoje i nigdzie nie widziałem regałów na książki.

Fajnie było stamtąd pójść, choć Harry się na nas dąsał (rzecz jasna nie na braciszka).

Gdzieś tam kryła się tajemnica, której nie mogłem zgłębić. Hammarbyhöjden było jakby z innego świata, daleko, daleko od Saltsjöbaden, choć dojazd samochodem trwał tylko godzinę. Harry zresztą pokazał cadillaca siostrze Sivan jako swój własny samochód.

To wszystko przypominało Norrköping. Jak można mieć krewnych po drugiej stronie rzeczki? Byłem oczywiście Szwedem, ale nie takim.

– Teraz musimy popatrzeć! – wykrzyknęła nagle ciocia Johanne, zamknęła książkę i pokazała za okno. – Przejeżdżamy przez Klevje, największy most na trasie. Zbudował go tata Lauritz!

Wszyscy stłoczyli się przy oknie, stukot kół brzmiał teraz inaczej, bardziej głucho, patrzyliśmy w bezkresną przepaść, a potem wszystko się skończyło. Pociąg zniknął w tunelu, a ja zobaczyłem przed sobą własne odbicie.

Kiedy wjechaliśmy wyżej pod górę, wszystkie drzewa zniknęły. Zostały tylko niskie i gruzłowate górskie brzozy, a niektóre miejsca jak okiem sięgnąć były wypełnione brzydkimi, szarawymi odłamkami kamieni. Natychmiast przemaalowałem krajobraz – dodałem kwiaty jabłoni i jasną zieleń – na taki, jaki widziałem na początku podróży.

Wkrótce na ziemi zaczęły się pojawiać płaty śniegu. Po chwili śnieg pokrywał wszystko, aż do znajdujących się na skraju pola widzenia szczytów gór i połyskującego błękitem lodowca. Na bezchmurnym niebie świeciło stojące wysoko słońce i trzeba było mrużyć oczy, żeby nie oślepnąć.

Mama powiedziała, że jesteśmy w najwyższym punkcie Hardangerviddy – to tutaj trafiliśmy na śnieżycę, przybywszy z drugiej strony. Stwierdziła, że jeśli taka pogoda się utrzyma, śnieg stopnieje w kilka dni, a roślinność występująca na tej wysokości jest zahartowana. Wymieniała nazwy różnych roślin, pamiętam tylko tę prawdopodobnie najpiękniejszą – jaskier lodownikowy.

Oglądałem bezkresny biały krajobraz i próbowałem sobie wyobrazić, jak prastryj Lauritz kiedyś walczył na tych terenach. Nie tylko zbudował most, którego pokonanie zajmowało dziesięć sekund, ale i kolej biegnącą aż do Oslo.

Bez trudu widziałem go oczyma wyobraźni. W końcu jego portret wisiał w dużej jadalni w Saltsjöbaden. Wystarczyło go ubrać w wilcze futro i rzucić trochę ciemnego światła pośród śnieżycy.

Dorośli w każdym razie mówili, że zbudował kolej. Ale nie mógł przecież zrobić tego sam.

Na każde *do-dong-dodong* wydawane przez koła pociągu przypadała ciężka szyna przeniesiona przez wielu robotników. Najpierw musieli wyrównać teren i położyć podsypkę z tłuczni. Potem układali podkłady kolejowe, a następnie za pomocą młotów i klinów łączyli jedną szynę z drugą, pracowali w deszczu i śniegu i w ciągu jednego dnia tworzyli zaledwie siedem, osiem *do-dong-dodongów*. Ale prastryj Lauritz był przecież inżynierem, tak samo jak dziadek. Na pewno tam stał i pokazywał robotnikom, co mają robić. I tak szyna po szynie, aż do samego Oslo.

W Oslo mieliśmy się natychmiast przesiąść na pociąg do Sztokholmu, tym razem bez wagonów sypialnych. Mimo to po chwili zasnąłem, bo na krajobraz składały się monotonne lasy i pola. Rozbudziłem się, kiedy wszedł celnik. Siedziałem z mocno bijącym sercem i słuchałem, jak dorośli odpowiadają, że nie mają nic do oclenia. Ja nic nie mówiłem, więc przynajmniej nie skłamałem, choć towar, który przemycałem, był w plecaku na siatce dokładnie nad moją głową. Przez chwilę fantazjowałem o tym, co by było, gdybym wpadł. Może wybuchłby jeszcze większy skandal od tego z medalami wujka Haralda, o którym nikt nawet się nie zająknął od czasu świątecznej awantury.

Saltsjöbaden odpoczywało, pogrążone w przyjemnej stagnacji. Rozpoczęła się letnia przerwa, do regat pozostało kilka spokojnych tygodni, a większość kolegów z klasy wyjechała na wczasy. To było nowe słowo, oznaczające po prostu, że mama i tata do pełna załadowywali samochód bagażami, sadzali dzieci na tylnej kanapie i jechali dokąś odwiedzić krewnych. Rodzina Johana była na wakacjach w Båstad w Skanii na południu Szwecji.

Ale Anders został w domu i miał nowy rower z siodełkiem typu banan. To był ostatni krzyk mody, siodełko wyścigowe jak w motocyklach. Kiedy przyszedł, zapytał tonem pełnym wyczekiwania, jak poszło tajne zadanie w Norwegii.

Potrzymałem go chwilę w niepewności, a potem tajemniczo skinąłem głową. Zadanie zostało wykonane, przemyt się udał w stu procentach, celnicy niczego nie podejrzelali.

Wymknęliśmy się do jaskini, żeby nikt nas nie widział. W szkolnej teczce miałem butelki

i dwie szklanki.

Po raz ostatni się rozejrzeliśmy, a potem triumfalnie wyciągnąłem dwie butelki coca-coli i ostrożnie postawiłem je na ogrodowym stoliku.

– Ja cię sunę! – zawołał Anders. – Prawdziwa amerykańska coca-cola, zakazana jak jasny Holender.

Nabożnie przesunęliśmy palcami po butelkach w kształcie, który miał zapewne ułatwić trzymanie ich w rękę. Były zupełnie inne niż te, w których sprzedawano pommac i lorangę. Odkryłem, że nie mają zwykłych kapsli, które można po prostu zerwać. Te były mocno przytwierdzone i wyglądały jak małe kapelusze. Problem szybko się rozwiązał – Anders miał przy sobie szwajcarski scyzoryk ze wszystkimi możliwymi narzędziami i po kilku próbach znalazł takie, które idealnie się nadawało do otwierania amerykańskich kapsli.

Napełniliśmy każdy swoją szklankę i wznieśliśmy kulturalny, uroczysty toast. Spróbowaliśmy, znów wznieśliśmy toast i odstawiliśmy szklanki.

Zgodnie uznaliśmy smak za zupełnie wyjątkowy, żaden szwedzki napój gazowany nie miał choćby podobnego. Może coca-cola była zakazana w Szwecji właśnie przez swój niezwykle smak?

Anders zakwestionował tę teorię. Przecież coca-cola była legalna w Norwegii. To wszystko musiało mieć jakiś związek z Ameryką. Norwegia stała przecież dużo bardziej po stronie Ameryki niż neutralna Szwecja.

Znów wznieśliśmy toast, rozmyślając nad zagadkowym zakazem.

Zastanawiałem się, co by było, gdyby mnie przyłapano, gdyby celnicy znaleźli butelki coca-coli. Rzecz jasna zostałyby skonfiskowane. Ale czy karą byłaby grzywna, czy coś jeszcze gorszego?

Anders z absolutną pewnością zawyrokował, że nie byłoby to więzienie. Dzieci już się nie wsadzało do więzienia. Być może karę odbyłby opiekun prawny, czyli w moim przypadku mama. Przemyt to poważne przestępstwo.

Piliśmy powoli, żeby ciemnego napoju wystarczyło na długo, i rozkoszowaliśmy się każdym łykiem. Nie tylko dlatego, że cola tak nam smakowała. Pewnie przede wszystkim dlatego, że była zakazana. Staraliśmy się pić w równym tempie, żeby obie kole skończyły się jednocześnie. Anders mógł oczywiście zatrzymać pustą butelkę. Zapowiedział, że postawi ją na honorowym miejscu na regale z książkami.

Na razie schowaliśmy nasz skarb w jaskini i pojechaliśmy na rowerach do sklepu żelaznego. Anders powiedział, że pojawiły się tam nowe modele samolotów, które powinniśmy kupić, i zaprosił mnie na przyjęcie, żeby się zrewanżować.

Samoloty były dwa – F-86 Super Sabre i J29 Latająca Beczka. Części kosztowały dwie i pół korony za sztukę. Anders bez mrugnięcia okiem położył na ladzie banknot pięćsetkoronowy. Szybko wróciliśmy i poszliśmy na górę do pokoju zabaw, gdzie można było znaleźć wszystkie rzeczy potrzebne do montowania samolotów – klej, małe ostre nożyki do cięcia balsy i całą resztę.

Poszło szybko – samoloty składały się tylko ze skrzydeł, ogona i kadłuba luźno przyczepionych gumką do kartonowej planszy, z której można też było wyciąć wydrukowane obrazki do naklejenia na poszczególne części. Nie trzeba było samemu nic malować. Pod kadłubem był haczyk. Mniej więcej taki jak w samolotach, które startowały z lotniskowców, jak wyjaśnił Anders. W tym przypadku należało wystrzelić samolot z procy dołączonej do opakowania. Jednak proce były bakelitowe i przynajmniej według mnie trochę łamliwe. Przez chwilę szperałem w szafce z zabawkami, aż w końcu znalazłem dwie porządne, odlane z żelaza, z dwa razy mocniejszymi gumami.

Prawie zapomnieliśmy posprzątać, zanim wybiegliśmy na podwórko, żeby przeprowadzić loty próbne.

Chwilę potrwało, zanim opanowaliśmy odpowiednią technikę – nie można było wystrzelić zbyt mocno, bo wtedy samoloty traciły pęd, zaczynały wirować i natychmiast spadały. Jednak przy odpowiedniej technice mknęły w powietrzu jak strzały, a jeśli wypuszczaliśmy je tylko odrobinę mocniej, robiły nawet pętlę.

Anders mówił, że amerykański samolot jest najlepszy na świecie, że podczas ostatniej wojny gdzieś daleko w okolicach Chin zakasował MiG-a 15, którym latali komuniści. Nie mieli szans z F-86 Super Sabre. Przydałyby nam się takie, kiedy komuniści zestrzelili DC-3 i Catalinę na wodach międzynarodowych.

Czułem, że Anders przewyższa mnie fachową wiedzą, ale zaprotestowałem, powołując się na artykuł w gazecie, w którym napisano, że Latająca Beczka jest jednym z najlepszych samolotów na świecie i całkowicie dorównuje jankeskim.

To nie była do końca prawda – w gazecie czytałem tylko o sporcie, a nie o samolotach z silnikami odrzutowymi. To Harry przeczytał ten artykuł i opowiedział o nim przy obiedzie. Ale nie miałem powodu, aby go do tego mieszać.

Poza tym dla Andersa to nie miało znaczenia. Westchnął tylko, wzruszył ramionami i nie protestował – jakby to jakaś dziewczyna przyszła się podzielić opinią.

Wzlatywaliśmy coraz wyżej i wyżej, ale wyglądało na to, że Latająca Beczka jest lepsza niż F-86 Super Sabre. To tak zdenerwowało Andersa, że przesadził i w końcu rozbił swój amerykański samolot o dach. F-86 zsunął się ze zgrzytem po dachówkach i utknął w rynnie.

Z początku czuliśmy zawód. Amerykański samolot z powodu usterki technicznej spadł na terytorium wroga i znalazł się w pozornie beznadziejnej sytuacji na niedostępnym zboczu góry. Wiedzieliśmy, że jeśli go nie uratujemy, wpadnie w ręce wroga, razem z pilotem. Jeżeli wyskoczył ze spadochronem, było tylko kwestią czasu, zanim dostanie się w ręce komunistów, zostanie poddany torturom i praniu mózgu.

Tylko heroiczna ekspedycja wyjątkowo sprawnych alpinistów – takich jak sir Edmund Hillary i Szerpa Tenzing, którzy rok wcześniej wspięli się na Mount Everest – mogłyby sobie poradzić z tym zadaniem.

Anders natychmiast chciał być sir Edmundem Hillarym, więc ja zostałem Szerpą Tenzingiem.

Najpierw musieliśmy założyć obóz na poddaszu i zdobyć odpowiedni sprzęt. Na poddaszu nie było żadnych problemów z zaopatrzeniem. Chodziło tylko o to, żeby idąc tam, zachować ciszę.

Na początku wspinaczki nie musieliśmy się martwić o tlen. Pierwszy etap – dotarcie do pokoju zabaw i schodów na werandę – nie nastęrczył żadnych trudności. Potem jednak należało ostrożnie posuwać się naprzód, żeby skrzypiące schody nie zdradziły babci Chrście, że idziemy na górę. Jeśli spała, sprawa była prosta, ale mogła też siedzieć i czytać.

Dotarliśmy do poziomu bazy na poddaszu bez żadnych komplikacji.

W trzech małych pokoikach, w których dawniej mieszkała służba, wisiały długie sznurowe drabinki sięgające okien. Gdyby wybuchł pożar, służący mogli w prosty sposób je opuścić i uciec przed ogniem. Ich okna były najwyżej w całym domu i dało się przez nie zobaczyć zatokę Hotellviken. Do ziemi było pewnie ponad piętnaście metrów. Co dziwne, kiedy pokazałem to Andersowi, sprawiał wrażenie, jakby widok nie przypadł mu do gustu.

Następnie członkowie ekspedycji musieli doszlifować plan przed ostatnim etapem i ulepszyć sprzęt przed dotarciem do punktu, z którego miał się rozpocząć atak na cel. Wybrałem linę odpowiedniej długości i owinąłem ją sobie wokół tułowia. Anders wziął zwiniętą drabinkę.

Mały schodek prowadził na platformę używaną przez kominiarzy do wychodzenia na dach – kłapa była niemal dokładnie nad miejscem, w którym leżał rozbity samolot. Otworzyliśmy ją, unieruchomiliśmy podpórką i wyjrzelśmy, żeby ocenić sytuację.

Opuściliśmy drabinę aż do rynny, przywiązaliśmy solidnymi pólśzytkami i jeszcze raz spojrzeliśmy.

Gdyby zejść po drabinie do rynny, samolot leżałby trochę za daleko, żeby go osiągnąć. Należało uzupełnić sprzęt. Zszedłem z platformy i znalazłem kij do unihokeja. Wróciłem, obwiązałem klatkę piersiową Andersa, robiąc węzeł ratowniczy, i owinąłem jedną z belek podtrzymujących platformę. Sir Edmund Hillary miał krok po kroku zejść po rozciągniętej drabinie, a ja – zając się pilnowaniem jego liny ratunkowej i stopniowym jej luzowaniem. Plan był tak prosty, że każdy głupi by sobie z nim poradził. Nawet gdyby Anders się potknął i stracił oparcie pod nogami, ja będę go trzymał na linie.

Jemu jednak przeszła ochota. Spojrzał w przepaść i na ośnieżony masyw górski i stwierdził, że o wiele prościej będzie kupić nowy samolot.

Ja się na to nie zgadzałem. To była ekspedycja ratunkowa. Straciliśmy nie tylko wartościowy samolot, który mógł trafić w ręce komunistów. Mieliśmy też do uratowania pilota.

Anders odpowiedział kwaśnym tonem, że w takim razie ostatnie małe zadanie musi wziąć na siebie Szerpa Tenzing.

Pokazałem, w jaki sposób ma trzymać linę ratunkową wokół belki i luzować ją kawałek po kawałku, a potem się obwiązałem. To naprawdę prosty plan, myślałem, wychodząc na dach i pewnie stawiając stopę na szczeblu drabinki. Z takiej wysokości świat wyglądał zupełnie inaczej – był równie piękny, co fascynujący.

Anders podał mi kij do unihokeja i rozpocząłem ostatni etap wyprawy. Problemem była tylko wzmagająca się śnieżycy. Na wysokości ośmiu tysięcy metrów pogoda szybko się zmienia – w jednej chwili, jak przed momentem, świeci słońce, a w następnej rozbrzmiewa ryk burzy śnieżnej. Niestety, nie pomyśleliśmy o wyposażeniu się w gogle, więc musiałem mrużyć oczy, żeby mnie nie oślepiły ostre śnieżne drobiny miotane przez wiatr. Z największą ostrożnością przesuwałem na zmianę rękę i stopę i jednocześnie pilnowałem, żeby lina była odpowiednio napięta.

Zresztą wszystko mogło tak wyglądać także w rzeczywistości. Dziadek w każdym razie zapewniał, że to Szerpa Tenzing, a nie Anglik, przeprowadził decydującą akcję. Przed dwoma laty Tenzing próbował wciągnąć na szczyt innego Anglika, ale facet się poddał. Rok później w końcu mu się udało z innym angielskim kandydatem. Dla Szerpów duże wysokości były czymś naturalnym, dlatego Anglicy zawsze wynajmowali właśnie ich.

Po zejściu ekspedycji z Mount Everestu żaden Szerpa nie miał odwagi zaprotestować, kiedy Anglicy zaczęli się chwalić i udawać, że tak naprawdę to oni są bohaterami. W końcu Szerpowie dostają pieniądze za wciągnięcie ich na górę.

Dokładnie w decydującym momencie pękła pod mną jedna z dachówek i pośród burzy śnieżnej spadła niewielka lawina. Nachyliłem się, żeby przyjąć na siebie uderzenie masy śnieżnej, mocno przywarłem do lodowatej ziemi i czekałem, aż kryzys minie. W tej samej chwili pogoda znów uległa zmianie. Kiedy wstałem i omiotłem spojrzeniem cały Nepal, świeciło słońce.

Wyciągnąłem rękę z kijem do unihokeja, drugą mocno się przytrzymując, i uwolniłem samolot z rynny – opadł i został uratowany.

Z dołu dobiegł czyjś krzyk. To była mama. Pokiwałem jej i pokazałem, że jestem obwiązany liną ratunkową, więc nic mi nie grozi.

I tak się wystraszyła.

A potem wygadała wszystko Harry'emu.

Po jedzeniu dostałem lanie smyczą, ponieważ zrobiłem coś niewiarygodnie głupiego i ryzykowałem, że stanie mi się poważna krzywda albo coś jeszcze gorszego.

Po wszystkim musiałem przez trzy dni siedzieć w domu i nie wolno mi było z nikim się spotykać. Najpierw musiały zaschnąć strupy. Przez tydzień nie mogłem się też pokazywać na kąpielisku.

Oczywiście przez cały tydzień panował upał. Wszyscy inni byli na kąpielisku od rana do wieczora. Trochę trudno było wytłumaczyć Andersowi, dlaczego nie mogę tam przyjeżdżać, ale w końcu wykrztusiłem, że mam zakaz wychodzenia z powodu sprawy Mount Everestu i ekspedycji ratunkowej. Kiedy Anders stwierdził, że to o wiele zbyt surowa kara, prawie się wygadałem.

Mama i młodszy braciszek też spędzali całe dnie na kąpielisku, ale w części damskiej. Mieli przygotowany przez mamę worek z prowiantem. Rankiem wyjeżdżali na rowerach, a wracali dopiero kiedy Harry się budził i chciał jeść. Całymi dniami spał, a po obiedzie jechał pociągiem do Sztokholmu. Grał tam na pianinie w restauracji, a o odpowiedniej godzinie zaczynał występ w nocnym klubie. Kiedy wczesnym rankiem wracał do domu taksówką, czasem się budziłem.

Oczywiście fajnie było mieć spokój od Harry'ego w ciągu dnia, a poobiednie lanie było łagodne, bo nie robiłem nic, co wymagałoby dodatkowych tur. O niczym nie wiedział, bo tylko spał, a mamy przez cały dzień nie było i nawet gdybym zrobił coś niedozwolonego, babcia Christa nigdy w życiu by nie naskarżyła. A więc przez cały tydzień dostawałem tylko miękką stronę szczotki do ubrań, a Harry nawet nie bił szczególnie mocno. Może nie chciał otwierać starych ran.

Przez dwa dni byłem ostatnim Mohikaninem, przemykającym po pogrążonych w ciszy lasach z nadzieją, że spotka innych przyjaźnie nastawionych Indian. Moim obozem jak zwykle była jaskinia i to w niej rozpoczynało się poszukiwanie nieznanego. Miałem łuk z drewna hikorowego, a w moim kołczanie starannie wykonane strzały z grotami z miedzianych płaszczy pocisków. Do tego skórzany strój i prawdziwe mokasyny z Ameryki, choć oczywiście nie nosiłem wodzowskiego pióropusza. Leśni Indianie nie zakładali takich rzeczy, jeśli chcieli się ukryć przed wrogiem. Na prerii, wśród Siuksów i Czejenów było oczywiście zupełnie inaczej – tam widoczność sięgała dziesięciu kilometrów, ale tutaj w lesie miałem na głowie tylko czerwoną opaskę i jedno orle pióro na znak, że jestem wojownikiem.

Po pierwsze, należało niepostrzeżenie obejść fort białych, czyli domek zabaw, i przemknąć w dół wzniesienia kończącego się prawdziwym lasem bambusowym. W lesie trzeba było się poruszać z największą ostrożnością, żeby szelestem nie zdradzić swojej obecności. Dalej rósł las dębowy – tam widoczność była dobra, a ryzyko, że się zostanie odkrytym – duże. Należało przemknąć szybko i niepostrzeżenie, a potem znów się schronić w lesie jodłowym – dało się go przemierzać bezszelestnie, stąpając po dywanie z brązowych igieł. Tam rozpoczynało się również polowanie na jelenie wirginijskie. Trzeba było podejść bardzo blisko przed wypuszczeniem strzały, następnie zarzucić zwierzynę na ramiona, pokonać górę po drugiej stronie jodłowego lasu i przejść całą drogę do domu w jaskini.

Rolę jeleni wirginijskich odgrywały głównie sikorki bogatki. Jeśli strzała dotarła choćby w pobliże przerażonego ptaka, liczyło się to jako trafienie, bo jelenie są znacznie większe.

Podczas ekspedycji drugiego dnia wszystko legło w gruzach. Podkradłem się do młodego kosa, który niedawno wyfrunął z gniazda i chował się przy pniu świerka. Dokładnie celowałem, żeby strzała błyskawicznie utknęła w pniu tuż obok ptaka. Tak blisko, że gdyby to był jelen, z całą pewnością zostałby trafiony w serce.

Już kiedy wypuszczałem strzałę, zrozumiałem, co się stanie. Utknęła w pniu, tak jak

zamierzałem, ale jednocześnie przeszła i przygwoździła biednego, piszczącego kosa.

Kiedy wyciągnąłem strzałę, ptak umarł. Kilka sekund dyszał mi w dłoni, a potem ładne, małe, szare powieki powoli się zamknęły i zupełnie znieruchomiał, ciągle jeszcze ciepły.

Rzeczywistości nie dało się zagłuszyć fantazją. Nie byłem Indianinem polującym na jelenie w Ameryce Północnej, lecz głupio przebranym Erikiem Lauritzenem ze Szwecji, który dla draki zabił młodego kosa.

Zacząłem płakać, ale szybko się opanowałem.

Wciąż trzymając w dłoni ptaka, opadłem na kolana obok pnia. Wiedziałem, że muszę się zastanowić bez strachu i dodatkowego gmatwania całej sprawy. W jodłowym lesie nikt mnie nie widział – od betonowego muru otaczającego całą działkę dzieliło mnie co najmniej pięćdziesiąt metrów. Nawet gdyby ktoś akurat przechodził drogą, niczego by nie zauważył. Wolałem sobie nie wyobrażać, co zrobiłby Harry, gdyby się o tym dowiedział.

Tylko ja jeden na całym świecie wiedziałem, co się stało, więc jeśli nikomu o tym nie powiem, sprawa nigdy nie wyjdzie na jaw. Gdyby ptak był tylko ranny, być może musiałbym go zabrać do weterynarza, a wtedy zostałbym zdemaskowany. Ale było oczywiste, że nie da się go wyleczyć.

Tomahawkiem wykopałem grób w dywanie z igliwia, włożyłem tam kosa i go przykryłem. Nie śpiewałem żadnych pieśni pogrzebowych. Potem szybko poszedłem do najbliższej ogrodowej ścieżki bez skradania się i innych ceregieli, po czym ruszyłem prosto do wielkiego domu. W pokoju zabaw przebrałem się w zwykłe ciuchy. Zakrwawioną strzałę wyczyściłem w pralni sąsiadującej z dawnym pokojem wujka Hansa Olafa. Potem dokładnie po sobie posprzątałem i odłożyłem całe indiańskie wyposażenie na miejsce.

Dopiero wtedy odkryłem dwie sztalugi na drugim końcu pokoju zabaw, koło rzędu zaparkowanych koni na biegunach. To było coś nowego.

W połowie ukończone obrazy przedstawiały babcię i dziadka od strony matki, tak wiernie oddanych, że odpowiedzieliby, gdyby się do nich odezwać. Górne części obrazów, od twarzy aż po fragmenty ramion, wyglądały na ukończone. Poniżej były tylko długie naszkicowane odcinki, które ukazywały, jak będzie wyglądała reszta.

Przez chwilę szukałem babci Christy, w końcu znalazłem ją na leżaku na balkonie sypialni, jak zwykle z książką w ręku. Powiedziała, że prastryj Sverre przygotowuje bożonarodzeniowy prezent. Malował wczesnym rankiem na balkonie pokoju zabaw, bo uważał, że poranne światło właśnie tam jest najlepsze. Resztę dnia spędzał w męskiej części kąpieliska. Dowiedziałem się, że jeśli przyjdę jeszcze raz następnego dnia wcześniej rano, pokaże mi, jak pracuje. Babcia zapewniła, że widok malującego prastryja Sverrego jest magiczny.

To prawda. Naprawdę był magiczny.

Następnego dnia wymknąłem się z łóżka wyjątkowo wcześnie, nie budząc nikogo, wyszedłem na palcach z mieszkania szofera, przemknąłem do wielkiego domu i zastałem prastryja Sverrego przy sztaludze na dużym balkonie. Ucieszył się na mój widok i powiedział, żebył przyniósł sobie krzesło i usiadł, to opowie mi, co robi.

Był akurat trochę podenerwowany. Właśnie malował duży biało-żółto-złoty medal, który miał wisieć tuż pod białym kołnierzem dziadkowego fraka. Prawdziwy medal przymocował sobie w górnym rogu obrazu i kawałek po kawałku prznosił go na płótno. Oznajmił, że właśnie opracował nową sztukę, i wziął do ręki mniejszy pędzel pokryty białą farbą. Ostrożnie podziabiał nim w kilku miejscach niebieskiego pola i nagle medal zaczął świecić w słońcu, jakby zaledwie kilka białych plamek tchnęło w niego nowe życie.

Cofnął się o kilka kroków i zmierzył obraz surowym spojrzeniem. Potem zrobił dziarski sus przed siebie, dołożył trochę białej farby, pokiwał głową i odłożył pędzel, uprzednio

osuszywszy go terpentyną, a przynajmniej czymś o podobnym zapachu.

Poprosiłem, żeby opowiadała, a on chętnie przystał na moją prośbę.

Jego opowieść była zajmująca, ale też trochę niezrozumiała. Zaczął bowiem od stwierdzenia, że jedyne, w czym jest naprawdę dobry, to fałszerstwo. Fałszerstwa dzieliły się na legalne i nielegalne, różnica polegała na sposobie podpisywania obrazów. Gdyby w prawym rogu zapisał pewne konkretne nazwisko zamiast swojego, wszyscy pomyśleliby, że to naprawdę ów bardzo znany malarz uwiecznił babcię i dziadka. Nawet eksperci nie dostrzegliby różnicy. W takim wypadku byłoby to jednak fałszerstwo nielegalne – z nieprawdziwą sygnaturą. Tak oczywiście być nie może. Można po prostu trochę zażartować i podpisać się trochę niewyraźnie, napisać Sverre przez Z i nadal będzie to legalne i prawie uczciwe. Przynajmniej jeśli to potraktować jako żart.

Musiałoby być po mnie widać, że niewiele rozumiem. Prastryj Sverre chyba to zauważył, bo pokręcił głową, zdjął obraz dziadka ze sztalugi i ustawił na niej duży szkicownik. Potem poprosił mnie o przestawienie krzesła w taki sposób, żebym się znalazł naprzeciwko niego.

– Portret – powiedział i jednocześnie zaczął pracę – to trzy rzeczy. Pomyśl sobie, że z tego powstaną wizerunki twarzy babci i dziadka. W tym celu musisz skorzystać z wyobraźni, której masz pod dostatkiem. – O tak! – dodał po krótkiej chwili. – Podejdz tu, popatrz na swój portret i powiedz mi, co widzisz.

Od razu rozpoznałem siebie. To było jak magia, że prastryj Sverre tak szybko naszkicował mój portret. Po chwili zauważyłem, że jestem ubrany w marynarski strój, mam włosy zaczesane na mokro i wyglądam bardzo porządnie, jakbym czekał na wieczerzę wigilijną.

Kiedy to powiedziałem, prastryj wybuchnął śmiechem, poklepał mnie po głowie i wyjaśnił, że to pierwszy rodzaj portretu. Takim chce mnie widzieć otoczenie – na przykład babcia i dziadek.

Wróciłem na krzesło, a kiedy prastryj Sverre znów zaczął rysować, oznajmił, że teraz narysuje mnie takiego, jakim sam chcę siebie widzieć.

Tym razem również poszło szybko. Na rysunku wyglądałem na trochę starszego i miałem orle pióro na znak, że jestem wojownikiem. Mogłem tylko zacząć się śmiać i bić brawo.

Trzeci portret zajął znacznie więcej czasu. Prastryj chciał pokazać, jak on by mnie widział, gdyby mógł decydować.

To mnie najbardziej zaskoczyło. Na rysunku najlepiej było widać moje oczy, większe niż w rzeczywistości i chyba smutne, a w każdym razie bardzo poważne. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Uważałem, że na pierwszych dwóch rysunkach jestem bardziej podobny do siebie.

Prastryj zapytał, czy rozumiem, a ja najwyraźniej trochę kluczyłem, próbując sklecić odpowiedź.

Poprosił mnie, żebym jeszcze raz spojrział na portret dziadka i postawił go z powrotem na sztaludze. Miałem wziąć pod uwagę, że dziadek nie zna się na sztuce. Babcia też prawie w ogóle, chociaż ma lepszy gust. Ale właśnie tak dziadek chciał się widzieć. Po pierwsze, było absolutnie konieczne, żeby dało się go rozpoznać – to oczywiście nie stanowiło problemu, bo obraz wyglądał prawie jak kolorowa fotografia. Poza tym, nawet jeśli ktoś nie znał dziadka, musiał dostrzec, że to silny człowiek, który wiele w życiu osiągnął. Nawet jeśli oglądający jest półgłówkiem, medale i frak załatwią sprawę.

Portrety babci i dziadka miały wisieć w dużej jadalni. Sam do tego doszedłem i uznałem, że tak będzie o wiele lepiej. Do tej pory wisieli tam Lauritz – dziadek Eilerta i Petera – oraz ich babcia Ingeborg. Nie miałem okazji ich poznać, ale słyszałem o nich wiele historii. Uważałem jednak, że wisieli zbyt daleko od siebie po obu stronach wysokiego czarnego kredensu. Teraz będą mogli wisieć razem po jednej stronie. A dziadek i babcia będą razem po drugiej.

Przynajmniej ja tak to sobie wyobraziłem i powiedziałem o tym prastryjowi Sverremu. Odparł, że zrozumiałem wszystko bardzo dobrze i że być może mamy w rodzinie jeszcze jeden talent. Poza tym tylko wujek Hans Olaf rozumiał sztukę. Wszyscy inni mężczyźni z rodziny rodzili się z suwakiem logarytmicznym w mózgu.

Szukałem odpowiednich słów, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nagle jednak zauważyłem coś na obrazie. Na lewej klapie dziadkowego fraka wisały dwa medale: jeden duży i jeden mniejszy – czarny ze srebrnymi krawędziami. Nie zostały jeszcze dokończony i dlatego nie zauważyłem ich od razu. Były to jednak dokładnie takie same medale jak te, które w Boże Narodzenie napływały nam biedy. Nikt o tym nie mówił, ale wszyscy pamiętali.

Ta myśl krążyła mi po głowie, ale mimo to nie mogłem się powstrzymać i zapytałem. Dlaczego medale wujka Haralda musiały być tajne, skoro dziadek miał takie same i chciał je pokazać na swoim portrecie?

Prastryj Sverre natychmiast się zmartwił i z jego twarzy zniknął uśmiech.

Zanim odpowiedział, przez chwilę patrzył ponuro w podłogę. W końcu wziął pędzel i wskazał biało-niebieski order w kształcie gwiazdy, wiszący na szyi dziadka. Podał jakąś skomplikowaną nazwę, której nie pamiętam, i zaraz dodał, że mówiło się na to „Błękitny Max” i że było to najbardziej prestiżowe odznaczenie w Niemczech. Tych dawnych, jeszcze zanim nastały nowe Niemcy. To samo tyczy się tego drugiego – dodał prastryj i ponownie wskazał pędzlem. Żelazny Krzyż I klasy. Takie odznaczenia stanowiły powód do dumy. Z medalami wujka Haralda było odwrotnie.

Zakończył stwierdzeniem, że musi pracować i nie ma czasu na dalsze rozmowy na ten temat.

Nic z tego nie rozumiałem. Ukłoniłem się prastryjowi Sverremu, odstawiłem krzesło na miejsce i odszedłem po cichu, kiedy brał do ręki paletę i pędzel. Dorośli mają tak wiele tajemnic, pomyślałem. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek się wygłupi.

Anders i ja siedzieliśmy po turecku na samym szczycie porośniętego trawą dachu jaskini i bacznie obserwowaliśmy północnoamerykański krajobraz, bo w każdej chwili mogła się pojawić blada twarz, która będzie chciała odebrać nam naszą ziemię.

To był ostatni dzień mojego zakazu kąpieli, ale z powodu kiepskiej pogody Anders przyszedł do mnie i chciał być Indianinem. Skórzane ubrania, odziedziczone po wujkach, naprawdę pozwalały się tak poczuć. Nikt inny w Saltsjöbaden nie miał tak dobrego indiańskiego stroju. Ponieważ akurat nie było wojny, mieliśmy na głowach wysokie wodzowskie pióropusze. Rozmawialiśmy o nieugiętym białym człowieku, o przelewających się masach ludzkich, niepoliczalnych jak gwiazdy, przybyłych, żeby ukraść jeszcze więcej naszej ziemi i zabijać bizona – nie dla mięsa czy skór, ale dla przyjemności. Żelaznym koniem, który sunął przez naszą ziemię niczym ogromny wąż, mogli przewozić wszystko, co potrzebne do mordowania nas. Jedną z dawnych legend naszego ludu mówiła, że pewnego dnia przybędzie wąż – tak wielki, że będzie mógł owinać się wokół całej ziemi – i że właśnie on ściągnie na nas zagładę i odeśle nas wszystkich do królestwa przodków, w którym panuje Wielki Duch Manitou i wszelkie wojny są zakazane.

Zgodziliśmy się, że żelazny koń musi być właśnie tym wężem. Oślepiającym wężem z błyszczących torów, rozciągających się od końca do końca. Żelazny koń był najgorszym zagrożeniem ze strony białego człowieka. Najrozsądniejszym sposobem obrony było zniszczenie torów w tyłu miejscach, w ilu tylko się da.

Na początku pomyślałem, że to fantazja wewnątrz fantazji, którą już snuliśmy. Ale potem Anders zobaczył to samo co ja. Daleko w dole, na początku jodłowego lasu, niedaleko ogrodzenia, skradały się dwie blade twarze. Byli więksi niż my, ale wyglądali jak typowi

cowboje z połyskującymi srebrnymi rewolwerami w kaburach i w czarnych cowbojskich kapeluszach. Różnica była taka, że na nogach mieli trampki.

Przez chwilę siedzieliśmy spokojnie i obserwowaliśmy wroga. Anders powiedział, że to może być dobry dzień na śmierć.

Więcej nie trzeba było mówić. Zdjęliśmy wodzowskie pióropusze i zastąpiliśmy je pojedynczymi orlimi piórami. Zwróciliśmy twarze w kierunku Manitu, namalowaliśmy na twarzach barwy wojenne i zaczęliśmy się zbroić przed nadchodzącą walką na śmierć i życie. Łuki się nie nadawały, poza tym były zbyt niebezpieczne. Do walki wręcz odpowiednie były maczugi i tomahawki.

Mieliśmy wyraźną przewagę taktyczną. Widzieliśmy wroga, ale wróg nie widział nas. Zaczęliśmy się skradać w dół zbocza, licząc na to, że spotkamy blade twarze w miejscu, w którym las jodłowy przechodzi w niewielką łąkę. Leżał tam duży blok skalny i zamierzaliśmy się za nim schować i zorganizować zasadzkę.

Najważniejszy był element zaskoczenia. Musieliśmy sprawić, żeby dzielił nas od nich jak najkrótszy odcinek, żeby w czasie ataku nie zdążyli dobyć rewolwerów i oddać tak wielu strzałów, aby krzyknąć, że jesteśmy martwi.

W samą porę stanęliśmy za skałą i usłyszeliśmy ich kroki – biali ludzie nie potrafili się poruszać pod gołym niebem tak cicho jak my w mokasynach.

Podekscytowani słuchaliśmy w napięciu ich zbliżających się kroków, kiedy wyszli z jodłowego lasu. Serce biło mi tak mocno, że czułem to w całym ciele.

Kiedy nawiązaliśmy kontakt wzrokowy z wrogiem, odległość między nim a nami wynosiła zaledwie trzy metry. Tamci nie mieli szans na wyciągnięcie broni i się przestraszyli, kiedy wydaliśmy okrzyk bojowy i ruszyliśmy do ataku z tomahawkami.

Trafiłem swojego cowboja prosto w twarz, a kiedy poleciał do tyłu, zobaczyłem, jaki jest wielki, i dotarło do mnie, że gdybym się zawahał, zatłukłby mnie na śmierć. Zadałem mu kolejny cios i kolejny, aż się rozplakał i zaczął mnie błagać o litość. Anders nie miał tyle szczęścia ze swoim cowbojem – przegrywał pojedynek. Mój tomahawk przemówił. Zaatakowałem jak oszalały, tłukłem i tłukłem tomahawkami, aż poczerwieniał od krwi.

Wtedy zdarzyło się coś, czego nie pamiętam. To było jak dziwny urywek filmu.

Anders płakał, kiedy mnie odciągał od pokonanego wroga. Obaj wrogowie też płakali, zostali kompletnie rozgromieni. Kiedy wydałem okrzyk bojowy i chciałem oskalpować blade twarze, Anders mnie dzielił. Niezbyt mocno, ale tak, żebym otrzeźwiał. Podziałało.

Rzeczywistość wróciła.

W rzeczywistości dwaj zakrwawieni dwunastolatki leżeli na trawie i płakali, poskręceni z bólu. Nigdzie w pobliżu nie było żadnych leczniczych ziół.

Pomogliśmy im dojść do wielkiego domu. Musiało to dziwnie wyglądać. Dwaj mali Indianie w barwach wojennych, wykonanych niepotrzebną szminką, którą dostałem od mamy, mokrzy od łez i ciągnący dwóch dużych cowbojów, tak samo zapłakanych i usmarkanych.

Oczywiście znowu wybuchł skandal.

Służba pomogła z grubsza zmyć krew z cowbojów, a babcia załatwiła limuzynę, która odwoziła ich na oddział ratunkowy w Badhotellet, bo trzeba ich było pozszywać tu i tam. Ich rodzice zadzwonili z awanturą i zgłosili sprawę na policję, a jedyny funkcjonariusz w Saltsjöbaden przyszedł późnym popołudniem, żeby, jak się wyraził, trochę się rozmówić z Indianami.

Powiedział, że cowboje mieszkają w Neglinge. To było trochę dziwne. Chodziliśmy tam tylko na popołudniowe seanse w kinie, nikogo tam nie znaliśmy. Można się było zastanawiać, co chłopaki z Neglinge miały do roboty na Strandpromenaden. Okazało się, że jeden z nich

niedawno przejeżdżał tędy na rowerze, zobaczył skradających się Indian i wpadł na niewinny pomysł rozpętania wojny z Indianami, a dalszy ciąg już znaleźliśmy. Ponieważ ci z Neglinge weszli na prywatny teren z zamiarem rozpętania wojny, cała sytuacja była w pewnym sensie ich winą. Anders i ja nie mieliśmy się czego obawiać ze strony policji. O ile w ogóle o tym myśleliśmy.

Policjant mówił coś żartobliwie o tym, że pistolety na kapiszony raczej nie są skuteczne w starciu z drewnianymi tomahawkami. Broniliśmy się, że przypuściliśmy atak błyskawiczny, żeby żaden z neglingowców nie zdążył oddać choćby jednego strzału. Gdyby strzelili, wystarczył okrzyk, że jesteśmy martwi, i już by wygrali.

Policjant wyraźnie nie uważał, że taka odpowiedź się liczy.

Babcia zaproponowała, że opłaci koszty pobytu w szpitalu tych chłopców, ale policjant zbył to uwagą, że w niczym nie zawiniliśmy. Zasalutował i poszedł.

Anders mógł w końcu wrócić na rowerze do domu. Umówiliśmy się na kąpielisku następnego dnia. Z wyraźną ulgą wskoczył na swój nowy rower z wyścigowym siodełkiem w kształcie banana i odjechał.

Babcia chciała porozmawiać ze mną chwilę na osobności. Wyszliśmy na jej balkon, podano jej kieliszek białego wina, ja dostałem domowej roboty lemoniadę.

Wyglądała na zamyśloną. Ja nie miałem nic do powiedzenia. Zdawało mi się, że nie do końca rozumiem, o co chodzi. Bawiliśmy się w Indian i kowbojów, jak wszyscy. Tyle że może polało się trochę krwi. I przyjechała policja.

Babcia nie wyglądała jednak na złą.

Zacząła mówić, że przez całe życie była żoną wojaka. Nigdy jednak nie był brutalny w cywilu. To było coś, o czym musiałem pomyśleć. Na wojnie obowiązywała przemoc – tak już było. Podobnie podczas rewolucji. Ale nie w czasie pokoju, wśród bawiących się dzieci.

Nadal nie miałem nic do powiedzenia. Zastanawiałem się głównie nad tym, że miły dziadek był wojakiem. Nigdy bym nie przypuszczał, ale przynajmniej kilka kawałków układanki trafiło na swoje miejsce, kiedy zacząłem myśleć o aluzjach prastryja Sverrego na temat dziadkowych medali. Z drugiej strony, dziadek był tak stary – nie mogłem sobie wyobrazić, kiedy miałby brać udział w wojnie.

Babcia kontynuowała wywód o tym, że muszę się zastanowić, w jaki sposób utrzymywać swój gniew w środku. Niedobrze, kiedy dzieci się biją, choć nie było to aż tak niebezpieczne, zwłaszcza jeśli dzieci ze Strandpromenaden biły te z Neglinge. Świat był niesprawiedliwy i pewnie to zrozumieć, kiedy dorosnę.

Wówczas przemoc tego rodzaju będzie miała poważne konsekwencje, zupełnie inne od wizyty przymilnego policjanta, który słysząc, że ofiary pobicia były same sobie winne, udaje, że w to wierzy.

Poprosiła, żebym obiecał, iż już nigdy więcej nie pobiję innych dzieci.

Oczywiście obiecałem.

Przez chwilę milczała, a potem zaczęła mówić rzeczy, których nie pojmowałem. Oznajmiła, że mnie rozumie i wie, że Harry ma swoje za uszami, że to nieszczęście dla nas wszystkich, ale sprawa nie może się wydać. Mówiła, że muszę się nauczyć wytrzymywać i zaciskać pięści w kieszeni. Potem podeszła do półki i wyjęła książkę o chłopcu, który wyrósł na mężczyznę w Sparcie w starożytnej Grecji.

Zniósł znacznie więcej niż ja. Ale kiedy dorósł, został wielkim przywódcą, zupełnie nieskalany, a może nawet wzmocniony tym wszystkim, co przeżył jako dziecko.

Tego popołudnia spanikowany przeczytałem chyba pół książki, czekając, aż Harry się obudzi, a mama wróci z kąpieliska.

Nie chodziło tylko o to, że się bałem bólu. Ból mijał. Kiedy jednak Harry się dowie, że

wywołałem tak duży skandal, iż policjant z Saltsjöbaden przyszedł w odwiedziny, uzna to za najgorsze, co zrobiłem. A ja musiałem zdążyć zdobyć złotą odznakę w pływaniu, zanim nadejdzie czas wyjazdu do Sandhamn. Jeszcze jeden tydzień zakazu pływania i nie dam rady – zbieranie odznak już się rozpoczęło, Anders próbował zdobyć srebrną.

Mama dowiedziała się wszystkiego od służącej Torunn, kiedy razem z moim młodszym bratem przysłała do domu przygotować obiad dla Harry'ego. Babcia nigdy by nie wygadała. Mama jednak jak zwykle wygadała wszystko Harry'emu.

Na obiad przyrządziła wieloryba po marynarsku – typowo norweskie danie. Tyle że z mrożonego mięsa firmy Frionor – to było coś nowego. Właśnie dostaliśmy zamrażarkę – prawie taką samą, jaką miała mama Johana.

Nie miałem nic przeciwko mięsu z wieloryba, jadłem je już wcześniej w Norwegii. Jednak zbytnio nie dopisywał mi apetyt ze strachu przed poobiednim laniem. Wiedziałem, że łaski nie będzie. Najgorsze, co można zrobić, to wywołać skandal.

Kiedy skończyliśmy jeść i pomogłem mamie pozbierać ze stołu, ona zaczęła zmywać, mój młodszy brat włączył radiowe słuchowisko *Kalle Stropp och Grodan Boll* o pasikoniku i żabie, a Harry i ja jak zwykle poszliśmy do mojego pokoju. Harry jak zwykle zamknął drzwi i usiadł na moim łóżku.

Nie wybrał jednak narzędzia – szczotki do ubrań, łyżki do butów czy smyczy dla psa. Wyglądał na ucieszonego. To było okropne. Kiedy tak wyglądał, bywało gorzej niż zwykle.

Zapytał, czy to prawda, że stłukłem dwóch dwunastolatków tak mocno, że musieli jechać do szpitala na szycie.

Nie mogłem zaprzeczyć, bo tak przecież było. Zaprzeczając, tylko pogorszyłbym sprawę. – No to tyle na dzisiaj, szufla – powiedział i podał mi rękę.

Domyśliłem się, że szufla to ręka. Ale i tak nie rozumiałem, o co mu chodzi. Zawsze na koniec podawaliśmy sobie ręce i udawaliśmy, że znów jesteśmy przyjaciółmi, ale nigdy na początku.

Tym razem jednak wszystko nagle dobiegło końca. Wyszliśmy razem do kuchni, a Harry poszedł dalej na piętro, żeby się przebrać w smoking. Właśnie zostałem ulaskawiony.

Kiedy pomagałem mamie wycierać naczynia, chodziło mi to po głowie. Myślałem, że nigdy nie zapomnę, jak Harry powiedział „szufla”, kiedy mnie ulaskawiał. A przecież zasłużyłem na lanie bardziej niż kiedykolwiek. Dla Harry'ego było jednak odwrotnie. Lubił rzeczy, których inni nie lubili. Nie pojmowałem tego.

Kąpielisko dla mężczyzn było jak duży drewniany zamek. Płaciło się dwadzieścia pięć öre, przechodziło przez czarną bramkę obrotową i schodziło do samego basenu, który otwierał się jak arena w kształcie podkowy. Na wysuniętych platformach stały ławki dla widzów, a w prawym rogu wznosiła się przerażająco wysoka wieża do skoków. Najwyższa trampolina była na wysokości jedenastu metrów. Z dołu nie wyglądało to szczególnie niebezpiecznie, ale kiedy się stało na górze, było zupełnie inaczej. Większość miała zawroty głowy, schodziła i nigdy więcej nie wracała na górę. Założyłem się z Anderssem, że stamtąd skoczę przed końcem lata. Prawie tego żałowałem, ale Anders zawsze miał pieniądze. Różnica między nami, gdy chodziło o sprawy materialne, nie polegała na pieniądzu – w Saltsjöbaden wszyscy byli tacy sami. Jednak niektórzy rodzice uważali, że dzieci powinny zasłużyć na kieszonkowe, załatwiając różne sprawy i pomagając w domu. Ale nie było to takie łatwe, kiedy się miało służbę, która robiła wszystkie tego typu rzeczy. Czerwoni jakimś sposobem odebrali służących większości ludzi. Jak dokładnie im się to udało, trudno było stwierdzić, ale Johan i Anders nie mieli służby i zawsze zrzucali winę na czerwonych.

Inni rodzice dawali swoim dzieciom tygodniówkę. To było coś w rodzaju zapłaty za bycie

dzieckiem, łatwo zarobione pieniądze.

W swojej głupocie założyłem się z Andersem o całą dychę. Wiedziałem, że nigdy tyle nie zarobię w domu, w którym dostawałem dwadzieścia pięć öre za pomoc przy zmywaniu. Dokładnie tyle kosztowało wejście na kąpielisko.

Anders jeszcze nie przyszedł. Pobiegłem na pomost, na którym stali instruktorzy pływania, i zgłosiłem się do próby zdobycia odznaki. Wpisali moje imię do segregatora i surowo mnie upomnieli, że powinienem był zacząć wcześniej, a teraz jestem już w tyle za całą resztą. Zaproponowałem, że mogę robić wiele prób jednego dnia, a oni zaczęli się śmiać i powiedzieli, żebym w takim razie zaczął od pływania na osiemset metrów, ale pierwsze dziesięć przeplynał pod wodą – w ten sposób upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Wziąłem ich za słowo, przeplynałem całą pierwszą długość pod wodą, a potem wystarczyło przeplynać jeszcze trzydzieści jeden długości, żeby mieć z głowy nurkowanie i pływanie długodystansowe.

Znudziło mi się zwykłe leżenie na wodzie i pływanie tam i z powrotem, więc po jakimś czasie co drugą długość przeplynałem żabką, a co drugą kraulem i przynajmniej szło trochę szybciej. Dobrze wiedziałem, że obaj instruktorzy ukradkiem mnie obserwują – zawsze pływałem szybciej niż inne dzieci.

Po nużących trzydziestu dwóch długościach natychmiast przystąpiłem do najśmieszniejszego ze wszystkich egzaminów, czyli unoszenia się na wodzie. Trzeba było bardzo powoli przeplynać trzy długości na plecach, trzymając ramiona wzdłuż tułowia i jedynie machając rękoma – jak ryba, która używa tylko płetw piersiowych. Jeszcze śmieszniejsze było coś, co nazwano stąpaniem po wodzie. Trzeba było zablokować biodra jak na gimnastyce i po prostu iść przed siebie. Również trzy długości.

Po godzinie dałem za wygraną – za bardzo się ochłodziło i kiedy wyszedłem na słońce, drżałem z zimna, a moje usta były pewnie niebieskie.

Prastryj Sverre i jego ekipa siedzieli zawsze w tym samym miejscu na najwyższym poziomie trybun. Wszyscy mieli brązowy kolor, jakby byli ze skóry. Przynosili ze sobą własne leżaki. Poszedłem tam, żeby się ogrzać i pewnie też pochwalić, że dogoniłem wszystkich innych kandydatów, a już następnego dnia zaliczę pływanie w ubraniu i akcję ratowniczą.

Prastryj Sverre ucieszył się na mój widok, ale natychmiast owinął mnie ręcznikiem i zaczął rozcierać, żeby mnie ogrzać, a jednocześnie przedstawił mnie swoim przyjaciołom ze skórzanej ekipy.

Kiedy się go takim widziało, trudno było uwierzyć, że prastryj Sverre i dziadek są braćmi i równo latkami. Dziadek miał wielki brzuch jak wszyscy inni dziadkowie, prastryj Sverre nie miał nawet stu gramów nadmiarowego tłuszczu, wyglądał wręcz na chudego, a jego kąpielówki były bardzo małe. Był krótko ostrzyżony i starannie ogolony. Kilku jego przyjaciół wyglądało podobnie, ale nie wszyscy mieli tyle samo lat.

Siedziałem tam przez chwilę i, choć na początku szczekałem zębami, próbowałem zrozumieć, o czym mówią. Nie ulegało wątpliwości, że rozmawiają o sztuce, bo mieli dużo do powiedzenia na temat znanego malarza, dobrego znajomego dziadka, który mieszkał po sąsiedzku z nami w dużym, zaniedbanym domu. Potem przeszli do Francuza, który ponoć nauczył naszego byłego sąsiada tego i owego. Nie mogli się zgodzić, czy to dobrze, czy źle. Coś w tym stylu. Zupełnie nie nadążałem i jak tylko przestałem marznąć, czmychnąłem stamtąd. Nawet tego nie zauważyli, bo prawie zaczęli się kłócić.

Podszedłem do wieży. Wiedziałem, że odwlekanie problemu na nic się nie zda. Następnego dnia nie będzie mniejszy.

Do trzymetrowej trampoliny ustawiła się kolejka. Ludzie skakali z niej jeden za drugim. Nawet pierwszaki – dwaj się zdenerwowali, bo myśleli, że chcą się wepchnąć. Z największą

nonszalancją, na jaką było mnie stać, oznajmiłem, że się mylą, bo mam zamiar wejść wyżej. Natychmiast się przytknęli i mnie przepuścili.

Problem z wieżą w Saltsjöbaden polegał na tym, że nie można było skoczyć z pięciu metrów. Po minięciu trójki wchodziło się na platformę, która wyglądała jak mały balkon. Stamtąd do wody było osiem metrów – nigdy wcześniej nie odważyłem się wejść tak wysoko.

Z trzech metrów skakałem już w pierwszej klasie. Pięciometrowe wieże były na większości odkrytych basenów, więc i tę wysokość też zaliczałem od czasu do czasu, kiedy byliśmy u przyjaciół albo znajomych mamy. Ale osiem to było jak trzymetrowa wieża postawiona na pięciometrowej.

Kiedy wszedłem na mały balkon, natychmiast pożałowałem. Wydawało się znacznie wyżej, niż myślałem.

Ale było już za późno, żeby zmienić zdanie.

Dwaj mali chłopcy, obok których się przepchnąłem, właśnie skoczyli razem, piszcząc jak dziewczyny. Kiedy płynęli w stronę pomostu i podnieśli wzrok na kolegów, jeden z nich spostrzegł mnie na górze, wskazał palcem i zaczął wymachiwać rękami.

Zyskałem publiczność. Dwaj instruktorzy pływania też mnie zobaczyli. Zacząłem sobie wmawiać, że to potrwa tylko sekundę dłużej niż skok z trójki. Zdałem sobie sprawę, że nie ma już odwrotu, wziąłem głęboki oddech i rzuciłem się w dół.

Pierwsza sekunda – wyzwalająca radość.

Druga sekunda – panika, kiedy poczułem, że zaraz źle wyląduję i nie mogę nic na to poradzić.

Dość mocno mnie przekreśliło, poczułem uderzenie wody na łydkach i chwilę później byłem do góry nogami w wodzie.

Kiedy płynąłem w stronę pomostu, bolały mnie obie łydki i kręgosłup. Wstydzilem się swojego nieporadnego pokazu, ale jednocześnie czułem lekką dumę, że mimo wszystko się odważyłem, nawet jeśli w tamtej chwili nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek będę chciał to powtórzyć.

Co gorsza, zakład z Andersem nie dotyczył ośmiometrowej trampoliny. Jedenaście metrów oznaczało jeszcze większą wysokość i większe ryzyko zrobienia sobie krzywdy. Znałem historie o ludziach, którzy spadali na brzuch z takiej wysokości i przełamywali się na pół, tak że wnętrzności wypływały na wierzch.

Następnego dnia przyszedłem do instruktorów w ubraniu. Żeby egzamin został zaliczony, należało mieć długie spodnie i długie rękawy. Jeden z instruktorów natychmiast odciągnął mnie na bok i powiedział, że chciałby ze mną porozmawiać o dwóch rzeczach.

Po pierwsze o grupie miłośników słońca, którzy siedzieli na górze, zbyt blisko przebieralni. Powiniennem trzymać się od nich z daleka.

Nie wyjaśnił dlaczego, a ja nie zrozumiałem, o co chodzi. Domyślałem się jednak, że nie będzie to zbyt mądre, jeśli powiem, że jeden z facetów na górze jest moim prastryjem.

Druga sprawa była lżejszego kalibru. Chodziło o moją woltę z ośmiu metrów poprzedniego dnia. Błąd, który popełniłem, był łatwy do naprawienia. Skierowałem się ukośnie ku dołowi, tak jak na mniejszych wysokościach. Kiedy się odbijam, nie powinienem celować w dół, lecz przed siebie. A gdybym kiedyś próbował z większej wysokości, powinienem celować ukośnie ku górze. Obiecał, że mi to pokaże tego samego dnia, po egzaminach.

W kiepskim nastroju zacząłem pokonywać czterystumetrowy odcinek w ubraniu – szesnaście nudnych długości. Nie mogłem przestać myśleć o wysokości.

Kiedy skończyłem, było mi zimno, ale mimo to poprosiłem o możliwość zdawania egzaminu ratowniczego od razu, bo do niego też należało przystąpić w ubraniu. Potem długo

siedziałem w słońcu, żeby przestać szczekać zębami. Na początku lata woda rzadko miała więcej niż szesnaście stopni.

Anders przyszedł z dwoma kolegami, którzy także nigdzie nie wyjechali. Kiedy instruktorzy zabrali korkowe liny oddzielające teren egzaminu, zaczęliśmy grać w wodnego berka. Łatwiej było znieść chłód, kiedy człowiek wciąż był w ruchu. Jak tylko spostrzegłem, że instruktor się do mnie zbliża, zanurkowałem i zniknąłem.

W końcu oczywiście mnie dorwał i powiedział, że już czas. Prawdopodobnie widział moje wahanie. Przez chwilę się zastanawiał, a potem oznajmił, że zrobimy to razem. To znaczy, nie jednocześnie – on pójdzie ze mną na górę i skoczy pierwszy, kiedy już wszystko dokładnie omówimy.

Nie dało się odmówić.

Chwilę później byliśmy razem tam na górze. Nagle instruktor stanął plecami do wody, tak że jego pięty wystawały poza krawędź, lekko się roześmiał i powiedział, że to jest pozycja wyjściowa do delfina, ale dziś przećwiczymy tylko zwykły skok na główkę.

Chwycił mnie za ramię, pchnął do krawędzi i kazał spojrzeć w dół.

Kiedy go posłuchałem, przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz.

Instruktor zaczął tłumaczyć, że właśnie tak nie należy robić. Powiniennem patrzeć na Badhotellet, a nie w dół. Wtedy wszystko się uda. Mam popatrzeć, jak on to robi, a potem powtórzyć. Proste jak drut.

Ustawił się w pozycji wyjściowej jak zawodowy skoczek, z rękoma wyciągniętymi przed siebie i rozłożonymi szeroko. Jego palce u nóg zagięły się wokół krawędzi trampoliny. Po chwili opuścił ramiona wzdłuż tułowia i rzucił się do przodu, z ramionami wyciągniętymi w bok, a potem ukośnie ku górze. Powstał idealny łuk. Tuż przed upadkiem przyciągnął ramiona do siebie i przeciął powierzchnię wody z ledwo zauważalnym pluskiem.

Publiczność zaczęła bić brawo. Kiedy staliśmy tam na górze i się przygotowywaliśmy, oczywiście pojawili się widzowie. A teraz wszyscy patrzyli na mnie.

Instruktor leżał na wodzie kawałek dalej i dał mi znak, żebym podążył za nim.

Trudno mi sobie przypomnieć, co wtedy czułem. Może było to coś w rodzaju wściekłości. Albo rozpacz, albo po trochu jednego i drugiego. W każdym razie było to silniejsze niż strach.

Zrobiłem to co on. Zacząłem jak prawdziwy skoczek, wyciągając ramiona prosto przed siebie. Opuściłem je wzdłuż tułowia, zagiąłem palce u nóg na krawędzi trampoliny, nie spojrzałem w dół, tylko utkwilem wzrok w Badhotellet i rzuciłem się do wody.

Przez cały lot czułem czystą radość. A kiedy wypłynąłem na powierzchnię, wszyscy na kąpielisku zaczęli bić brawo.

Po wszystkim instruktor mnie poklepał i powiedział, że powiniennem przez całe lato oddawać dziesięć skoków dziennie, żeby nabrać wprawy. Wtedy być może nadejdzie czas na maksymalną wysokość.

Byłem szczęśliwy, kiedy wracałem na rowerze do domu na wczesną kolację. Harry zawsze jadł wczesne kolacje, bo jego występy w Sztokholmie zaczynały się już o siódmej wieczorem.

Po laniu (łagodnym, włochatą częścią szczotki) nadal byłem szczęśliwy. To poczucie nie opuściło mnie, kiedy pomogłem mamie przy zmywaniu i zarobiłem dwadzieścia pięć öre na bilet wstępu na kąpielisko następnego dnia.

Wieczorem siedzieliśmy razem w dużym pokoju i mieliśmy coś w rodzaju małego przyjęcia, bo była sobota i w radiu leciało *Karusellen* z Lennartem Hylandem. Mama cały wieczór paliła papierosy, aż braciszek zaczął narzekać i udawać, że kaszle, ale ona się tym nie przejęła. Piła wino, a my dostaliśmy po lorandze. Tego wieczoru dużo się śmialiśmy. Wciąż

byłem szczęśliwy i w myślach raz za razem oddawałem idealny skok z ósemki.

Choć szczerze mówiąc, nie był tak do końca idealny. Powierzchnia wody uderzyła mnie w czoło, kiedy ramiona poszły mi w bok. Uczyłem się, jak tego uniknąć – trzeba było pewnie chwycić lewy kciuk, wyciągnąć ramiona przed siebie równolegle do uszu i jakby bokserskim ciosem przeciąć powierzchnię wody. Należy celować w dno, nie wyginać się po wylądowaniu, bo wtedy nieświadomie za wcześnie podwija się nogi i faza lotu wygląda nieładnie.

Wszystkie występy i żarty w *Karusellen* były zabawne, ale ja myślałem tylko o tym, że następnego dnia mam wykonać dziesięć skoków, jeden lepszy od drugiego.

Następnego dnia lało.

Była niedziela, dzień obiadu w wielkiej willi u babci i dziadka, więc trzeba było elegancko się ubrać.

Johan i jego rodzina jeszcze nie wrócili z samochodowego wakacyjnego wypadu. Gdyby nie to, mógłbym do niego podjechać na rowerze, pograć w gry i poczytać *Kaczora Donalda*, który u mnie w domu był zakazany.

Tak więc nie miałem zbyt wiele do roboty. Chyba po raz trzeci przeczytałem od nowa *Ivanhoe*, a potem trochę bez przekonania wziąłem parasol i powlokłem się do babci i dziadka. Zawsze mogłem znaleźć w szafkach z zabawkami coś, czym jeszcze się nie bawiłem. Kolejka elektryczna Meccano też była jakimś pomysłem na zabicie czasu.

W kuchni robota szła pełną parą. Babcia i dwie służące pobrzękiwały garnkami i rondlami, na blacie leżały mięso, warzywa i makrele pełne ikry. Ukłoniłem się i szybko przemknąłem, żeby nikt nie zaczął się ze mną obściskować.

Kiedy przechodziłem obok małej jadalni, zobaczyłem, że drzwi są otwarte, a z dziwnego mahoniowego aparatu pada światło. Wślizgnąłem się tam i zamknąłem za sobą drzwi. To dziwne ustrojstwo zawsze mnie zastanawiało.

Nikt nie mówił, że to zabronione.

Przyjrzałem się czworokątnej mahoniowej skrzynce z pokrętłami po obu stronach. Na jednym z krótszych boków znajdowały się otwory na oczy, jak w lornetce. Światło było włączone, ktoś zapomniał je zgasić. Chwilę stałem przed okularami.

Usiadłem, nachyliłem się i zajrzałem do baśniowego świata.

Zdjęcie nie było szczególnie godne uwagi, choć kolorowe – ludzie w staromodnych ubraniach spacerowali ulicą z pięknymi starymi domami. Kobiety trzymały mężczyzn pod rękę.

Nie chodziło o sam motyw, a o to, że obraz był trójwymiarowy. Można było odnieść wrażenie, że jest się w tym samym świecie, wśród tych ludzi. To było tak rzeczywiste, że prawie widziałem, jak się poruszają, słyszałem obcy język. Nie byli to bowiem Szwedzi ani Norwegowie.

Mniej więcej się orientowałem, co znaczy trójwymiarowość. Johan i jego brat pojechali z mamą do Sztokholmu zobaczyć trójwymiarowy film. Wtedy jednak widzowie dostawali okulary z jednym szkłem z czerwonej folii, a drugim z zielonej. Tu najwyraźniej nie było to potrzebne.

Ostrożnie zacząłem kręcić dwoma bocznymi pokrętłami, żeby zobaczyć, co się stanie. „Flapp!” – rozbrzmiał dźwięk z wnętrza maszyny i moim oczom ukazało się kolejne zdjęcie. Przedstawiało duży kościół z podwójną wieżą i spacerujących ludzi – także i tym razem odnosiło się wrażenie bycia wśród nich. Następny był plac z długimi rzędami kwietników, a na kolejnym zdjęciu widniał most nad niebieską rzeką, z pomnikami na obu przyczółkach i jednakowymi ludźmi w takich samych, dziwnych, eleganckich strojach.

Miałem wrażenie, że zdjęcia nigdy się nie skończą. Pod każdym z nich był krótki tekst, którego nie potrafiłem przeczytać. Jedno słowo – „Drezno” – pojawiało się za każdym razem.

Nie miałem pojęcia, co to znaczy.

Chyba dopiero po godzinie wróciłem do pierwszego zdjęcia i poczułem się jak przebudzony ze snu. Nagle zapragnąłem się dowiedzieć, jak działają te czary.

Najwyraźniej był tylko jeden sposób na dostanie się do maszyny, bo po bokach nie znalazłem żadnych szczelin. Ostrożnie uniosłem pokrywę. Siedziała luźno, nic się nie zniszczyło, a więc należało ją otwierać w taki sposób. Odłożyłem ją na mały stolik, stanąłem na palcach i zajrzałem do tajemniczego wnętrza.

Przy boku z otworami na oczy znajdowały się dwie świetlówki. Pośrodku było koło ze zdjęciami umieszczonymi parami, a mosiężna poprzeczka zatrzymywała te, które miały być kolejną parą po przekręceniu pokrętki. Tak to przynajmniej wyglądało. Przekręciłem, machina znów zrobiła „flapp” i para zdjęć się zmieniła. Tak naprawdę były to zwykłe widokówki. Widziane z góry nie miały ani śladu trzeciego wymiaru. Czyżby sztuczka polegała na tym, że były ustawione parami?

Zgadza się, tak było. Jeśli się patrzyło przez okular jednym i drugim okiem, obraz był nie tylko powiększony, ale i trójwymiarowy. Po zamknięciu jednego oka wszystko natychmiast się spłaszczało.

Kiedy położyłem pokrywę na miejsce, zacząłem od nowa i dotarłem aż do zdjęcia, które rozpoczynało pokaz. Za drugim razem musiało to również potrwać ponad godzinę, ale w zaczarowanym świetle czas przestawał istnieć.

Zgasilem lampy, wsunąłem maszynę w kąt, w którym zawsze stała, dosunąłem krzesło z powrotem do małego stolika w jadalni i poszedłem poszukać babci – miałem mnóstwo pytań.

Znalazłem ją w wykuszu, w którym zwykle czytała chwilę przed obiadem, zanim dziadek wrócił z biura w centrum Sztokholmu.

Moim pierwszym pytaniem było, co znaczy „Drezno”. W pierwszej chwili wyglądała na zdziwioną, ale szybko zrozumiała, o co mi chodzi, i ani trochę się nie zdenerwowała. Spokojnie odłożyła książkę i poprosiła, żebym usiadł. Zaczęła opowiadać w ten swój piękny, powolny, baśniowy sposób.

Było sobie raz – celowo tak zaczęła – miasto o nazwie Drezno, w kraju zwanym Saksonią, przy granicy z Czechosłowacją.

Było to jedno z najpiękniejszych miast na całym świecie i mieszkali tam bardzo spokojni ludzie. Stamtąd pochodzę i stamtąd pochodziła również moja najlepsza przyjaciółka Ingeborg – ta sama, którą widzisz na obrazie na tamtej ścianie.

Mój ojciec miał dom na brzegu rzeki Łaby, w środku miasta. Żyło nam się bardzo dobrze, również w czasach, w których ludziom było bardzo ciężko. Albowiem tak niesprawiedliwe jest życie. Bo kto ma, temu będzie dodane i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma¹ – jak mówi święte pismo chrześcijan.

Ale dlaczego dziecko miałoby się tym przejmować? W każdym razie nie obchodziło to ani mnie, ani mojego rodzeństwa, a już na pewno nie obchodziło moich rodziców. I myślę, że ty, mój kochany wnuku, również nie zaprzątasz sobie głowy takimi zagadkami życia. Z całą pewnością myślisz o zupełnie innych niesprawiedliwościach. Chyba się domyślam, jak to u ciebie wygląda, i wiem, że trudno ci to znieść.

Jednak człowiek zaczyna rozumieć życiowe niesprawiedliwości dopiero, kiedy dorasta, a wtedy może być już za późno na pójście po rozum do głowy. Tak łatwo i wygodnie jest żyć lepiej od innych, że z równą łatwością zaczynamy oszukiwać samych siebie, tłumacząc sobie, że tak jest sprawiedliwie, że taka jest wola boska albo porządek natury i dlatego na to zasługujemy.

Żadne takie myśli nie przychodziły mi do głowy, kiedy byłam dzieckiem i trzy piętra nad Łabą miałam swój pokój. Mogłam długo siedzieć w oknie i patrzeć na rzekę, most i miasto –

miasto Drezno, które już nie istnieje i które, jak rozumiem, zobaczyłeś na wszystkich tych starych, pięknych zdjęciach w naszym stereotypikonie w małej jadalni.

Latem cała rodzina opuszczała miasto i wyjeżdżała do domku na wsi. Było w nim zbyt zimno, żeby dało się tam mieszkać zimą, bo miał prawie tysiąc lat – przynajmniej jego najstarsze części.

Zbierałam kwiatki na zielonych łąkach, haftowałam je, ściszałam na śmierć w moim zielniku i próbowałam malować. W tamtych czasach właśnie takie rzeczy były odpowiednie dla małych dziewczynek. Nawet dzisiaj, zwłaszcza w partiach prawicowych, są ludzie, którzy w to wierzą.

Drezno jest już tylko snem, ukrytym głęboko w moim sercu. Ale również w sercu dziadka. To tam, w Technische Hochschule, on i jego brat zdawali egzaminy na inżynierów.

Dlatego dziadek i ja trzymamy stereotypikon w małej jadalni – schowany, a jednak nie schowany. Siadamy przy nim czasem i przypominamy sobie, jak pięknie tam było. Ja zajrzałam dzisiaj. Ty też – słyszałam dźwięk zmieniania zdjęć i wiedziałam, na co akurat patrzysz. Teraz już wiesz, z jakiego pięknego miasta pochodzę.

W pierwszej chwili siedziałem jak oniemiały. Moja drobna, kochana babcia pochodziła z baśniowego świata, który oglądałem w kilku rundach na obrazach, czymś w rodzaju kolorowych pocztówek.

Kiedy doszedłem do siebie i chwilę pomyślałem, zapytałem, co miała na myśli, mówiąc, że Drezno już nie istnieje – przecież widziałem te wszystkie zdjęcia, a nie mogły zostać zrobione tak dawno temu.

Początkowo nie odpowiadała. Wydawało mi się, że zaraz wybuchnie płaczem. Potem powiedziała, że Drezno nie istnieje, bo spotkała je zagłada – zostało zbombardowane w czasie wojny, nic w nim nie przetrwało.

Nie wiedziałem, o jakiej wojnie mówi. Ale słyszałem o zagładzie – mama opowiadała czasem przy białym winie o jakimś stroncie i cezie. Miało to związek z bombą atomową. Wszyscy dorośli się jej bali.

Zapytałem, czy Drezno zostało zniszczone przez bombę atomową, a babcia odpowiedziała, że było chyba znacznie gorzej.

To nie brzmiało sensownie. Bomba atomowa była najgorsza ze wszystkiego. Pewnego pięknego dnia cały świat mógł spłonąć w wielkim pożarze, mniej więcej tak, jak uczyli nas na lekcjach religii.

Babcia wyglądała na smutną i chyba nie miała nastroju na opowiadanie kolejnych historii. Mimo to nie mogłem się powstrzymać i zapytałem, co się stało z ich starym domkiem na wsi. Co dziwne, babcia się uśmiechnęła i powiedziała, że ukradli go ci, którzy wygrali wojnę.

– Anglicy? – podesunąłem. To było pierwsze, co mi przyszło do głowy.

Wtedy babcia zaczęła się śmiać i powiedziała, że mimo wszystko nie było aż tak źle. Spojrzała na zegar, wygładziła sukienkę i przypomniała, że wkrótce powinienem iść do swojego pokoju w części dla służby i się przebrać, bo będziemy mieli większy niedzielny obiad z gośćmi.

Tuż przed świętem Midsommar rozpoczął się sezon. Oznaczało to, że dziadek zamknął biuro w Sztokholmie i dał wolne wszystkim pracownikom, maszt „Beduina” został postawiony i statek wypłynął ze stoczni Plyhm, zacumował przy naszym pomoście i czekał na rozpoczęcie załadunku.

Mieliśmy mieszkać w Sandhamn od Midsommar przez cały lipiec i okres regat, aż do końca sierpnia. Sezon bardzo przypominał to, co zwykle określa się mianem wakacji, ale najważniejszy był dzień Midsommar, bo tylko wtedy i w Boże Narodzenie cała rodzina się spotykała.

Załadowanie „Beduina” zajęło pół dnia. Popłynąć miały nie tylko nasze bagaże, ale też skrzynki z winem i zapasy, które przyjechały czerwoną ciężarówką ze sztokholmskiej firmy Arvid Nordquist – mnóstwo żywności, bo było nas sporo.

Dziadek nadzorował załadunek i pilnował, żeby równo rozłożyć ciężar i nie dopuścić do sytuacji, w której wszystko, co ciężkie – na przykład skrzynki z winem i kufer z książkami babci – łąduje w jednym miejscu.

Dziadek miał na sobie granatową żeglarską kurtkę, czapkę z daszkiem, na którym widniał emblemat Szwedzkiego Królewskiego Towarzystwa Żeglarskiego KSSS, buty żeglarskie i białe płócienne spodnie. Widok dziadka w tym stroju zamiast w miejskim garniturze był jak tradycyjna pieśń *Den blomstertid nu kommer* na zakończenie roku szkolnego – oznaczał, że na dobre rozpoczęło się lato. Czapka dziadka nawet górowała nad pieśnią, bo zwiastowała wyjazd do Sandhamn. Harry przyjeżdżał tam tylko na świąteczną sobotę i niedzielę. Później występował w Sztokholmie albo na całe lato wyjeżdżał na tournée, wpadał tylko na dzień lub dwa, błąd jak kreda i śmieszny w swoich za dużych kąpielówkach. Nigdy zresztą nie widziałem, żeby pływał.

W Sandhamn Harry był nieszkodliwy. Kiedy mieszkała tu cała rodzina, było tak ciasno, że nie miał miejsca na wymierzanie poobiednich kar. Jedyny minus stanowiło to, że w czasie wakacji odzwyczajalem się od bólu, więc kiedy lato dobiegało końca i wszystko wracało do normy, razy Harry’ego bolały bardziej niż przedtem.

Kiedy „Beduin” odbił od pomostu, wiała lekka bryza i nie bujało. Dziadek otworzył butelkę szampana i wszyscy usiedli, żeby wznieść toast za pierwszy dzień sezonu. Jak zwykle dostałem tylko pół kieliszka.

Mieliśmy na sobie eleganckie żeglarskie stroje. Wujkowie, którzy przyjechali z Sandhamn pomóc przy wypłynięciu, tak samo jak ja nosili nasz uniform – granatowe długie spodnie, żeglarskie buty i biały pulower z zielonym wycięciem w kształcie litery V i naszym zielono-białym sztandarem na lewej piersi. Mama jak zwykle włożyła długie spodnie, a prastryj Sverre był ubrany po cywilnemu w biały lniany garnitur i słomkowy kapelusz. Mój młodszy brat miał na sobie krótkie spodenki.

Rozwinęliśmy wielki żagiel dopiero po wypłynięciu na otwarte wody. „Beduin” naprawdę się rozpedził na wzmagającym się wietrze, a wtedy mama, babcia i Torunn zeszły do salonu i wzięły ze sobą braciszka. Tylko my, mężczyźni, zostaliśmy na pokładzie, żeby się przygotować do nadchodzącej bitwy.

Hiszpanie, którzy za nami płynęli, byli nieco szybsi, bo ich statki miały lżejsze uzbrojenie i dlatego mniej ważyły. Ich plan był łatwy do rozszyfrowania. Zamierzali płynąć równo z nami po obu stronach i z dwóch stron jednocześnie rozpętać piekło ostrzału.

Był tylko jeden sposób na wyjście cało z tej kabały – odważny i zaskakujący manewr. Z posępną miną patrzyłem na wzburzone morze i próbowałem dokładnie wyliczyć odległość. Otworzyliśmy furty armatnie na sterburcie. Wydałem komendę „na stanowiska”. Hiszpanie najwyraźniej niczego nie podejrzewali.

Dokładnie we właściwym momencie zrobiliśmy ostry zwrot na sterburtę, tak że prawie stanęliśmy w miejscu, i całą szerokością kadłuba napaarliśmy na jednego z hiszpanów – był w potrzasku. Wystrzeliliśmy ze wszystkich dział w maszty, żagle i kadłub wroga. Ich wielki maszt się złamał i zwałił na pokład po bezpośrednim trafieniu, wywołując chaos na pokładzie. Potem wystrzeliliśmy wybuchowe granaty. Ogień wkrótce objął cały statek, a dym sprawił, że drugi hiszpan stracił nas z oczu.

Ale my jeszcze z nimi nie skończyliśmy. HMS „Beduin” znów wkroczył do walki, kiedy wcisnął się wystarczająco głęboko pod płonącego hiszpana. Nadal pod osłoną dymu zawróciliśmy, a żagle wypełnił wiatr.

Kiedy nas zauważono, było już za późno. Działa na dziobie załadowaliśmy kulami połączonymi żelaznymi łańcuchami – kiedy dosięgły napiętych żagli przeciwnika, efekt był druzgocący. W tym momencie bitwa praktycznie dobiegła końca. HMS „Beduin” odniósł jeszcze jedno imponujące zwycięstwo na siedmiu morzach.

Uroczystość z okazji święta Midsommar w Sandhamn jak zwykle więcej zabawy dała dorosłym niż nam, bo polegała głównie na wielogodzinnym siedzeniu i jedzeniu przy długim stole. Trudno było sobie wyobrazić, że człowiek stanie się taki sam na starość. Kuzyn Eilert zasugerował, że takie dłużące się wydarzenia pewnie są ciekawsze, kiedy się pije wódkę i wino – może w tym tkwił sekret.

Po uczcie przyszło pierwsze rozczarowanie. Ciocia Johanne chciała wziąć Eilerta i Henninga ze sobą do Szkocji, gdzie mieli odwiedzić ciocię Rosę i jej rodzinę. Plan, że we trzech naprawimy starą kanadyjkę wujka Hansa Olafa, która schła za drewnutnią, spalił na panewce. Poza tym miałem zostać sam z braciszkiem i wszystkimi dorosłymi. Nie paliłem się do niańczenia go, nawet gdyby mi zapłacili.

Następnym rozczarowaniem było to, że wujek Hans Olaf i Alice koniecznie chcieli zająć moje ulubione miejsce, małą przytulną norkę z dwiema kojami w drewnutni, która tak naprawdę była przeznaczona dla służby. W takim razie Torunn i Signy musiały mieszkać w pokoju księcia Olava, drugim najlepszym miejscu, które zresztą miało własne wyjście. Poza tym nie było tam nic szczególnego, jeśli nie liczyć starego, już nieużywanego klozetu. Czerwoni tego zakazali, więc musieliśmy wybudować suchy wychodek. To akurat było całkiem dobre, przynajmniej dla mnie. Kiedy w Sandhamn był taki tłum, sporo się srało, a ja dostawałem koronę za każdym razem, kiedy ciągnąłem beczki na wózku i zakopywałem gówno w lesie. Tyle samo dostawałem za wypływanie łódką ze śmieciami i zatapianie ich.

Ponieważ jednak dziadek i babcia zawsze zajmowali swój domek, a wujek Carl Lauritz i członkowie jego załogi zawsze zatrzymywali się w Chacie Żeglarza, mama, ja i braciszek musieliśmy mieszkać w dużym domu, a to było najgorsze.

Do tego wszystkiego dochodziło najgorsze z rozczarowań. Musiałem przez dwa tygodnie uczęszczać do szkółki żeglarskiej na Lökholmen. Wszystko było już przygotowane i dziadek sądził, że to będzie miła niespodzianka. W końcu, jak mawiał, w naszej rodzinie wszyscy są żeglarzami. To była oczywiście prawda i nie miałem nic przeciwko spędzaniu czasu na pokładzie „Beduina” albo żeglowaniu z wujkiem Carlem Lauritzem jego łódką.

Jednak perspektywa szkółki żeglarskiej zamiast wakacji nie była ani trochę kusząca. KSSS zawsze miało szkółkę żeglarską na Lökholmen, w odległości krótkiego rejsu łódką od domu, i zawsze uważałem, że jest coś śmiesznego w tych chłopakach z Lidingö i Djursholmu, których zmuszano do bezsensownego wiosłowania na jachtach klasy Optimist tylko po to, żeby się nauczyli robić zwrot na wiatr i z wiatrem. Gdyby to chociaż były łodzie klasy Stjärnbåt, ale na nie byliśmy za mali.

Poza tym wieczorami trzeba było siedzieć przy obozowym ognisku ze śpiewnikiem szkoły ludowej w ręce. KSSS też miało swój śpiewnik, ale mówiło się, że są tam piosenki nieodpowiednie dla dzieci z dobrych rodzin.

Większość z nas, uczestników obozu, pochodziła z dobrych rodzin. Ale nie wszyscy. Byli też nowobogaccy. Ja sam nie miałem pojęcia, kto jest kim. Wszyscy z obozu mówili mniej więcej w taki sam sposób i byli podobnie ubrani. Tylko dorośli dostrzegali różnicę.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do domu na przepustkę, babcia i Alice – narzeczona wujka Hansa Olafa – urządziły mi przesłuchanie. Pytały o nazwiska kolegów z obozu. Ale pamiętałem tylko imiona albo przezwiska, takie jak Tjotte, Peppe, Lucke i tak dalej. Jednak kiedy przyjechałem do domu po raz kolejny, miały już listę nazwisk wyciągniętą z KSSS i zaczęły mi

tłumaczyć, którzy przyjaciele są odpowiedni, a którzy nie. Przede wszystkim należało unikać nowobogackich. Problem z nimi polegał nie na tym, że byli bogaci, lecz że się wzbogacili w niewłaściwy sposób.

Babcia i Alice nie za bardzo potrafiły wyjaśnić, jaki sposób wzbogacenia się jest niewłaściwy. Jednak oczywistym błędem było to, że tylko udawali zainteresowanie żeglarstwem, żeby ich zaliczono do tych dobrych. Tak to przynajmniej rozumiałem.

Skoro tak, to związek między byciem elegancką rodziną a żeglarstwem w naszym przypadku był jak najbardziej jasny. W męskim pokoju w Saltsjöbaden był stół bilardowy zastawiony srebrnymi pucharami, które dziadek, prastryj Sverre i ich brat Lauritz wygrali w dawnych czasach. Ostatnio zaś zaczęło na nim przybywać pucharów zdobytych przez wujka Carla Lauritza.

Szczerze mówiąc, bardziej interesowały mnie piłka nożna i pływanie. Obóz żeglarski na Lökholmen tylko mi się dłużył – łodzie klasy Optimist były jak balie z masztami.

Obóz zakończyły małe regaty, złożone z trzech wyścigów. Nie popisałem się, na metę dotarłem jako czwarty.

To było ostatnie rozczarowanie tego lata, ale nie do końca moje. Przede wszystkim wujek Carl Lauritz uważał, że powinienem być bardziej się wysilić i wygrać.

A przecież sam był dopiero trzeci w regatach Sandhamn i bardziej się tłumaczył niż ja.

Tego lata tak naprawdę cieszyłem się tylko z oka cyklopa. Zauważyłem je w filii domu towarowego NK, otwartej na lato we wsi, i wierciłem babci dziurę w brzuchu, więc już po kilku dniach Torunn przyniosła je do domu.

Dzięki temu otworzył się przede mną zupełnie nowy świat. Za naszym domem i za Skärkarlshamn było równe i fajne piaskowe dno. Kiedy się zanurkowało, przez cały czas można było gołym okiem obserwować małe cienie, które znikwały w różnych stronach. A z okiem cyklopa obraz robił się ostry jak brzytwa. Cienie to były flądry chowające się w piasku – głównie małe, ale trafiały się też duże. Szybko się nauczyłem płynąć pod światło, żeby mój cień ich nie straszył, i potrafiłem podpłynąć tak blisko, że widziałem ich kontury, do połowy zagrzebanych w piasku. Najpierw zauważało się dwoje wystających oczu, a dopiero potem całą rybę.

Z gwoździa i drewnianej laski zrobiłem harpun.

Opracowanie właściwej techniki zajęło mi kilka dni. Ale w sierpniu woda była ciepła i można było w niej długo leżeć. Kiedy w drugim tygodniu złowiłem cztery gładzice wielkości jednego kęsa, dziadek zszedł na pomost, pochwalił zdobycz i skwitował stwierdzeniem, że łowienie mam we krwi.

Wbił nóż Mora z czerwonym drewnianym trzonkiem w pomost i kazał mi oczyścić flądry.

Przystąpiłem do pracy, choć trochę się krępowałem robić to przy dziadku. On oczyszczał jedną flądrę piętnaście sekund – równie szybko co Brown, sprzedawca ryb z naszej wsi.

Należało wziąć do ręki rybę i sprawdzić, po której stronie są brzuch i wnętrzności. Najczęściej były po prawej, ale nie zawsze. Potem obcinało się głowę z drugiej strony, do momentu, aż rozległ się trzask kręgosłupa, następnie chwytano się ją palcami i odrywało, razem z wnętrznościami i żołądkiem.

Do tej chwili nie miałem żadnych problemów, nawet mnie zajmowało to pięć sekund.

Potem trzeba było rzucić flądrę na pomost i odciąć cały wieniec płetw po prawej stronie. Z tym też sobie radziłem, robiłem to w jakieś siedem, osiem sekund.

Wtedy następował trudny moment – należało odwrócić rybę białą stroną do góry i przeciąć drugi wieniec płetw tak, żeby ostrze przeszło przez ości, ale nie przez skórę po brązowej stronie. Na koniec owijało się przecięty wieniec płetw wokół noża i jednym

pociągnięciem zrywało brązową skórę w czerwone cętki.

Flądra z Sandhamn gotowa do wrzucenia na patelnię, piętnaście sekund.

Dziadek mówił, że to właśnie jest moment, w którym ziarno zostaje oddzielone od plew.

Kiedy nie udało mi się z pierwszą rybą, bo w ostatniej chwili przeciąłem za mocno, i nie udało mi się z drugą, bo przeciąłem za słabo i zdjęcie skóry zajęło mi prawie minutę, dziadek przejął nóż.

Momentalnie wykonał pierwsze proste ruchy i powiedział, że teraz będę musiał nie tylko patrzeć, ale i słuchać. Kiedy się cięło z odpowiednią siłą, rozlegał się trzask ości w wieńcu płetw. Trzeba było mieć swoisty słuch muzyczny.

Dwie mewy krążyły już nad nami z zainteresowaniem. Rzuciliśmy rybie łby w obie strony. Ledwo zdążyły uderzyć w wodę, kiedy ptaki zaatakowały i z zadziwiającą szybkością zaczęły je pożerać. Przez chwilę czekały, licząc na więcej, a kolejne mewy i rybitwy nadlatywały z każdej strony.

Polowanie na flądry harpunem było najlepsze, nie tylko dlatego, że nauczyłem się czegoś nowego. Problem z połowem dorszy wędami ręcznymi polegał na tym, że za dobrze brały. Wystarczyło, że powiosłowałem piętnaście minut łódką ratunkową „Beduina” i przycumowałem przy czarno-białej boi, i już mogłem je wyciągać. Dorsze były piękne i przyjemnie pachniały, a kiedy stawiały opór, w głębinach było widać ich srebrzyste połyskiwanie.

Kiedy po raz pierwszy wszedłem do kuchni z dwoma pełnymi wiadrami, Torunn i Signy się ucieszyły i chwaliły mnie jak dorosłego rybaka. Za drugim razem były nieco mniej ucieszone, a za trzecim westchnęły i poprosiły, żebym łowił dorsza na wędy tylko dwa razy w tygodniu, bo w przeciwnym razie utoniemy pod zwałami ryb, bo chociaż nie jest już tak, jak na wojnie, to nadal nie można wyrzucać tego, co się złowiło. Żaden porządny człowiek tak nie robi.

Jasne, ryby i bycie porządnym człowiekiem były ze sobą powiązane, no i oczywiście nie wyrzuca się jedzenia. Ale co dorsz miał wspólnego z wojną, nie wyjaśniły.

Pod koniec sierpnia temperatura wody wzrosła jeszcze bardziej i problem obfitych połowów dorsza rozwiązał się sam. Ławice ryb wypłynęły na głębsze wody i nie mogłem już ich znaleźć.

Wpłynęliśmy do Saltsjöbaden mniej więcej w ten sam sposób, w jaki wcześniej wypłynęliśmy, choć z nieco mniejszym ładunkiem, bo całe wino ze skrzynek się skończyło, tak samo jak zapasy jedzenia. Dawniej zawsze było mi trochę smutno, kiedy wracaliśmy do domu, i myślałem, że lato minęło zbyt szybko. Ale nie tym razem. Teraz miałem na co czekać.

W Saltsjöbaden tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego zawsze następował koniec szkoły żeglarskiej. Zaczynało się od różnych pokazów na kąpielisku dla mężczyzn, a kończyło wielkim przyjęciem i rozdaniem nagród w letniej restauracji tuż przy łaźniach. To było pierwsze wielkie wydarzenie tego roku w Saltsjöbaden, wszyscy mieli się zjawić, trybuny były pełne.

Nadal nie wykonałem skoku z jedenastu metrów. Wprawdzie w ostatnim tygodniu przed końcem sezonu zacząłem się czuć dosyć pewnie, skacząc z ośmiu metrów, ale z jakichś powodów wciąż jeszcze nie skoczyłem z największej wysokości – może nie miałem odwagi, a może ostatniego dnia nie było tam Andersa, który przecież musiał to zobaczyć na własne oczy, jeśli miał mi zapłacić dziesięć koron.

Wpadłem na pewien pomysł. Obiecałem instruktorom, że skoczę z jedenastu metrów podczas pokazu. Wówczas nie dało się stchórzyć. Mężczyzna dotrzymuje danego słowa, to sprawa honoru. To było znacznie ważniejsze niż dycha, o którą się założyłem. Nawet jeśli długi hazardowe też w pewnym sensie były sprawą honoru.

Plan się powiódł. Wygrałem zakład.

Niewiele mogę powiedzieć o semestrze zimowym w klasie 4A z tego prostego powodu,

że wszystko jest drobne i nieważne w porównaniu z bożonarodzeniowym skandalem. Jesienią wszystko było jak zwykle, może poza tym, że znudziły mnie zabawy w kowbojów i nie miało znaczenia, jak długo Johan i Anders marudzili, że chcą pożyczyć nasze indiańskie ubrania. Po prostu nie chciałem już być Indianinem. Kowboj był jeszcze bardziej dziecinny, choć taki sprzęt też mieliśmy. Żaden rozsądny człowiek nie chce być kowbojem i udawać, że zabija Indian za pomocą pistoletu kapiszonowego z napisem „Hopalong Cassidy”. Nie być kowbojem to sprawa honoru.

Nie żebym chciał zrzucić z siebie winę, ale za to, co się wydarzyło w Boże Narodzenie, naprawdę nie ponosiłem odpowiedzialności.

Wigilia zaczęła się jak zawsze. Choć było nas sporo, bo ciocia Rosa, wujek Andrew i Peter też nam towarzyszyli. Jak wyjaśnili, pierwotnie chcieli spędzić święta w Szkocji, ale z rozkoszą przyjechali i w tym roku.

Zebrała się więc cała rodzina oprócz nieżyjących i wujka Haralda, który był uznawany za zmarłego. Może zresztą naprawdę nie żył, kto to mógł wiedzieć.

Nowością była też obecność Harry'ego – nie przypomniałem sobie, aby wcześniej przyjeżdżał. Pewnie zwykle spędzał święta w Hammarbyhöjden, chociaż, szczerze mówiąc, nie wiem, jak było naprawdę. W każdym razie zrobił furorę. Babcia dopilnowała, żeby w salonie dla pań znalazł się fortepian i Harry zagrał na nim przyjęty aplauzem koncert, trzeba to było przyznać. A raczej koncert, który okazał się sukcesem po jakimś czasie. Zaczął bowiem od kilku kolęd, których zwłaszcza my, dzieci, nie znaliśmy. Babcia zmarszczyła nos i nazwała tę muzykę amerykańską. Ona i dziadek zawsze mówili „amerykanska”, co brzmiało trochę śmiesznie.

Kiedy nabrał rozpędu, zaczął grać *Gläns över sjö och strand* i pozostałe szwedzkie pieśni świąteczne, a nawet niemiecką *O Tannenbaum*, która zrobiła największą furorę i skłoniła dorosłych do wspólnego śpiewania. Mówiono, że bajeczny z niego muzyk. Tak też chyba było. Nawet wyglądał jak bohater filmu – miał ciemne włosy układające się w fale i szeroki uśmiech. Zagrał też kilka krótszych utworów Chopina i Beethovena, na przykład *Dla Elizy* – mama też czasem próbowała to grać. Po świątecznym koncercie wszyscy go lubili, a to nie wydawało mi się sprawiedliwe. Dziadek w każdym razie mamrotał coś o tym, że biały smoking nosi się na południe od równika. Wszyscy inni mieli zwyczajne smokingi.

Oczywiście oprócz wujka Andrew i kuzyna Petera. Oni mieli kilty i coś w rodzaju czarnej marynarki od smokingu. My, pozostałe chłopaki, włożyliśmy granatowe aksamitne garnitury i czarne muchy.

Po koncercie wszyscy przeszli do świątecznego salonu, w którym stała choinka, bo sufit był tam wystarczająco wysoki. Służące rano ją ubrały, ale na razie należało nie zwracać na nią uwagi, bo nie była jeszcze rozświetlona. Można powiedzieć, że jeszcze nie zaczęła działać. Za to w całym pokoju czuło się jej intensywny zapach.

Eilert, Henning i ja już wcześniej uczestniczyliśmy w przeciągających się wigiliach i umieliśmy zachować kamienną twarz, siedzieć z boku i łupać orzechy, co jakiś czas zerkając na stos prezentów pod choinką, na który mieliśmy nie zwracać uwagi.

Dorośli pili drinki, które sami sobie brali z małego wózka, i nie wyglądali na ani trochę niecierpliwych. Oczywiście znacznie dłużej się przyzwyczajali do tego cierpienia niż dzieci.

Widać było, że kuzyn Peter nie znosi tego równie dobrze jak my. I może też słychać, bo mówił po angielsku coś, czego nie rozumieliśmy. Rozpoznawaliśmy tylko znane z kina *bloody hell*.

W końcu zdawało się, że ogień w kominku zaczyna dogasać, ale wtedy dziadek dorzucił dwa kolejne brzożowe polana. *Bloody hell*.

Jednym ze sposobów na przyspieszenie czasu było pomyślenie, że jeszcze tego wieczoru

wszyscy pójdą spać. Wtedy nie miało się już wrażenia, że wszystko dzieje się w ślimaczym tempie.

W końcu służące rozsunęły drzwi do jadalni, dorośli odstawili drinki i zaczęli szukać tych osób, obok których mieli siedzieć. Po chwili mogliśmy wejść i obejrzeć niespodziankę.

Wszyscy stanęli zaraz za drzwiami i przez chwilę patrzyli na obrazy. Potem się odwrócili do prastryja Sverrego, zaczęli go chwalić i składać gratulacje.

Gotowe portrety dziadka i babci wisiały teraz po prawej stronie dużego kredensu w jadalni. Byli blisko siebie i dało się zauważyć, że do siebie pasują. Tak samo jak w przypadku prastryja Lauritza i jego żony Ingeborg. Ładnie to wyglądało. Nie wiem dlaczego, ale poczułem się tak, jakbym miał łzy w oczach. Na szczęście nikt tego nie widział.

My, chłopcy, i młodsza siostra Petera zostaliśmy posadzeni przy mniejszym stole w wykuszu. To było całkiem w porządku, jeśli pominąć to, że mój mały braciszek siedział z nami, a ja musiałem pomagać mu jeść.

Potem czas jak zwykle zaczął się ślimaczyć. Dziadek wygłosił przemówienie i rozpoczęło się uctowanie, które nie miało końca. Na początku mi smakowało, ale potem było to już tylko coś, co się robi, bo tak trzeba, bo jest się dobrze wychowanym. Torunn, Signy i Solveig – ta nowa – biegały jak wiewiórki, tam i z powrotem pomiędzy kuchnią a jadalnią, wносиły i wносиły. Peter stwierdził, że zaraz oszaleje. W Szkocji tak nie było – tam dostawało się prezenty jeszcze przed wielkim żarciem. Powiedzieliśmy mu, żeby wziął się w garść, bo jest jak jest. Wkrótce podadzą owsiankę, a to już prawie koniec, no i będzie można się przekonać, czy prastryj Sverre i w tym roku znajdzie w niej migdał.

Oczywiście znalazł. Wszyscy się śmiali i bili brawo. Ani wtedy, ani później nie rozumiałem, jak on to robił. To musiał być jakiś kant.

W końcu zobaczyłem, że Torunn i Signy wślizgują się do świątecznego salonu z drabiną. To było obiecujące, oznaczało, że zapalą choinkę, jedna z nich wejdzie po szczeblach na szczyt z wyjątkowo długimi zapalkami, a druga będzie trzymała drabinę.

Wujek Andrew wygłosił zabawną przemowę swoją dziwną szwedzczyzną i nareszcie nastąpił koniec. Przynajmniej pierwszej połowy.

Wszyscy wstali, drzwi do świątecznego salonu zostały rozsunięte i mogliśmy wejść i podziwiać rozświetloną choinkę i wszystkie nowe świąteczne dekoracje. Służące jakimś cudem zdążyły je rozwiesić na ścianach. Zapaliły mnóstwo świec i zgasiły lampę z kryształowym żyrandolem. W kominku paliły się nowe bierwiona.

Teraz dorośli mieli pić koniak. Koniak dla panów i cioci Johanne, reńskie wino w szklanicy dla pań. A potem nadszedł czas na palenie.

My nie mieliśmy zbyt wiele do roboty, mogliśmy tylko usiąść w naszym kącie i zjeść najwyżej po jednym orzechu albo migdale. Przynajmniej dostaliśmy świąteczny napój mumma.

To dziadek decydował, ale nie odnosiłem wrażenia, że przedłuża picie koniaku i palenie cygar ponad miarę, tylko po to, żeby się z nami podroczyć.

Kiedy byłem mały, nasz emerytowany szofer Karlsson o tej porze przychodził przebrany za Świętego Mikołaja. Za pierwszym razem chyba dałem się nabrać.

Teraz to sam dziadek przysunął krzesło do stosu prezentów, żeby rozpocząć ich rozdawanie.

Wprowadził regułę, zgodnie z którą każdy mógł dostać tylko jeden prezent. Nie miałem odwagi powiedzieć o tym Andersowi i Johanowi, bo mogliby to uznać za skąpstwo. Mama wyjaśniła mi, że chodzi o to, żeby nie przedłużać ceremonii. Gdyby każde dziecko dostało cały stos prezentów, nigdy byśmy nie skończyli.

Chodziło też pewnie o to, żeby ten jeden prezent był wyjątkowo dobry, żadnych miękkich

paczek z ubraniami.

Mama dostała na przykład szalik z czarnymi perłami i aż krzyknęła z zachwytu. Ja zupełnie oniemiałem, kiedy się okazało, że w podłużnej paczce, którą mi wręczono, jest prawdziwy harpun, aż nie mogłem w to uwierzyć. Wujek Carl Lauritz dostał złotą papierośnicę z wygrawerowaną swoją sygnaturą.

Wszystko przebiegło szybko i każdy był bardzo zadowolony.

Nawet kuzyn Peter, który dostał nowy kilt – w innych kolorach niż ten, który miał na sobie – nie posiadał się z radości. My, pozostali chłopcy, nic z tego nie rozumieliśmy. Kolejna kiecka, tyle że w innych kolorach, to miałyby być fajne?

Kiedy o to spytaliśmy, z pewnością mieliśmy zdziwione miny. Peter spojrzał na nas jak na kretynów i powiedział, że to *hunting colours* jego klanu.

Nadal nic nie rozumieliśmy. Peter westchnął i zaczął tłumaczyć. Te kolory oznaczały, że pełni funkcję myśliwego w klanie. Następnej jesieni mógł uczestniczyć w polowaniu na jelenia szlachetnego.

Dziwiło nas to, ale nie byliśmy zazdrośni, choć wyglądał na najbardziej zadowolonego z nas wszystkich.

Wreszcie wieczór dobiegał końca. Służące pozbierały wszystkie papiery, ogień w kominku prawie zgasł, ludzie zaczynali ziewać. Przydługa, ale doskonała wigilia była zakończona. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Nic nie rozumiałem, kiedy dziadek powiedział, że chce porozmawiać z chłopcami na osobności. Wskazał Eilerta, Henninga, Petera i mnie, a następnie drzwi do męskiego pokoju. Musieliśmy wyglądać jak żywe znaki zapytania, tak samo jak nasze mamy. Ale w willi Bellevue robiło się to, co kazał dziadek.

Gdyby ktoś chciał, żebym zgadł, co się będzie działo, nie trafiłbym nawet za tysięcznym razem.

Rzecz jasna poszliśmy z dziadkiem do pokoju. Zapalił główne światło – dwie jasnozielone kopuły wiszące nad stołem bilardowym ze zbiorem wielkich pucharów.

Z ciekawością się rozejrzeliśmy – dzieci prawie nigdy nie mogły przebywać w męskim pokoju, bo było tam mnóstwo drogich rzeczy. Na ścianach wisiało pełno dzieł sztuki, o których nie wiedziałem nic poza tym, że są norweskie. Meble były wielkie i ciężkie, głównie skórzane. Byliśmy spięci i oczywiście nie mieliśmy pojęcia, co jest grane.

Dziadek usiadł w jednym z wielkich, skrzypiących skórzanych foteli i położył na podłokietniku monetę dwukoronową.

– Musicie zrozumieć, chłopcy – zaczął – że sprawa jest poważna. – Będziecie się bić o tę dwukoronówkę i zwycięzca będzie tylko jeden. Ten, kto zostanie na placu boju, kiedy pozostali się poddadzą, dostanie monetę. No to zaczynamy.

Spojrzelśmy na siebie ze zdziwieniem i próbowaliśmy się uśmiechnąć.

Ale dziadek się nie uśmiechał.

– Chodzi o coś więcej niż o tę dwukoronówkę, zaczynajcie! – rozkazał.

Staliśmy jak skamieniały. Ze świątecznego salonu dobiegał wesoły śmiech i głos prastryja Sverrego, głośniejszy od pozostałych.

W końcu Eilert wystąpił i popchnął Petera, który był najmniejszy, tak że ten upadł na czerwony dywan. To nie wyglądało, jakby było całkiem na poważnie, ale Peter się wściekł i skoczył w górę, wystawiając przed siebie dwie zaciśnięte pięści jak trzepaczki. Trafił przynajmniej dwa razy, zanim Eilert się zdenerwował, powalił Petera na dywan, usiadł mu na klatce piersiowej i dzielił go w twarz, najpierw raz, a potem drugi. Henning – największy i najsilniejszy z nas – spokojnie podszedł, żeby odciągnąć brata od naszego małego szkockiego

kuzyna.

Widziałem wyraźnie, że Henning się obnażył, kiedy się pochylał, żeby ściągnąć brata z wściekle wymachującego rękoma Petera. Każdy mógł to zobaczyć.

Być może, nie mam pewności, pomyślałem wtedy, że nie będzie zbyt fajnie stanąć przeciwko Eilertowi i Henningowi. Nie wiem, co dokładnie myślałem, to było jak błysk w głowie.

Zrobiłem trzy kroki do przodu i uderzyłem Henninga zaciśniętą pięścią prosto w nos. Poleciał do tyłu, zakrywając rękoma twarz, a Eilert zdziwiony uniósł głowę. Wtedy uderzyłem go w taki sam sposób. Runął na ziemię i zaczął obficie krwawić na dywan. Jedną ręką chwyciłem Petera za szyję, zanim zdążył się dźwignąć, i powiedziałem, że przerwiemy walkę, jeśli się podda.

Coś w tym stylu. Przynajmniej mniej więcej tak to pamiętam.

Eilert głośno krzyknął, bo się przestraszył krwi z nosa.

Drzwi się otworzyły, stanęły w nich mamy i też zaczęły krzyczeć. Za nimi przysła jedna ze służących. Najpierw wyprowadziły Eilerta i Henninga, który szedł głupio pochylony do przodu, przez co jeszcze bardziej krwawił z nosa i zostawiał czerwone ślady na dywanach. Dopiero Solveig podciągnęła biały fartuch i zatkała nim nos Henningowi.

Ciocia Rosa wyprowadziła Petera, ale kiedy mama chciała zabrać mnie, dziadek powstrzymał ją uniesioną ręką, a ona natychmiast posłuchała. Stała i patrzyła to na mnie, to na dziadka.

– Teraz mamy nowy porządek – powiedział dziadek. – W przyszłości, to jest po świętach, Eric będzie jadł śniadanie ze mną w wykuszu każdego ranka o siódmej.

Mama bez słowa skinęła głową. Dziadek wręczył mi dwukoronówkę i powiedział, że wszystko wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewał.

To oczywiście był koniec wigilii, przynajmniej dla mnie, mamy, Harry'ego i braciszka. Dziesięć minut później brnęliśmy przez śnieżną breję w stronę mieszkania kierowcy. Pamiętam, że Harry przeklinał brak kaloszy.

Chciałem pokazać dwukoronówkę, ale nikt nie był zainteresowany.

Kiedy wróciliśmy do domu, braciszek i ja natychmiast musieliśmy się położyć. Niestety, zostawiliśmy prezenty w dużej willi, a jeszcze gorsze było to, że braciszek został przeniesiony z góry i musieliśmy dzielić pokój.

Za drzwiami, w kuchni, siedzieli mama i Harry. Słuchali amerykańskiego radia, głośno rozmawiali i dalej pili wino.

Braciszek poprosił, żebym pokazał dwukoronówkę, a ja zrobiłem to bardziej niż chętnie. Na początku próbował mi ją zwędzić.

Potem powiedział, że jeśli jej nie dostanie, natychmiast zacznie głośno krzyczeć, a kiedy przyjdzie tata, powie mu, że go uderzyłem.

Nigdy w życiu nie uderzyłem braciszka. Powiedziałem jednak, że jeśli to zrobi, naprawdę uderzę go tak, że bardzo go zaboli, ale nie będzie siniaków.

Długo się wahał. Prawdopodobnie bardzo bał się lania – widział je chyba tylko raz, ale nigdy nie doświadczył. Harry go nie bił.

W końcu jednak uznał, że blefuje, i zgodnie z zapowiedzią krzyknął, patrząc mi w oczy.

Kiedy Harry wpadł do pokoju w samej koszuli i z rozwiązaną muchą, braciszek zaczął udawać, że się wije w męczarniach w łóżku, wskazał na mnie i powiedział, że go uderzyłem.

Oczywiście natychmiast zarobiłem serię, tyle że bez przyrządów – głównie były to wymierzone policzki i pojedyncze ciosy pięścią, wymierzane tak, żeby nie krwawiło.

Potem stary wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Mężczyzna zawsze dotrzymuje danego słowa. Ale chodziło nie tylko o to. Braciszek zagroził, że krzyknie, jeśli nie dostanie dwukoronówki. Obaj wiedzieliśmy, co się stanie w takim wypadku.

Tłukłem go tak długo, jak się dało, a potem Harry wrócił ze smyczą w rękę.

Nie pomogło, że miałem na sobie piżamę. Jeszcze kilka lat później widziałem małe, brunatne plamki zakrzepłej krwi na tapecie z Piotrusiem Panem.

Nie mogłem uczestniczyć w wieczerzy wigilijnej, w czasie której jedzono lutfisk, bo dostałem wysokiej gorączki i zachorowałem na anginę. Gorączka była prawdą, a angina nie. W każdym razie nadal miałem dwukoronówkę.

Sztokholm, maj 1968

Oczywiście, Twoje uwagi stylistyczne były jak najbardziej słuszne, szczególnie te dotyczące opowieści babci z Drezna. Kim jestem, żeby dyskutować z krytyczką literacką, która budzi największy postrach w kraju lub też jest najbardziej szanowana, przynajmniej przez tych, których uznaje z wysokości swej katedry w wielkiej porannej gazecie, kierowanej przez człowieka w mundurku Mao. Wybacz, nie mogłem sobie odmówić tej częściowej ironii.

Jednak z drezdeńską historią babci nie było mi łatwo. To oczywiście jest próba rekonstrukcji. Gdybym w 1954 roku miał „magnetofon”, tekst z pewnością wyglądałby zupełnie inaczej. Jej sposób opowiadania nawet dzisiaj jest, delikatnie mówiąc, szczególny, a poza tym mówiła z mocnym niemieckim akcentem, którego wówczas nie słyszałem – tak samo jak różnicy pomiędzy szwedzkim, norweskim i mieszanym „szworweskim”, którego się używało w willi Bellevue. Mogę zrekonstruować jedynie treść jej opowiadania, ale nie język. Mamy tu więc problem trudny do ominięcia. Z jednej strony samo wydarzenie – zagłada Drezna – jest ważne. Z drugiej, nie można tego oddać wiarygodnie, jeżeli będziemy się upierać, że ma wyglądać jak wspomnienie dziecka.

Ale to Ty ustaliłaś reguły. Nie wolno mi było korzystać z narratora wszechwiedzącego, bo to by było za proste i egzamin nie byłby ważny. Sama tak powiedziałaś, prawda?

No więc, mieliśmy tu do czynienia z sytuacją, w której narrator wszechwiedzący poradziłby sobie z pułapką, w przeciwieństwie do dziecka opowiadającego w pierwszej osobie. Może jednym ze sposobów na choćby prowizoryczne uporanie się z problemem byłoby zaznaczenie, że fragment ma charakter rekonstrukcji, przez zapisanie go kursywą?

Jeśli chodzi o samą treść, to oczywiście zgadzam się z tobą, że aż się robi niemiło na widok rozważań, kto jest „dobry”, a kto nie w tej cholernej szkółce żeglarskiej na Lökholmen. Ale jednak to jest wspomnienie, w które wierzę. Człowiek chyba lepiej zapamiętuje rzeczy, które mu się wydają dziwne. To zaś takie było.

Mówisz, że babcia Christa powinna być ponad wszystkie tego typu refleksje z dwóch prostych powodów. Po pierwsze, sama pochodziła z niemieckiego arystokratycznego rodu, od którego miała powody się dystansować. Po drugie, co bardziej pikantne, przez większość życia była bolszewikiem, nie salonowym – to przyszło później – lecz poważnie zaangażowanym w walkę o międzynarodową solidarność, w działalność organizacji humanitarnej Röda hjälpen, w edukację seksualną i tak dalej.

Czyli nigdy nie martwiłaby się o to, czy ktoś jest z „dobrej rodziny”?

Wygodnie byłoby zrzucić winę na Alice Hansa Olafa, która była zwykłą drobną szlachcianką.

Ale jest pewien problem. Moja mama też taka była. Skąd jej się brały te wszystkie staroświeckie (by użyć eleganckiego słowa) wyobrażenia?

Niestety, opowieść o fiksacji na punkcie „dobrych rodzin” jest prawdziwa. Nie ma co się wstydzić, może raczej należałoby widzieć to jako koniec pewnej mentalności w nieświadomych

latach pięćdziesiątych, która wkrótce zostanie zastąpiona przez dzisiejszy pogląd na równość i solidarność?

Przejdźmy do radośniejszej polemiki na temat samej treści – tu się czuję o wiele pewniej niż w dyskusji o stylu.

Mogę przysiąc, że nigdy nie włożyłem stroju kowboja. Moja solidarność z rdzennymi mieszkańcami Ameryki – „Indianami” – była twarda jak skała i, cokolwiek byś na ten temat sądziła, nie jest to stworzony po latach konstrukt, dopasowany do oczywistego w dzisiejszych czasach stanowiska.

Zresztą wszelkie poglądy nie są tak oczywiste, jak można by sądzić. W ferworze dyskusji o tym, jak bardzo babcia była owładnięta ideą „dobrego rodu”, zapomniałem zaznaczyć, że może sobie być arystokratką, ale nosi znaczek Wietkongu. Wciąż ma świadomość, że imperializm jest najwyższym stadium kapitalizmu. Nawet jeśli znaczek Wietkongu wygląda nieco osobliwie na karkułach.

Wróćmy do pytania o Indian. Może jak tak, jak nieco słodko-gorzko zauważasz – że jeśli by się poszło na którąś z dzisiejszych ulicznych demonstracji i zapytało uczestników płci męskiej, czy w dzieciństwie byli kowbojami, czy Indianami, prawdopodobnie uzyskałoby się podkoloryzowane odpowiedzi. Jasne. Kto by przyznał, że sympatyzował z kolonizatorami rdzennej ludności?

Ale napisałem prawdę. Nigdy nie miałem na sobie stroju kowboja, jakkolwiek elegancki mógł się wydawać w 1954 roku. To zresztą dość zabawne, że cały mój obraz Indian i białych pochodzi od niemieckiego pisarza, którego noga nigdy nie postąpiła w Ameryce Północnej. Zanim zwróciłaś na to uwagę, przyjmowałem za pewnik, że Karol May to amerykański pseudonim.

Jeszcze gorszego oświecenia tego rodzaju doznałem, kiedy cała rodzina siedziała przy obiedzie w KSSS i do stolika podeszło kilku Niemców. To zresztą bagatela, wydarzenie, które nie trafi do opowieści, ale wówczas nagle zrozumiałem, że moi dwaj wujowie i mama doskonale mówią po niemiecku. Wychowywałem się na amerykańskich filmach i wiedziałem, że Niemców się nienawidzi. Byłem też wystarczająco duży, żeby zrozumieć, że nie patrzę na Szwedów mówiących niemieczyzną wyuczoną w szkole. Moja kochana mamusia mówiła jak Niemka. To był szok.

Tym sposobem płynnie przechodzę do tematu wojny. Z wojną jest tak samo jak z Indianami. Przysięgam, że jako dziesięcioletek nie wiedziałem kompletnie nic o drugiej wojnie światowej. Nie miałem pojęcia, kto i dlaczego zbombardował Drezno. Po prostu.

To, że uważasz tę niewiedzę za niedorzeczną, nie jest chyba takie dziwne? Byłaś tam, byłaś Niebieską Gwiazdą i wychowałaś synów zupełnie inaczej, niż ja zostałem wychowany. Opowiadałaś Eilertowi i Henningowi o wojnie, już kiedy byli mali. Dowiedziałem się tego. Wyjaśnię za chwilę.

Powiedziałaś też Henningowi wszystko na temat jego pochodzenia – że adoptowałaś własnego przyrodniego brata. Moja mama nic mi nie mówiła, dopóki okoliczności jej do tego nie zmusiły. Jeżeli mama miała powód do zatajania prawdy, to chyba tylko taki, że chciała uniknąć „skandalu”. Była wrażliwa na tym punkcie, zresztą podobnie jak babcia.

Teraz, zupełnie na marginesie naszej dyskusji, przejdę do czegoś, co Cię zaskoczy. Ostatnio spotkałem Henninga.

Po groteskowej walce o sukcesję w męskim pokoju w 1954 roku Henning i ja – jak można się spodziewać – zostaliśmy „wrogami na śmierć i życie”. Pewnie udałoby się to naprawić, gdybyśmy jak zwykle spotkali się w następne święta i wakacje. Ale do tego nie doszło. Poszliśmy zupełnie różnymi drogami.

Jednak teraz, po tych wszystkich latach, nastąpił naprawdę niespodziewany zwrot.

Wczoraj, na największej tej wiosny demonstracji w sprawie Wietnamu – było nas co najmniej dziesięć tysięcy – Henning i ja nagle stanęliśmy ramie przy ramieniu przed ambasadą amerykańską. Żaden z nas nie wierzył własnym oczom, kiedy zobaczył na tym drugim znaczek Wietkongu. Kiedy zdumienie minęło, wybuchnęliśmy śmiechem i zaczęliśmy się ściskać. Potem jak stuprocentowi burżuje poszliśmy do angielskiego pubu, zresztą na Östermalmie, wypiliśmy za dużo piwa i godzinami rozmawialiśmy o utraconym świecie, który kiedyś był nasz.

Dziś wieczorem jesteśmy umówieni na kolację. Podejrzewam, że to też jest ze wszech miar burżujskie i nasi znajomi kręciliby nosami. Ale jak zauważył Lenin, to nie przynależność klasowa decyduje, lecz klasowy punkt widzenia. Nie da się wybrać sobie rodziców. Ale można zająć stanowisko. Towarzysz Henning i ja znaleźliśmy się w tej samej łodzi, że tak sobie zażartuję z Królewskiego Towarzystwa Żeglarskiego z naszej przeszłości.

JASNE PÓLROCZE

Każdego ranka przed pójściem do szkoły dostawałem swoiste lekcje życia. Trochę jednak potrwało, zanim to zrozumiałem. Pierwsza z nich dotyczyła bowiem zbytnej drobnostki, abym mógł pojąć, o co tak naprawdę chodzi w naszych śniadaniach.

Chodziło o sztukę jedzenia jajka na miękko. Dziadek uważał, że nie robię tego właściwie. Nauczył mnie, że zawsze trzeba rozbijać jajko na szerokim końcu. I lepiej, zwłaszcza jeśli się jest niewyćwiczonym dzieckiem, używać łyżki zamiast noża. Trzeba rozłupać skorupkę, wbić łyżkę do środka i podnieść czapeczkę. Jeżeli próbuje się zrobić to jednym ruchem noża i trafi w odpowiedni punkt, wygląda to elegancko. Nieporadnie zaś, jeśli się uderzy za nisko i żółtko wypłynie – w najgorszym wypadku na obrus.

Dziadek i ja jedliśmy śniadania w wykuszu punktualnie o siódmej. Po półgodzinie musiałem iść do szkoły, a on na pociąg. Biały obrus był zawsze czysty i gładki, nasze porcje owsianki zawsze jednakowej wielkości. Zaczynaliśmy od owsianki i gęstej śmietany, bo w Szwecji nie było *rømme*. Potem dwa jajka i tost z upieczonego rankiem chleba, a na koniec kawa dla dziadka i herbata dla mnie. I żadnej mlecznej czekolady, bo to było śniadanie mężczyzn.

Na stole leżał świeżo wyprasowany dziennik „Svenska Dagbladet”, dziadek zabierał go do pociągu. Przez długi czas, zanim zapytałem, sądziłem, że prasowanie gazety służy temu, żeby była równie elegancka jak biały obrus. Tak naprawdę chodziło jednak o wysuszenie farby drukarskiej, żeby nie zostawała na palcach w czasie lektury.

Śniadanie każdego ranka było identyczne, nic się nie zmieniało.

Szkola życia przy śniadaniowym stole dziadka zaczęła się więc od drobnostek, jak wspomniane rozbijanie jajka z odpowiedniego końca. Dziadek widocznie postanowił wyznawać zasadę „śpiesz się powoli”. Jednak stopniowo robiło się coraz poważniej.

Najważniejsze było nauczenie się, co spaja rodzinę, a co może ją rozbić. Świat jest twardy dla słabych, a słabi są samotni. Całe gadanie o tym, że samotny jest silny, to brednie.

Siła w rodzinie trzymającej się razem polega na tym, że każdy potrafi co innego i wszyscy sobie pomagają, choć oczywiście do podziału są obowiązki ważniejsze i mniej ważne.

W naszej rodzinie najważniejsze obowiązki dotyczyły firmy Lauritzen & Co. To była podstawa, na której wszystko spoczywało. Nasz los zależał od firmy.

Przed wieloma laty za firmę odpowiadał starszy brat dziadka, Lauritz. Jednak żaden z synów nie mógł przejąć po nim obowiązków, jak planowano. Harald i Karl przepadli w czarnych wirach wojny.

Dziadek nie powiedział, że Harald i Karl zginęli, lecz użył innych słów, które musiały znaczyć mniej więcej to samo. Tak było często – mówił do mnie jak do dorosłego i wiele z tego dało się zrozumieć tylko w wyobraźni.

Czarne wiry wojny to było coś, o czym dało się fantazjować w półśnie po umyciu zębów, przed zaśnięciem na dobre.

Zapewne dziadek miał plan, jak szybko i ostrożnie przeprowadzić mnie od rzeczy prostych do trudnych. Pewnie dlatego mam najwięcej wspomnień z pierwszego i ostatniego miesiąca w tym okresie. Drobnostki na początku – tak jak jajko albo to, kiedy należy podawać burgunda zamiast bordeaux. A trudne rzeczy na końcu.

Właściwie myślę, że wszystko kręciło się wokół firmy. Teraz to sam dziadek był za nią odpowiedzialny. Nie mogło to jednak trwać zbyt wiele lat, bo zbliżał się do ostatniego rozdziału w swoim życiu. Nie mówił, że umrze, a „rozdział” może być długi lub krótki albo mieć kilka

podrozdziałów.

Smutek dziadka był wywołany świadomością, że nawet jego synowie nie przejmą kierowniczych stanowisk w firmie.

Pod koniec mojej szkoły życia mówił właśnie w taki sposób, bezpośrednio, bez ozdobników. Od prostego początku, kiedy za wszystkimi oknami w wykuszu był śnieg i mrok, a ja jeździłem do szkoły na sankach *kicksled*, minęło kilka miesięcy. Teraz ptaki śpiewały na całego, a światło było tak ostre, że musieliśmy opuścić markizy.

Carl Lauritz był bardzo biegłym żeglarzem, dumą rodziny. Możliwe, że Hans Olaf był równie biegłym malarzem, ale to oczywiście trudniej stwierdzić. Żaden z wujów nie widział jednak siebie jako przyszłego inżyniera – szefa biura. I żaden by do tego nie pasował.

Tak już po prostu było. Każdy to dostrzegał. Chyba nawet ja.

Pewnie po raz pierwszy zadał mi tak bezpośrednio, trudne pytanie – pytanie, które dotyczyło ważnej kwestii.

Sprawa nie była prosta. Przede mną siedział dziadek – świeżo ogolony i uczesany tak, że nie odstawał ani jeden włos. Miał na sobie garnitur z kamizelką i łańcuszkiem od zegarka, staroświecki wykrochmalony kołnierzyk koszuli i złotą spinkę do krawata z prawdziwą dużą perłą. Jego wąsy były siwe i również z nich nie sterczał ani jeden włos, a jego niebieskie oczy, takie same jak moje, były radosne i przyjazne. Bardzo go lubiłem, a nawet więcej – żalowałem, że nie jest moim tatą.

Ale był również szefem całej rodziny.

O ile dobrze rozumiałem, chciał, żebym się z nim zgodził, że moi wujkowie nie do końca się nadają.

Bardzo ich lubiłem. Przypomniałem sobie, jak wujek Hans Olaf przyszedł w cylindrze, z namalowanymi wąsami, w pasiastych spodniach i butach kłowna i zaśpiewał na moich urodzinach. Wujkowie byli dla mnie jak starsi bracia.

Dziadek czekał na odpowiedź, nie okazując niecierpliwości. Myślałem i myślałem, ale nie mówiłem, a dziadek nadal czekał.

W końcu powiedziałem, że bardzo lubię wujka Carla Lauritza i wujka Hansa Olafa, ale nie sądzę, żeby któremuś z nich podobało się codzienne wstawanie o szóstej i jazda pociągiem do biura.

Na twarzy dziadka zadrgały mięśnie, ale się nie roześmiał.

Wyjął złoty zegarek z kieszeni kamizelki, otworzył, lekko zmartwiony pokiwał głową i powiedział, że nie mamy czasu na kontynuowanie rozmowy, ale następnego dnia dokładnie w tym samym miejscu zaczniemy od nowa.

Kiedy pedałowaliśmy w górę Kallvågen w drodze do szkoły, przez cały czas myślałem o wujkach i wstydzilem się tego, co powiedziałem, nawet jeśli to pewnie była prawda. Rankiem potrafili być energiczni. Choć tylko jeśli chodziło o regaty albo złapanie określonego światła do malowania. Harry nie szczędził obu wujkom złośliwości i powtarzał, że są leniwi i rozpieszczeni, a ja w żadnym wypadku nie chciałem stanąć po jego stronie. Oni też go nie lubili. Takie rzeczy dorośli próbowali ukryć, ale można spokojnie powiedzieć, że nawet dziecko potrafiło to przejrzeć.

Na szczęście w szkole przerabialiśmy wojnę trzydziestoletnią, a ja czytałem o działach skórzanych Gustawa II Adolfa w książce, którą babcia wyszperała w bibliotece.

Fińska kawaleria mocno uderzyła w nieprzyjaciela, przypuszczając niespodziewany atak frontalny na piechotę Tilly'ego, która nie zdążyła uformować szyku bojowego. Jako kapitan atakujących sił byłem jedynym, który dokładnie wiedział, na czym polega plan. Kiedy wróg się otrząsnął z początkowego szoku, odkrył, zgodnie z naszym zamiarem, że jesteśmy niewielkim

oddziałem, i szybko się przegrupowałem do kontrataku kawalerią, ściągniętą ze wszystkich stron. Wkrótce mieliśmy się znaleźć w krytycznej sytuacji.

Pośród tumultu i bitewnego kurzu nikt oprócz mnie nie zauważył niebiesko-żółtego sztandaru, dającego znak za wzgórzem sześćset metrów na południowy zachód. Nadszedł czas.

Wezwałem do siebie trębacza i sztandarowego, wydałem rozkaz do odwrotu i kazałem wszystkim podążać za mną.

Tilly i jego papiści myśleli, że mają nas jak na dłoni, kiedy uciekaliśmy przed kawalerią. Plan zadziałał idealnie.

Po pokonaniu wzniesienia dotarliśmy do szerokiej niecki na otwartym terenie, a na następnym wzgórzu czekała cała nasza artyleria taktyczna. Skórzane działa miały znaczną przewagę, bo można je było przemieszczać znacznie szybciej niż ciężkie armaty z brązu. Na jedno wystarczył jeden koń zamiast sześciu.

Artyleria na gorze sformowała szyk. Staraliśmy się utrzymać odpowiedni dystans między nami a wrogiem. Przywódcy, może pod Torstensonem, a może pod samym królem, z zimną krwią czekali, aż wszystkie siły nieprzyjaciela w dzikiej pogoni za nami znajdą się w niecce.

Potem Szwedzi rozpoczęli ostrzał kartaczami.

Skórzane działa przemówiły i zmiotły większą część katolickich jeźdźców. Nadszedł czas, żeby zawrócić i zaatakować ponownie w celu wybitcia wszystkich maruderów. Zwycięstwo pod Breitenfeld w 1631 roku było logiczną konsekwencją tego triumfu taktycznego.

Wojna trzydziestoletnia była chyba najfajniejsza z całej historii w szkole.

Przy kolejnym śniadaniu dziadkowi wyraźnie dopisywał humor. Czekałem przy stole, kiedy zszedł, nucąc jakąś klasyczną melodię, którą kojarzyłem jak przez mgłę.

Kiedy się przywitaliśmy, usiedliśmy i zjedliśmy owsiankę, wziął serwetkę i ostrożnie wytarł kąciki ust, a dopiero potem zaczął mówić. Nie wiem, czego się spodziewałem. Na początku brzmiało to tak, jakby powtarzał to, co mówił już dawno.

Rodzina to całość złożona z wielu części. Jeżeli udaje się je skłonić do współdziałania, odnosi się sukces – i tylko wtedy. Tego typu rzeczy.

Potem nagle spoważniał.

Zaczął od tego, że najważniejszej rzeczy ze wszystkich nauczył się na wojnie, a ja oczywiście natychmiast nadstawiłem uszu. Nigdy wcześniej nie wspominał o wojnie.

Mówił, że to lekcja, której nigdy nie zapomni. Sprawiedliwość nie istnieje. Najodważniejszy umiera równie łatwo jak największy tchórz. Najślabszy może być tak samo przydatny jak najsilniejszy. Wszystko zależy od tego, czy można skłonić wszystkich do współpracy, kiedy zachodzi taka potrzeba. Przeżywa jednostka jako grupa, dokładnie tak jak w rodzinie. A kiedy sytuacja wygląda na beznadziejną, ktoś nagle obejmuje dowództwo i udaje się przeżyć.

Ale kto ma objąć dowództwo w sytuacji kryzysu? Nie można tego wiedzieć z wyprzedzeniem.

W tym momencie być może się zastanawiałem (zabawne, że nigdy o to nie zapytałem, ale na pewno musiałem się zastanawiać), dlaczego nigdy nie wyjaśnił, o co chodziło z tą małą bójką pomiędzy mną a kuzynami w Boże Narodzenie.

Miał jakieś powody, nawet jeśli oczywiście nie wyszło to zbyt sympatycznie.

Sprawa była prosta. Haralda i Karla nie było, Sverremu nigdy nie urodzi się syn, a Carl Lauritz i Hans Olaf się nie nadawali. Kto z następnego pokolenia mógł więc przejąć dowództwo?

Dziadek chciał znać odpowiedź. Obstawiał mnie, ale zależało mu, żeby to zobaczyć na własne oczy.

Tak naprawdę nie chodziło o to, który z nas, kuzynów, wygra. Z tak dużym

wyprzedzeniem nie myślał. Chciał zobaczyć, jak się zachowujemy w sytuacji kryzysowej. A to, co zrobiłem, żeby naprawdę wygrać, zdziwiło go, choć nie do końca. Potem musiał zignorować małe zamieszanie, które się rozpełtało – wiedza zawsze była więcej warta niż reguły zachowania.

Dlatego siedzieliśmy teraz przy śniadaniu. W przyszłości to ja miałem kierować rodziną – po prostu.

Sytuacja była kłopotliwa. Swego czasu próbował nawet z Harrym i zrobił go dyrektorem kopalni kredy pod Norrköping. Zapytał, czy to pamiętam, i powiedział, że Harry nadawał się chyba jeszcze mniej niż Carl Lauritz i Hans Olaf. Poza tym był nadęty i złośliwy. To ostatnie wiedziałem niestety aż nazbyt dobrze.

Dziadek się nie śpieszył, nie tknął jajka ani tostów. Nie przyszło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć. Chciałem być pilotem myśliwca. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że miałbym co rano jechać pociągiem do Sztokholmu i siedzieć w biurze.

Dziadek spojrział na zegar. A potem powiedział chyba najbardziej zaskakującą rzecz, jaką słyszałem w życiu: kiedy rozpoczną się wakacje, ty, ja i wujek Hans Olaf pojedziemy do Afryki.

Dokładnie tak powiedział, a potem wstał. Ja też mogłem tylko wstać, uklonąć się i powiedzieć to, co powiedziałem:

– Bardzo dziękuję?

Wyjechaliśmy już dzień po zakończeniu roku szkolnego. Trzeba było wyruszyć jak najszybciej, żeby uniknąć najgorszego afrykańskiego upału, który zaczynał się nieco później. Dziadek wyjaśnił, że to najlepszy moment. Długa pora deszczowa już dawno minęła i wszystko się zazieleniło. Potem nadejdzie susza i spali wszystko na żółto i brązowo, nie pozostanie ani jedno zielone źdźbło. Wówczas cała Afryka, wszyscy ludzie i wszystkie zwierzęta, dyszą w oczekiwaniu na krótki deszcz.

Duża limuzyna Volvo zawiozła nas z Salstjöbaden aż na lotnisko Bromma koło Sztokholmu. Dopiero teraz, na tylnym siedzeniu, kiedy podróż już się zaczęła, dziadek opowiedział nieco więcej o tym, co nas czeka. Bagaż mieliśmy niewielki, bo wszystkie potrzebne ubrania zamierzaliśmy kupić w Tanganice po przyjeździe. Wujek Hans Olaf wziął dodatkową walizkę z przyborami malarskimi.

Moje przygotowania polegały jedynie na obejrzeniu dużego globusa w męskim pokoju. Sprawdziłem, dokąd jedziemy, jakie kraje będziemy mijać po drodze i jak niewiarygodnie długo potrwa cała wyprawa prosto na południe aż do równika.

To się wydawało nierzeczywiste. W jednej chwili machałem do mamy przez tylną szybę, kiedy limuzyna majestatycznie skręcała w Källvägen. W następnej byłem w drodze do Afryki. Do tej pory jedyną zagraniczną podróż odbyłem do Norwegii, o ile to się liczy jako zagranica. Niektórzy koledzy z klasy byli w Kopenhadze albo w Finlandii. Ale o Afryce żaden z nas nie mógł nawet pomarzyć. To było wręcz nie do pojęcia.

Nigdy też nie latałem.

Zaczęliśmy od wylotu z Brommy szwedzkim samolotem z dwoma śmigłami. Dziadek pokazał mi, jak zapiąć pas, zapalił cygaro, westchnął z zadowoleniem i odchylił się na fotelu. Chwycił mnie za rękę i powiedział, żebym się nie bał, jeśli podczas startu będzie trochę trzęsło. Oczywiście, że nie czułem strachu, ale to było tak emocjonujące, że prawie się posikałem.

Najpierw poleciliśmy do Berlina.

Byłem jedynym dzieckiem na pokładzie, więc mogłem się przywitać z pilotami, kiedy zostawiliśmy za sobą Szwecję i lecieliśmy nad Bałtykiem. Widoczność była dobra – tylko kilka chmur kłębiastych na niebie i niebieska woda. Kiedy chmury były daleko, odnosiłem wrażenie, że samolot leci w ślimaczym tempie, ale gdy przez nie przelatywaliśmy, mknęły za oknem z zawrotną prędkością.

W Berlinie czekaliśmy kilka godzin w restauracji, zanim wsiedliśmy do samolotu z czterema śmigłami, który leciał do Wiednia – stolicy Austrii. Mieliśmy tam spędzić noc.

Kiedy leżałem w hotelowym łóżku i próbowałem zasnąć, w półśnie wyobrażałem sobie, że siedzę za sterami J29 Latającej Beczki, przebijającej się przez chmury. Gonilem dwa rosyjskie MiG-i 15 i było to bardziej realne niż prawdziwy świat. Tego ranka obudziłem się bowiem w swoim łóżku w Saltsjöbaden, a wieczorem leżałem już w łóżku w Austrii. To było bardziej nierzeczywiste niż moje polowanie na dwa MiG-i 15.

Następnego dnia plan podróży przewidywał lot do Rzymu.

Podczas kontroli paszportowej doszło do długiej wymiany zdań, bo jako dziecko poniżej dwunastego roku życia nie miałem własnego paszportu, tylko byłem wpisany do dokumentu dziadka. Najwidoczniej w Austrii nie było to zgodne z prawem.

Dziadek elegancko rozwiązał problem, bo doskonale mówił po niemiecku. Wiedziałem o tym, choć sam nie rozumiałem ani słowa.

W Rzymie zatrzymaliśmy się dzień dłużej, bo dziadek chciał obejrzeć Koloseum, które każdy inżynier powinien zobaczyć przynajmniej raz w życiu. Było jak stadion piłkarski, tyle że wybudowany dwa tysiące lat temu, i mogło pomieścić osiemdziesiąt tysięcy widzów, tyle samo co Stadion Olimpijski w Berlinie.

Potem wreszcie poleciliśmy do Afryki. Dokładnie rzecz biorąc, tam, gdzie Afryka się zaczynała, do Aleksandrii, więc wciąż jeszcze czekała nas długa podróż, zwłaszcza że końcowy odcinek mieliśmy pokonać statkiem.

M/S „Patricia” była starym parowcem z trzema pokładami. Nasze kajuty znajdowały się na górze, bo podróżowaliśmy pierwszą klasą, obejmującą też najbardziej elegancką restaurację. Dopiero pierwszego dnia podróży zauważyliśmy, że pozostali pasażerowie są dziwni. Nie witali się z nami, odwracali się plecami, kiedy chcieliśmy przejść obok, a w stołówce zawsze obsługiwano nas na końcu. I często podawano zupełnie inne rzeczy, niż dziadek zamówił. Kierownik sali udawał, że nie rozumie, co mówią dziadek i wujek Hans Olaf. To było trochę przerażające.

Dziadek prosto to wytłumaczył. Większość pasażerów pierwszej klasy była Anglikami, a więc zachowywała się pompatycznie i głupawo. Dla nich szwedzki i norweski brzmiały jak niemiecki, więc myśleli, że jesteśmy Niemcami.

Jeśli się zastanowić, w pewnym sensie była to prawda. Nie w przypadku dziadka, on był stuprocentowym Norwegiem. Ale wujek Hans Olaf był Niemcem w połowie, a ja w jednej czwartej. Tylko czy to mogło mieć znaczenie? Czy nasi angielscy współpasażerowie byłiby bardziej kulturalni, gdyby wiedzieli, że jesteśmy Szwedami albo Norwegami?

– Z całą pewnością zachowywaliby się porządniej, gdyby nas wzięli za Norwegów – wymamrotał dziadek. – Za Szwedów nie, Anglicy nie lubią Szwedów prawie tak bardzo jak Niemców.

Wujek Hans Olaf zaproponował sposób na rozwiązanie problemu. Za dnia po prostu mieliśmy schodzić poziom niżej i przebywać w drugiej klasie.

Już następnego dnia po śniadaniu wypróbowaliśmy jego propozycję – zabraliśmy leżaki, książki i sztalugę wujka Hansa Olafa i zdecydowanym krokiem zeszliśmy do drugiej klasy. W pierwszej chwili myślałem, że między Anglikami z pierwszej klasy a tymi z drugiej są jakieś różnice. Że ludzie podróżujący drugą klasą nie są tak zarozumiali, czy coś w tym stylu. Ale wyjaśnienie było prostsze. Większość pasażerów w drugiej klasie stanowili Niemcy.

Na środkowym pokładzie dziadek i wujek Hans Olaf mogli swobodnie i bez przeszkód rozmawiać ze wszystkimi pasażerami. Nikt już nie marszczył nosa i nie odwracał się do nas plecami.

Kiedy płynęliśmy Kanałem Sueskim w oślepiającym słońcu, wujek Hans Olaf siedział blisko relingu przy sztaludze, ze szkicownikiem, szklanką wody i akwarelami. Na głowie miał duży słomkowy kapelusz.

– No i tak to wygląda – powiedział dziadek, kiedy usiadł przy nas z opróżnionym w połowie kuflem piwa. – Niemieccy rolnicy i hodowcy bydła, których dobytek w Tanganice został skonfiskowany po wojnie, uzyskali zgodę na odkupienie włości i powrót, choć kraj nadal jest kontrolowany przez Anglików. Jednak prawdopodobnie nie potrwa to już długo, nawet jeśli sami Anglicy tego nie rozumieją. Anglicy są nie tylko beznadziejnymi żołnierzami, którzy pogardzają ludźmi, ale też mają manię wielkości. Z pełną powagą wierzą, że są darem Boga dla ludzkości i że my wszyscy pozostali jesteśmy kimś w rodzaju *Untermenschów*.

Jakimś sposobem zawsze wiedziałem, że dziadek i babcia nie lubią Anglików i Amerykanów. Ale nie rozumiałem dlaczego, a oni nigdy tego nie wytłumaczyli. Wiedziałem, że dziadek walczył na wojnie. Ale dopiero teraz dotarło do mnie, że po drugiej stronie musieli stać Anglicy.

Kiedy jest się dzieckiem, przez większość czasu trzeba trzymać gębę na kłódkę, ale, co dziwne, jednocześnie ma się prawo do pytania o rzeczy, o które dorosłym pytać nie wolno. Tak więc zaryzykowałem, bo ciekawość była silniejsza od kindersztuby.

– Czy dziadek mógłby być tak miły i opowiedzieć o wojnie w Afryce, bo nic o niej nie wiem? – zapytałem.

Wujek Hans Olaf odłożył pędzel do szklanki z wodą i gwałtownie się odwrócił w naszą stronę.

– Tak, tato! – zawołał. – Zrób to, ja też chciałbym wiedzieć.

Dziadek przez chwilę milczał i patrzył na biały kilwater za statkiem. Potem stanowczo pokiwał głową, jakby podjął decyzję.

– Tak – oznajmił. – Macie prawo się tego dowiedzieć.

I zaczął opowiadać historię, zdawało się, że bez końca, która przykuła uwagę dwóch słuchaczy.

Przybył do Tanganiki w młodości, jako robotnik kolejowy. Do niemieckiej kolonii, gdzie wszyscy mówili po niemiecku. On był niemieckim inżynierem, choć oczywiście Norwegiem. Nastął czas ciężkiej pracy. Afryka to nie miejsce dla leniwych, ale ciężka praca jest opłacalna.

O wojnie nigdy nie myślał.

Jego praca przynosiła zyski i w końcu miał piękny dom blisko plaży w Dar es-Salaam. Chciał nam go pokazać, kiedy już dotrzemy na miejsce.

Nikt w Afryce nie mógł wiedzieć, że wybuchnie wielka wojna, w której europejskie mocarstwa będą próbowały wydrzeć sobie nawzajem kolonie. Anglikom zależało na Tanganice i Afryce Południowo-Zachodniej, niemieckich koloniach. Francuzi chcieli odebrać Niemcom Kamerun.

Wybuch wielkiej wojny oznaczał, że niemiecka Tanganika nagle stała się wrogiem angielskiego państwa ościennego – Kenii. Anglicy z Kenii natychmiast przystąpili do ataku.

Dziadek jako norweski robotnik kolejowy był neutralny, bo Norwegia była neutralna. Ale jednocześnie utknął w Tanganice. Na morzu panowała angielska flota, nikt nie mógł wrócić do domu.

W końcu bycie neutralnym Norwegiem w Tanganice stało się niemożliwe. Któregoś dnia do Dar es-Salaam przypłynęły dwa angielskie krążowniki i otworzyły ogień z dział. W mieście nie było żadnych celów militarnych, ale zniszczyły tyle budynków, ile się dało. Zrównały z ziemią dom dziadka, zabiły wszystkich jego pracowników i w ciągu kilku minut uczyniły go biedakiem. Dom płonął dwa dni, dopiero potem można było zacząć szukać zwęglonych zwłok,

aby je pochować.

Wtedy dziadek dołączył do niemieckiej armii w Tanganice.

Przez cztery lata walczył z Anglikami i Afrykanerami napływającymi z Kenii. Angielskie oddziały były prawie dziesięciokrotnie liczniejsze od niemieckich. Szeregowych żołnierzy w angielskich mundurach z reguły przywożono statkami z Indii. Nie miało znaczenia, jak wielu ich zginęło lub zostało rannych. Anglicy po prostu przysyłali kolejnych, w końcu posiadali całe Indie. Dlatego też nie mieli szpitala polowego dla szeregowców. Taniej było pozwolić rannym umrzeć i sprowadzić nowe mięso armatnie. Z całą pewnością więcej Hindusów zginęło od malarii niż od niemieckich kul. Tylko angielscy oficerowie mieli prawo do leków na malarię.

No dobrze, spróbujmy trochę skrócić tę długą historię. W Afryce oddziały niemieckie nigdy nie zostały pokonane przez Anglików i ich sojuszników. Ale wszystko poszło na marne. Wielka wojna nie rozstrzygnęła się w Afryce, lecz w Europie, na polach bitwy, o których my nigdy nie słyszeliśmy. Zwycięzca zabrał zaś cały łup. Tym sposobem Tanganika stała się angielska, tak samo jak Afryka Południowo-Zachodnia, a Kamerun francuski.

Cała niemiecka własność w Tanganice została skonfiskowana, także ziemia posiadana przez dziadka. Po kilkunastu latach okradzionym Niemcom łaskawie przyznano prawo do odkupienia własności. Tylko po to, żeby po następnej wojnie znów ją skonfiskować. Teraz historia znów się powtarzała. Anglicy po raz drugi odkryli, że finanse się poprawią dzięki niemieckim rolnikom i plantatorom – nie znaleziono bowiem diamentów, złota ani ropy. A więc po raz drugi zaproszono Niemców, którzy dawniej dbali o te ziemie. Ci Niemcy siedzieli teraz na pokładzie drugiej klasy statku M/S „Patricia”, który zresztą dawniej był niemieckim statkiem pasażerskim o zupełnie innej nazwie.

Anglicy byli najgorszymi ludźmi na świecie. No, może zaraz po Belgach. Niemcy niestety też mieli niechlubny okres, ale krótki i raczej wynikający z chwilowego szaleństwa.

W tej ponurej historii znalazł się jeden powód do radości. Angielski i francuski kolonializm umierał. W poprzednim roku Francuzi definitywnie utracili Indochiny. W tym roku ludność Algierii podniosła bunt przeciwko zwierzchności francuskiej i sprawa zmierzała do takiego samego finału jak w Indochinach.

W Kenii, która była ostatnim przystankiem przed Dar es-Salaam, bunt szalał na całego. Anglicy zdążyli zabić dziesiątki tysięcy Kenijczyków i umieścić ponad ćwierć miliona ludzi w obozach koncentracyjnych. Byli skazani na porażkę w Afryce, tak samo jak w Indiach. Wkrótce zostaną im tylko małe wyspy. Niczego jednak nie rozumieli i nadal podróżowali po świecie pierwszą klasą, prychnali i marszczyli nos na widok wszystkich innych.

Dziadek poszedł do baru w drugiej klasie po kufel piwa. Kiedy wrócił, chciał kontynuować opowieść.

Miałem milion pytań i myślałem o czarnych medalach, które widniały na portrecie namalowanym przez prastryja Sverrego. Dziadek musiał zabić wielu Anglików. Albo Hindusów.

Drugiego dnia na Morzu Czerwonym wiatr się uspokoił, a od żaru słonecznego powstała mgielka, która niemal przypominała prawdziwą mgłę. Kiedy z przeciwnej strony nadpływały inne statki, w drżącym upale wyglądały jak miraż, czasem nawet się wydawało, że unoszą się nad ziemią. Człowiek się pocił i lepił od słonego powietrza. Na Morzu Śródziemnym, kiedy wypłynęliśmy z Aleksandrii i zmierzaliśmy do Port Saidu, wiała bryza i czułem się jak w wyjątkowo ciepłym sierpniu w Sandhamn, a suche powietrze w Kanale Sueskim było po prostu przyjemne. To była kompletna odmiana, a ponieważ nadal mieliśmy przed sobą długą drogę na południe, zacząłem się zastanawiać, jak gorąco będzie w Afryce i czy Szwedzi i Norwegowie to zniosą.

Arabowie w Kolonii Adeńskiej chodzili w długich koszulach i wyglądało to całkiem

w porządku, ale jeśli ktoś nie był Arabem, pewnie by się ośmieszył w takim stroju.

Mieliśmy przed sobą kilka godzin na łądzie. Pasażerowie z pierwszej klasy wysiedli, a zastąpili ich kolejni Anglicy. Dziadek rozpytał o drogę na bazar, na którym można było kupić chyba wszystko – od tanich japońskich zabawek po duże metalowe tace ze zdobieniami ze złota i srebra, błyszczące materiały i ozdoby. Najbardziej zaskakujący był sklep z lodami, przed którym stała długa kolejka. Wielcy, spoceni mężczyźni stukali w szereg metalowych pojemników z lodami we wszystkich kolorach. Nawet dziadek nie potrafił wyjaśnić, dlaczego trzeba w ten sposób stukać, ale może miało to związek z tym, że lody były bardziej rozciągliwe niż zwykle.

W sklepie, który wyglądał na trochę droższy niż wszystkie pozostałe, dziadek natrafił na mężczyznę w zwykłym garniturze, z którym mógł rozmawiać tak swobodnie, jakby był on Niemcem albo Norwegiem. Usiedliśmy i poczęstowano nas słodką herbatą i lodami, a mężczyzna w garniturze pokazywał nam jeden sztylet po drugim. Dziadek pytał, komentował i wydawało się, że wie, o czym mówi. Pokazał mi wygięty sztylet, który wyglądał jak mały bułat z czarną rękojeścią i pochwą z zielonej skóry ze srebrnymi okuciami. Powiedział, że to najbardziej typowy arabski przedmiot, jaki istnieje – żaden człowiek w Kolonii Adeńskiej się nie liczy, jeśli nie ma czegoś takiego u pasa, najlepiej z trzonkiem z rogu nosorożca jak ten.

W dłoni wydawał się ciężki i szlachetny. Po długiej dyskusji o cenie i po większej ilości herbaty dziadek kupił dla mnie ten sztylet. To był chyba najpiękniejszy prezent, jaki w życiu dostałem, zaraz po harpunie.

Płynęliśmy dalej na południe. Zaczęliśmy jeść obiady i kolacje w restauracji drugiej klasy, żeby uniknąć Anglików z górnego pokładu. Z Niemcami było jeszcze sympatyczniej – dziadek najwyraźniej stawał się całkiem popularny, w końcu miał wiele do opowiedzenia na temat Tanganiki sprzed lat.

Zawinęliśmy do portu w Mombasie w Kenii, większość Anglików zaczęła wysiadać. To wymagało czasu i było dość kłopotliwe, ponieważ statek mógł stać przy nabrzeżu określoną liczbę godzin, a potem musiał się wycofać i zakotwiczyć na redzie. Powodem były wyjątkowo silne pływy. Przy nabrzeżu rozładowano wszelkie ciężkie bagaże, jak meble, a nawet dwa fortepiany i land rovera z napędem na cztery koła.

Kiedy zakotwiczyliśmy na redzie, pasażerowie mogli zejść po solidnych trapach do szalup, które transportowały ich do nabrzeża. Dziadek powiedział, że zejście na ląd w tym miejscu to nie najlepszy pomysł, bo wszyscy Afrykańczycy wezmą nas za Anglików. Mieliśmy jednak ważną sprawę – coś, co niestety musieliśmy załatwić już w Mombasie.

Na nabrzeżu wsiedliśmy do limuzyny, choć od dużej, ruchliwej ulicy z wieloma sklepami dzielił nas krótki kawałek drogi. Dziadek twierdził, że nie byłoby zbyt mądre, gdybyśmy poszli na piechotę – uznałem, że chodziło mu o upał.

Rozmawiał z kierowcą w dziwnym języku, a ten odpowiadał po angielsku. Wyjeżdżaliśmy z portu z małą prędkością, bo po ulicach kursowały dorożki złożone z wózka i roweru, który zastępował konia, albo po prostu z wózka, dwóch uchwytów i bosego Murzyna w charakterze konia. Wszędzie kręcili się czarni policjanci w białych mundurach i hełmach. Biali nie chodzili, siedzieli w samochodach, tak jak my. Był straszliwy upał, ale najwyraźniej nikt się tym nie przejmował, poza tym znacznie gorzej się czułem na bezwietrznym Morzu Czerwonym.

Wujek Hans Olaf przez cały czas robił zdjęcia swoją leicą. Można to było zrozumieć – nie widzieliśmy wcześniej miasta z tak wieloma czarnymi ludźmi i tyloma policjantami. Gdybym ja miał aparat, również fotografowałbym wszystko, co weszłoby mi w kadr.

Zatrzymaliśmy się przed dużym sklepem. Przed drzwiami stały rzędy koszy wypełnionych przyprawami w przeróżnych kolorach. W oknie wystawowym wisiały grabie, motyki, zapasowe opony, ubrania, dziwne kaski, koła do roweru, lampy naftowe, kuchenki

spirytusowe, liny, maczety, przybory rybackie i wszystko, co można było sobie wyobrazić, a nawet więcej. Dziadek powiedział, żebyśmy nie czekali na zewnątrz w samochodzie, ale weszli z nim do sklepu.

W środku panował tłok. Co dziwne, byliśmy tam jedynymi białymi. Ludzie patrzyli na nas wrogo, prawie jak Anglicy. Jednak gdy tylko dziadek przesadnie podniesionym głosem zaczął mówić po afrykańsku, atmosfera uległa zmianie, a niektórzy z obecnych nawet się uśmiechali. Sprzedawca, który do nas podszedł, też był bardzo przyjazny i przeprowadził nas przez tłum do lady. Zaczął ustawiać w rzędzie rozmaite słoiczki z lekami. Dziadek czytał etykiety, kiwał albo kręcił głową. Cały czas trwała wymiana zdań po afrykańsku. W końcu sprzedawca i kupujący doszli do porozumienia. Dziadek kupił pięć słoiczków, schował je do kieszeni marynarki i zapłacił.

Akurat w chwili, kiedy wyszliśmy, żeby pokonać kilka kroków dzielących nas od czekającego samochodu, na stojących przy nim dwóch policjantów zaczęli biec dwaj mężczyźni z uniesionymi maczetami. Jeden z policjantów natychmiast został powalony, drugi zdążył dmuchnąć w gwizdek i już po chwili także i on leżał na ziemi, a z głowy i szyi bryzgała mu krew.

Dziadek błyskawicznie wepchnął nas z powrotem do sklepu, ze wszystkich stron zbiegali się ludzie, wielu z nich miało w rękach uniesione maczety.

Zamknęliśmy za sobą drzwi. Wszyscy w sklepie wyglądali na śmiertelnie przerażonych. Dziadek zapytał o coś głośno, a sprzedawca, który pomagał nam z lekami, wskazał wyeksponowany rząd broni. Dziadek natychmiast chwycił jedną sztukę, dostał od sprzedawcy pudełeczko amunicji, odwrócił je do góry dnem i uderzył nim o ladę, tak mocno, że pękło. Wyjął garść naboń, błyskawicznie je załadował i odciągnął zamek.

Od razu wiedziałem, że tego widoku nigdy nie zapomnę. Dziadek obchodził się z bronią niewiarygodnie szybko i wprawnie – z taką samą łatwością, z jaką oprawiał flądry.

Stanął przed zamkniętymi drzwiami z uniesioną bronią, ryknął do nas po norwesku, żebyśmy się za nim ukryli, potem krzyknął po afrykańsku coś, co sprawiło, że wszyscy się pochowali albo uciekli w głąb sklepu.

Na zewnątrz słychać było krzyki, gwizdki policyjne, odgłosy maczet, które uderzały w żelazo albo w ludzi. Rozbrzmiewało coraz więcej gwizdków, a z oddali dobiegał dźwięk końskich podków.

Nagle drzwi zostały otwarte kopniakiem i zobaczyliśmy trzech Murzynów z uniesionymi maczetami i nienawistnie wytrzeszczonymi oczyma. Stali zaledwie kilka metrów od dziadka, a jeden z nich krwawił z paskudnej rany przy oku.

Dziadek wykrzyczał długą wiązanekę, która sprawiła, że napastnicy się zawahali, opuścili maczety i spojrzeli do tyłu. Dziadek zaczął mówić trochę spokojniej i nagle wymierzył broń w sufit. Mężczyźni pokiwali głowami, przebiegli obok niego i zniknęli na tyłach sklepu.

Na ulicy roило się już od żołnierzy na koniach, którzy rozpędzali ludzi batami albo rewolwerami. Biali jeźdźcy mieli rewolwery, przez cały czas było słychać strzały, głośne krzyki i odgłos chłostanych ciał.

W sklepie wszyscy dziwnie patrzyli na dziadka, który wrócił do lady, szybkimi ruchami opróżnił broń z naboń wprost do zniszczonego pudełka. Potem skinął głową i podał rozładowaną broń przerażonemu sprzedawcy.

Co dziwne, samochód nadal stał pod sklepem. Kierowca schował się na przednim siedzeniu i nie wychodził, dopóki dziadek mu nie kazał.

Na ulicach nie było żadnych ludzi, w każdym razie żywych. Tu i ówdzie leżeli zastrzeleni Afrykańczycy – niektórzy zupełnie nieruchomo, inni wyglądali, jakby jeszcze żyli.

Dziadek nie okazywał żadnych emocji. Otworzył tylne drzwi i skinął głową mnie

i wujkowi Hansowi Olafowi, żebyśmy wsiadali. Milczał przez całą drogę powrotną do nabrzeża. Nikt inny też nic nie mówił – ani kierowca, ani my. W szalupie płynącej na M/S „Patricię” nadal milczeliśmy. Wujek Hans Olaf jakimś sposobem pobladł pod opalenizną i patrzył prosto przed siebie. Pewnie wyglądałem podobnie.

Po wejściu na pokład dziadek zaprowadził nas prosto do niemieckiego baru w drugiej klasie, zamówił dwa duże piwa i słodki napój.

– Zdrowie – powiedział, gdy już nas obsłużono. – To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem, że w Kenii nie jest dobrze uchodzić za Anglika.

Piliśmy w milczeniu. Przypomniałem sobie trzech Afrykańczyków w drzwiach. Może widzieli, jak wchodziliśmy do sklepu – byliśmy tam jedynymi białymi. Może pomyśleli, że jesteśmy Anglikami. Czy chcieli nas zabić?

– Muszę zapytać o jedną rzecz – powiedziałem, kiedy już nie mogłem wytrzymać.

Dziadek wreszcie się uśmiechnął i odparł, że wcale się nie dziwi, bo jest o co pytać. Co więc chciałbym wiedzieć?

Znów zobaczyłem przed sobą wściekłych Afrykańczyków z uniesionymi nożami, wielkimi jak miecze. Zapytałem dziadka, co im powiedział i czy to było po afrykańsku.

– Nie – odparł z uśmiechem dziadek. – Nie ma takiego języka jak afrykański. Większość mieszkańców Tanganiki mówi w suahili, często używa się go także tutaj, na kenijskim wybrzeżu. Na szczęście posługiwali się nim także ci trzej, którzy przyszl nas zarznąć. W takiej chwili można było powiedzieć tylko jedną rzecz, a właściwie trzy. Po pierwsze, że jesteśmy Niemcami, a nie Anglikami, po drugie, że wspieramy ruch wyzwolenczy Mau-Mau, a po trzecie, że jestem dobrym strzelcem, który od czterech lat walczy z tymi cholernymi Anglikami. I może jeszcze po czwarte: że postąpią rozsądnie, jeśli nie będą wracali tam, gdzie jest angielska kawaleria, tylko wymkną się tylnymi drzwiami sklepu.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, a ja jeszcze raz obejrzałem cały film – tym razem ze szwedzkimi napisami, więc wszystko rozumiałem.

Wujek Hans Olaf miał inne pytanie. Skoro tata załatwił całą sprawę w sklepie i nikomu nie stała się krzywda, dlaczego potem wszyscy patrzyli na nas tak dziwnie, wręcz wrogo?

Dlatego, że byli biali – brzmiała zaskakująca odpowiedź. To znaczy nie mieli białej skóry, ale wszyscy pracowali dla białych ludzi, dla Anglików. Niewielu Afrykańczyków mogłoby się zaangażować w jakiś kosztowny interes – byli służącymi, ogrodnikami, kierowcami, kucharzami albo pełnili inne funkcje na służbie u Anglików. Byli kimś w rodzaju czarnych *quislingów* – zdrajców, którzy utrzymywali się z Anglików i wiodło im się lepiej niż większości Afrykańczyków wykonujących uczciwą pracę.

Dlatego nie byli zadowoleni, kiedy słyszeli, że człowiek z naładowaną bronią przedstawia się jako Niemiec, używa zakazanej nazwy ruchu wyzwolenczego Mau-Mau, a poza tym mówi, że cztery lata walczył z Anglikami. Jednak w tamtej sytuacji nie chodziło o zjednanie sobie publiczności w sklepie, lecz o tych trzech bojowników o wolność z pangami w rękach. Tak, w Afryce nie używa się słowa „maczeta”, lecz „panga”. A bojowników o wolność nazywa się terrorystami.

W każdym razie Anglicy w ostatnim czasie wywołali większy bunt niż kiedykolwiek. Dlatego umieścili ćwierć miliona Kenijczyków w obozach koncentracyjnych, a zabili dziesiątki tysięcy. Mogło się to skończyć tylko w jeden sposób. Buntu nie sposób stłumić dalszym rozlewem krwi. Dodatkowa krew była jak benzyna dolewana do ognia. Wyglądało na to, że Anglicy nigdy się nie nauczą i dlatego wkrótce zostaną wyrzuceni z Kenii, jak wcześniej z innych miejsc. Kolonie ustawiwały się w kolejce, żeby wyrzucić bestie – taka będzie świetlana przyszłość Afryki. Kontynent jest bogaty w złoto, diamenty, miedź, żelazo, fantastyczne ziemie

i przede wszystkim ludzi potrafiących ciężko pracować. Tu nie trzeba było angielskich panów ani Francuzów, a już na pewno nie Belgów, tych złodziejskich mętów.

Tyle na ten temat. Czas przejść do czegoś zupełnie innego.

Dziadek wyjął dwa słoiczki z kieszeni marynarki, postawił je na stole i przesunął w naszą stronę. To było lekarstwo na malarię, jedną z najbardziej zdradzieckich afrykańskich chorób. Istniało kilka jej wariantów, dziadek przez ponad trzydzieści pięć lat cierpiał na najłagodniejszy z nich. Dało się go kontrolować, wystarczyło brać leki obniżające gorączkę, kiedy nadchodził atak, czyli dwa, trzy razy do roku. Dobrą stroną łagodnej malarii było to, że dziadek nabył odporność na inne, również znacznie gorsze warianty. Najgorszy objaw to czarnomocz – zaczynało się siusiać na czarno. Wtedy należało porzucić wszelką nadzieję, bo śmierć się zbliżała. Żadne lekarstwo nie pomagało.

A więc nie było żartów. Następnego dnia mieliśmy dotrzeć do Dar es-Salaam. Od tego miejsca będziemy w zasięgu malarii. Nie mogliśmy więc oszukiwać z przyjmowaniem leku. Jedna tabletką raz na cztery dni, od teraz.

Dziadek zamówił dla nas dwie szklanki wody i dał znak ręką, żebyśmy wzięli po jednej tabletkę.

Była wielka jak aspiryna i utknęła mi w gardle, kiedy chciałem ją połknąć. Musiałem próbować kilka razy. Dziadek trochę się z nas naśmiewał i mówił, że być może będziemy mieli niespodziankę. W nocy po zażyciu pierwszej tabletki zdarzają się trochę dziwne sny, a raniem lekkie mdłości. Ale warto to przetrzymać.

„Trochę dziwne sny” znaczyło po prostu koszmary.

Kiedy tego wieczoru poszedłem do łóżka, zacząłem się pocić, a moje serce dziwnie się tłukło w piersi. Mimo to szybko zasnąłem i zostałem wciągnięty w dziwne sny o czarnych mężczyznach z dziko wytrzeszczonymi oczyma. Szli w moją stronę z uniesionymi pangami, a na ich drodze nie stał żaden dziadek z bronią. Próbowałem biec, ale mimo że wytrzymałem siły, nic z tego nie wychodziło, aż tu nagle z drugiej strony zaatakował mnie ryczący lew.

Kiedy się obudziłem, słońce już wschodziło. Nasze kabiny znajdowały się na sterburcie, więc ostre czerwone światło wpadało do środka przez otwór wentylacyjny. Wujek Hans Olaf, z którym dzieliłem kajutę, nie leżał na swojej koi, ale jego pościel była jak moja – przepocona i skłębiona. Miałem kompletnie przemoczoną piżamę i czułem nudności. Wypiłem szklankę wody i wyszedłem na pokład spacerowy tak jak stałem, żeby złapać oddech – poranna bryza przyjemnie chłodziła.

Siedział tam wujek Hans Olaf ze sztalugą i malował akwarelami morze – błyszczało bielą, czerwienią i błękitem pod wielką rozżarzoną kulą. Słońce w Afryce było większe niż w Szwecji czy w Norwegii, przekonałem się o tym na własne oczy. Widziałem również, że akwarela jest przepiękna, trochę jak ze snu.

Wujek Hans Olaf powiedział, że bym usiadł i przez chwilę nic nie mówił. Pracował intensywnie nad czerwoną słoneczną kulą. Czasem żalowałem, że nie potrafię tak czarować kolorami albo wiernie oddawać rzeczywistość jak prastryj Sverre, kiedy malował farbą olejną.

– Też ci jest niedobrze? – zapytał, kiedy w końcu zanurzył pędzel w szklance wody.

Zdołałem tylko pokiwać głową i wymruczeć coś na potwierdzenie. Wujek wybuchnął śmiechem, zajął miejsce na brązowym skórzanym siedzeniu i mnie objął.

Przez chwilę patrzyliśmy na wschodzące słońce, które robiło się coraz mniejsze i bardziej żółte, podczas gdy kolory morza bledły, a czerwone chmury bieleły. Wujek znów się roześmiał i stwierdził, że te cholerne tabletki nie są takie złe, przynajmniej jeśli chodzi o percepcję kolorów. Może powinniśmy zabrać dodatkową ich partię do domu?

W porcie w Dar es-Salaam było mniej więcej tak samo jak w Mombasie. Przybiliśmy do

brzegu w czasie przyływu i byliśmy pierwszymi pasażerami, którzy zeszli na ląd, ponieważ mieliśmy niewiele bagażu. Taksówkarze i bagażowi machali do nas ze wszystkich stron. Ponieważ przybyliśmy wczesnym rankiem, powietrze było chłodne i rześkie. Mewy wyglądały zupełnie inaczej niż u nas. Wzdłuż plaży stał długi rząd palm, a atmosfera kompletnie nie przypominała tej z Mombasy – tu najwyraźniej nie trwały żadne zamieszki. Biali mężczyźni swobodnie chodzili wśród Afrykańczyków. Wtaszczyliśmy walizki do punktu kontroli celnej.

Posępni czarnoskórzy celnicy natychmiast się rozpromienili, kiedy dziadek zaczął do nich zagadywać w suahili. Śmiali się, uśmiechali i mieli bardzo dużo do powiedzenia. Jeden z nich wyszeptał coś, czego nie powinien słyszeć biały angielski szef stojący kilka metrów dalej, a dziadek odpowiedział i wszyscy Afrykańczycy wybuchnęli głośnym śmiechem. Nie musieliśmy nawet otwierać walizek, celnicy tylko narysowali na nich krzyżyki kredą, a potem podstemplowali nam paszporty, nie oglądając ich zbyt dokładnie.

W ten sposób dotarliśmy do Afryki dziadka. Z tragarzami i taksówkarzami było tak samo jak wcześniej w środku z celnikami. Kiedy dziadek mówił w suahili, wszyscy, włącznie z nim, byli bardzo szczęśliwi.

W samochodzie po drodze do hotelu dziadek i kierowca przerzucali się żartami i śmiali się z rzeczy, których wujek Hans Olaf i ja ni w ząb nie rozumieliśmy.

Dziadek przerwał tylko raz, odwrócił się w naszą stronę i powiedział, że wspaniale jest znów rozmawiać w języku suahili, mimo że nieco już go zapomniał. W domu próbował tylko raz – kiedy klub w Sandhamn odwiedziła prawdziwa murzyńska orkiestra. Dopiero kiedy zobaczył zdziwione miny amerykańskich muzyków, zdał sobie sprawę, że się wygłupił, próbując do nich mówić w języku, z którym nigdy nie mieli nic wspólnego. Po pierwsze, niewolnicy przyплыли do Ameryki kilkaset lat wcześniej. Po drugie, pochodzili z Afryki Zachodniej.

W hotelu zostawiliśmy bagaże i wreszcie zdjęliśmy stanowczo za ciepłe marynarki, a potem wyszliśmy z dziadkiem do miasta. Orientował się całkiem dobrze. Dotarliśmy do sklepu z ubraniami. W środku zdecydowanymi gestami wskazywał to jeden, to drugi element stroju, a następnie wysłał nas do przebieralni. Wyszliśmy w grubych koszulach khaki, krótkich spodenkach ze specjalnymi kieszeniami na amunicję, lekkich skórzanych butach, długich skarpetkach i płóciennie-skórzanych kapeluszach z szerokim rondem. Nasze gołe nogi były oczywiście zupełnie białe.

Od razu poczułem, że właśnie tak należy się ubierać w Afryce. Nasze stare szwedzkie ciuchy i dodatkowy komplet odzieży, taki sam jak ten, który mieliśmy na sobie, posłaniec dostarczył do hotelu. Dziadek zaprowadził nas do portu i na wybrzeże, na długą promenadę otoczoną palmami. Już nie było chłodno.

Usiedliśmy na ławce przy promenadzie, w cieniu dwóch palm. Dziadek wskazał cztery białe budynki blisko wody pilnowane przez strażników. Tam kiedyś stał jego dom – swoisty afrykański odpowiednik naszych długich domów. Miał ściany z bielonej wapnem cegły i dach kryty tradycyjną afrykańską strzechą. Stał na tej samej posesji, na której teraz wznosiły się duże wille w stylu angielskim. Ponieważ budynków pilnowali umundurowani strażnicy i otaczały je wysokie żelazne płoty, które wyglądały jak ciasno ustawione oszczepy z połączanymi grotami, domyśliliśmy się, że na dawnej posesji dziadka mieszkają teraz angielskie grube ryby. Jeden z dwóch wysłanych przez Anglików na bezbronne miasto krążowników, który zniszczył dom dziadka, zabijając wszystkich w środku i wiele osób w pobliżu, nosił piękną nazwę HMS „Hiacynt” – nietypową jak na okręt bojowy i trudną do zapamiętania. W końcu pod Zanzibarem zatopił go niemiecki krążownik – było to jedno z nielicznych niemieckich zwycięstw na morzu podczas tej wojny. Bardzo mała sprawiedliwość wśród bardzo wielkiej niesprawiedliwości.

Przez całe przedpołudnie spacerowaliśmy po mieście. Dziadek czasem znajdował to,

czego szukał, a czasami nie i wtedy mamrotał coś o brzydkich budynkach i o tym, że angielscy architekci nie mają wyczucia stylu i kontekstu miejsca. Czy coś w ten deseń. Nie pamiętam dokładnie. O tej porze zaczął się upał, przed którym ostrzegął nas dziadek. Sam chyba nie zwracał na to uwagi.

To była przygoda, nie ma co do tego wątpliwości. Tu również byli czarni policjanci w białych uniformach, ale nie tak liczni jak w Mombasie, a ludzie wydawali się znacznie spokojniejsi. Widzieliśmy innych białych, którzy także szli na piechotę i nie wyglądali na zbytnio zaniepokojonych.

Dziwnie było widzieć takiego dziadka – w krótkich spodniach, z białymi nogami, które pokrywały błękitne żyłki. W ciągu całego życia widziałem go tylko w pięciu wersjach – w smokingu, we fraku, w garniturze do wychodzenia na miasto, w pasiastym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym i w marynarskim stroju na pokładzie „Beduina” lub w Sandhamn. A tymczasem tutaj chodził jak gdyby nigdy nic w stroju khaki, krótkich spodenkach i butach ze skóry bawołu – był zupełnie innym dziadkiem. Mnie i wujkowi Hansowi Olafowi chodzenie w afrykańskim ubraniu kojarzyło się trochę z przebieraniem się za Indian – nie były to prawdziwe stroje, tylko zabawa. Ale na dziadku jakimś sposobem wyglądały na prawdziwe. I inni też tak uważali, bo kiedy przystawał i pytał o drogę w suahili, w jakiś magiczny sposób stawał się równie afrykański jak wszyscy wokół. Zacząłem fantazjować o jego życiu w Afryce na długo przed moim pojawieniem się na świecie. Musiało być zupełnie inne od tego, które wiedzieliśmy w Saltsjöbaden, jakby przebiegało na obcej planecie.

Jednak był to ten sam dziadek. Pamiętał wszystko w czasie owego pół roku, kiedy jedliśmy śniadania w wykuszu. Ale nie powiedział o tym świecie ani słowa. Dziwne.

Szukaliśmy czegoś prawie godzinę, chyba adresu. Najpierw dotarliśmy do kompletnie zrujnowanego domu z małymi, prostymi sklepikami na parterze. W górnej części fasady dostrzegłem częściowo odpadające i zniszczone przez deszcz litery, które kiedyś były złote. Dziadek wskazał na nie i powiedział, że kiedyś widniał tam napis: Lauritzen. Dało się odczytać tylko „La”. Staliśmy tam chwilę, podczas gdy dziadek rozmawiał z ludźmi ze sklepików. W końcu ze środka wyszedł wąty starzec. Najwyraźniej chciał coś przekazać, bo pokazywał w kierunku centrum miasta i gestykułował, jakby opisywał coś wielkiego.

Kontynuowaliśmy spacer w stronę większych i bardziej eleganckich ulic bliżej morza. W końcu dotarliśmy do pięknego domu wzniesionego w innym stylu. Był zupełnie biały, a wejście zasłaniała kolumnada. Dziadek oznajmił, że to nie jest do końca afrykańskie, bo tak budowano tylko na Zanzibarze. Weszliśmy w cień pośród kolumnady. Wisiała tam czarna tabliczka ze złotymi literami, na której widok dziadek głośno wciągnął powietrze.

Służący w czerwonym uniformie ze złotymi lampasami przytrzymał nam drzwi, a my bez ceregieli wmaszerowaliśmy do pięknego korytarza z białego marmuru z fontannami i palmami w donicach. Znajdowała się tu recepcja, prawie jak w hotelu.

Mężczyzna za ladą machnął na nas tak, jak się odpędza muchy, i powiedział po angielsku coś, co nie zabrzmiało zbyt grzecznie. Dziadek odpowiedział w suahili – wystarczyło kilka słów, żeby recepcjonista się przestraszył, gwałtownie uniósł słuchawkę telefonu i dał znak drugą ręką, żebyśmy usiedli na kanapach przy jednej z fontann, obok której stała ogromna mosiężna klatka z ćwierkającymi ptakami w metalicznych, połyskujących barwach.

Dziadek powiedział, że wygląda na to, iż mamy szczęście, ale mimo to wydawał się zdenerwowany.

Nie trwało długo, zanim jakiś ubrany na czarno mężczyzna w workowatych spodniach zszedł po marmurowych schodach z piętra.

Dziadek się podniósł. Tamten gwałtownie przystanął na wypolerowanej posadzce.

Popatrzyli na siebie, jakby nie wierzyli własnym oczom, kilka sekund stali jak skamieniali, a potem rzucili się sobie w objęcia i zaczęli się ścisnąć. Nie wyglądali na zrównoważonych. Jeden przez drugiego zaczęli mówić w suahili, czasem się śmiali, potem wzdychali i znów wybuchali śmiechem, a słowa płynęły. Wujek Hans Olaf i ja mogliśmy tylko się domyślać, czego dotyczy rozmowa.

W końcu dziadek przypomniał sobie o nas, odwrócił się. Wyglądał na bardzo szczęśliwego, kiedy mówił, że to nikt inny, tylko Mohamadali – i tu dodał nazwisko, którego nie dało się zrozumieć – jeden z jego najlepszych przyjaciół.

Przywitaliśmy się i zostaliśmy zaproszeni na obiad. Cicho westchnąłem na myśl o kolejnym czekającym mnie długim siedzeniu przy stole z dorosłymi.

Ale było zupełnie inaczej, niż się spodziewałem. Można powiedzieć, że od tamtej pory nic nie było takie, jak to sobie wyobrażałem. Może poza zebami.

Następnego dnia siedziałem przy oknie w przedziale pociągu z mosiężnymi lampkami i wypchanymi siedzeniami z czerwonej skóry. Mieliśmy jechać pociągiem trzy dni.

Przez pierwsze godziny za oknem przedziału niewiele się działo – patrzyłem na płaski krajobraz, małe murzyńskie wioski pełne chałup krytych strzechą, wszędzie widziałem kury i małe czarne dzieci pasące kozy.

Próbowałem odegrać opowieść dziadka o Mohamadali jak film przygodowy.

Słynny łowca lwów i pogromca kanibali Oscar Lauritzen przyjechał do hotelu, żeby spędzić miły wieczór po wielu trudnych chwilach w buszu. Akurat kiedy dotarł do drzwi, portierzy wyrzucali młodego Hindusa, który miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Jeden z nich podszedł, żeby go kopnąć, chociaż Hindus leżał i cierpiał z bólu.

W tym momencie słynny łowca lwów wkroczył bez wahania, pomógł Hindusowi stanąć na nogi i surowym głosem powiedział portierom, że to pan Singh, którego zaprosił na obiad. Kazał im go przeprosić, co też zrobili.

Ponieważ powiedział, że zaprasza go na obiad, dotrzymał słowa. Weszli razem do środka i dostali najlepszy stolik.

Nazwisko Singh było oczywiście zmyślane przez dziadka. Ale tak właśnie wyglądało pierwsze spotkanie jego i Mohamadalego. Obaj byli z tego powodu bardzo szczęśliwi. Mohamadali pochodził z zanzibarskiej rodziny, która prowadziła dużą firmę handlową. Wszyscy jej członkowie musieli pomagać w działalności przedsiębiorstwa. Mohamadali miał dotrzeć do Dar es-Salaam i rozkręcić filię. Zadanie nie należało do łatwych, bo Tanganika była niemiecka, a Zanzibar angielski.

Przy stole w restauracji łowca lwów i handlowiec nie musieli długo rozmawiać, żeby stwierdzić, że się dobrali jak w korcu maku. Dziadek mógł dostarczyć nieograniczone ilości kości słoniowej i mahoni, ale nie znał się na interesach. Przedsiębiorca Mohamadali sam nie dałby rady zdobyć takich towarów, poza tym w Tanganice był uważany za obcokrajowca. Ale dziadek służył Niemcom i dlatego załatwił wszelkie papiery i pozwolenia.

Razem założyli firmę handlową i w zaledwie kilka lat bardzo się wzbogacili.

Gdyby dziadek się nie zdenerwował, że portierzy z hotelu Kaiserhof, jak się wtedy nazywało to miejsce, tak źle traktują Hindusa, i nie wkroczył, los całego rodu Lauritzenów byłby zupełnie inny. Prastryj Lauritz nigdy nie poznałby Ingeborg, nie mieszkalibyśmy w Saltsjöbaden, nie byłoby cioci Johanne, cioci Rosy, Eilerta, Henninga, Petera, a może nawet i mnie.

To była dobra historia.

Długiego siedzenia przy stole poprzedniego wieczoru także nie mógłbym sobie wcześniej wyobrazić. Chociażby dlatego, że siedzieliśmy na podłodze w morzu pięknych poduszek i połyskujących mosiężnych lampek ze świeczkami. Albo z powodu niezliczonej ilości małych

półmisków wnoszonych szybciej, niż człowiek był w stanie zjeść ich zawartość, na których każda potrawa była lepsza od poprzedniej, choć inna od tych, do jakich byliśmy przyzwyczajeni. To było jak bezwstydną wyjadanie czekoladek z wielkiego pudełka i ciągle myślenie, że następna będzie jeszcze smaczniejsza – a to sprawia, że nie można przestać, dopóki się nie zostanie surowo zruganym. Dziadek i wujek Hans Olaf dostali tyle wina, że prawie stracili dech, bo kelnerzy wciąż im dolewali. Gospodarz Mohamadali pił tylko wodę i dzielił się nią ze mną – może nie mógł pić białego wina.

Pociąg jechał znacznie wolniej niż te szwedzkie czy norweskie, czasem czułem się jak pod żaglami, zwłaszcza kiedy wjeżdżaliśmy na sawannę i widać było wszystko w promieniu dziesięciu kilometrów. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem stado zebra, krzyknąłem i pokazałem je palcem. Tylko te zwierzęta potrafiłem bezbłędnie rozpoznać, oprócz słoni. W sztokholmskim Skansenie żyły przecież małe słonie indyjskie.

Dziadek na chwilę stanął obok mnie, pokazywał rozmaite zwierzęta i próbował mnie nauczyć ich nazw. Wydawało się, że zna każde z nich. Najłatwiej było zapamiętać gnu.

To właśnie tę kolej zbudował dziadek, w czasie kiedy prastryj Lauritz robił to samo w Norwegii na płaskowyżu Hardangervidda. To było niemal niewyobrażalne – jeden z braci zmagał się ze śnieżycami i mrozem, a drugi z dokładnie odwrotnymi warunkami.

Dziadek wyjaśnił, że ta podróż pociągiem od początku stanowiła część jego planu. Zanim będzie za późno, chciał popatrzeć na swoją kolej i po raz ostatni zobaczyć Afrykę, zabrać nas do kraju Masajów, głównie ze względu na wujka Hansa Olafa, bo światło i kolory w północnej Tanganice są wyjątkowo dobre dla malarzy. Przynajmniej tak mówił prastryj Sverre, a on się na tym znał.

Teraz mogliśmy więcej zaplanować, bo *bwana* Mohamadali mógł załatwić w Afryce wszystko. Dziadek zapowiedział, że gdy tylko dotrzemy do Kigamy, małego miasteczka, w którym na wybrzeżu jeziora Tanganika kończyła się linia kolejowa, wybierzemy się na prawdziwe safari w dżicy. To było więcej, niż sobie wymarzył.

Sztokholm, maj 1968

Odetchnąłem z ulgą, że tym razem nie miałas żadnych uwag natury stylistycznej. Oczywiście bezbłędnie wskazujesz problem. Jedenastoletni narrator to ciągle ryzyko – z jednej strony może brzmieć zbyt dziecinnie, a z drugiej jak stary maleńki, co jest trudne do zniesienia. I tak źle, i tak niedobrze.

Niektóre sformułowania można doszlifować na etapie obróbki redakcyjnej. Oczywiście nie chodzi o żeglarskie terminy – gdyby jedenastolatek w towarzystwie dziadka mówił „lewo” zamiast „bakburta”, natychmiast by go poprawiono. Teraz jednak ważne jest to, żeby pisać i przenieść tę historię na papier. Muszę skończyć przed świętem Midsommar.

Przejdźmy do treści. Zwracasz uwagę, nie całkiem subtelnie, że wyidealizowałem dziadka Oscara w stopniu znaczącym, jak powiedzieliby prawnicy. Że dopasowałem jego obraz do naszych czasów, jakby on też nosił na palcu znaczek Wietkongu. Co nie wchodziłoby w grę w przypadku jego brata i Twojego ojca Lauritza.

Ale podtrzymuję to. Mój dziadek naprawdę był antyimperialistą, także w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. To oczywiście prawda, że nienawidził Anglików z powodu osobistych doświadczeń, że tak pociągnę tę zabawę w łagodne określenia.

Jednak Francuzów nie nienawidził i oboje o tym wiemy. Zdaje się, że zarówno mój ojciec, jak i dziadek od strony ojca bardzo dobrze się dogadywali z dziadkiem w czasie swoich krótkich gościnnych występów w naszej rodzinie.

Poza tym jestem stuprocentowo pewny, że mówił o „Indochinach” i o tym, jak się cieszy, że Francuzi zostali stamtąd wyrzuceni. Już wtedy wykazywał się bardziej postępowym

podejściem do algierskiego ruchu narodowowyzwoleńczego niż ja kilka lat później, kiedy zostałem przesadnym frankofilem. Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, w jaki sposób dziadek ustosunkowałby się do wojny w Wietnamie: USA precz z Wietnamu!

Był więc w najwyższym stopniu patriarchalnym konserwatystą. To prawda. Ale był też w najwyższym stopniu antyimperialistą. Jednocześnie.

A zatem w połowie prawicowcem, a w połowie lewicowcem. Może to nietypowe, a na pewno wewnętrznie sprzeczne. Ale tak było.

No i oczywiście doskonale się orientował w postępkach walki z kolonializmem. Czytał nie tylko „Svenska Dagbladet”. Do biura zaprenumerował też „Neue Zürcher Zeitung”, a poza tym wiedział wszystko, co się dało, o Mau-Mau i innych afrykańskich ruchach wyzwoleniowych, na przykład o Froncie Wyzwolenia Narodowego w Algierii.

Jeśli chodzi o treść, w jednym punkcie muszę Cię niestety rozczarować. Dalszy ciąg nie będzie opowieścią o pełnym przygód safari w Tanzanii. Wprawdzie dziadek zastrzelił ostatniego słonia w życiu w dość dramatycznych okolicznościach, ale wspomnienia z tego zlewają mi się w jedną masę i istnieje ryzyko, że wypełnię luki zbyt wieloma błędami. Przecież nie wiem nic o polowaniu. Poza tym byłaby to zbyt długa dygresja.

Zamiast tego przejdę od razu do katastrofy, do której doszło po pogrzebie. W tym miejscu następuje punkt zwrotny w opowieści, dlatego wydaje mi się niewłaściwe wydłużanie drogi, która do niego prowadzi.

Po raz pierwszy odniosę korzyść z obrania perspektywy dziecka. Zwykły wszechwiedzący narrator miałby piekielnie trudną robotę z badaniem sporów o spadek i ich konsekwencji finansowych. Ja sobie to podaruję.

Poza tym chcę się zbliżyć do samej zagadki: lat pięćdziesiątych, które są tak blisko, a jednak tak daleko. W tym kontekście ani klasyczne spory o spadek, ani klasyczne kolonialne polowanie w Afryce nie pełniłyby żadnej sensownej funkcji.

Raczej zajmę się naprawdę szczególnym aspektem kobiecym. Tak, tak! Już widzę Twój ironiczny uśmiech.

Dzisiejsza walka kobiet na lewicy ma niestety cechy zarówno prymitywnej nienawiści do mężczyzn, jak i czystej głupoty, która budzi we mnie silne uczucie alienacji. Z pewnością u innych mężczyzn również.

Ostatnim przykładem feministycznej głupoty jest wyobrażenie, że siedemnastowieczne procesy czarownic były rezultatem patriarchalnego spisku. Pewna towarzyszką z Grupp 8 – naszej feministycznej awangardy – opublikowała ostatnio tekst z pełną powagą propagujący tezę, że czarownice posiadały wiedzę medyczną znacznie przewyższającą tę, którą mieli mężczyźni, i w związku z tym zostały zlikwidowane – żeby powstało miejsce dla prymitywnej, lecz męskiej szkolnej medycyny.

Tak się składa, że znam ten temat, bo kilka lat temu napisałem pracę na wyższą ocenę z historii prawa. Na ten trop naprowadził mnie profesor Per-Edwin Wallén.

Koncepcja wyższej wiedzy medycznej, która jakoby została unicestwiona w czasie procesów czarownic, pochodzi nie od kogo innego, tylko od szefa SS Heinricha Himmlera. Chciał on na przykład wynaleźć zamiennik dla chrześcijaństwa, ponieważ pierwotna kultura „Germanów” została jakoby unicestwiona przez chrześcijańską hegemonię w Europie. Podobno SS przeznaczyło pokaźne środki na udowodnienie, że wiedźmy były depozytariuszkami sekretnej germańskiej sztuki leczenia. Przypuszczam, że badacze SS z rozpaczy wyrwali sobie włosy z głów, kiedy zdali sobie sprawę, że szczytowy okres palenia czarownic przypadł na siedemnasty wiek, a nie średniowiecze. Co oznaczało, że kampania chrześcijan, mająca na celu zniszczenie „germańskiej” kultury, była spóźniona o przynajmniej tysiąc lat.

Przepraszam za dygresję, nie mogłem się oprzeć. Feministki są z zasady postępowe, więc człowiek nie chce występować przeciwko nim bez potrzeby. Ale co zrobić, jeśli plotą zwyczajne bzdury?

Mój kobiecy trop w latach pięćdziesiątych jest oczywiście zupełnie inny. Mam zamiar wykorzystać mamę i Ciebie jako modelowe postacie, które porównam w mojej historii. Jeżeli nie podoba Ci się ten pomysł, to po prostu powiedz, a wtedy poszukam innej drogi.

Ale do rzeczy.

Jesteście kuzynkami. Zostałyście wychowane przez ojców tego samego pokroju – norweskich twardzieli z Vestland, którzy siłą przejęli rolę *pater familias*.

Ale też, jeśli wolno mi tak powiedzieć, zostałyście wychowane przez tego samego pokroju matki. Twoja matka Ingeborg i moja babcia Christa mają takie samo arystokratyczne pochodzenie, obie też od czasu walki o prawo kobiet do głosowania należały do radykalnej lewicy.

Jak to możliwe, że Ty i moja mama jesteście tak różne?

Dzieli was niecałe dziesięć lat. Ale także coś innego, trudniejszego do zmierzenia, a mianowicie różnica między latami czterdziestymi a pięćdziesiątymi.

Nigdy nie przyszło Ci do głowy, żeby zostać „gospodynią domową”. Kształciłaś się z taką samą determinacją jak Twoja mama Ingeborg. Nawet obroniłaś doktorat (możliwe, że zbyt szybko) i aktywnie uczestniczyłaś w walce z nazizmem. Zresztą uważam, że powinnaś spisać wspomnienia.

Mama nigdy się nie kształciła, żeby być kimś innym niż gospodynią domową – to musiało być dla Ciebie równie obce jak dla dzisiejszych postępowych młodych kobiet. Powiedz „gospodyni domowa” na spotkaniu Grupp 8 i zobacz, co się stanie...

Wydaje mi się jednak, że kobiety w latach czterdziestych rozpoczynały pracę zawodową, ponieważ mężczyźni otrzymywali wezwanie do wojska albo już byli na wojnie.

A potem, w latach pięćdziesiątych, zostały odesłane z powrotem do kuchni – nie przemocą, ale poprzez idealizowanie roli gospodyni domowej. Przypomnij sobie te wszystkie filmy z paniami domu, wszystkie reklamowe obrazki matki przy piekarniku i nowym robocie kuchennym i podobną indoktrynację.

Może więc ideał gospodyni domowej z lat pięćdziesiątych wcale nie był pozostałością dawnych idei. Może wręcz przeciwnie, stanowił element ze wszech miar nowoczesnej, by nie powiedzieć „amerykańskiej” ideologii.

Kiedy dotknęła nas katastrofa w postaci śmierci dziadka, mama, gospodyni domowa, jak wszystkie inne mamy z Saltsjöbaden, które znałem, powinna się załamać. Nikt nie mógłby być gorzej przygotowany do nagłej biedy niż ona. Chcę jednak stwierdzić, że, mówiąc językiem Churchilla, *this was her finest hour*.

Natychmiast przystępuję do pracy, będę pisał tę opowieść do przyszłego tygodnia. Możemy się wtedy zobaczyć? Podejrzewam bowiem, a raczej się obawiam, że będziesz miała nader wiele do powiedzenia.

MROCZNE PÓŁROCZE

Miasto miało zupełnie inny zapach niż Saltsjöbaden, a ludzie mówili w dialekcie, którego słowa zdawały się dobiegać bardziej z nosa niż z ust.

Najpierw przez chwilę mieszkaliśmy przy Hornsgatan w dzielnicy zwanej Söder. Przeprowadzka do nieznanego miejsca powinna być ekscytująca, powinienem być zachwycony, że gorące lato wreszcie dobiegło końca, że mogę wreszcie zacząć chodzić do szkoły i uczyć się angielskiego.

Jednak w tamtym czasie nie potrafiłem się z niczego cieszyć. Często płakałem i miałem gdzieś, że w naszej rodzinie się nie płacze. Co jakiś czas wygrzebywałem przedmiot, z którym wiązało się najpiękniejsze wspomnienie o dziadku – arabski sztylet, który podarował mi w Kolonii Adeńskiej. To był mój skarb i moja tajemnica, dobrze schowana na górnej półce szafy – tam, gdzie braciszek nigdy nie sięgnie.

Dziadek zaczął chorować już w czasie powrotu do domu M/S „Patricia”. Okrętowy lekarz orzekł, że to z całą pewnością malaria i że obecnie już nikt nie wierzy w to, że jeśli się złapie pewien rodzaj malarii, jest się odpornym na wszystkie inne.

Gdyby dziadek zażył tabletki, które wywołały koszmary u mnie i u wujka Hansa Olafa, nadal by żył.

Lekarze z Saltsjöbaden mogli tylko łagodzić ataki febry. Nie potrafili się dostać do pasożytów w ciele dziadka. Wcześniej nie mieli zbyt często do czynienia z malarią.

Kiedy po tygodniu zaczął sikać na czarno, pozwolono nam wejść do jego sali i się pożegnać. Byli u niego prawie wszyscy z rodziny, wchodzili parami. Tylko ja wszedłem sam. Dziadek chciał, żebym się zjawił jako ostatni.

– Nie płacz! – powiedział na samym początku, a ja robiłem wszystko, żeby się opanować, ale to nie było łatwe.

Dziadek miał zamglone spojrzenie i był mokry od potu, a także w pewien sposób się skurczył – tylko jego dłonie były tak wielkie i gruzłowate jak przedtem.

– Oczywiście chciałem żyć nadal – kontynuował – chciałem zobaczyć, jak przejmujesz firmę. Ale stało się inaczej, sikam na czarno. Po maturze będziesz studiował w Wyższej Szkole Handlowej w Sztokholmie, pamiętaj o tym. Inżynierów u nas do diabła i trochę, w przyszłości władzę będą mieli przedsiębiorcy. Skup się na matematyce.

Po tych słowach dziadka nasza chwila na osobności dobiegła końca.

Kiedy mnie przytulał, choć nigdy wcześniej tego nie robił, jego ramiona drżały z wysiłku. Następnego dnia umarł.

Moje ostatnie wspomnienie związane z dziadkiem jest takie, że stoję za czarnym karawanem obok schodów do kuchni przy Kallvägen, z nosem przyciśniętym do tylnej szyby. W środku, w długim bagażniku, w prostej trumnie z jasnego dębowego drewna leży dziadek. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jest tam sam. Czy rzeczywiście wynieśli go przez drzwi kuchenne? To była oczywiście krótsza droga niż przez eleganckie wejście główne, ale mimo wszystko.

Nagle samochód ruszył, a ja prawie upadłem nosem na zwir.

Resztę lata braciszek i ja spędziliśmy z babcią i Torunn w Sandhamn.

Dorośli mieli tak wiele do załatwiania ze spadkiem i wszystkimi adwokatami, że prawie nie wychodzili z domu. Wujek Carl Lauritz nie pojawił się nawet na sierpniowych regatach. To były chyba jedyne regaty w Sandhamn, które w życiu przegapił.

Wszyscy mówili, że lato jest przeraźliwie ciepłe. Ja tak nie uważałem, wręcz przeciwnie – wydawało mi się takie jak zwykle. Ale ponad połowę tego lata spędziłem w Afryce.

Nie musiałem iść na pogrzeb w Saltsjöbaden. Przynajmniej tak powiedziała mama. Nie wiem, czy chciałbym tam być. Prawdopodobnie bym się rozryczał i ośmieszył. Wiedziałem, że i tak z samego pożegnania będę pamiętał Kallavägen, ruszający czarny samochód i to, jak prawie upadłem.

Rozpoczęcie nauki wyglądało inaczej, niż je sobie wyobrażałem. Szkoły w Sztokholmie były zupełnie inne niż w Saltsjöbaden. Przede wszystkim znów byłem pierwszakiem. Szkoła liczyła pięć klas – od pierwszej do piątej – i chodzili do niej sami chłopcy, w sumie ponad siedmiuset.

Po drugie, panowała tu znacznie bardziej surowa atmosfera niż w Saltsjöbaden. Każdy dzień zaczynał się od porannej modlitwy, a przy drzwiach stali duzi chłopcy z piątej klasy i zapisywali nazwiska wszystkich, którzy przychodzili spóźnieni. Po trzech spóźnieniach w semestrze otrzymywało się obniżoną ocenę ze sprawowania.

Poranna modlitwa to nie tylko Bóg, Jezus i śpiewanie psalmów. Były też kazania na inne tematy, przede wszystkim o lenistwie, psotach, młodocianych przestępcach i straszliwych karach, które nas czekały, jeśli zostaniemy na czymś takim przyłapani. Nie uważałem, żeby takie kazania nas dotyczyły. Przestępcami byli dorośli z biednych rodzin, którzy się nawzajem mordowali i okradali.

Czasami jednak podczas porannej modlitwy podejmowano zupełnie inne kwestie, takie jak bomba atomowa, komunizm i to, jak Ameryka uratowała Europę. Często za tym wszystkim nie nadążałem, ale przynajmniej mniej w tym było zrzędzenia niż w kazaniach o lenistwie młodzieży.

Każda klasa miała porządkowego, który chodził w krawacie i marynarce, nosił podręczniki w teczce dla dorosłych i z reguły należał do najgorszych w gimnastyce i w grze w piłkę.

Przed rozpoczęciem lekcji porządkowy stał w drzwiach i patrzył na korytarz. Kiedy spostrzegął, że idzie nauczyciel, krzyczał: „baczość!” i wszyscy stawali przy ławkach. Nauczyciel wchodził do klasy, porządkowy meldował, kto jest nieobecny, zostawało to wpisane do dziennika, a potem się witaliśmy i siadaliśmy. Od tamtej chwili należało trzymać głowę na kłódkę i siedzieć prosto jak świeca. Nawet szeptanie nie było dozwolone, mogliśmy tylko słuchać nauczyciela i odpowiadać na pytania. Odzywianie się bez pozwolenia skutkowało uwagą zapisywaną w dzienniku, a trzy uwagi w semestrze równały się obniżonej ocenie ze sprawowania.

Przyzwyczajenie się do tego ostrego stylu wymagało czasu, nie ze względu na szczególną trudność, lecz dlatego, że był tak nowy i inny od tego, do czego się przyzwyczaiłem w szkole. W Saltsjöbaden żadna klasa nie liczyła więcej niż osiemnastu uczniów. Tutaj w klasie 15A szkoły Vasa Real uczyło się ich dokładnie dwa razy tyle, i nie było ani jednej dziewczyny.

Najlepszą nowość stanowili nauczyciele – a zwłaszcza pan od historii, na którego mówiono Ärtan (Groszek), bo na imię miał Arthur. Był doktorem na Uniwersytecie w Sztokholmie, do którego od szkoły szło się piętnaście minut. Mieliśmy szczęście, że zdołał pracować w tych dwóch miejscach naraz – sztokholmczyki mówili na to „dodatkowa fucha” – bo jego zajęcia były jak wyjście do kina. Na przykład wskakiwał na katedrę, kładł wskaźnik na ramię, trzymał przed sobą składany przymiar jak tarczę, kazał nam sobie wyobrazić, że wskaźnik to sześciometrowa lanca, i opowiadał, jak falanga macedońska rozcinała szyk wroga niczym gorący nóż kostkę masła.

Cały semestr zimowy poświęciliśmy na historię starożytnej Grecji – od Termopil i Leonidasa do Aleksandra Wielkiego i złotego wieku Aten. W semestrze letnim czekał nas z pewnością równie ciekawy przegląd historii Rzymu. Nic dziwnego, że z historii byłem równie

dobry jak z matematyki.

Podobało mi się też to, że wreszcie mogłem zacząć naukę angielskiego – chyba za tym tęskniłem najbardziej, kiedy podróżowaliśmy po Afryce. Teraz mogłem ćwiczyć z mamą w domu. Najgorsza jak zwykle była nauka religii – w kółko to samo, już od poprzedniej pierwszej klasy.

Zajęciami, które najbardziej się różniły od tych w szkole w Saltsjöbaden, były gimnastyka i sport. Tam na gimnastyce pani pozwalała nam robić to, co lubimy. Ona siedziała i poprawiała prace pisemne, chłopcy grali w piłkę albo w hokeja, a dziewczyny w palanta płaskimi drewnianymi kijami albo skakały na skakance.

W szkole w Sztokholmie obowiązywały zupełnie inne, surowsze zasady. Nauczyciele gimnastyki – Kaper i porucznik Bengtsson – byli oficerami rezerwy i już pierwszego dnia zaczęli z grubej rury. Kazali nam biegać dookoła sali gimnastycznej oraz ćwiczyć z przyrządami i zapisywali swoje obserwacje. W czasie biegu na rozgrzewkę Kaper trzymał w ręku floret i tego, kto się ociągał, smagał nim po plecach.

W drugim tygodniu, kiedy mieliśmy już za sobą siedem czy osiem lekcji gimnastyki, Kaper nagle ustawił nas na baczność w szeregu na środku sali, wezwał mnie i trzech innych chłopaków i kazał nam się podzielić, tak jak to robiliśmy przed grą w piłkę. Wiedziałem, o co chodzi, bo Clark, który powtarzał klasę i był o rok starszy od nas, dał mi cynk.

Mogłem wybierać pierwszy. Bez wahania postawiłem na Clarka. Pozostali trzej od razu wybrali po dwóch, a potem dobieraliśmy po jednym, aż w każdej kompanii – tak została nazwana – było dziewięciu uczniów.

Szef kompanii musiał przypiąć do spodenek na prawym udzie symbol szkoły – herbowy snopek Wazów. Nie do zwykłych spodenek, tylko do niebieskich, które dostaliśmy. Wszyscy nosili jednakowe stroje i buty – niebieskie trampki z materiału i z gumową podeszwą z przodu i dookoła pięty oraz białe koszulki ze snopkiem Wazów na piersi.

Szef kompanii wyznaczał wiceszefa, który przyczepiał snopki Wazów na udach zawodników.

Później to szefowie kompanii meldowali o obecności na początku każdej lekcji, a nie porządkowy, który był jednym z dwóch ostatnich wybranych do drużyny.

Szef kompanii odpowiadał za skład drużyn, kiedy graliśmy w piłkę nożną albo ręczną – nożną na dworze, a ręczną w salach gimnastycznych.

Ponieważ drużyny w obu dyscyplinach składały się z siedmiu zawodników, szefowie kompanii sadzali dwóch najsłabszych na ławce. Wyręczali w tym Kapra i porucznika Bengtssona.

Na szczęście Kaper pozwolił mi wybierać jako pierwszemu. Z Clarkiem w drużynie byliśmy najlepsi zarówno w piłce nożnej, jak i ręcznej. Oczywiście zrobiłem go wiceszefem, nawet nie wiedząc, jakie sprytne było to posunięcie.

Wyłożony asfaltem szkolny dziedziniec z ponad siedmiuset chłopakami to nie proszony obiad. W pojedynkę człowiek nie jest tam silny.

Wszystko było tak różne, że nie mogłem tego ogarnąć. Z początku trudno mi było przyswoić te wszystkie nowości – inne były nie tylko lekcje, ale i wszyscy dziwni koledzy z klasy, których nie dało się łatwo rozgryźć. Tylko dwóch albo trzech mówiło jak człowiek, nie wpychało się do kolejki po jedzenie i nie narzekało, że dwa razy w jednym tygodniu dostaliśmy dorsza.

Nie dało się też rozstrzygnąć, czy nasz dom przy Hornsgatan jest elegancki, czy nie. Nie tylko ja musiałem długo jechać tramwajem, żeby dotrzeć do szkoły, a byli i tacy, którzy jechali nawet dłużej metrem. Odległość nie wydawała się tak ważna, nawet jeśli wielu kolegów z klasy

mieszkało blisko Sankt Eriksplan albo Odenplan i do Vasa Real miało tylko kilka minut marszu.

Co jednak znaczyły cztery pokoje na trzecim piętrze przy Hornsgatan? Każdy wiedział, że Saltsjöbaden jest eleganckie, ale co to znaczyło, kiedy ktoś mieszkał w sztokholmskiej dzielnicy Söder? Albo że już nie mieliśmy służących, które pomagałyby mamie w robieniu zakupów i praniu?

Niełatwo było to stwierdzić. Trzeba było dokładnie słuchać tego, co mówili nowi koledzy z klasy. Jeden z nich nazywał się Johan Gabriel, mieszkał w Lärkstaden na Östermalmie, należał do mojej drużyny i mówił tak jak ja. Był dobry w piłce nożnej, ale strachliwy z natury i beznadziejny w piłce ręcznej. Któregoś ranka narzekał, że chrzaniona służba nie wyprasowała mu koszul.

Było widać, że pozostali natychmiast go zniechęcili, pewnie dlatego, że się przechwalał. Nigdy nie należy się chwalić i uważać za lepszego od innych.

Na rogu Hornsgatan odbierałem mleko w półtoralitrowym metalowym dzbanku. W Saltsjöbaden co rano rozwożono mleko i stawiano butelki przy bramie. Foliowy kapsel na lepszym mleku miał czerwony pasek, a na standardowym był pusty. Sikorki znały tę różnicę i zwykle rozdziobywały kapsle z czerwonym paskiem i spijały śmietanę, która wypłynęła na powierzchnię.

Jednak równie dobrze można było pójść do sklepu mleczarskiego z własnym dzbankiem i kupić mleko na litry. Czasami ludzie ze sklepu się ze mną droczyli, bo nie mówiłem w dialekcie używanym na Söder. Niektórzy próbowali nawet mnie małpować. Mimo to byłem grzeczny, bo wpoila mi to mama.

Jedna rzecz na Hornsgatan była szczególnie dziwna. Na tylnym dziedzińcu, tam, gdzie stały trzepaki, był rząd suchych wychodków – małych brązowych domków. Co najmniej dziesięć. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tam wchodził. Mama mówiła, że może nie są już używane, a jeśli już, to tylko przez mieszkańców gospodarstwa.

Do naszego mieszkania wpadało dużo światła, bo znajdowało się ono wysoko. Było eleganckie. W salonie – w mieście nazywano go pokojem dziennym – stał czarny fortepian, na którym Harry grał dla pań w willi Bellevue, skórzana sofa i dwa bufiaste fotele pochodzące z męskiego salonu. Harry przejął też cadillaca i parkował nim pod bramą. Poza tym przy Hornsgatan nie było ani jednego cadillaca. W najgorszym wypadku oznaczało to, że w wakacje trzeba będzie pojechać na wycieczkę samochodową.

Mama zaczęła brać lekcje, żeby zrobić prawo jazdy – choć nie wiadomo, do czego miałyby być jej potrzebne.

Najbardziej w mieście podobały mi się kina. Gdyby było mnie stać, co wieczór chodziłbym obejrzeć jakiś film. Wprawdzie zacząłem dostawać od mamy tygodniówkę, ale wystarczała tylko na jeden seans w tygodniu.

Nie tylko pieniądze stanowiły przeszkodę. Większość filmów, zwłaszcza wojenne, było niedozwolonych dla dzieci i nie dało się wmówić kiniarzom, że mam piętnaście lat. Chyba że w Mackan. To kino tak naprawdę nosiło nazwę Maxim, było małe i wciśnięte w pasaż Jarla Birgera przy placu Norrmalmstorg. Tam udawało mi się wejść. Minus był taki, że w Mackan pokazywano tylko stare filmy, przede wszystkim czarno-białe i często dość głupkowate. Na przykład *Flip i Flap spotykają wilkołaka*, w którym bohaterowie przez cały czas myśleli, że wilkołak to po prostu przebrany kolega, i wcale się nie bali, tylko próbowali zedrzeć mu maskę. Przez chwilę wzbudzało to śmiech, ale później nie było to już ani ciekawe, ani zabawne.

Lepszym sposobem na uporanie się z problemem niedozwolonych dla dzieci seansów kinowych było chodzenie do szkolnego klubu filmowego w każdą środę wieczorem. Dla członka klubu projekcje były darmowe, a zostawało się nim również nieodpłatnie. Cel klubu stanowiło

nauczenie chłopców pożytecznych rzeczy, dlatego na początku zawsze leciał krótki film o szkodliwości palenia albo o tym, jak niebezpieczne są motocykle. Pokazywano w nim smołę w płucach rozplątanych ludzi i roztrzaskane czaszki motocyklistów. Dawało się to wytrzymać, bo potem przychodziła kolej na właściwy film i niemal zawsze był to film wojenny. To w klubie po raz pierwszy zobaczyłem F-86 Super Sabre – w filmie, który spodobałby się Andersowi. Kiedy Amerykanie w swoich osiemdziesiątkach szóstkach zobaczyli całą dywizję komunistycznych MiG-ów 15, zrobili beczkę, bez wahania zanurkowali w kierunku nieprzyjaciela i w prosty sposób zwyciężyli. Jeszcze lepszy był film o „Latających Tygrysach” – amerykańskich P-40 Warhawk, które na dziobach miały wymalowane czerwone pyski, wzbudzające śmiertelne przerażenie w japońskich komunistach pilotujących bombowce Ki-21 Sally. Niestety, większość filmów opowiadała o wojnie na lądzie, podczas której Amerykanie wyzwolali Europę, a w najgorszym razie siedzieli w niemieckich obozach koncentracyjnych i musieli znosić różne okropieństwa, dopóki nie wcielili w życie swoich zmyślnych planów ucieczki. Jeden kolorowy film opowiadał o tym, jak amerykańska flota zaatakowała japońskich komunistów lotniskowcem pełnym samolotów F6F Hellcat i wygrała. Japońskie Mitsubishi A6M Zero nie miały szans z F6F Hellcatami.

Tak więc druga wojna światowa rządziła niepodzielnie po pożytecznym filmie w szkolnym klubie filmowym. Dla mnie było to trochę przykre, bo nie wiedziałem zbyt wiele akurat o tej wojnie, a niektórzy koledzy z klasy mieli te wiadomości w małym palcu. Potrafiłem wymienić wszystkie większe bitwy, w których Szwedzi zwyciężyli albo przegrali podczas wojny trzydziestoletniej w latach 1618–1648, potrafiłem szczegółowo opisać, w jaki sposób Karol X Gustaw przekroczył cieśninę Wielki Belt i rozgromił Duńczyków, znałem nawet imię konia Aleksandra Wielkiego i wiedziałem wszystko na temat statków, uzbrojenia i taktyki wikingów. Ale na temat drugiej wojny światowej nie mogłem wiele powiedzieć. Wiedziałem tylko, że Amerykanie wygrali z Japonią i najwyraźniej również z Niemcami. Ta wojna w pewnym sensie istniała nie w historii, lecz w kinie, podczas gdy prawdziwej historii – na przykład bitew pod Breitenfeld i pod Lützen – nigdy tam nie było.

Właśnie w klubie filmowym zakolegowałem się z Rickiem – jednym z członków klasowego gangu skórzanych kurtek. Nazywaliśmy ich tak, bo zawsze chodzili w czarnych skórzanych kurtkach, trzymali się razem, często się bili na przerwach i byli chamscy w stosunku do najmniejszych i najsłabszych chłopaków. Trzymałem się z daleka od gangu skórzanych kurtek, bo nie wydawali się zbyt fajni, przynajmniej jako grupa. Dwóch z nich miałem w swojej kompanii na gimnastyce, ale tam musieli mnie słuchać, jeśli nie chcieli grzać ławki.

Jednak z Rickiem było normalnie i przyjemnie się z nim dyskutowało o filmach.

To Rick zabrał mnie do Skandii na film, który chcieli zobaczyć wszyscy młodzi. Bilety były wyprzedane na ponad miesiąc do przodu. A ponieważ cała młodzież chciała go obejrzeć, w gazetach pisano, że powinno się go całkiem zakazać albo przynajmniej nie dopuścić, żeby oglądały go dzieci. Tak mówił Rick. Nie słyszałem o tym, ale brzmiało obiecująco – film, którego chciano zakazać, należało jak najszybciej obejrzeć.

Właściwie to nie sam film wzbudził takie poruszenie. Opowiadał po prostu o klasie straszliwie psotnych uczniów i o nauczycielu, który musiał pracować jak galernik, żeby nad nimi zapanować, co oczywiście na końcu mu się udało. Jednak to nie fabuła była tym, czego chciano zakazać. Chodziło o muzykę na początku, która w zasadzie nie miała nic wspólnego z akcją – *Rock Around the Clock* grupy Bill Haley & His Comets.

To było jak wielka kolejka górską w wesołym miasteczku Gröna Lund. Miałem wrażenie, że zaraz spadnę z kinowego fotela. Takiej muzyki nie słyszałem nigdy wcześniej. Kiedy pierwsze zaskoczenie minęło, ogarnęło mnie poczucie czystego szczęścia.

Piosenka *Rock Around the Clock* ukazała się na płycie, a jeden z kolegów Ricka, który mieszkał w Alvik, miał gramofon. Następnego dnia pojechałem do Alvik i nie tylko spotkałem tego kolegę i jeszcze kilku innych, ale też przesłuchałem tę płytę co najmniej pięćdziesiąt razy. Żaden z nas nigdy nie miał jej dość. Wszyscy byliśmy zgodni, że to początek czegoś zupełnie nowego i że właśnie nastąpił koniec szwedzkich szlagierów, bo już wkrótce ze Stanów przyjdzie więcej, znacznie więcej. Rick i jego koledzy nie mówili „Ameryka” ani nawet „USA”, tylko zawsze „Stany”.

A James Dean właśnie zginął w wypadku samochodowym.

Nie wiedziałem, kim był James Dean, ale Rick szybko wypełnił tę lukę, zabierając mnie na *Buntownika bez powodu*. Film opowiadał o chłopaku, który był nieszczęśliwy, bo jego tata był słabeuszem, który pomagał w domu przy zmywaniu, a nawet nosił fartuszek, jakby był mamą. To oczywiście mogło być trochę zenujące, nawet jeśli nieszczęście Jamesa Deana z tego powodu wydawało się przesadzone. Ale nie to się liczyło, tylko *chicken race*. Dwa skradzione samochody jechały prosto w przepaść i ich kierowcy starali się z nich wyskoczyć jak najbliżej jej krawędzi. Ten, który zrobił to bliżej przepaści, wygrał, a drugi zostawał tchórzem. Chłopak w skórzanej kurtce wygrał, bo minął krawędź przepaści i spłonął, a James Dean się uratował. Przyjechała policja i rozhisteryzowani rodzice i wydarzyło się trochę nieistotnych głupot. Ważny był sam James Dean. Człowiek chciał być taki jak on, a może nawet tak samo wyglądać (Rick skopiował jego fryzurę za pomocą brylantyny), a przede wszystkim chciało się mieć taką samą materiałową czerwoną kurtkę, choć nigdzie w Sztokholmie nie dało się jej dostać.

Szkolny dziedziniec dla niektórych musiał być piekłem. Zdarzało się, że nie chcieli oni wychodzić na przerwę, ale wtedy wkraczali dyżurni nauczyciele i wypychali ich za drzwi. Istniał jakiś przepis, że uczniowie w czasie przerwy muszą przebywać na świeżym powietrzu, ale nie było przepisu zakazującego bicia na szkolnym dziedzińcu.

Obowiązywał podział. Najwięksi chłopacy trzymali się w jednym rogu, blisko Dalagatan, obok sklepu tytoniowego, w którym sprzedawano na sztuki papierosy Boy i Florida. Trzecio- i czwartoklasiści trzymali się środka, a my, uczniowie pierwszej i drugiej klasy, mieliśmy swój rewir najbliżej Västmannagatan, przy której działała piekarnia. Jeśli ktoś dysponował pieniędzmi i nie chciał jeść szkolnego obiadu, mógł w niej kupić świeżą chałkę z zieloną masą migdałową.

Podział na szkolnym dziedzińcu zrodził się po to, żeby duzi chłopacy z piątej nie musieli pracować nas – znacznie mniejszych. Nie było sensu, żeby piętnastolatek bił się z kimś, kto ma dopiero jedenaście czy dwanaście lat.

Między sobą mogliśmy się bić do woli – na szkolnym dziedzińcu obowiązywały zupełnie inne reguły niż w klasie. W każdej grupie wiekowej panowało prawo dżungli. Ten, kto wyglądał na słabego lub tchórzliwego, zawsze ryzykował łomot, a później jeszcze kolejny, bo ten pierwszy pokazał jego słabość i tchórzostwo. Dlatego niektórzy, także z naszej klasy, prawie szczeniaki w gacie ze strachu przed wyjściem na przerwę. A jeśli naprawdę chcieli iść się wyszczać do długiego rzędu otwartych kabin w małym domku po naszej stronie dziedzińca, ryzykowali bardziej niż zwykle. W środku panował smród i nikt nie widział, co się tam dzieje, a nawet jeśli widział, to nie skarżył.

Ci, którzy się bali najbardziej, byli nazywani psikutkami. Jeśli taki psikutek wychodził do toalety, prawie zawsze szło za nim jeszcze kilku chłopaków.

Mnie to nie dotyczyło. Nie bałem się łomotu, w przeszłości zniosłem więcej niż ktokolwiek inny na dziedzińcu i wreszcie to do mnie dotarło. Żaden z chłopaków z piątej nawet się nie zbliżył do Harry’ego, gdy chodziło o zadawanie bólu.

Poza tym byłem szefem kompanii na sali gimnastycznej i zdobyłem więcej bramek w meczach piłki ręcznej niż wszyscy z klas od pierwszej do piątej, a na przerwach trzymałem się

z Clarkiem. Członkowie gangu skórzanych kurtek też trzymali się razem, ale udawali, że nie widzą Clarka i mnie, a my udawaliśmy, że nie widzimy ich. To było jak w Grecji, kiedy dwa miasta-państwa były równie silne, a przynajmniej za takie się uważały, więc nikt nie chciał niepotrzebnie ryzykować wojny. Nazywało się to zbrojnym pokojem i w naszym przypadku funkcjonowało dość długo.

Ale potem pojawił się David Goldmann.

Był to dość mały skurczybyk, dobry w nauce, ale beznadziejny na sali – typowy ogrzewacz ławki. Poza tym miał odstające uszy. Naprawdę odstające. To ja nadałem mu przezwisko Radar. Byłem dobry w wymyślaniu przezwisk, które szybko się przyjmowały.

Przezwiseka nie były zresztą takie złe, nawet nauczyciele akceptowali swoje ze spokojem. Nauczyciel rysunku zyskał miano Parskacza, nauczycielka religii Cycbomby, Kapra czasem nazywano Drzazgą, a w klasie byli Ser, Buła, Ciacho, Broda i inni.

Z Radarem sytuacja była jednak wyjątkowa. Przezwisko kierowało uwagę na jego odstające uszy. Ludzie zaczęli urządzać sobie zawody w podchodzeniu do niego od tyłu i dawaniu prztyczka w najbliższe ucho. Coraz częściej, aż w końcu został psikutkiem. W pewnym sensie od początku byłem temu winien.

Pewnego dnia w połowie semestru zobaczyłem, jak niepostrzeżenie próbuje przemknąć do toalety. Naprawdę chciało mu się siku, pewnie długo wstrzymywał, siedł prawie ze skrzyżowanymi nogami. Jakoś tak się składało, że tym, którzy czuli większy strach, chciało się sikać bardziej niż innym. Pewnie stąd się wzięło przezwisko psikutek.

Nie tylko ja zauważyłem, że Radar idzie do toalety. Ludzie z gangu skórzanych kurtek też go zobaczyli i ruszyli za nim całą czwórka. Rick z czegoś się śmiał i rąbnął w plecy Labana – największego z nich. Bolało od samego patrzenia.

Dbaj o siebie i olewaj resztę – mówiono. Tak głosiła złota zasada szkolnego dziedzińca. Clarka nie było w pobliżu. Nie pamiętam już, z jakiego powodu.

A więc wszedłem tam sam.

Stali w kółku dookoła Radara, kazali mu robić po ćwierć obrotu i na zmianę pstrykali go w uszy, najmocniej jak się dało. Pewnie tylko na rozgrzewkę.

Przestali, kiedy spostrzegli, że idę prosto na nich. Oczywiście nie przestraszyli się, byli tylko zdziwieni.

Powiedziałem, żeby dali spokój.

Rick odparł, że bym się nie mieszał.

Zbrojny pokój został złamany i nie można już było się wycofać. Powiedziałem, że jeśli uważają, że pstrykanie kogoś w uszy jest zabawne, to mogą spróbować na mnie.

Kiedy nadal się wahali, zrobiłem kilka kroków do przodu, szarpnąłem Radara i wepchnąłem go do jednej z otwartych kabin. Ledwo zdążył rozpiąć rozporek, a już popłynął strumień.

Wiedziałem, że muszą spuścić mi łomot, takie były zasady. Wszyscy się ich bali. Gdyby w takim momencie nic nie zrobili, straciliby kontrolę.

Nie było to jednak takie proste. Dwóch z nich należało do mojej kompanii i obaj nieźle grali w piłkę ręczną. Rick i ja trochę się kolegowaliśmy od czasu klubu filmowego i *Rock Around the Clock*.

Po kolejnej chwili wahania naprzód wystąpił Laban, żeby zacząć.

– Dostajesz strzał z wolnego – oznajmiłem i wskazałem swój lewy policzek, co oczywiście zbiło go z tropu.

To że strzałem z wolnego zazwyczaj było żartem, ale chyba nie wyglądałem jak ktoś, kto żartuje.

– Proszę bardzo – dodałem i znów pokazałem, gdzie ma uderzyć.

Był w potrzasku. Teraz nie mógł tak po prostu się na mnie rzucić, musiał zadać cios.

Wyprowadził prawy sierpowy, podobny do ciosów Harry'ego. W porę się zorientowałem, zacisnąłem zęby, żeby je ochronić, i przyjąłem uderzenie. Nie przewróciłem się i w pierwszej chwili nawet się nie skrzywiłem. Potem wykorzystałem ich zdziwienie, pokręciłem głową i powiedziałem, że niezbyt mu wyszedł ten prawy sierpowy. Szybko się obróciłem, objąłem ramieniem Radara, który właśnie zapiął rozporek, i poprowadziłem go do wyjścia. Już mieliśmy zniknąć za drzwiami, kiedy przystanąłem i się odwróciłem. Członkowie gangu skórzanych kurtek nie ruszyli się z miejsca, Laban stał trochę bardziej z przodu.

– Pokój pod jednym warunkiem – powiedziałem. – Od teraz wszyscy macie gdzieś Radara.

Żaden nie odpowiedział. I tak to się skończyło.

Tak naprawdę bardziej mi pomogło szczęście niż spryt. Taktyka przyjęcia ciosu bez mrugnięcia okiem byłaby kompletnie niewłaściwa w przypadku Harry'ego. W takim przypadku wpadał w szal i jeszcze bardziej się nakręcał. Nie wiedziałem, że z Labanem będzie odwrotnie, po prostu jakimś sposobem to czułem. Często widziałem, jak się bije, i kiedy zadawał taki czysty cios, walka zawsze dobiegała końca, przeciwnik upadał na asfalt, płakał i prosił o litość. Zadziało więc pewnie zdziwienie Labana.

Po przerwie, kiedy ludzie zaczęli wchodzić do klasy na podwójną lekcję matmy, objąłem ramieniem Goldmanna – w klasie wszyscy byliśmy nazwiskami – i powiedziałem, że od teraz zostawiają jego uszy w spokoju. Nikt z gangu nie zaprotestował. Każdy to widział i tym samym sprawa została zakończona.

Przez kolejne dni Radar na przerwach garnął się do mnie i do Clarka jak mały szczeniak. Nie był pewien, czy jego odstające uszy naprawdę są pod ochroną. Jednak trochę nas żenowało, że tak się za nami pętał. Nie interesował go rock'n'roll ani sport, czyli jedyne rzeczy, o których Clark i ja rozmawialiśmy podczas przerw. Zaczęliśmy go traktować per noga, aż w końcu znalazł sobie inne towarzystwo. Jego czas jako psikutka w każdym razie się skończył i ta sprawa również się skończyła. Tak mi się wydawało.

W sobotę, kiedy nadszedł czas na powrót do domu i pakowałem do torby podręczniki, których nie chciałem zostawiać na sobotę i niedzielę w szkole – najdroższe, najciekawsze albo jedno i drugie – Radar podszedł do mnie i powiedział coś tak cicho, że nie zrozumiałem, o co chodzi.

Jego mama i tata prosili, żeby po szkole zaprosił mnie do domu na herbatę.

To było dość przykre. Clark i ja mieliśmy iść do baru Chico przy Birger Jarlsgatan – mieli tam najlepszą w mieście kolekcję rockowych płyt w szafie grającej. Zamiana tego na wizytę u byłego psikutka Radara i picie herbatki z jego mamą i tatą to nie było coś, co Clark uznałby za mądre.

Z drugiej strony, zachowałbym się bardzo niegrzecznie, gdybym odrzucił zaproszenie od dorosłych. Tak się po prostu nie robiło.

Powiedziałem cicho Radarowi, żeby poszedł pierwszy i zaczekał na mnie na rogu Dalagatan i Odengatan. Poszedłem do Clarka i oznajmiłem, że idę do dziewczyny, która ma wolną chatę, bo jestem napalony jak cholera. Ale jeśli nic z tego nie wyjdzie, później przyjdę do baru Chico. W takie wytłumaczenie musiał oczywiście uwierzyć. Jeśli człowiek był napalony jak cholera, to nie było rady.

Następnego dnia musiałem zasunąć Clarkowi jedną ze standardowych gadek – o wkładaniu ręki w stanik i palcówce – to, co wszyscy gadali.

Goldmann wyglądał, jakby poczuł wielką ulgę na mój widok. Pewnie myślał, że

wystawiłem go do wiatru. Ale jeśli ktoś się zgodził, to musi przyjść.

Nie mieliśmy zbyt wielu tematów po drodze. Najpierw spróbowałem zagadać o mistrzostwach Europy w skoku wzwyż i o tym, że dwóch naszych przekroczyło wysokość dwóch metrów. Kiedy to nie zadziałało, przeszedłem do bitwy pod Maratonem. Na szczęście do domu Radara szło się tylko dziesięć minut.

Nie pamiętam, czego dokładnie oczekiwałem, kiedy się przywitałem najpierw z jego mamą, a potem z tatą. Ale założyłem, że będzie to miało związek z historią Radara, i przygotowałem sobie kilka odpowiedzi w stylu, że tylko wypełniłem obowiązek kolegi z klasy i nie ma o czym mówić.

Ale naprawdę było o czym mówić, bo czekały mnie tam rzeczy, na które nie starczyło mi wyobraźni.

Rakel, mama Radara, podała herbatę w dużym pokoju, a tata, którego imienia nie zrozumiałem, zapalił jedną świecę na stole i powiedział, że to szabasowa świeca, bo sobota dla żydów jest jak niedziela dla chrześcijan. Musiałem mieć wielki znak zapytania wypisany na twarzy, bo tata Radara z lekkim śmiechem zapytał, czy nie wiedziałem, że są żydami.

Mogłem tylko potwierdzić ruchem głowy. Znałem tylko kulkowych żydów. Kulkowym żydem mógł być każdy, a od reszty różniło go tylko to, że dobrze grał w kulki, a więc było to coś w rodzaju pochwały. Anders z Saltsjöbaden był typowym kulkowym żydem.

Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że są też dorośli żydzi. Oczywiście żyli dawno temu, na przykład w czasach, kiedy ukrzyżowano Jezusa. Ale to było prawie dwa tysiące lat temu i myślałem, że z Żydami jest tak samo jak z Grekami, Rzymianami, czy nawet wikingami – postaciami z zamierzchłej przeszłości. Ja sam tak naprawdę nie byłem wikingiem, choć żartowaliśmy w rodzinie, że nasi przodkowie nimi byli.

Próbowałem to wytłumaczyć. Rakel i tata o dziwnym imieniu patrzyli na mnie, jakby nie wierzyli własnym uszom, a mnie oczywiście było strasznie głupio.

Potem tata zaczął opowiadać i zauważyłem, że mówi w taki sam sposób jak babcia Christa, więc pewnie był Niemcem.

Radar siedział cicho i mieszał herbatę, a jego tata opowiadał historię, której nigdy nie słyszałem, ale po Radarze było widać, że on słyszał ją wiele razy. Ta historia zaczynała się w Izraelu przed prawie dwoma tysiącami lat, kiedy Rzymianie wypędzili Żydów z ich kraju, a kończyła na szwedzkich białych autobusach, które zaledwie dziesięć lat wcześniej przyjechały do Szwecji z małą częstką ocalałych.

Pod koniec opowieści tata Radara wyciągnął duży album z wycinkami z gazet i fotografiami przedstawiającymi ofiary masowych mordów – tak wielkich, że nie sposób było to zrozumieć. Sześć milionów ludzi zostało zagazowanych i spalonych. To tak, jakby ktoś zabił prawie całą ludność Szwecji. Na kilku zdjęciach widniały stosy martwych ludzi, których nie zdążono spalić przed wyzwoleniem obozu przez Amerykanów.

Jedyne obozy, o jakich wcześniej słyszałem, to te oglądane w środowe wieczory w klubie filmowym, w których dowcipni Amerykanie dokuczali głupkowatym strażnikom, dziwnie mówiącym po angielsku. Potem przebiegli Amerykanie uciekali. Takie obozy wydawały się całkiem zabawne.

Nie dawało mi to spokoju. Żydzi żyli w naszych czasach w taki sam sposób jak współcześni Grecy, którzy byli Leonidasami, Achillesami, Odyseuszami i Penelopami, tyle że we współczesnych ciuchach?

W okupowanej przez Niemców Polsce znajdował się obóz koncentracyjny o niemożliwej do wymówienia nazwie. Naziści wymordowali tam ponad milion ludzi. Próbowałem policzyć. Koloseum mogło pomieścić osiemdziesiąt tysięcy osób, tyle samo co Stadion Olimpijski

w Berlinie. A więc w tym jednym obozie zamordowano ponad dwanaście razy więcej ludzi, niż się mieściło w wypełnionym po brzegi Koloseum. Usiłowałem sobie wyobrazić rząd dwunastu Kolosów, ale to było niemożliwe.

Przed rodziną Goldmannów wyszedłem z pewnością na kompletnego kretyna. Przed sobą też, przyznajmy otwarcie.

Było mi wstyd, nie miałem kompletnie nic rozsądnego do powiedzenia i absolutnie nie chciałem dłużej przebywać w tym miejscu. Przeprosiłem, powiedziałem, że jest mi trochę niedobrze i potrzebuję świeżego powietrza, co pewnie było prawdą, ukłoniłem się, podałem rękę, obiecałem trochę głupawo, że od tej pory w szkole włos Davidowi z głowy nie spadnie, i czmychnąłem.

Nie miałem najmniejszej ochoty szukać Clarka i słuchać nowego nagrania Fatsa Domino, jakkolwiek wdechowe by było. Nie chciałem jechać do domu, nie chciałem robić nic i w końcu ruszyłem Sankt Eriksgatan. Wiedziałem, że jeśli pójdę przez Fridhemsplan i most Västerbron, dowleczenie się do domu zajmie mi ponad godzinę.

Nie dokuczaliśmy Radarowi dlatego, że był żydem, lecz dlatego, że miał odstające uszy. To mogło spotkać każdego.

Skoro nawet ja, mimo wszystko jeden z najlepszych w klasie z historii, nie miałem pojęcia, że Żydzi naprawdę istnieli w dzisiejszych czasach, to inni też chyba nie mogli nic na ten temat wiedzieć? W przeciwnym razie dałoby się to zauważyć.

Poza tym, jak to możliwe, że historia współczesna była niedozwolona dla dzieci? Bo przecież tak najwyraźniej było. Dorośli musieli to wiedzieć, nawet Harry.

Zatrzymałem się na samym szczycie mostu Västerbron i podziwiałem chyba najpiękniejszy w Sztokholmie widok. Świeciło słońce, ale jednocześnie wiał zimny wiatr, drzewa na brzegu płonęły na żółto i na czerwono, trzy złote korony na Ratuszu błyszczały, zatoka Riddarfjärden mieniła się odcieniami błękitu. Tego widoku po prostu nie dało się połączyć z opowieścią taty Radara. A tym bardziej z czarno-białymi zdjęciami.

Jeżeli Harry spał albo zaczął wcześniej pracę na jakimś tanecznym podwieczorku, po powrocie do domu zamierzałem poważnie wypytać o to mamę. Na pewno wiedziała. Na pewno potrafiła wytłumaczyć, dlaczego wymordowanie sześciu milionów Żydów było historią niedozwoloną dla dzieci, choć przecież naprawdę się zdarzyło.

Kiedy jednak pół godziny później wróciłem do domu, sytuacja nie sprzyjała zadawaniu pytań historycznych. Nasze życie uległo nagłej, brutalnej zmianie, zarówno na gorsze, jak i na lepsze, a na pewno takiej, że od tamtej pory nic już nie było takie jak przedtem.

Mama była zapłakana, miała opuchniętą twarz i plaster na lewym oku, kompletnie nabrzmiałym – a więc padł prawy sierpowy. Przed nią stała duża szklanka grogu na dzinnie i przepełniona popielniczka, a w mieszkaniu panował straszliwy bałagan. Wszędzie stały duże kartonowe pudła.

Zapytała, gdzie byłem tak długo, i powiedziała, że bardzo się o mnie martwiła. Potem wstała na nieco chwiejnych nogach i długo mnie tuliła. Drżała na całym ciele i sprawiała wrażenie, jakby nie chciała mnie puścić. Potem się odsunęła, odeszła i odbyła krótką rozmowę telefoniczną, której nie słyszałem. Nie ruszywszy się z miejsca, myślałem, że to chyba nie takie dziwne robić coś w wolnym czasie przez pół soboty. Zawsze tak robiłem, to było dozwolone.

Wróciła, chwyciła mnie za ręce i pociągnęła na dużą, skrzypiącą skórzaną sofę, która wcześniej stała w męskim pokoju. Długo się we mnie wpatrywała swoim jednym widzącym okiem. Braciszek bawił się wozem strażackim kawalek dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Tata i ja się rozwiedziemy – oznajmiła mama. – Wiesz, co to znaczy?

Pokiwałem głową. Oczywiście, że wiedziałem, co to znaczy. Zostanę dzieckiem z rozbitej

rodziny, któremu należy współczuć. Mieliśmy dwóch takich chłopaków w klasie i sporo się o nich szeptalo. Mnie jednak nie należało współczuć ani trochę, wprost przeciwnie. Musiało to bowiem oznaczać, że mama, ja i braciszek będziemy mieszkać gdzieś indziej, bez Harry'ego. Braciszce będzie smutno, ale mu przejdzie. Dla mnie wyglądała to zupełnie inaczej – nigdy więcej nie będę musiał się wstydić, że każdego dnia po posiłku dostaję lanie. W każdym razie tak mi się wtedy wydawało, ale nic nie mówiłem.

– Wkrótce przyjdzie kilku dżentelmenów, którzy pomogą nam w przeprowadzce – oznajmiła mama. – Przeniesiemy się na Kungsholmen, do mniejszego mieszkania, ale będziesz miał bliżej do szkoły.

Nie była w stanie powiedzieć już nic więcej, zaczęła płakać i znów mnie przytuliła. Wyszepiała „przepraszam”, ale nie rozumiałem, o co jej chodzi.

Panowie, którzy przyszli pomóc przy przeprowadzce, nie wyglądali tak, jak można się było spodziewać. Wyobrażałem sobie potężnego tragarza z wielkim brzuchem i mosięzną płytką na czarnej czapce z daszkiem – widziałem takich, jak taszczyli fortepian na czwarte piętro i na każdym półpiętrze robili sobie przerwę na piwo. Ci byli zupełnie inni. Przyjechali dużą wojskową furgonetką w barwach maskujących i z czarno-żółtą tablicą rejestracyjną. Nosili marynarki i krawaty. Na miejscu je zdjęli i podwinęli rękawy. Nie mieli dużych brzuchów, ale byli silni.

W krótkim czasie załadowali większość mebli, oprócz fortepianu, i wszystkie kartonowe pudła. Mama powiedziała, że muszę się zastanowić, czy o czymś nie zapomniałem, bo już nigdy tu nie wrócimy. Jako pierwszy przyszedł mi do głowy arabski sztylet. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby Harry go przejął.

Trzech panów jechało wojskową furgonetką. Mama, braciszek i ja pojechaliśmy z tym, który wyglądał na trochę starszego, jego prywatnym samochodem. To był bardzo nietypowy samochód i nie przypominał niczego, co kiedykolwiek wcześniej widziałem. Kiedy spytałem, dowiedziałem się, że nosi nazwę Bugatti i jest francuski. Zastanawiałem się, co Anders powiedziałby o tej marce. W tamtej chwili bardzo tęskniłem za nim i innymi kolegami z Saltjöbaden. Przecież to nie tam mieliśmy się przenieść, bo gdyby tak było, nie miałbym bliżej do szkoły.

Dotarliśmy na Kungsholmen, na ulicę o nazwie Hantverkargatan. Naprzeciwko naszego nowego adresu mieściło się kino Manhattan. Idealnie.

Jednak nowe mieszkanie nie było idealne. Nie martwiłem się, że ma tylko trzy pokoje i małą kuchnię. Nie przeszkadzało mi też, że jest zakurzone i zabałaganione, zawsze można przecież posprzątać. Problem polegał na tym, że nie miało łazienki. Jedyne małą toaletę obok drzwi. Nie było też ciepłej wody – z kranu nad zlewozmywakiem płynęła jedynie zimna. Jak w takim razie mieliśmy na przykład myć włosy? Nic jednak nie powiedziałem, wciąż byłem tak ucieszony z pozbycia się Harry'ego, że z chęcią mogłem go zamienić na trochę zimnej wody.

Cały wieczór i całą niedzielę mama i ja spędziliśmy na sprzątanju. Najpierw odkurzyliśmy – to było przede wszystkim moje zadanie. Potem razem wyszorowaliśmy na kolanach wszystkie podłogi, powiesiliśmy obrazy, które mama dostała po dziadku, poustawialiśmy ciężkie meble, chyba trochę za duże do trzypokojowego mieszkania, ale jedyne, jakie mieliśmy. Kiedy w niedzielny wieczór wszystko było gotowe, mama usmażyła nam kotlety schabowe na kuchence gazowej, ale gaz nagle się skończył.

Okazało się, że nie mamy żetonów. Na ścianie wisiał licznik z otworem na monety, do którego trzeba było wrzucać żetony, żeby gaz płynął. Kotlety wyszły na wpół surowe. Wszystkie sklepy były zamknięte i nie dało się kupić żetonu.

Najpierw mama zaczęła płakać. Ale potem uderzyła pięścią w stół, pięknie przez nas

nakryty talerzami o złotych krawędziach z willi Bellevue.

– Chodź! – powiedziała, wyciągnęła mnie na zewnątrz i zadzwoniła do sąsiada.

Przy drugim sygnale otworzył nieufny typ w siatkowym podkoszulku z papierosem w kąciku ust. Mama posłała mu olśniewający uśmiech, który wydawał się dziwny w tej sytuacji, przedstawiła nas jako nowych sąsiadów, którzy właśnie się wprowadzili, i wyjaśniła, że zgasała nam kuchenka. Mężczyzna w podkoszulku mocno się zaciągnął papierosem, ale też się rozpromienił, poszedł po żeton i powiedział, że żadne pieniądze się nie należą, możemy po prostu oddać żeton następnego dnia, kiedy kupimy nowe.

Do szkoły Vasa Real docierałem teraz o dwadzieścia minut szybciej niż wcześniej. Tramwaj jedynek miał otwarte platformy, dzięki którym łatwiej jeździło się na gapę, jeśli się chciało. Jednak mało kto się na to decydował, bo dzieci dojeżdżające do szkoły posiadały karty, ważne w ciągu dnia, ale nie wieczorami.

W szkole było po staremu – zbrojny pokój między mną i Clarkiem z jednej strony a gangiem skórzanych kurtek z drugiej wciąż obowiązywał. Wszystko toczyło się spokojnym rytmem, z tą różnicą, że mama i ja mieliśmy więcej czasu na wieczorne rozmowy po angielsku. I jeszcze jedno. Po lekcji historii (nadal przerabialiśmy starożytną Grecję) podszedłem do Ärtana i powiedziałem, że chciałbym zapytać o jedną rzecz, ale najchętniej jak wszyscy wyjdą.

W pierwszej chwili miał trochę chytrą minę, jakby myślał, że chcę wiedzieć więcej o sprośnym antycznym malowidle ściennym, o którym wspomniał mimochodem. Ale szybko spochmurniał, kiedy zostaliśmy sami, a ja próbowałem mu wszystko opowiedzieć – mówiłem, że się czuję głupi i niezorientowany w kwestii masowych mordów Żydów i że to dziwne, iż ta historia nie jest częścią naszego programu nauczania. Byłem trochę zdenerwowany, więc ująłem to właśnie w ten sposób – językiem dorosłych.

Przez chwilę myślał, pucując okulary. Potem oznajmił, że zagłada Żydów jak najbardziej zalicza się do naszej historii. Ale pojawia się później w planie kursu, kiedy uczniowie potrafią lepiej sobie przyswoić zawartość tego przerażającego nawiasu w historii Europy. Potem znów westchnął i mnie odprawił.

A więc: niedozwolone dla dzieci.

Tydzień później nadszedł czas na mistrzostwa szkoły w pływaniu. Byliśmy podzieleni na trzy klasy: A, B i C – juniorów, i mogliśmy startować na wszystkich dystansach, na których chcieliśmy.

Uważałem pływanie za coś, co się robi w wakacje. Ale w Sztokholmie były baseny pływackie. Największy mieścił się w Pałacu Sportu w pobliżu Vasa Real i tam działał Kappis. Pełna nazwa brzmiała Stockholms Kappsimmingsklubb – Sztokholmski Klub Pływania Sportowego. Kiedy odbywały się szkolne zawody, Kappis zapewniał sędziów pływackich i mierzących czas.

Przed dniem zawodów nie odwiedzałem Pałacu Sportu po drugiej stronie mostu świętego Eryka i nie widziałem basenu. To był jedyny pięćdziesięciometrowy basen w Sztokholmie, z certyfikatem do rozgrywania międzynarodowych zawodów, wyposażony w wieżę do skoków i trybuny. Wchodziło się tam jak do kościoła.

Po raz drugi w ciągu mniej więcej miesiąca moje życie się zmieniło.

Kiedy pierwszy raz stanąłem na prawdziwym bloku startowym i zajrzałem do basenu z błękitną wodą i czarnym paskiem na dnie, prawie pożałowałem i zacząłem się zastanawiać, w co właściwie się wpakowałem. Nie miałem pojęcia, jak szybko pływają pozostali juniorzy z grupy C, a nikt z klasy nie rozmawiał o zawodach pływackich. Pozostali chłopcy na blokach wyglądali, jakby mieli wszystko obcykane, kiedy z posępnymi minami się nachylali i wyciągali wyprostowane ręce do góry za głowę.

A potem wszystko zakończyło się fiaskiem. Oni tylko wyglądali jak prawdziwi wyczynowi pływacy. Za pierwszym razem wygrałem dwadzieścia pięć metrów w stylu dowolnym. W połowie basenu rozpięto linę z korka, więc kiedy się odwróciłem, zawieszony jedną ręką na linie, poczułem coś w rodzaju szczęścia – zobaczyłem, że reszcie zostało jeszcze sześć, siedem metrów do pokonania.

Potem zabawa się skończyła. Gdybym płynął z większymi chłopakami, szanse byłyby wyrównane. Po tym wyścigu czułem tylko wstyd. Chłopcy z miasta różnili się od nas, wychowanych w Saltsjöbaden i w Sandhamn.

Po ostatnim wyścigu w naszej grupie, dwudziestu pięciu metrach na plecach – zwykle pływało się tak tylko dla zabawy, kiedy człowiek chciał się podroczyć w czasie gry w wodnego berka – wyskoczyłem z basenu, a wtedy dorwał mnie facet w białym służbowym stroju z niebieskimi lampasami.

– Cześć – powiedział. – Nazywam się Tage Lindström i jestem trenerem w klubie Kappis. Z którego klubu jesteś? Z Neptuna?

Musiałem wyglądać na bardzo zdziwionego. Kappis był jedynym klubem, o którym słyszałem. Powiedziałem prawdę.

Na to trener odparł, że jeśli chcę, natychmiast zostanę zapisany do klubu Kappis, dostanę kartę darmowego wstępu na basen o dowolnej porze i mogę zacząć trenować z nim.

Nie była to propozycja, którą mogłem odrzucić. Wystarczyło pomyśleć chociażby o saunie i prysznicach z gorącą wodą zamiast zimnej z kranu przy Hantverkargatan.

Pierwszy trening zaczynał się o szóstej trzydziści rano. Dojście z Hantverkargatan zajmowało mniej więcej kwadrans. A potem szło się jeszcze dziesięć minut do szkoły.

Na początku straszliwie mnie to ekscytowało. W ciemne jesienne poranki wystarczyło przejść obok pustej kasy biletowej, bo wszystko w klubie Kappis było dla nas otwarte. Pięć minut później zaczynałem. Tage Lindström i pozostali trenerzy chodzili wzdłuż krawędzi basenu z długimi drągami z lekkiego metalu zakończonymi pętlą i dotykali nimi pływaków, kiedy chcieli ich zatrzymać i coś powiedzieć. Cały pięćdziesięciometrowy basen był podzielony linami z korka. Kiedy niektórzy z chłopaków pływających na środkowych pasach dostawali polecenie, żeby zacząć ostro, wyglądali jak motorówki, które prują do przodu i zostawiają za sobą białe ślady torowe. Wśród juniorów z grupy C w Vasa Real mogłem być bardzo dobry, ale tutaj się nie liczyłem.

Trening miał trzy fazy. Najpierw dwadzieścia minut pracy nóg – to z całą pewnością było najnudniejsze. Leżało się na brzuchu, trzymając przed sobą korkową deskę w wyprostowanych rękach, i trzeba było się przemieszczać tylko za pomocą nóg. Potem należało spiąć razem stopy gumką od kluczyka do szafki i dwadzieścia minut pracować samymi rękoma. A na końcu wreszcie nadchodził czas na styl dowolny.

To, że zawsze byłem czysty, to jedno. Ale chlor z basenu powodował też, że przez pierwszą połowę dnia w szkole moje oczy były czerwone jak u królika. Kiedy w sezonie ciemnych poranków szedłem na lekcje, każdą uliczną latarnię otaczały duże świetliste kręgi. Harry zabrał cadillaca. Przepisano go na niego, bo miał prawo jazdy. Mama nie skorzystała więc zbytnio na tym, że jesienią zdała egzamin. Zajął jej to tylko tydzień i naprawdę zaczęła się interesować samochodami. Mam zwykle to nie interesowało, więc to była kława sprawa. Tej jesieni głosowała za ruchem prawostronnym i przekonała mnie, że to jedyne sensowne rozwiązanie, choć większość mojej klasy była innego zdania. Wynik referendum był taki, że osiemdziesiąt procent głosowało na nie, więc mama nigdy nie jeździła prawą stroną, jakkolwiek sensowne to było i mimo że większość samochodów projektowano z myślą o ruchu prawostronnym. Skwitowała wynik stwierdzeniem, że Szwedzi jak zwykle okazali się idiotami

i nie powinno się rozstrzygać ważnych kwestii za pomocą referendum.

I tak nie było nas stać na samochód. A może i było, chociaż Harry położył łapę na większości pieniędzy, które mama odziedziczyła po dziadku. Wiedziałem jednak, że wszystko się ułoży w swoim czasie, bo nasłała na niego adwokatów.

Mimo to sytuacja była niejasna. Mama oczywiście nie mówiła o tym zbyt wiele, bo o pieniądzach się nie rozmawia.

Tej jesieni, kiedy zaczęło się robić ciemno i nie było śniegu, który mógłby dodać trochę światła, zacząłem się czuć coraz bardziej smutny, choć nie rozumiałem dlaczego. Przestałem chodzić do baru Chico, słuchać muzyki z szafy grającej i pić napój Pucko. Nawet najmłodniejszy wokalista rockowy, którego wszyscy uwielbiali, nie potrafił mnie tam przyciągnąć.

Czasami, kiedy byłem sam, zaczynałem nagle płakać bez powodu i oczywiście potem okropnie się wstydziłem. Ale kiedy nadchodził płacz, nie dało się go powstrzymać, był jak nagle kichnięcie.

Tęskniłem za dziadkiem, czasem śnił mi się bardzo wyraźnie i dopiero chwilę po obudzeniu docierało do mnie, że to był tylko sen. Opłakiwałem go każdego ranka i każdego wieczoru. Tak po prostu.

Z drugiej strony, pozbyłem się Harry'ego. To była tak pozytywna wiadomość, jak negatywną była utrata dziadka.

Tak jak mi przykazał, skupiłem się na matematyce. Zacząłem wracać do domu od razu po szkole, lekcje z pozostałych przedmiotów odrabiałem równie starannie, a prawie każdego wieczoru przy gotowaniu i zmywaniu mama i ja rozmawialiśmy trochę po angielsku. Nawet ona nie wiedziała, jak się nazywają po angielsku wszystkie kuchenne przybory, ale można było to sprawdzić. Dobrze się razem bawiliśmy, jak nigdy za czasów Harry'ego.

Mimo to nagły płacz atakował, kiedy byłem najmniej przygotowany. Nawet w basenie, w czasie porannego treningu. Ale nie było tego widać. W basenie można szybko się pozbyć łez, na chwilę zwiększając tempo do maksimum. Jakbym zamieniał płacz w złość. To była nowość z Ameryki, tak zwany trening interwałowy. Trenerzy z klubu Kappis w niego nie wierzyli, dla nich receptą na sukces były masa, wytrzymałość i siła.

Tarzan był kiedyś pływakiem. To znaczy ten aktor. Nawet zdobył olimpijskie złoto. Oglądałem większość filmów z Tarzanem w Neglinge. Któregoś razu w listopadzie, gdy było najciemniej i najsmutniej, w kinie Manhattan po drugiej stronie ulicy zorganizowano popołudniowy pokaz filmu z Tarzanem. Mama dała mi pieniądze, żebym wziął ze sobą braciszka.

Film opowiadał o kanibalach, którzy pojмали dobrodusznego lekarza – przybył tam, żeby ich wyleczyć z groźnej choroby. Niewdzięcznicy uwięzili go razem z jego prześliczną żoną, przywiązali do totemów i tańczyli wokół nich indiański taniec, ale zobaczył ich szympans Cheeta i o wszystkim opowiedział Tarzanowi. Wtedy nadszedł czas na pływanie, jak zawsze. Na początku Tarzan trochę się huśtał na lianach, dopóki nie wpadł do rzeki albo do jeziora. Wtedy nurkował i z łatwością uciekał krokodylom.

Teraz oczywiście oglądałem uważniej. Naprawdę nie wyglądało to tak, jakby płynął złoty medalista olimpijski, sam utrzymałbym takie tempo. A duzi chłopacy z klubu Kappis jak rakiety odskoczyliby od niego.

Ale po chwili zrozumiałem, jaki jestem dumny. To było kino. Tarzan nie mógł przecież płynąć z głową w wodzie, żeby ludzie nie widzieli, że to Tarzan. Nie płynął naprawdę.

W końcu dotarł do wioski kanibali i powiedział im, żeby zostawili sympatycznego lekarza. Kiedy kanibale się nie zgodzili, wydał ryk Tarzana i wezwał słonie, które rozniosły wioskę. Skończyło się tym, że Cheeta i sympatyczny lekarz jechali do domu na słoniu, a Tarzan

i przepiękna żona lekarza, która, jak się okazało, była jego córką i miała na imię Jane, jechali razem na grzbiecie innego słonia. *The End*.

A więc był to bardzo stary film, bo pokazywał, w jaki sposób Tarzan poznał Jane. Słonie były zresztą indyjskie, a nie afrykańskie. Dla kogoś, kto był w Afryce, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości.

Braciszek jak zwykle nic nie załapał, ale film był świetny.

W Boże Narodzenie rok wcześniej widzieliśmy tylko jeden film – był dla dzieci i miał premierę w jednym z dużych kin przy Kungsgatan – Saga albo Rigoletto. Nie chciałem na niego iść z własnej woli, ale mama zabrała mnie i braciszka, więc grzecznie siedziałem, robiłem dobrą minę do złej gry i starałem się robić wrażenie znudzonego, żeby zaznaczyć, że lepsze są filmy wojenne.

Ale film *Zuzia i Hultaj* – przyznam ze wstydem – był naprawdę w dechę i całe szczęście, że było ciemno, bo mogłem ocierać łzy i nikt tego nie widział. Po powrocie do domu usiedliśmy na chwilę, piliśmy herbatę i przerzucaliśmy się dialogami, które jako tako pamiętaliśmy. Najbardziej lubiłem właściciela włoskiej restauracji, który mówił „zaraz ci spuszczę mantolo!”, czy coś w tym stylu, a potem miękł na widok dużych, cockerspanielowych oczu Zuzi. W takiej sytuacji trudno zachować twarz twardziela. Na szczęście nikt nas tam nie znał.

Święta były smutne.

Dorośli oczywiście dobrze się maskowali i udawali, że nadal jesteśmy razem jako rodzina, którą już nie byliśmy.

Babcia nadal mieszkała w willi Bellevue, choć już tylko z Torunn. To zaś miały być ostatnie święta w tamtym miejscu. Nie mogłem tego pojąć.

W pociągu do Saltsjöbaden mama powiedziała mi, jak stoją sprawy, żebyśmy byli zorientowani. Przy stole czy w świątecznym salonie nikomu nie przyszłoby do głowy rozmawiać na takie tematy.

Willa Bellevue miała zostać sprzedana i przerobiona na szpital. „Beduin” już był sprzedany i czekał w Göteborgu na nadejście wiosny, żeby popłynąć do nowego właściciela do Szkocji. Nie, nie kupiła go ciocia Rosa z mężem, tylko zupełnie obcy Szkoci.

Babcia miała się przeprowadzić do czegoś, co nazywano hotelem rodzinnym – w Näsbypark nieopodal Djursholmu. Torunn dostała wypowiedzenie i planowała wrócić do domu w Norwegii.

Mama powiedziała wszystko za jednym zamachem, jakby po prostu opisywała regaty. Pocieszające było przynajmniej to, że mieliśmy zachować Sandhamn – babcia nie chciała zrezygnować także i z tego domu.

Prastryj Sverre jak zwykle zawiązał czerwoną muchę smokingową, ale tylko to było takie jak zwykle. Willa Bellevue stała się domem duchów, a jedynymi pomieszczeniami, które się nie zmieniły, były jadalnia i sypialnia babci i dziadka. Męski pokój prawie całkowicie opróżniono, zostało tylko kilka mebli przykrytych białymi płachtami materiału. Salon dla pań też był prawie pusty. Większość obrazów zniknęła, zwłaszcza z męskiego pokoju, gdzie wisiały te najdroższe.

Portrety babci i dziadka, prastryja Lauritza i cioci Ingeborg ze stetoskopem nadal wisiały w dużej jadalni.

Świąteczna kolacja była znacznie krótsza niż zwykle. Wujek Hans Olaf i ciocia Alice spędzali święta u rodziców cioci. Nikt nie wyjaśnił, dlaczego nie ma z nami wujka Carla Lauritza, cioci Johanne i cioci Rosy. Przy wielkim czarnym stole w jadalni było nas tylko pięcioro, łącznie ze mną i braciszkiem, który tym razem nie siedział przy stoliku dla dzieci.

Najdziwniejsze było chyba to, że prastryj Sverre nie znalazł migdała w owsiance. Trafiał się mamie. Wszyscy zaczęli klaskać i życzyć jej szczęścia, prastryj Sverre też.

Choinka była jednak tak duża jak zwykle – zdecydowała o tym babcia Christa. Kominek wyglądał równie okazale. Na prezenty czekaliśmy krócej niż kiedykolwiek wcześniej. Dostałem płetwy i rurkę do nurkowania. Tego właśnie najbardziej pragnąłem i w pewnym sensie czułem się bardzo szczęśliwy.

Kiedy dorośli zgromadzili się przy kominku i zajęli drinkami, przemknąłem do męskiego pokoju, cicho zamknąłem za sobą drzwi i zapaliłem górne światło.

Na widok pustych ścian ze śladami po obrazach i pustego stołu bilardowego, na którym dawniej stały wszystkie puchary, wybuchnąłem płaczem. Znow ten cholerny płacz. Nie dało się go powstrzymać, choć próbowałem być prawdziwym Lauritzenem. Czułem się tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

MON PÈRE ANTOINE I SIOSTRZYCA

Nie było łatwo stać się kimś innym niż osoba, za którą się uważałem. Minęło trochę czasu, zanim to zrozumiałem i zacząłem się przyzwyczajać do tej myśli.

Kiedy ferie świąteczne wreszcie dobiegły końca i rozpoczął się semestr letni, odkryłem dziwną rzecz w klasowym dzienniku. Tak naprawdę to Clark pierwszy ją zauważył. Nosił nazwisko Larsson, więc w spisie alfabetycznym figurowaliśmy jeden pod drugim. W nowym dzienniku na semestr letni przy moim nazwisku widniał dziwny dopisek. Nie było tam imienia i nazwiska zapisanego jak wszędzie, tylko „Eric (zwany Lauritzenem)”.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, kiedy Clark zapytał, co to oznacza. Oczywiście, że byłem zwany Lauritzenem, tak miałem na nazwisko, i to jeszcze zanim zostałem dzieckiem z rozbitej rodziny. A więc rozwód nie miał tu nic do rzeczy. Zdarzało się, że po rozwodzie rodziców dzieci zmieniały nazwiska, jak Ser z naszej klasy. Wcześniej był Holmem, ale w połowie semestru zimowego został Petrellem i tyle. Nie było tam żadnego „zwany Petrellem”.

Początkowo chciałem zapomnieć o całej sprawie. W końcu to była tylko drobnostka. Noszę nazwisko Lauritzen, więc muszę rzecz jasna być zwany Lauritzenem – tłumaczyłem sobie.

Ale dlaczego w nowym dzienniku tylko przy moim nazwisku widniał ten dziwny nawias? Nie dało się o tym zapomnieć. Myślałem o tym dopisku podczas porannego pływania, na lekcjach, a czasami również wtedy, kiedy graliśmy w piłkę ręczną. To znaczyło, że sprawy zaszły za daleko. Kiedy podczas meczu piłki ręcznej myśli się o czymś innym niż gra, można sobie zrobić poważną krzywdę.

Najprościej byłoby oczywiście zapytać mamę. Ale wzbraniałem się przed tym. Jeśli nie byłem prawdziwym Lauritzenem, znaczyło to, że wszyscy mnie okłamywali. A jeśli wszyscy mnie okłamywali, nie będzie łatwo to wyznać.

Drugim w kolejności najprostszym rozwiązaniem było zapytanie opiekuna klasy, na którego mówiłem Raczek, bo miał czerwony nos.

Poprosiłem o krótką rozmowę na osobności, jak się na to mówiło. Raczek kazał mi zamknąć drzwi – stanąłem przed katedrą bez możliwości odwrotu.

– Dlaczego w dzienniku jest napisane, że jestem zwany Lauritzenem? – zapytałem bez ogródek, bo inaczej się nie dało.

Raczek natychmiast zmienił wyraz twarzy z przyjaznego na zmartwiony. Czulem, że przyspiesza mi puls – w czasie treningów pływackich ciągle go mierzyliśmy i wiedzieliśmy, że o pulsie należy myśleć nieustannie.

– To ty nie wiesz? – Raczek odpowiedział pytaniem.

– Nie, ale chcę się dowiedzieć – odparłem.

Raczek przez chwilę myślał i wyglądało na to, że się zastanawia. Potem oznajmił krótko, że to pytanie muszę zadać dyrektorowi Lundqvistowi. Ale to nie będzie problemem, bo gabinet dyrektora jest otwarty dla wszystkich przez godzinę od zakończenia lekcji.

Potem spojrzął na zegarek, wziął teczkę i szybkim krokiem odszedł. Stałem przed pustą katedrą i wiedziałem tylko tyle, że jest w tym jakaś tajemnica. Nawias nie był pomyłką ani dziwnym błędem w pisowni, tylko celową tajemnicą. A rozwiązanie zagadki kryło się w gabinecie dyrektora.

Do końca dnia zostały jeszcze dwie lekcje – język szwedzki i matematyka. Byłem rozkojarzony, nauczyciele to widzieli i złośliwie zadawali mi pytania. W końcu wstałem i powiedziałem „dopełnienie bliższe”, kiedy powinienem był powiedzieć „orzecznik” albo po prostu „przepraszam, nie usłyszałem pytania”.

Zastanawiałem się, czy iść do dyra jeszcze tego samego dnia, czy odczekać kilka dni. A może po prostu nie miałem odwagi.

To byłoby tchórzostwo.

Przeciąganie tej udręki było zaś po prostu głupie.

Dwadzieścia po trzeciej wszedłem do poczekalni przed gabinetem dyrektora, usiadłem i przez chwilę patrzyłem na małą czerwoną lampkę przy drzwiach, która oznaczała, że dyrektor rozmawia przez telefon. Długo trwało, zanim światelko zmieniło się na zielone, prawie zdążyłem się rozmyślić.

Wszedłem do środka, ukloniłem się i powiedziałem, jak się nazywam.

Dyro był tłusty, czerwony na twarzy i wyglądał na zadowolonego.

– Co ci leży na sercu, Lauritzen? – zapytał, podniósł okulary na czoło i się odchylił, jakby sądził, że utniemy sobie miłą pogawędkę.

– Chciałbym wiedzieć, jak się nazywam – oznajmiłem.

Wydawało mi się, że jeśli wypowiem to zdanie, nie będzie mógł kluczyć.

– Wprawdzie zaczynam się starzeć i mieć problemy z pamięcią – odparł dyro nadal uśmiechnięty – ale mimo wszystko mam wrażenie, że Lauritzen przed chwilą się przedstawił.

A więc jednak zamierzał kluczyć.

– Rzeczywiście, w dzienniku klasowym figuruje właśnie to nazwisko. Ale jedynie w nawiasie z adnotacją, że jestem tylko zwany Lauritzenem. Pan Lagergren odesłał mnie do pana dyrektora po bardziej wyczerpujące wyjaśnienie.

Czasami to robiłem – naśladowałem język dorosłych. Na przykład kiedy się ze mnie nabijali w sklepie mleczarskim przy Hornsgatan. Działo. Mówiąc w ten sposób, człowiek był uprzejmy i jednocześnie niegrzeczny.

W przypadku dyra nie zadziałało.

– Jezu! – wykrzyknął, nachylił się nad biurkiem, opuścił okulary i na mnie spojrzał, cały roześmiany, z głową opartą na rękach. – Słyszałem o tobie, pan Lagergren opowiadał o twoim darze wymowy. To chyba twoje wypracowania są najczęściej czytane na głos, prawda?

Na pytanie dyrektora należy odpowiedzieć, nawet jeśli nie dotyczy tematu.

– Tak, dziękuję. Ale, jak mówiłem, mam do pana konkretne pytanie, panie dyrektorze Lundeqvist. Kim ja jestem?

Tym razem sztuczka z dorosłym językiem zadziałała. Dyrektor zamilkł, a na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– Siadaj! – powiedział i wskazał jeden z dwóch foteli przy małym stoliku.

Posłuchałem, choć byłem zdziwiony, kiedy tak stałem w pozycji „spocznij” – z rękoma na plecach i lekko rozstawionymi nogami, jak nas wytresowali Kaper i porucznik Bengtsson.

Dyro podszedł i usiadł w drugim fotelu. Trochę dyszał z wysiłku i podniósł okulary z powrotem na czoło.

– Obaj mamy problem – stwierdził. – Biurokratyczna pomyłka zrodziła twoje pytanie, na które jednakowoż masz prawo poznać odpowiedź. Niestety, nie mogę ci jej udzielić.

Dyrektor umilkł i tylko na mnie patrzył.

Nic nie mówiłem, ale pewnie wyglądałem jak jeden wielki znak zapytania.

– A to dlatego, że jestem związany obietnicą milczenia – dodał wreszcie.

Próbowałem wymyślić jakieś pytanie o obietnicę milczenia, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Znam jednak sposób, który pozwoli nam się wydostać z tej kabały – kontynuował po namyśle dyrektor. – Gdzie mieszkasz?

– Przy Hantverkargatan – odparłem.

– Dobrze! – zawołał. – Czyli mamy do wyboru tylko jedno biuro parafialne, przy kościele kilka przecznic od Kungsholmstorg. Odszukaj tam proboszcza. Albo nie, ktokolwiek z pracowników biura będzie dobry. Oni są zobowiązani odpowiedzieć na twoje pytanie.

Dyro wstał, więc ja też musiałem wstać. Pozostawało tylko się uklonić, uścisnąć dłoń i podziękować, że poświęcił mi czas.

Czy dużo mi to dało? – pytałem sam siebie w drodze do tramwaju.

Nie, bo nie dostałem odpowiedzi na pytanie, dlaczego jestem tylko zwany Lauritzenem, jakbym nie był prawdziwy.

Tak, bo niedaleko od domu było miejsce – i to akurat biuro parafialne – w którym czekała na mnie prawda.

W tramwaju przypomniałem sobie baśnie braci Grimm – książkę, która zniknęła bez śladu akurat wtedy, kiedy ją czytałem. Była tam jedna czy dwie baśnie o zamianie. Książę dorastał jako świniopas, dopóki nie poznał księżniczki, która od razu wiedziała, kim on jest. Trolle również miały w zwyczaju podmieniać dzieci i tak dalej.

Jeżeli i ja zostałem podmieniony, to nieprzypadkowo książka braci Grimm zniknęła akurat wtedy, kiedy zacząłem ją czytać.

Nigdy nie czułem, że Harry jest dla mnie tatą, tak jak dla braciszka, ale mama jak najbardziej była moją mamą. Nic jednak się nie zgadzało do końca.

Minął prawie tydzień, zanim udało mi się znaleźć w książce telefonicznej biuro parafialne, ustalić godziny otwarcia i poczekać na podwójne okienko, żeby zdążyć tam pójść, wrócić i nie dostać uwagi.

Przyjął mnie młody ksiądz. To znaczy, młody jak na księdza, ale tak czy inaczej zupełnie inny od naszych nauczycieli religii – starych księży, którzy dorabiali, ostrzegając nas przed grzechem i przesłuchując z tez Marcina Lutera.

Ten ksiądz wyglądał na sympatycznego, kiedy przesadnie uroczystym tonem zapytał, czym może mi służyć.

– Chciałbym poznać swoje nazwisko – oznajmiłem. A kiedy ze zrozumiałych względów się zdziwił, dodałem, że mówią na mnie Eric Lauritzen. Eric przez c, Lauritzen przez tz.

Ksiądz zacisnął usta i zapytał, czy moi rodzice są rozwiedzeni. Skinąłem głową. Westchnął i ciężkim krokiem, jakby się zgrywał, podszedł do szeregu szafek z szufladami z jasnego drewna. Przez chwilę szukał, aż w końcu wrócił z kilkoma zapisanymi na maszynie kartkami z archiwum i usiadł.

Popatrzył na mnie niezbyt przyjaźnie i znowu westchnął.

– Czy twoja mama to Helene Solveig Maren Lauritzen z domu Lauritzen? – zapytał.

– Tak, prawie – odparłem. – Solveig Maren Lauritzen się zgadza, ale jej pierwsze imię to Ellen.

Tym razem ksiądz się uśmiechnął, choć z lekką złośliwością.

– Zależy, jak się rozłoży akcenty – odparł. – Ale tutaj nie ma żadnych akcentów, więc twoja mama ma na imię Helene, nie Ellen.

Nic nie odpowiedziałem. Gadka o akcentach wydała mi się kolejną próbą kluczenia.

– Ale pytałeś, jak ty się nazywasz, prawda? – kontynuował, trochę dziwnie na mnie patrząc.

Skinąłem głową, ale nadal nic nie mówiłem i czułem, jak przyspiesza mi puls.

– Nazywasz się... wybacz, że jestem trochę niepewny co do wymowy – kontynuował wciąż z tym samym dziwnym spojrzeniem – nazywasz się Eric Henri Oscar Lauritz Lötang. I jesteś obywatelem Francji.

Przesunął kartkę na drugi koniec biurka, przy którym stałem.

Moje pierwsze spojrzenie zatrzymało się na nazwisku mojego ojca.

Fr. ob. Antoine Henri Letang, wyj. z kraju 1944.

Przeczytałem tę linijkę kilka razy, zanim byłem w stanie przejść dalej.

– Możesz dostać kopię, ale to będzie kosztowało dwie korony – powiedział ksiądz.

Tylko pokręciłem głową, nie miałem tylu pieniędzy. Zdążyłem jednak wykuć wszystko na pamięć, zanim się zniecierpliwił, zabrał kartkę, zdecydowanym krokiem wrócił do jasnej drewnianej szafki, włożył ją na swoje miejsce i zamknął podłużną szufladę z lekkim trzaskiem.

Wyszedłem na cmentarzyk, zgarnąłem trochę śniegu z parkowej ławki i usiadłem. Było kilka stopni poniżej zera. Wiedziałem, że śnieg wkrótce zacznie mi się topić pod tyłkiem, ale musiałem odpocząć, jakby nogi odmawiały mi posłuszeństwa, tak samo jak po porannym treningu, kiedy trzeba przepłynąć ostatnie dwie długości w stylu dowolnym na najwyższych obrotach. Zarówno ciało, jak i umysł są wykończone, kiedy człowiek zawisa na korkowej linii i próbuje dojść do siebie. Teraz było tak samo, jakbym zapomniał całą wyuczoną na pamięć kartkę z archiwum.

Jednak powoli, w takim samym tempie, w jakim śnieg topniał mi pod tyłkiem, pamięć wracała.

Mój ojciec nazywał się Antoine Henri Letang i był Francuzem, a ja nie wiedziałem nawet, jak wymówić jego nazwisko. To znaczyło, że jestem w połowie Francuzem, w jednej czwartej Norwegiem i w jednej czwartej Niemcem, a przede wszystkim – że nie jestem nawet spokrewniony z Harrym.

Nie jestem z nim nawet spokrewniony.

Jest moim krewnym w takim samym stopniu co którykolwiek mężczyzna przechodzący Hantverkargatan z czapką albo kapeluszem nasuniętym na twarz. Zaczęło śnieżyć, z nieba spadały małe, ostre ziarenka.

Harry już z nami nie mieszkał i nigdy więcej nie musiałem się za niego wstydzić. Braciszek Axel Edvin Hansson nie miał tyle szczęścia. Harry był jego ojcem, potwierdzały to papiery. To dlatego nigdy nie dostawał lania.

Nie mogłem dłużej siedzieć w miejscu, zaczęło mi być mokro z tyłu i musiałem zdążyć z powrotem do szkoły.

Z popołudniowych lekcji pamiętam tylko muzykę, bo wtedy mieliśmy zastępstwo. Nasz nerwowy profesor, którego wszyscy się bali, poszedł na krótki urlop.

Nauczyciel, który go zastępował, próbował nas zachęcić do muzyki klasycznej – w rodzaju tej, której dziadek i babcia słuchali w niedzielne popołudnia w willi Bellevue. Odtworzył *Wielką symfonię g-moll*, *Koncert na dwoje skrzypiec* Bacha i inne równie znane utwory. Ale niezbyt dobrze się tego słuchało, a nauczyciel był w beznadziejnej sytuacji, bo chłopacy się z niego nabijali, rzucali kulkami z papieru i krzyczeli, że chcą rock'n'rolla. Było mi go żal, kiedy się poddał, zebrał płyty gramofonowe i poszedł.

Był młody i należał do nowoczesnych nauczycieli, którzy chcieli być demokratyczni. Profesor Södersten wierzył bardziej w Juliusza – tak nazwał swój wskaźnik. Każdy, kto się wygłupiał na jego lekcjach, musiał wyjść na środek i się pochylić. Działo za każdym razem.

Mimo wszystko myślami byłem raczej gdzie indziej. Co powiem mamie po powrocie do domu? To było wielkie pytanie.

Nie dało się po prostu udawać, że wszystko jest jak dawniej. Poza tym miałem przyrodniego brata o komicznym nazwisku Axel Edvin Hansson, który rozpoczął naukę w pierwszej klasie i o ile wiedziałem, w szkole również był zwany Lauritzenem.

A więc byliśmy spokrewnieni. Nigdy wcześniej tego nie odczuwałem, wydawało mi się raczej, że on pasuje do Harry'ego. Ale mieliśmy tę samą mamę, a poza tym to nie była jego wina,

że jego ojcem jest Harry. Pomyślałem, że zacznę go nazywać Acke, to nie brzmiało tak komicznie jak Axel.

Był jednak mały problem.

Nie mogłem teraz stosować uników. Musiałem porozmawiać z mamą. Zawsze zauważała, kiedy coś ukrywałem, nawet jeśli chodziło o drobnostki. A Antoine Henri Letang nie był drobnostką.

Zazwyczaj o tej porze roku Clark i ja szliśmy po lekcjach na duże lodowisko w Vasaparken pograć w hokeja, o ile duzi chłopacy nie zaanektowali części z bramkami. W takim wypadku zawsze można było przejść na drugą stronę lodowiska, na której ludzie grali w siostrzycę – przypominała berka, ale trzeba było złapać dziewczynę.

Tego dnia Clark musiał sam iść na lodowisko. Nie pamiętam, jak się wykręciłem.

Do domu nie pojechałem tramwajem – byłoby za szybko.

Kiedy mijałem Pałac Sportu, miałem za sobą ponad połowę drogi. Przyszło mi do głowy, że powinienem tam wpaść na popołudniowy trening – choćby po to, żeby poczuć, jak to jest. Właściwie nie powinniśmy ćwiczyć dwa razy dziennie, dopóki nie ukończymy trzynastu lat, żeby nie przeciążać organizmu. Ale jeden dodatkowy trening nie mógł mi przecież bardziej zaszkodzić niż dwie godziny hokeja albo siostrzycy.

Mimo wszystko nie byłem w stanie oszukać sam siebie. Nawet gdybym popływał dwie godziny, po powrocie do mamy byłbym w tej samej sytuacji, tyle że bardziej zmęczony i z oczami czerwonymi od chloru.

Kiedy przechodziłem koło szkoły na Kungsholmen, zostało mi już tylko pięć minut. Dlaczego nie poszedłem do tej szkoły? Z drugiej strony, i tak miałbym równie daleko do Pałacu Sportu, a w Vasa Real już pięć minut po lekcjach mogłem być na lodowisku.

Na ostatnim odcinku myślałem o wszelkich możliwych bzdurach, tylko dlatego, że nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć mamie.

Kiedy wszedłem do domu, siedziała przy maszynie do szycia, którą zaciągnęła do pokoju dziennego. Tak się teraz nazywał – pokój dzienny.

Szycie zawsze dobrze jej wychodziło, choć maszyna – singer z pedałami – była przestarzała. Pamiętałem ją z poddasza willi Bellevue.

– Jeszcze jeden szew w tej lamówce i skończę – oznajmiła.

Przez chwilę na nią patrzyłem. Kiedy się koncentrowała, z kącika jej ust wystawał koniuszek języka. W Saltsjöbaden wyhaftowała na mojej bluzie hokejowej napis TORONTO, ale pierwsza i ostatnia litera znalazły się pod pachami i wyglądało to jak ORONT, jeśli akurat nie unosiłem obu rąk w geście triumfu.

Nie mogłem jednak po prostu stać i patrzeć, jak mama szyje i pedałuje. Wszedłem do przedpokoju, powiesiłem kurtkę, odstawiłem łyżwy i kij do hokeja, wyjąłem podręczniki i przeszedłem przez kuchnię do pokoju, który zajmowałem z Ackem.

– Siemasz, Acke – powiedziałem najprzyjaźniej jak potrafiłem, kiedy odkładałem podręczniki.

Braciszek spojrział zdziwiony znad komiksu z Kaczorem Donaldem – nauczył się czytać szybciej niż większość rówieśników.

Nie zrozumiał, że nazywam go Ackem, żeby zaznaczyć początek naszego nowego życia.

Wróciłem do pokoju dziennego. Mama wykonywała wężowe ruchy tyłkiem i próbowała się wślizgnąć w niebieską spódnicę ze skosu. Wyglądała na dziwnie szczęśliwą.

– Czekaj – powiedziała na mój widok, zniknęła w sypialni i zaraz wróciła w zakiecie tego samego koloru co spódnica i w butach na wysokim obcasie. – Tadam! – wykrzyknęła i się obróciła. Wyglądała jak sklepowy manekin. – Co myślisz?

Skojarzyła mi się ze stewardesą, a ponieważ miała trzy małe flagi na lewej klapie zakietu, pomyślałem, że szykuje się do objęcia tej posady. Jej ubiór wyglądał bardziej jak uniform niż elegancki strój.

Na początku nie miałem odwagi odpowiedzieć, że wygląda jak stewardesa. Nie żeby w takim wyglądzie było coś złego, nic z tych rzeczy, ale dziwnie by to zabrzmiało.

Ale kiedy zapytała ponownie, odpowiedziałem właśnie tak – stewardesa. Mama zaczęła się śmiać i powiedziała, że jestem blisko, ale chodzi o coś lepszego. Dostała robotę.

Dostrzegła, że zdziwiło mnie słowo „robota”. Zawsze potrafiła wszystko odczytać z mojej twarzy.

– Tak to się teraz nazywa – wyjaśniła. – Nawet na eleganckie posady mówi się robota. Chodź tu i siadaj, to ci opowiem!

Usiedliśmy na dużej skórzanej sofie. Przycupnąłem w jednym rogu i podwinąłem nogi, mama usiadła w drugim, z jedną nogą elegancko założoną na drugą.

– Wielka nowina jest taka, że zostałam nową kierowniczką sali w Blanche – oznajmiła. Wyglądała na szczęśliwą, wręcz dumną.

Dobrze wiedziała, że znam Blanche. Mieściła się prawie naprzeciwko domu towarowego NK i była ulubioną restauracją dziadka. Kilka razy jedliśmy tam kolację po teatrze, a któregoś wieczoru nawet po kinie.

Kierowniczka sali to lepsza funkcja niż kelnerka, a nawet kapelmistrz, a on zawsze miał na sobie frak. Kierownik sali nie podawał potraw, lecz odpowiadał za wybór stolika, przyjmował zamówienie i proponował odpowiednie wino.

Moja mama kierowniczką sali? Oniemiałem ze zdumienia, a ona oczywiście to zauważyła.

– Tylko się nie wstydz swojej mamy! – powiedziała.

Natychmiast zapewniłem, że się nie wstydzę, po prostu jestem zdziwiony.

– Powiem, jak to dokładnie wygląda. Jesteś już na tyle duży, że zrozumiesz. Rzecz w tym, że nie mam ani grosza, a musimy tu płacić czynsz. I mieć co do garnka włożyć.

Nagle jej radosna duma zniknęła. Zapaliła papierosa i się zamyśliła. Przyszło mi do głowy, że w pewnych sytuacjach palenie może być dobre. To, co ktoś zamierza powiedzieć, wydaje się ciekawsze, jeśli najpierw robi pauzę, wytrząsa papierosa z paczki, otwiera zapalniczkę, zamyka ją, po raz pierwszy się zaciąga, z namysłem wydmuchuje dym, a dopiero potem coś mówi. Publiczność jest gotowa. Ja byłem naprawdę gotowy. A więc „ani grosza”? To sformułowanie brzmiało w jej ustach tak samo dziwnie jak „robota”.

– Z czasem sytuacja z pieniędzmi się unormuje – powiedziała. – Choć teraz nie wygląda to różowo. Dlatego nie wolno siedzieć z założonymi rękami. Dla czerwonych z takimi problemami są specjalne czerwone zapomogi, ale nie dla nas. Kulturalny człowiek nie żyje na koszt innych, nie pożycza pieniędzy, nie sprzedaje odziedziczonego majątku, jak obrazy czy inne przedmioty, nie biega do krewnych, żeby się wyzalić. Takich rzeczy po prostu się nie robi.

Harry zabrał jej prawie cały spadek po dziadku i zwiął do Ameryki założyć big band. Takie rzeczy nie mogą wyjść na jaw, nie wolno mi było choćby pisać na ten temat. Skandal to najgorsze, co może się stać.

Co więc mogła zrobić? Nie zdobyła żadnego wykształcenia z myślą o „robotcie” (tym razem wyraźnie było słychać ironię, kiedy wypowiadała to słowo), więc musiała pomyśleć.

Kierowniczka sali w eleganckiej restauracji? Czemu nie? Wczoraj na ulice Sztokholmu wyjechały pierwsze taksówkarki. W przyszłym roku miały się pojawić pierwsze policjantki. Naprawdę. A przecież przez całe życie pobierała nauki dotyczące różnych dań podawanych w lepszych restauracjach (także w niejednej norweskiej – dodała ze śmiechem). To samo tyczyło

się win – piwnica w willi Bellevue była zaopatrzona lepiej niż dobrze. Potrafiła się zachować, wyglądała reprezentacyjnie, mówiła płynnie po niemiecku, angielsku i francusku.

Wskazała trzy flagi na klapie żakietu.

Wiedziałem, co to znaczy „umieć się zachować”. Chodziło po prostu o wychowanie, które otrzymywało się w dobrych rodzinach.

Bardziej niejasne było, co znaczy wyglądać reprezentacyjnie. Prawdopodobnie był to po prostu bardziej skomplikowany sposób na powiedzenie, że ktoś wygląda wystrzałow. Choć tego określenia nie potrafiłem odnieść do mamy.

Dalej mówiła bardziej poważnym tonem, że teraz część odpowiedzialności za rodzinę spadnie na mnie. Praca w restauracji rozpoczynała się o siódmej wieczorem i trwała do północy. To oznaczało, że wieczorami będę musiał pomagać w opiece nad Axelem, odpowiadać za mycie zębów i kładzenie go do łóżka.

Mama miała jak zwykle budzić nas rano śniadaniem i pilnować, żebyśmy zdążyli do szkoły. Zapytała, czy mogę wziąć na siebie tę odpowiedzialność.

Była tylko jedna odpowiedź, mama też nie spodziewała się niczego innego. I tak już postanowiłem, że będę miłszy dla Ackego.

Z drugiej strony w pewnym sensie czułem się trochę oszukany. To przecież ja miałem wielką sprawę, a nie mama. Teraz zaś ona wyraźnie czuła wielką ulgę, jakby powiedziała coś trudnego, do czego pewnie długo się przygotowywała. Zdałem sobie sprawę, że moja szansa wymyka mi się z rąk.

– Dobrze mówisz po francusku? – zapytałem niemal z desperacją i wskazałem trzy flagi na klapie jej żakietu. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Mama się roześmiała i powiedziała, że tak, oczywiście nie tak jak po niemiecku, ale mniej więcej równie dobrze jak po angielsku.

– To dlatego, że twoim mężem był Francuz Antoine Henri Letang, który jest moim ojcem – wypaliłem. Słowa po prostu ze mnie wypłynęły.

Wyglądała, jakby dostała policzek, a ja zacząłem cholernie żałować, że to powiedziałem.

Była jednak z Lauritzenów, więc szybko się pozbierała i powtórzyła trik z zapalaniem papierosa.

– Jak już powiedziałam – zaczęła – jesteś dość duży, żeby wiedzieć rzeczy, o których wszyscy psychologowie dziecięcy nie radzą mówić małym dzieciom. Nie jesteś już małym chłopcem. Twój ojciec nazywa się – musisz się nauczyć prawidłowo to wymawiać: *Aun-tlan Aauuri Le-tą*. Jest najmilszym i najsilniejszym mężczyzną na świecie. W młodości był pływakiem i wygrywał mnóstwo zawodów, tak samo jak ty.

Uśmiechnęła się, szybko przysunęła się do mnie na kanapie, uścisnęła mnie i trzymała, mocno i długo. Kiedy mnie pocałowała w oba policzki, chyba poczułem łzy, ale może tylko to sobie wmówiłem albo zawodzi mnie pamięć.

Wzięła głęboki oddech, wstała i popatrzyła na złoty zegarek Cartiera, który dostała pod choinkę od dziadka w czasach, kiedy naprawdę byliśmy Lauritzenami.

– A myślałam, że to ja mam coś ważnego do powiedzenia – oznajmiła zupełnie zwyczajnym, żartobliwym tonem.

Weszła do sypialni, przez chwilę gmerała w szafie i wróciła z kilkoma czarno-białymi zdjęciami w rękę.

– To jest twój ojciec – powiedziała i położyła zdjęcia na stoliku przy kanapie, awersem do dołu. – Trzymałam je przez wiele lat. Pomóż mi przygotować kolację, bo potem muszę iść do pracy. Jak wyjdę, będziesz mógł oglądać te zdjęcia do woli. Jutro znów porozmawiamy o Antoine i o tobie. Wszystkiego się dowiesz, obiecuję.

Na kolację jedliśmy *blodpudding* z konfiturą z borówek, po raz drugi w tym tygodniu i mimo że na obiad w szkole tego dnia było to samo. Pewnie pudding z krwi był po prostu najtańszym produktem.

Mama przytuliła nas w przedpokoju i pocałowała. Ackemu zbierało się na płacz. W najgorszym razie bał się zostać ze mną sam w domu. Mama owinęła głowę dużą chustą, wciągnęła śniegowce, włożyła futro z lamparta i już jej nie było.

Zagotowałem wodę na kuchence gazowej i pozmywałem. Acke miał powycierać naczynia. Wyglądał na przestraszonego, więc powiedziałem mu, że nie ma się czego bać. A jeżeli ktoś mu dokucza w budzie, może zawsze powiedzieć, że ma starszego brata – o mało nie wymknęło mi się „przyrodniego” – w pierwszej klasie, i że członkowie naszej rodziny trzymają się razem i bronią się nawzajem.

Wydawał się tylko zdziwiony, nie było po nim widać żadnej wdzięczności.

Potem nieznośnie długo siedziałem przy biurku nad lekcjami, a Acke leżał skulony w łóżku z komiksem *Fantomen*. Pewnie pożyczonym od jakiegoś kolegi, bo mama nigdy by mu go nie kupiła.

Wreszcie nadszedł czas, żeby umyć zęby i poszedł spać. Kiedy zgasłem lampkę przy jego łóżku, poszedłem do pokoju dziennego i zamknąłem za sobą drzwi, czułem, że mój puls gwałtownie przyspieszył.

Kawałek dalej na stoliku leżały cztery zdjęcia mojego ojca, Antoine’a Henriego Letanga. Próbowałem powiedzieć to nazwisko w myślach dokładnie tak, jak uczyła mnie mama.

Pierwsze zdjęcie było z Sandhamn, przedstawiało moją mamę i tatę... zgadza się, tak musiałem o nim myśleć. Mama i tata stali przy pomoście w kostiumach kąpielowych, uśmiechnięci do obiektywu. Ona w dwuczęściowym kostiumie, ale nie bikini, a on w typowych przylegających kąpielówkach.

Przypominał Johnny’ego Weissmullera – Tarzana. Miał ciemne włosy i prawdopodobnie brązowe oczy. Po namyśle i porównaniu z mamą doszedłem do wniosku, że jednak jest trochę niższy niż Johnny Weissmuller.

Drugie zdjęcie przedstawiało ławę ogrodową przy fontannie obok głównego wejścia do willi Bellevue. Mama i tata siedzieli ubrani do obiadu, razem z dziadkiem i babcią. Wszyscy się uśmiechali i patrzyli prosto w obiektyw. Na odwrocie zdjęcia widniał napis długopisem *Czerwiec 1943*. A więc, jak policzyłem, ja też byłem na tym zdjęciu, tyle że w brzuchu mamy. Przecież urodziłem się w styczniu.

Trzecie zdjęcie, typowa fotografia ślubna, zostało zrobione przed kościołem Objawienia Pańskiego w Saltsjöbaden. Mama miała białą suknię z mnóstwem tiulu dookoła, koronę panny młodej i rozpuszczone włosy. Mój tata, w męskim żakiecie, pochylony i śmiejący się prosto do obiektywu, przechodził pod szablami wyciągniętymi przez stojących w dwóch szeregach mężczyzn. Czerwiec 1943 roku – zdjęcie przy ławie powstało w tym samym czasie. To znaczyło, że byłem też na ślubie.

Na czwartym dało się najlepiej zobaczyć, jak wygląda tata. To był portret zrobiony u prawdziwego fotografa. Tata miał na sobie beret i górę od munduru z kilkoma medalami. Nie potrafiłem rozpoznać, co to za mundur. Przecież żołnierze nie nosili беретów?

Od razu się zorientowałem, jaki ze mnie głupek. Przecież to był francuski mundur. Czy mój tata walczył na wojnie, tak jak dziadek?

Długo patrzyłem na jego twarz. Czasem wydawało mi się, że coś rozpoznaję, a kiedy indziej – nie dostrzegałem niczego znajomego. W każdym razie wyglądał na inteligentnego i sympatycznego – a zatem stanowił kompletne przeciwieństwo Harry’ego.

Tej nocy mi się przyśnił, a jeden sen był dziwniejszy od drugiego. Najdziwniej było,

kiedy ścigaliśmy się z Johnnym Weissmullerem na torze pływackim. Obaj z łatwością pokonaliśmy Tarzana.

Gajusz Juliusz Cezar czy Sixten Jernberg? Nie było łatwo zdecydować, kiedy się miało do wyboru takie znakomitości. Z jednej strony Sixten Jernberg zdobył srebro w biegu na trzydzieści kilometrów na igrzyskach olimpijskich w Cortinie i brąz w biegu na piętnaście kilometrów, a więc została tylko jedna szansa na złoto – pięćdziesiąt kilometrów.

Z drugiej strony zaliczyliśmy wszystkie nudy – Etrusków, Remusa, Romulusa i wilczycę i dotarliśmy do pierwszego wieku przed Chrystusem. Wtedy naprawdę zaczęło się dziać.

Kiedy zbliżał się koniec biegu na pięćdziesiąt kilometrów, mieliśmy lekcję historii, więc nie było sensu pytać, czy możemy włączyć radio. Odbiornik był w każdej sali, ale Ärtan nigdy by nie pozwolił, żeby jakiś bieg narciarski stanął na drodze Cezarowi.

Narysował na czarnej tablicy rzymską tarczę – prostokątną i wklęsłą. Rzymscy legionieści atakowali w zwartym szyku, każdy z nich liczył na to, że towarzysze po obu stronach nie zostawią zbyt dużych odstępów, a jedynie takie, które pozwolą zamachnąć się gladiusem – krótkim mieczem.

To była fenomenalna broń, jeśli się jej używało we współpracy. Do walki jeden na jednego zbyt nie nadawała. Średniowieczny rycerz z długim mieczem o szerokim obustronnym ostrzu przerobiłby rzymskiego żołnierza na mielonkę. O ile oczywiście spotkaliby się na polu bitwy.

Rzymscy legionieści posuwali się naprzód jeden obok drugiego, za murem tarcz, a kiedy napotkali przed sobą stłoczone oddziały nieprzyjaciela, unosili gladiusy i wyprowadzali pchnięcie w serce albo w wątrobę.

Było niewiarygodnie emocjonujące, kiedy Ärtan wskoczył na katedrę z metrowym liniałem jako tarczą i wskaźnikiem jako gladiusem. Rozśmieszyło nas też, kiedy odkrył, że wskaźnik jest za długi, żeby symulować gladius. Ale był już tak rozemocjonowany, że złamał wskaźnik na kolanie i kiedy uzyskał odpowiednią długość, bitwa Rzymian z galijskimi barbarzyńcami rozgorzała na nowo.

Przedstawienie Ärtana jak zwykle było fantastyczne. Tym razem zbliżał się jednak koniec biegu na pięćdziesiąt kilometrów. Na przerwie przed lekcją dosłyszeliśmy z pokoju nauczycielskiego, że Sixten Jernberg prowadzi, ale po piętach depcze mu Fin. A Finowie słynęli z wytrzymałości.

W Vasa Real też było paru młodych, nowoczesnych i demokratycznych nauczycieli, takich, którzy potrafili opanować trzydziestu sześciu uczniów. Niektórzy z nich w pewnych sytuacjach wyjątkowo pozwalali słuchać radia.

W sali nad nami niewątpliwie przebywał taki nauczyciel, bo słyszeliśmy dobiegające stamtąd okrzyki radości i brawa. Mogło to oznaczać tylko jedno – międzyczasy Sixtena Jernberga nadal były dobre.

W tym samym czasie u nas dobiegała końca bitwa z królem Galów Wercyngetoryksem pod Alezją. Nie było łatwo się skoncentrować.

Kiedy zwycięstwo Cezara już się zbliżało i do końca lekcji została tylko minuta, w klasie nad nami wybuchła radość.

Ärtan próbował nas zmierzyć surowym wzrokiem, ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Chyba wiem, o czym myślicie, chłopcy – powiedział. – Wygląda na to, że Sixten Jernberg wygrał i zdobyliśmy narciarskie złoto. Ale pamiętajcie o jednym. Sixten Jernberg niedługo zostanie zapomniany. A Rzym jest wieczny.

Wyjął kieszonkowy zegarek z kieszeni kamizelki, sprawdził czas, pokręcił głową

i podszedł do drzwi, a w tym samym czasie rozległ się dzwonek na przerwę.

Popołudniami po lekcjach było już jaśniej. Nie miało się już takiej jak wcześniej śmiałości przy zabawie w siostrzycę w Vasaparken.

W grudniu i styczniu zabawa była bardziej ekscytująca, bo w ciemności nie widać aż tak dobrze, kiedy się łapie dziewczyny za biust.

Istniała pewna technika, pozwalająca to zrobić zgrabnie. Dziewczyna, która została złapana, musiała zacząć nas gonić. Trzeba było jechać z odpowiednią szybkością – tak, żeby wyglądało na to, że zaraz nas dogoni, a jednak nie dać się złapać. Z tym nie było żadnego problemu – jeżeli człowiek dorastał w Saltsjöbaden z łyżwami na nogach, był bardziej niż wystarczająco szybki.

Uciekając i prawie dając się złapać, należało szukać wzrokiem wolnych dziewczyn, które akurat nie trzymały żadnego chłopaka i nikogo nie goniły. Jechały powoli, szarpanymi ruchami, na swoich białych figurówkach z ząbkami do hamowania z przodu. Niektóre nie chciały być złapane, kiedy się do nich podjeżdżało, i ze wszystkich sił starały się uciec. Inne chciały się pokazać, wyjeżdżały na otwartą przestrzeń, ryzykując złapanie, ale same nie przepadały za łapaniem.

Łapanie dziewczyn było trochę tchórzliwe, robili to tylko najsłabsi łyżwiarze. Wtedy gra na chwilę traciła rozpęd, bo dziewczyny potrafiły tylko doganiać siebie nawzajem.

Trzeba było się ustawić plecami, udawać, że się z kimś rozmawia i nie zauważa dziewczyny, która podjeżdżała od tyłu, a potem udać zaskoczonego, że się zostało złapanym. Potem wystarczyło tylko złapać najbliższego chłopaka, który nie trzymał żadnej dziewczyny, i porządek zostawał przywrócony.

Po zauważeniu dziewczyny, która dawała do zrozumienia, że chce być złapana, trzeba było się rozpędzić i prawie doprowadzić do zderzenia. Wtedy, niby przez przypadek, można było ją złapać za piersi. Albo zakręcić wokół niej piruet, żeby się z nią zetknąć policzkami.

Potem następowała chwila uścisku. Jeżeli dziewczyna chciała być złapana przez kogoś innego, szybko się wyrwała i odjeżdżała swoim szarpanym sposobem. Niektóre chciały jednak dalszego trzymania i rozmowy. W ten sposób szybko można było się zorientować, u których dziewczyn ma się szanse, a o których lepiej zapomnieć.

Ta, która najbardziej chciała, żebym ją złapał, nazywała się Lena Andersson i według mnie była najładniejsza ze wszystkich.

Clark, cholerny pies na baby, mówił, że chyba dam radę ją zbajerować. Sam chodził z nią jakiś czas w ubiegłym roku, ale zerwał, kiedy odkrył, że nie do końca jest w jego typie, nie tylko dlatego, że wolał blondynki. Po pierwsze, była dosyć ciasna i przez to trudno się ją pieprzyło, a do tego miała cofniętą dziurkę. Po drugie, jej matka była straszliwą jędzą.

Clark był o rok starszy od reszty klasy, bo kiblował. Poza tym od urodzenia mieszkał w Sztokholmie. Pewnie dlatego był o wiele bardziej doświadczony w kwestii dziewczyn. Nie mogłem się wygłupiać i prosić go o bardziej szczegółowe wyjaśnienia, a zwłaszcza o to, co to znaczy, że miała cofniętą dziurkę. Pozostawało mi kiwać głową z namysłem i aprobatą i próbować przywołać na twarz wyraz zmęczonego doświadczenia, coś à la Humphrey Bogart.

Łatwiej mi przyszło zapytać o problem z mamą Leny, ale Clark tłumaczył to nieco pokrętnie. Z jego słów wywnioskowałem jednak, że sam nie miałbym tego typu trudności, zwłaszcza że w jego przypadku wiązały się z popijaniem herbaty i zagryzaniem słodkimi bułeczkami. U Clarka w Abrahamsbergu panowały inne zwyczaje.

To, że Lenę rzekomo trudno się pieprzyło, nie stanowiło największego problemu. Szczerze mówiąc, nic by nie zmieniło, gdyby było odwrotnie. W końcu nigdy tego nie robiłem.

Należało jednak sprawiać inne wrażenie. Jako pierwszy w klasie, oczywiście oprócz

Clarka, miałem włosy wokół fiutka. Z tego powodu moje historie łóżkowe wypadają przynajmniej trochę wiarygodniej niż opowieści pozostałych, nawet jeśli niektórzy z nich nosili w portfelach gumki. Gdy chodziło o opowieści chłopaków o dziewczynach, nigdy nie było wiadomo, co jest prawdą, a co nie.

Clark przynajmniej miał sporo dobrych rad na temat tego, jak mógłbym zbajerować Lenę Andersson.

Najprościej było oczywiście zaprosić ją do kina. Tam mogliśmy od razu zacząć się migdalić.

Wówczas kino było dla mnie trochę za drogie, ale nie mogłem tego powiedzieć głośno.

Najpewniejszym sposobem na trochę ostrożniejsze załatwienie sprawy jest pójście za nią do domu po siostrzycy, kontynuował Clark fachowym tonem. Chociaż oczywiście to tchórzliwe podejście. A dziewczyny nie lubią cykorów. To dlatego chciały, żeby im mocno miętosić zderzaki, tak jakby od dołu, kiedy była ku temu okazja.

Dalsze instrukcje Clarka dotyczące tego, jak postępować ze zbyt ciasną i cofniętą cipą, sprawiły, że całkowicie się wyłączyłem, choć jednocześnie kiwałem głową z namysłem, sugerując doświadczenie.

Kiedy po raz pierwszy zapytałem Lenę, czy mogę ją odprowadzić do domu, od razu się zgodziła, bez wykrętów. A nawet wyglądała na zadowoloną.

Mieszkała przy Sankt Eriksplan, na samej górze narożnego domu. Wskazała swoje okno – jedyne z całego długiego rzędu, w którym światło było zgaszone.

Za drugim razem miałem na ramieniu zarówno swoją, jak i jej torbę hokejową – oryginalną, ale trochę podniszczoną firmy CCM. Specjalnie staraliśmy się iść pomału – odcinek między Vasaparken a Sankt Eriksplan jest bardzo krótki. Po drodze rozmawialiśmy o języku szwedzkim – jej ulubionym przedmiocie. Chodziła do żeńskiej szkoły na Sveaplan i mimo że była z tego samego rocznika, przerabialiśmy zupełnie inne rzeczy – ona Karin Boye, a my Tegnéra i Geijera (którzy, nawiasem mówiąc, byli nudni jak szlag, ale wtedy tego nie mówiłem).

W bramie zapytała, czy chcę wejść na górę na filiżankę herbaty.

Niczego wówczas bardziej nie pragnąłem, może tylko tego, żeby spróbować ją pocałować. Ale było późno, musiałem wracać do domu i pomóc mamie przy posiłku i zmywaniu, zanim włoży uniform i pójdzie do Blanche.

Powiedziałem, że tego dnia nie bardzo mi pasuje, bo wieczorem rodzice wychodzą. Ale jutro, zwłaszcza jeśli podarujemy sobie grę w siostrzycę i spotkamy się zaraz po budzie, byłoby świetnie.

Od razu się zgodziła, bez wahania, jakby sama mogła podejmować decyzje.

Tak więc za trzecim razem jej nie odprowadzałem, tylko od razu po szkole poszedłem do jej domu, wcześniej powiedziawszy Clarkowi, że teraz mam dogodną sytuację.

Czułem podekscytowanie, kiedy dzwoniłem do drzwi na samej górze, opatrzonych napisem „Andersson”. Z takim nazwiskiem na dwoje babka wróżyła, pomyślałem. Nigdy się nie dowiem, jeśli nie sprawdzę, a w najgorszym razie, gdy się już tego dowiem, będzie za późno, żeby się wycofać.

Otworzyła służąca, a ja z ulgą stwierdziłem, że jest dobrze. Mama Leny na pewno nie była jędzą.

Kiedy zdjąłem buty, służąca zaopatrzyła mnie w parę pantofli i wskazała drogę do salonu – bo to był salon, a nie pokój dzienny.

Mama Leny, elegancko ubrana, siedziała w fotelu przy dłuższym boku stolika. Miała na sobie plisowaną spódnicę, zielony sweter – pewnie kaszmirowy – i prosty jednorzędowy naszyjnik z pereł. Lena zajmowała fotel pod wielkim obrazem Brunona Liljeforsa – przedstawiał

orla bielika polującego na zająca bielaka.

Na stole zobaczyłem trzy filiżanki herbaty. Moja i Leny stały obok siebie.

Tak się przedstawiała sytuacja, nie było miejsca na wahanie.

Okrzyłem stolik, podszedłem do mamy Leny, przedstawiłem się i powiedziałem, że bardzo mi miło, iż mogłem przyjść na popołudniową herbatę. Pilnowałem, żeby nie wyciągnąć ręki jako pierwszy. Niektórzy dorośli nie podawali ręki dzieciom. Ale ona tak.

Ponownie się ukloniłem, wróciłem, znów okrążając stół, przywitałem się z Leną, stanąłem przed wolną filiżanką i zażartowałem, że to wygląda na moje miejsce.

Mama Leny się roześmiała, skinęła głową i poprosiła, żebym usiadł.

Podano herbatę. Pamiętałem, żeby najpierw sięgnąć po mleko. Talerz z bułeczkami w pierwszej kolejności trafił do mnie. Musiałem znów obejść stół i poczęstować mamę Leny.

Nastąpiła chwila ciszy, jak to czasem bywa, kiedy ludzie dopiero się poznają i szukają tematu do rozmowy.

Podejrzewałem, że Clark nie czuł się najlepiej, siedząc w tym samym miejscu co ja. Chyba nawet rozumiałem dlaczego.

To była całkiem normalna rodzina, taka jak w Saltsjöbaden, ale zupełnie inna niż rodziny Clarka i jego kolegów w Abrahamsbergu. Z mamą Leny wszystko było w porządku.

– Są państwo göteborczykami? – zapytałem i udałem zdziwionego, żeby nawiązać rozmowę. Zdziałało doskonale.

– Tak. Naprawdę nadal to słyhać? – zapytała mama Leny. Moje pytanie chyba bardziej ją ucieszyło, niż zdziwiło.

Pokręciłem głową i wskazałem biały wimpel, wiszący kawałek dalej na ścianie, pomiędzy dwiema szablami.

– Nie – odparłem – a przynajmniej ja nie słyszę.

Ale ktoś, kto należy do KSSS-u, potrafi rozpoznać wimpel GKSS-u. To tak, jakby się było z klubu Djurgårdens IF i odwiedziło kogoś z AIK Solna.

Potem chwilę rozmawialiśmy o żeglarstwie. Okazało się, że Anderssonowie rzeczywiście pochodzą z Göteborga i nadal mają domek letniskowy w Marstrand.

Wtedy zrozumiałem, o co chodzi w tej grze. Mama Leny chciała mnie po prostu sprawdzić. Nie dziwiło mnie to, moja mama też taka była.

Nie musiałem robić wiele więcej, żeby zostać zaakceptowany. Wskazałem obraz nad sofą i powiedziałem, że bielik polujący na zająca to zabawny widok, ale Bruno Liljefors nigdy nie pomyliłby się w takiej kwestii. Motyw był prawdopodobnie zaczerpnięty ze sztokholmskich szkierów, bo dawniej występowały tam zające bielaki. Liczyło się tylko to, żeby w nawiązaniu do Marstrand użyć nazwy Sandhamn. To było jak tajny system sygnałów.

Tym sposobem pokonałem pierwszą przeszkodę. Mama Leny została spacyfikowana.

Po drugiej filiżance herbaty spojrziała na zegar i wstała, a ja oczywiście natychmiast zrobiłem to samo. Powiedziała, że to było bardzo miłe spotkanie i że się cieszy, iż Lena spotkała tak miłego chłopca.

To oznaczało, że grzecznie, ale stanowczo mnie wyprasza, dając do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca. Ukloniłem się, podałem jej rękę i podziękowałem za herbatę.

Wtedy powiedziała, że Lena może mnie odprowadzić do drzwi, odwróciła się plecami i zniknęła w głębi dużego mieszkania. Było to może trochę niespodziewane, ale dobre dla Leny i dla mnie, bo zyskaliśmy chwilę, żeby poszeptać w przedpokoju. Powiedziała, że poszło świetnie, mama od razu mnie polubiła i że następnym razem pewnie będziemy mogli się napić herbaty sami w jej pokoju. Miała czerwone policzki. Ostrożnie się rozejrzała i dała mi szybkiego buziaka w usta.

W drodze do domu trochę podśpiewywałem. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale przez cały czas miałem przed oczami Lenę i czułem jej zapach na policzku i szyi.

Następnym krokiem powinno być zaproszenie jej do kina. Niełatwe zadanie dla kogoś, kto nie ma pieniędzy.

Kiedy wróciłem do domu, mama słuchała radia. Zdziwiła się, że przychodzę tak wcześnie, i zapytała, czy sobie coś zrobiłem podczas gry w hokeja i czy mam ochotę na filiżankę herbaty.

Oczywiście powiedziałem prawdę – że ostatnio raczej nie gramy w hokeja, tylko w siostrzycę, a tam ryzyko kontuzji jest niewielkie. I że właśnie wypiliśmy kilka filiżanek herbaty u dziewczyny, w której chyba jestem zakochany.

Mama wyglądała na zadowoloną, przytuliła mnie i nazwała swoim małym mężczyzną. Nie wydawało mi się, żeby to miało cokolwiek wspólnego z byciem zakochanym.

Wyślizgnąłem się z uścisku i powiedziałem, że chcę tę dziewczynę zaprosić do kina, ale nie mam pieniędzy, a wszystkich innych chłopaków stać na takie rzeczy, przynajmniej raz w tygodniu, podczas gdy ja muszę się ograniczać do klubu filmowego. A poza tym nie dostałem tygodniówki od trzech tygodni.

Oczywiście jak tylko zacząłem mówić o pieniądzach, mama natychmiast się skrzywiła.

– Siadaj! – powiedziała z głębokim westchnieniem i wskazała jeden z potężnych foteli. Sama siadła w drugim i spojrzała na mnie poważnym wzrokiem. – Wszystko się ułoży – oznajmiła. – Niedługo, za tydzień, dostanę wypłatę. Musimy wytrzymać jeszcze tydzień.

Słowo „wypłata” brzmiało tak brzydko w jej ustach. Moja mama nie należała do ludzi, którzy dostają wypłatę.

Zacząła mówić, że tego dnia zrobi kolację dla całej naszej trójki za mniej niż pięć koron: *paltbröd* – placki z żytniej mąki z domieszką wieprzowej krwi, a do tego biały sos ze skwarkami. Jeszcze tylko tydzień i to wszystko się skończy – tłumaczyła. Jej pensja w Blanche była niczego sobie, ale nie mogła tam pobiec i żądać zaliczki, bo tak się po prostu nie robi.

Potem szybko zmieniła temat i zapytała, jak się nazywa ta dziewczynka i jak ją poznałem.

Nazwisko Lena Andersson powiedziało jej oczywiście równie niewiele jak to, że poznaliśmy się na lodowisku w Vasaparken. Lena Andersson mogło oznaczać cokolwiek, a na sztokholmskie lodowiska chodzili wszyscy.

Potem chciała wiedzieć, jak było u niej w domu. A więc czekała mnie ta sama gra co z mamą Leny, tyle że od drugiej strony.

Trochę się naburmuszyłem i szybko odklepałem, że Lena mieszka na najwyższym piętrze narożnego domu przy Sankt Eriksplan, w przynajmniej siedmio-, a może i ośmiopokojowym mieszkaniu, że mają służącą, że jej mama była ubrana w kaszmirowy sweter, że siedzieliśmy pod dużym obrazem Brunona Liljeforsa, a rodzina należy do GKSS-u i ma domek letniskowy w Marstrand.

W pierwszej chwili mama wyglądała na trochę zdenerwowaną, że ją przejrzałem i odpowiedziałem niemal opryskliwie, ale potem zaczęła się śmiać, a ja jej zawtórowałem.

Potem zmieniłem temat.

– Obiecałaś, że opowiesz o moim tacie – powiedziałem. – Od tamtego czasu minął ponad tydzień.

Syknęła z palcem wskazującym przy ustach i wskazała głową Ackego, który leżał w pokoju i czytał.

– W niedzielę wyślemy Axela do kina – powiedziała. – Wtedy wszystkiego się dowiesz. Dni wypełnione oczekiwaniem na niedzielę były dziwne.

W szkole nie działo się nic szczególnego poza tym, że nasza klasowa drużyna wygrała

turniej piłki ręcznej, pokonała wszystkie pierwsze i drugie klasy. Pewnego ranka zasnęłam i przyszedłem spóźniony na trening na basenie. Codziennie myślałem głównie o pieniądzach, aż nadszedł czas spotkania z Leną na lodzie. Nie jeździliśmy już zbyt dużo z pozostałymi, raczej ciągle się trzymaliśmy. Powiedziała, że jej mama naprawdę mnie lubi i że mogę przychodzić do nich na herbatę tak często, jak chcę.

Prawie cały czas się całowaliśmy, choć nie było już ciemno – zwłaszcza kiedy nauczyła mnie to robić z jęczyzkiem.

Tylko raz poszedłem z nią do domu. Siedzieliśmy w jej pokoju bez mamy, ale przy otwartych drzwiach. Nie powstrzymywało nas to przed staniem przy jej biurku i całowaniem się, choć nadstawialiśmy uszu. Jak tylko słyszeliśmy kroki w pobliżu, błyskawicznie siadaliśmy, mieszaliśmy zimną herbatę w filiżankach i udawaliśmy, że rozmawiamy o Karin Boye.

Pieniądże były jednak zmartwieniem, które wciąż rosło. Zdecydowanie nadeszła moja kolej na zaproszenie Leny, najlepiej do kina, bo w przeciwnym razie wyglądałbym na kogoś w rodzaju pasożyta u niej w domu.

W końcu przyszedł mi do głowy sposób na skombinowanie pieniędzy. Dziwne, że wcześniej nie wpadłem na to oczywiste rozwiązanie.

Clark zawsze miał pod dostatkiem forsy, i to wcale nie dlatego, że pochodził z bogatej rodziny. Jego tata był listonoszem, a mama gospodynią domową, mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu w jednym z niskich i długich budynków Abrahamsbergu. Clark dzielił pokój ze starszym bratem i młodszą siostrą. Nie utrzymywał się z tygodniówki, lecz sam zarabiał pieniądze.

Pierwszym sposobem było pożyczanie forsy na dwa dni z odsetkami wynoszącymi dwieście procent. Drugim – nacinanie taksówkarzy na flipperach w kawiarniach wokół Vasastan.

Sam nie dałbym sobie rady ani z jednym, ani z drugim. Jako rekin pożyczkowy musiałbym być gotowy obić każdego, kto nie zapłaci w ciągu dwóch dni. Jeśli zaś chodziło o zakłady przy flipperach, trzeba było solidnie poćwiczyć na przynajmniej dwóch automatach, a to też kosztowało.

Miałem jednak coś, czego Clarkowi brakowało. Byłem najlepszy w klasie z matematyki, a on był najgorszy – to dlatego kiblował. Gdyby w tym roku szkolnym również nie zdał z matmy, zostałby wyrzucony ze szkoły, bo można kiblować tylko raz.

Przyszłość Clarka wisiała więc na ocenie z matmy i żadne umiejętności ogrywania taksówkarzy nie mogły mu pomóc.

Korepetycje u dorabiającego nauczyciela kosztowały piętnaście koron za godzinę – zdążyłem się tego dowiedzieć. Zaproponowałem Clarkowi pomoc za połowę tej kwoty. Ku mojemu zaskoczeniu nie posiadał się z radości. Twierdził, że jeśli znowu zawali matkę, ojciec go zabije. W domu powiedział, że idzie mu dobrze, bo co miał, do cholery, powiedzieć. I matka, i ojciec wyobrażali sobie, że jako pierwszy w rodzinie zda maturę, więc miał naprawdę przekichane.

Poszliśmy do sklepu tytoniowego przy Dalagatan i kupiliśmy – a dokładnie on kupił – dwa boye luzem, żebyśmy mogli puścić dymka, omawiając szczegóły umowy. Nie chciałem zaczynać palić, bo żaden pływak nie pali. Po prostu kojarzyło się to z sytuacją, w której dwóch facetów idzie na dymka przed dobieciem targu.

Ja zmyłem swojego papierosa – to oznaczało zmoczenie go tak, że w ustach czuło się ścinki tytoniu. Spróbowałem się zaciągnąć i zacząłem kaszleć, więc była to bardziej lekcja palenia niż przypiecztowanie interesu.

Tak czy inaczej, doszliśmy do porozumienia. Lód w Vasaparken zaczynał topnieć, więc wyglądaliśmy końca sezonu hokejowego, a zarazem gry w siostrzycę. Ale to był mniejszy

problem, przynajmniej dla mnie, bo już się ustawiłem.

Umowa była prosta. Co najmniej trzy lekcje tygodniowo, wieczorami albo w sobotnie popołudnia, w najgorszym razie w niedzielę, ale nie w czasie popołudniowego seansu filmowego. Mogliśmy siedzieć u mnie w domu. Zapłata gotówką po każdej lekcji.

Clark wynegocjował, że lekcje nie muszą się kończyć po godzinie, jeśli nie będzie czegoś rozumiał. Stało na tym, że będzie płacił siedem pięćdziesiąt za jedną lekcję, nawet kiedy będziemy siedzieli dłużej niż godzinę.

To wyglądało na dobry interes dla nas obu. Siedem pięćdziesiąt spokojnie wystarczyło na zwykły bilet do kina i dwa bilety na popołudniowy seans. Rozwiązałem problem z zaproszeniem Leny do kina.

Dla Clarka gra toczyła się o znacznie większą stawkę. Motywację miał więc całkiem niezłą.

gorzej z koncentracją. Za pierwszym razem, kiedy siedzieliśmy przy biurku, które dzieliłem z Ackem, ciągle chciał rozmawiać o czymś innym niż równania, najchętniej o różnych dziewczynach, które zaciągnął do łóżka. Myślę, że próbował w ten sposób ukryć, jak niewiele umie. W końcu się zdenerwowałem i powiedziałem, że nie mogę wyłączać taksometru za każdym razem, kiedy zaczyna gadać o pieprzeniu. Wtedy się uspokoił.

Szybko się okazało, że nie ma sensu zaczynać od materiału, który właśnie przerabialiśmy w semestrze letnim, bo był kompletnie zielony. Rozpoczęliśmy od tego, co braliśmy na początku roku – z tym poszło mu lepiej.

Z różnych powodów przed niedzielą zdążyliśmy przerobić tylko jedną lekcję, więc mogłem zaprosić Lenę do kina dopiero w następnym tygodniu.

Ta niedziela była ważniejsza. W Manhattanie przed południem puszczała blok krótkich filmów animowanych: Kaczor Donald, Goofy, Tom & Jerry i podobne. Kiedy zainstalowałem tam Ackego, wyjaśniłem mu doświadczonego tonem, że wszystkie te filmy oglądałem tysiąc razy, kiedy byłem mały.

Potem pędem wbiegłem po schodach do domu.

Mama czekała w skórzanym fotelu i wyglądała na trochę spiętą. To było zrozumiałe. Musiała wszystko mi powiedzieć, nie mogła już tego odkładać. Obiecała, a poza tym mieliśmy dość czasu – Kaczor Donald trzymał Ackego w fotelu po drugiej stronie ulicy. Zauważyła, że zdziwił mnie kieliszek wina stojący pomiędzy nami na stole. Przecież pożyczła ode mnie pieniądze na jedzenie.

– Estremadura – wyjaśniła. – Kosztuje niecałe trzy korony za butelkę, ale jak najbardziej daje się pić. Antoine, to znaczy twój tata, był najwspanialszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam. Oczywiście byliśmy młodzi, bardzo młodzi. Ale teraz, po tylu latach, mogę powiedzieć, że ślad pozostaje.

Mówiła językiem dorosłych, wydawała się niepewna i nie panowała nad głosem tak jak zwykle. Kiedy się zastanawiała, prawie od razu zrobiła sztuczkę z papierosem. Trudno było usiedzieć spokojnie i nie okazywać zniecierpliwienia.

Skoro mój tata był taki świetny, to dlaczego, do jasnej cholery, wyszłaś po raz drugi za tego idiotę Harry'ego?

Chciałem jej to wykrzyczeć prosto w twarz. Ale takich rzeczy się nie robi własnej mamie. Poza tym z pewnością mądrzej było trzymać gębę na kłódkę, kiedy wreszcie mogłem się czegoś dowiedzieć.

No i się dowadywałem, aż do momentu, gdy Acke zadzwonił do drzwi.

Mój ojciec Antoine był francuskim dyplomatą w Sztokholmie, ale kiedy poznał mamę, część francuskich dyplomatów nie pracowała już w placówce przy Narvavägen. Dołączyli do La

Résistance – francuskiego ruchu oporu. Tak, to było w czasach, kiedy Niemcy okupowały Francję. Pytanie do dyplomatów brzmiało, którą Francję reprezentują. La Résistance i generała de Gaulle’a? A może zamierzają pracować dla kolaboracyjnego rządu utworzonego przez niemieckiego okupanta w Vichy?

Mniejsza część francuskich dyplomatów ze Sztokholmu stanęła po stronie Wolnej Francji – wśród nich był tata mojego ojca Henri Letang. To dlatego nazywałem się Henri – po dziadku.

Antoine również pracował dla Wolnej Francji w biurze przy Karlavägen. Ale Henri stracił wynagrodzenie z francuskiej placówki, a sztokholmskiemu ruchowi oporu brakowało pieniędzy, więc Antoine musiał, na ile to było możliwe, pomagać w utrzymaniu rodziny, mniej więcej tak jak ja, kiedy dawałem korepetycje z matematyki Clarkowi.

Antoine udzielał prywatnych lekcji francuskiego. Mama zaś postanowiła, że będzie miała mocne piątki ze wszystkich języków, nie tylko z niemieckiego. A więc ona, a może babcia Christa, znalazła prywatnego korepetytora z ogłoszenia.

Tak się poznali. Mama od razu wiedziała, że to będzie mężczyzna jej życia, i towarzyszyła mu, kiedy brał udział w zawodach pływackich albo walkach na ringu – bo trenował też boks, a kiedy chodzili do restauracji, ona płaciła. Mogło się to wydawać dziwne, ale wtedy miała pieniądze, a on był splukany mniej więcej jak my teraz.

A potem potoczyło się tak, jak się potoczyło. Czy raczej: tak jak chcieli mama i Antoine. Dziecko było planowane, choć w tamtych czasach przeważnie stanowiło powód do strachu wszystkich młodych ludzi, teraz pewnie też tak jest. Oni jednak chcieli je mieć.

Kiedy mama zawiadomiła o tym babcię i dziadka, zgodnie z przewidywaniami powiedzieli oni, że załatwią aborcję. Wprawdzie aborcja była wtedy zakazana tak samo jak teraz, ale to nie dotyczyło dobrych rodzin, a jedynie czerwonych *et consortes*.

Tak czy inaczej, skoro mama odmawiała aborcji, miała tylko jedno wyjście, które również było częścią planu. Ona i Antoine musieli się pobrać, i to szybko, zanim za bardzo byłoby widać ciążę.

Było im ze sobą dobrze i może żyliby długo i szczęśliwie, dopóki śmierć by ich nie rozłączyła, gdyby nie wojna. Spędzili razem tylko pół roku, w mieszkaniu rodziny przy Norr Mälarstrand, w tym samym co ciocia Johanne.

To półrocze przy Norr Mälarstrand było chyba najszczęśliwszym okresem w życiu mamy. Mieli duże francuskie podwójne łóżko, godzinami leżeli obok siebie, oboje trzymali dłonie na jej brzuchu i sprawdzali, czy kopie. Antoine mówił, że z takim wykopem dziecko będzie pewnie pływakiem długodystansowcem.

Wszystko w ich życiu mogło się potoczyć tak dobrze. Ale wybuchła wojna. Antoine czekał najdłużej jak się dało, przynajmniej do narodzin syna.

Potem dołączył do Wolnych Francuzów w Londynie i pewnego mroźnego zimowego wieczoru odleciał samolotem kurierskim z lotniska Bromma nad Hardangerviddą do Szkocji. Mama była tam ze mną, porządnie opatulonym, żeby się pożegnać. Wylała morze łez, kiedy samolot kołował na pas, wystartował i zniknął na ciemnym zimowym niebie.

Już latem Paryż został wyzwolony i mój dziadek Henri razem z innymi francuskimi dyplomatami, którzy stanęli po stronie Wolnej Francji, mógł wrócić do placówki przy Narvavägen. To było pierwsze polecenie de Gaulle’a po objęciu przez niego władzy w Paryżu – wykopać każdego francuskiego dyplomatę na całym świecie, który stanął po stronie zdrajcy, a potem awansować wszystkich, którzy opowiedzieli się za Wolną Francją. W placówce urządzono fantastyczne przyjęcie, a mama była tam jako *madame* Hélène Letang, synowa nowego radcy handlowego Henriego Letanga. Chyba w całym życiu nie wypijała tyle szampana, podobnie jak dziadek i jego koledzy.

Ale wojna trwała nadal. Wolni Francuzi walczyli u boku Amerykanów i Anglików i przeszli z nimi całą drogę aż do Berlina. Zajęło to prawie cały rok po wyzwoleniu Francji.

Tego roku czuła się bardzo samotna. I z tej samotności zrobiła kilka głupot. Ale była taka młoda, miała tylko dwadzieścia lat...

Mama umilkła i zapaliła papierosa. Do tego momentu opowiadała bez przerwy, ale przed dalszą częścią najwyraźniej się zawahała. Miałem już tysiąc pytań, ale nic nie mówiłem.

Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. „Tajny” sygnał Ackego. Oboje spojrzeliśmy na zegar – przyszedł prawie pół godziny wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Beznadziejne, że opowieść musiała zostać przerwana w takim momencie.

– Mógłbyś otworzyć Axelowi? – zapytała mama, a na jej twarzy chyba pojawiła się ulga, jakby nie do końca żałowała, że jej przerwano.

– Czy mój tata żyje? – spytałem zdesperowany, kiedy wstawałem, żeby otworzyć drzwi.

– Tak – odpowiedziała mama. – Ale bardzo daleko. Jest francuskim ambasadorem w Wellington w Nowej Zelandii. No szybciej, otwórz.

Acke wszedł i zaczął gadać jak nakręcony. To był istny miszmasz wrażeń z seansu – Kaczor Donald mieszał mu się ze sprytnym królikiem, który nazywał się Bugs Bunny czy jakoś tak, a Goofy z Myszka Miki. W każdym razie dobrze się bawił.

Kiedy lekko rozczarowany wymamrotałem, że chyba powinienem się przygotować do następnej lekcji z Clarkiem, mama – głównie po to, żeby porozmawiać o czymś bezpiecznym – zapytała, czy w mojej klasie jest wielu chłopaków o takich imionach jak Clark czy Rick. Nie wiedziałem, o co jej chodzi, ale wyjaśniła, że pyta o uczniów z takimi „amerykanskimi” imionami.

Musiałem się zastanowić. Clark i Rick, to jasne. Czy Kenneth, Roy i Charlie to też „takie imiona”? Jeśli tak, było pięciu, ale co z tego?

– I wszyscy nazywają się Andersson, Pettersson i Karlsson? I należą do najgorszych w klasie? – zgadywała mama.

Znowu musiałem się zastanowić. Miała rację tylko do pewnego stopnia, bo wszyscy, oprócz Charliego, byli dobrzy w piłkę nożną. Ale oczywiście nie o to jej chodziło.

– A Kenneth wcale nie ma nazwiska zakończzonego na -son – zaprotestowałem. – Nazywa się Rudesjö.

– To przybrane nazwisko, wcześniej nazywał się Andersson albo jakoś podobnie.

Nie rozumiałem, o co chodzi i dlaczego z tak absolutną pewnością twierdziła, że Clark, Rick, Roy i Charlie należeli do najgorszych w nauce. W samej nauce, nie w gimnastyce i sporcie. Skąd mogła to wiedzieć? Czy człowiek automatycznie robił się dumny, kiedy dostawał „amerykanskie” imię?

To było niepojęte, ale nie aż tak ważne w porównaniu z całą resztą, jaką musiałem spróbować zrozumieć. Na przykład kim był ten cały de Gaulle? Jak daleko znajdowało się Wellington w Nowej Zelandii? I jaki czas miał mój tata na setkę w stylu dowolnym?

W pewnym sensie to dobrze, że mama nadal była w domu, kiedy przyszedł Clark. Ona i Acke siedzieli w pokoju dziennym i grali w wojnę, zostawili drzwi otwarte. Miałem kłopoty z koncentracją, bo w mojej głowie wciąż huczało od samolotów startujących w zimową noc, mijających okupowaną Norwegię. Widziałem niemiecki myśliwiec, mojego ojca – pływaka, przyjęcie we francuskiej placówce dyplomatycznej urządzone z okazji zwycięstwa, kiedy mój dziadek wrócił jako francuski dyplomata, i tak dalej. Gdybym jednocześnie musiał słuchać gadki Clarka o pieprzeniu, byłoby to nie do wytrzymania. Tym razem jednak był spokojny i skoncentrowany jak nigdy.

Według moich obliczeń doszliśmy do punktu, w którym klasa była w listopadzie

w semestrze zimowym. Nie tak źle. Ale był już marzec. A Clark musiał zdać egzaminy w kwietniu i maju, bo inaczej byłby załatwiony.

Pod koniec marca lód w Vasaparken ostatecznie stopniał, tu i tam widniały duże brązowe plamy trawy. Nadszedł czas nasmarować łyżwy sadłem z norki, zapakować je do blaszanego pudełka odpornego na szczury i schować do naszego małego składziku na poddaszu.

W pewnym sensie się cieszyłem, że sezon zimowy trwał krócej niż zazwyczaj i do rozpoczęcia rozgrywek piłkarskich pozostał cały miesiąc. To dawało mnie i Clarkowi dodatkowy czas na matmę. Clark zaczął nabierać tempa i był bliski zaliczenia części pisemnej. Wyglądało na to, że plan wypali.

Pierwszego tygodnia bez lodu poranne zebrania modlitewne były beznadziejne. To nowe, nieporadne określenie pasowało, bo nie chodziło w nich już tylko o poranną modlitwę i o Boga, jak kilka lat wcześniej. Teraz stawiano bardziej na wychowanie.

W tym tygodniu na porannym zebraniu podejmowano prawie wyłącznie tematy związane z niebezpieczeństwami wynikającymi z przestępczości młodych chłopców. Któregoś ranka przemawiał niejaki doktor Ring Lundqvist, który był szefem więzienia dla młodocianych przestępców Roptuna, ale zrezygnował z powodu powszechnego rozluźnienia zasad moralnych. Ostrzegał nas zwłaszcza przed kradzieżami samochodów. Szwecja była pod tym względem najgorsza w Europie z ponad dwudziestoma pięcioma tysiącami kradzieży samochodów rocznie – oznaczało to czterokrotny wzrost w ciągu zaledwie kilku lat. Doktor domagał się zaostżenia kar. Grzmiał, że są zbyt łagodne i dlatego dzisiejsza młodzież nie traktuje ich poważnie.

Następnego dnia przyszedł jakiś szef policji i ostrzegł nas, że kradzieże aut to nie żarty i że w żadnym wypadku nie należy ich nazywać pożyczaniem samochodów, jak to robili komuniści w niektórych szemranych gazetach. Kradzieże samochodów były tak naprawdę drogą do poważniejszych przestępstw. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, oznajmił.

Potem odwiedził nas facio od trzeźwości i zaczął się skarżyć, że liczba wykroczeń po alkoholu wiosną pięćdziesiątego szóstego wzrosła dwukrotnie z powodu niesłusznej likwidacji *motboków* – książeczek, w których zapisywano każdy litr kupionego alkoholu. Najgorsze było oczywiście to, że pijaństwo dotyczyło coraz młodszych.

Trwało to przez cały tydzień. Człowiek aż zaczynał tęsknić za Bogiem i Jezusem, który „leży złamanych na duchu”, czy też w naszej wersji „leży z łapami na brzuchu”.

Celem kazań z tego tygodnia było chyba to, żeby przynajmniej królestwo szkolne w porę dostrzegало zagrożenia.

Chyba nie wyszło tak, jak powinno. Od tamtej pory na przerwach nie rozmawialiśmy o niczym innym, jak tylko o przestępstwach i o pijaństwie. Ci, którzy mieli praktyczne wiadomości z zakresu kradzieży aut, zyskiwali żywo zainteresowaną publikę i opowiadali wszystko bardziej niż chętnie. Potrzeba było tylko młotka i w miarę solidnego wkrętaka.

Należało wbić wkrętak w stacyjkę zapłonu. Potem wystarczyło tylko przekręcić, zatrąbić i jechać.

Po szkole krążyły fantazyjne opowieści o więzieniu dla młodocianych przestępców Roptuna, w którym już w kilka miesięcy można się nauczyć wszystkiego o kradzieżach samochodów i włamaniach. Poza tym dostawało się mnóstwo wskazówek, jak i gdzie kupić nielegalną wódkę lub piwo i ile to kosztuje w poszczególnych dzielnicach.

Rozmowy w tygodniu, w którym szkoła Vasa Real postanowiła ostro przystąpić do moralnej odnowy młodzieży, na dłuższą metę były dość męczące.

Zabawne, że właśnie z tego tygodnia pochodzi jedno z moich najsilniejszych, najmocniej pobudzających wyobraźnię wspomnień ze szkolnej przerwy w Vasa Real.

Joar należał do najlepszych w klasie, jeśli chodziło o naukę, ale był też grubym niezdarą,

typowym ogrzewaczem ławki. Należał do ludzi, z którymi według Clarka i Ricka się nie rozmawia, bo to poniżej godności. Ja nie miałem problemu z rozmową z kujonami. Tym przecież nie dało się zarazić, a poza tym byłem najlepszy w klasie w piłce ręcznej, drugi w gimnastyce z przyrządami i kierowałem kompanią.

Oprócz tego rozmowa z Joarem była interesująca. Jego bliski krewny, kapitan w siłach powietrznych, wiedział o rzeczach, o których nie pisano w gazetach, przez co wydawały się jeszcze ciekawsze. Na przykład, że Szwecja ma ponad osiemset myśliwców J29 i jest czwartą na świecie potęgą lotniczą. Radziecki tupolew 16 prawdopodobnie nie przetrwałby przelotu pomiędzy tymi maszynami, gdyby Rosjanie spróbowali zaatakować Szwecję. I odwrotnie – nasze J29 mogłyby eskortować i osłaniać amerykańskie bombowce startujące z Gardermoen w Norwegii, żeby zaatakować różne cele w Związku Radzieckim.

Joar opowiadał właśnie tego typu rzeczy, a sporą ich część słyszałem już wcześniej. Jednak w tym samym tygodniu pod koniec marca, kiedy reszta gadała tylko o kradzieżach samochodów, Joar przedstawił najbardziej fantastyczne z dotychczasowych odkryć.

Każdy wiedział, że następną generacją szwedzkich myśliwców jest J35 Draken. Miał trafić do użytku dopiero za kilka lat, na razie istniał tylko jako prototyp (i model do składania firmy Wentzel).

– Ale – wyszeptał Joar – jeden z tych nowych samolotów ostatnio przekroczył prędkość mach 2. W locie poziomym! To znaczy, że nie tylko pokonał barierę dźwięku, ale też leciał dwa razy szybciej – ponad dwa tysiące czterysta czterdzieści trzy kilometry na godzinę.

Nowy myśliwiec Rosjan MiG 19, który trafił do użytku rok wcześniej, był ich pierwszym samolotem ponaddźwiękowym, ale rozwijał tylko prędkość mach 1. Draken mógłby zataczać wokół niego koła. Rosjanie nie byli nawet blisko.

– Wnioski są jasne – podsumował Joar. – Szwedzka stal gryzie². Ruscy zastanowią się dwa razy, zanim na nas wyskoczą.

A kiedy zbudujemy własną bombę atomową, a pewnie dojdzie do tego dość szybko, będziemy mogli spać spokojnie. Jeżeli Rosjanie na nas napadną, maksymalnie po dwudziestu minutach będą musieli za to zapłacić jakimś miastem, na przykład Leningradem. Zaletą tego celu było to, że dało się go zaatakować poza zasięgiem radaru, bo leżał tylko dziesięć metrów nad poziomem morza.

Tego rodzaju historie inicjowane przez Joara nie pomagały mi spokojnie zasnąć. Było w nich zbyt wiele paliwa – samolotowego, można by rzec – które zasilalo wyobraźnię na równi z moim ojcem Antoine'em – ambasadorem i pływakiem. I z Leną.

Gdyby nie to, że moje dni były dłuższe niż u większości kolegów, pewnie w ogóle nie mógłbym zasnąć. Ale kiedy inni dopiero wstawali, ja przynajmniej od godziny byłem w Pałacu Sportu. Tylko Lena potrafiła sprawić, że długo pozostawałem ożywiony.

Ostatnio wciąż dotrzymywaliśmy sobie towarzystwa. To zabawne określenie, ale żadne inne nie pasowało. „Byliśmy parą” to za mało powiedziane, a „byliśmy narzeczonymi” – to z kolei za dużo.

Mogłem już ją zapraszać do cukierni i do kina co tydzień i wreszcie poszliśmy na *Buntownika bez powodu*, choć bilety były wyprzedane na cały rok.

W kinie za bardzo się nie migdaliliśmy, zostawialiśmy to na Vasaparken i drogę do domu. Działy się we mnie dziwne rzeczy, kiedy staliśmy za krzakiem i oddawali się pieszczotom, a ona ani razu nie odsunęła moich rąk. Nie chodziło tylko o przyśpieszony puls i o to, że stawał mi na baczność. Czuję się jak napompowana dętka, która zaraz wybuchnie.

Wiem bardzo dobrze, jakich słów użyłby Clark, ale one nie pasowały do Leny, była stanowczo zbyt dobra i piękna.

W końcu, kiedy staliśmy tam już tak długo, że zaczęliśmy marznąć, powiedziała, że musimy się uspokoić, poczekać.

Wyszliśmy z parku i pokonywaliśmy ostatni odcinek do jej bramy. Z głupia frant zapytałem, jak długo musimy czekać. Nie spodziewałem się niczego innego, jak tylko bardzo pokrętej odpowiedzi.

– Do środy – odparła. – Nasza służąca ma wtedy wychodne, jestem sama w domu całe popołudnie. Wtedy możemy...

Nie dokończyła zdania, ale nie musiała tego robić.

Kiedy tego wieczoru wracałem do domu, byłem zakochany po uszy. Oczywiście szedłem piechotą, bo szkolna karta nie obowiązywała wieczorami w tramwajach, a ja potrzebowałem chłodnego, świeżego powietrza.

Na nieszczęście przed środą miałem dwie lekcje matematyki z Clarkiem.

Zwietrzyliśmy zaliczenie z matmy i to nas zmotywowało. A na początku wydawało się to zbyt trudne. Clark był pesymistycznie nastawiony i mówił, że pójdzie do zawodówki i zostanie blacharzem, mechanikiem samochodowym czy kimś takim.

Ale sytuacja się zmieniła i prawie nadgoniliśmy materiał. Wiedziałem, że teraz zaliczy następny sprawdzian pisemny. I kolejne, aż do zakończenia semestru letniego. Tyle wystarczy.

Jego zapał, radość z odkrycia, że matma nie jest niemożliwa do opanowania, a czasem nawet potrafi być fajna, sprawiały, że koncentrował się na liczbach, a nie gadkach o pieprzeniu, nawet kiedy byliśmy sami w domu i nikt nas nie słyszał. Było tak prawie przez całą lekcję, aż do samego końca. Ale potem coś pękło.

– Jak idzie? – zapytał, kiedy rozwiązaliśmy równanie, przy którym prawie nie potrzebował pomocy. – Już zaciągnąłeś Lenę do łóżka?

– Nie, jeszcze nie – odparłem. – Ale jestem w połowie drogi.

Mogłem się ugryźć w język. Ale było już za późno.

Zaczął mnie instruować i role jakby się odwróciły – matma kontra sztuka pieprzenia.

Najważniejsze to złapać je mocno za cycki, żeby zaczęły trochę jęczeć. To znak, że robią się podniecone.

Potem trzeba szybko ściągnąć im gacie. Niektóre panny trochę się opierają. Ale należy mieć to gdzieś. To tylko symboliczny opór, bo chcą grać porządne, zwłaszcza takie burzujki jak Lena. Niewiele można o tym powiedzieć, zostały tak wychowane przez swoje nadęte mamuski. Kiedy już im się wsadzi parówkę, wszystko jest w porządku. Po chwili zaczynają krzyczeć jeszcze głośniej, ale wtedy już jakby na zgodę.

Jednak przed samym wsadzeniem trzeba je porządnie rozmasować. Dwa palce do środka i jedziemy – lubią to i z miejsca się podpalają.

Dwa palce szczególnie dobrze działały na Lenę – pamiętał, jakby to było wczoraj.

Ale przede wszystkim na samym początku trzeba mocno ścisnąć cycki. Powodzenia.

Kiedy spakował książki i popędził do Chico, przez chwilę miałem watę w głowie. Potem próbowałem ująć jego nauki innymi słowami. Określenia, których używał, w ogóle nie pasowały do Leny.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że był ode mnie o rok starszy i robił to z mnóstwem dziewczyn. Znał się na rzeczy, nawet jeśli to, co mówił, brzmiało trochę paskudnie. Ale co ja tam wiedziałem? Szczerze mówiąc: gówno. Bo, spójrzmy prawdzie w oczy, tak naprawdę jeszcze nie straciłem cnoty. Chyba że to określenie pasowało tylko do dziewczyn.

Tak to wyglądało z jednej strony.

Z drugiej – Lena była najmiłszą i najpiękniejszą dziewczyną, jaką znałem. Wydawało się niemożliwe, żeby mocno ścisnąć jej piersi. Samo gładzenie ich bez przeszkadzającego stanika

było moim marzeniem.

Z jednej strony uczucia. Z drugiej logika i doświadczenie.

Logika powinna być silniejsza. Ale wkrótce miałem to wiedzieć na pewno.

Nie ma nic do opowiedzenia o następnych dniach aż do środowego popołudnia, kiedy wreszcie mogliśmy zostać sam na sam przez kilka godzin w pokoju Leny. Wszystko inne w porównaniu z tym było nieważne. Także później.

Moje życie już się odmieniło, a zmiana była wielka i wyraźna. Przynajmniej wielka. Pozbyłem się Harry'ego. Ale też zostałem innym człowiekiem – Eric Henri Letang to nie Eric Lauritzen, choć jest w tym samym ciele. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale czułem, że w jakiś sposób powinno być decydujące.

Czy równie decydujące będzie pozbycie się cnoty, oczywiście nie wiedziałem, ale trudno mi było w to uwierzyć. Wydawało mi się, że po prostu jeszcze bardziej się zakocham, że po wszystkim Lena i ja będziemy połączeni jeszcze mocniej.

Kiedy w środowe popołudnie szedłem do jej domu, musiałem się pilnować, żeby nie zacząć biec. Nie żeby to zrobiło wielką różnicę. Po prostu czułem, że to w jakiś sposób nie pasuje – biec do domu kogoś, w kim się jest zakochanym. A może po prostu chodziło o to, że lał deszcz. Nie wypada przyjść mokrym i spoconym.

Lena pięknie się wystroiła – miała na sobie białą, cienką bluzkę z dekoltem, przez którą prześwitywał stanik, i krótką czerwoną spódniczkę. Lekko się umalowała, a włosy zakręciła na papiloty.

Pomyślałem, że wygląda jak gwiazda filmowa. Otworzyła drzwi, natychmiast mnie objęła i zaczęła całować, jeszcze zanim powiedziała cześć albo zapraszam.

Długo staliśmy w przedpokoju i po prostu całowaliśmy się bez słowa. Trochę tak, jakbyśmy oboje bali się przestać, bo wtedy musielibyśmy przejść przez całe mieszkanie do jej pokoju.

W końcu ostrożnie się uwolniła, wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez salon, jadalnię i długi korytarz wiodący do kuchni. Zamknęła za nami drzwi. Zdjęła z łóżka narzutę i starannie ją złożyła na krześle.

– Obiecuj, że będziesz uważał – powiedziała i mnie przytuliła, tak że poczułem na piersi jej policzek.

Zrozumiałem, co miała na myśli. Wyjąłem kondomy pożyczone od Clarka i położyłem na jej nocnym stoliku. Wcześniej wypróbowałem jeden w domu w toalecie, więc wiedziałem mniej więcej, jak to działa.

Kazała mi obiecać, że nie zapomnę ich wziąć ze sobą. Z jednej strony to było żenujące, a z drugiej miłe, bo jednocześnie zabrzmiało jak obietnica.

Ostrożnie pociągnęła mnie na łóżko. Naprawdę była zdecydowana.

Pieściliśmy się, całowaliśmy, mocno przytulaliśmy i powoli, ale z determinacją niezgrabnie pozbywaliśmy się ubrań. Mogłem ją pieścić wszędzie.

Po jakimś czasie wróciło uczucie, że zaraz wybuchnę, i pomyślałem sobie, że nie zrobiłem ani jednej z tych rzeczy, które trzeba robić z dziewczynami z cofniętą cipką albo w ogóle z dziewczynami. Byłem równie niedoświadczony, jak podniecony. Prawie straciłem głowę.

W końcu pomyślałem „teraz albo nigdy”, ze wszystkich sił wsunąłem w nią dwa palce i zacząłem nimi poruszać najmocniej, jak potrafiłem.

Głośno krzyknęła.

Wszystko się zgadzało, to miał być dobry znak, więc zacisnąłem drugą rękę na jej nagiej piersi.

Krzyknęła jeszcze głośniej. Na wszelki wypadek ścisnąłem mocniej.

Wtedy wybuchnęła płaczem.

To nie wchodziło w skład Clarkowego opisu. Puściłem.

Lena szybko podpełzła na skraj łóżka w kąt przy ścianie, nakryła się prześcieradłem, jakby chciała się ochronić, i płacząc, prawie krzyczała.

Próbowałem się do niej zbliżyć, tym razem trochę ostrożniej, ale wykopała mnie z łóżka obiema nogami, zaparłszy się o ścianę.

Stanąłem jak pajac ze sterczącym drągiem i w tylko jednej skarpetce.

Pewnie próbowałem coś powiedzieć, ale mnie też się zbierało na płacz. Przecież tylko próbowałem zrobić to, co zrobiliby bardziej doświadczeni chłopacy, a ona przecież miała znacznie więcej doświadczenia ode mnie, chociażby z Clarkiem.

– Przepraszam – powiedziałem.

Ale to nie pomogło, nadal płakała.

Co więcej mogłem powiedzieć? Stałem tam i się wstydzilem, nadal ze sterczącym drągiem.

– Przepraszam – powtórzyłem. – Myślałem po prostu... że skoro robiłaś to tyle razy z Clarkiem, to...

Więcej powiedzieć nie zdążyłem.

Momentalnie przestała płakać i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma, jakbym był niespełna rozumu. A potem dostała szału.

– Robiłam to z Clarkiem? – wrzasnęła. – Chodzi ci o tego wybrylantynowanego typu z twojej klasy, który ganiał na lodowisku? Był u mnie raz z moją koleżanką. Jeden raz! I nigdy więcej nie zaprosiłam tego chrzanionego cymbała. Nawet mnie nie dotykał, wołałabym umrzeć!

– Przepraszam – powiedziałem. Teraz przynajmniej mi sflaczał.

– Powiem ci jedną, nie, dwie rzeczy! – kontynuowała z wściekłością. – Po pierwsze, jestem dziewczcą. Po drugie, myślałam, że jesteś tym właściwym chłopakiem. A teraz zmiataj gdzie pieprz rośnie!

To była ona, dziewczyna, która zawsze była taka piękna i w której tak się zakochałem. Nigdy nie potrafiłbym jej sobie wyobrazić w takim stanie. Z jej oczu ziała wściekłość, a może i nienawiść. Nie. Nie nienawiść, tylko rozpacz.

– Spadaj! Nie chcę cię więcej widzieć, nie sądziłam, że jesteś taki jak ten Clark. Po prostu się stąd zmyj!

Nie zostało już wiele do powiedzenia.

Kiedy się ubierałem i szukałem skarpetki, odwróciła się do ściany i znów zaczęła płakać. Wciąż trzymała przed sobą prześcieradło jak tarczę.

Komu miałem wierzyć?

Głupie pytanie.

A więc Clark we wszystkim skłamał. Nie tylko przesadził i podkoloryzował przechwałkami, ale kłamał w żywe oczy najlepszemu przyjacielowi.

Nie, pewnie nim nie byłem, potrzebował mnie tylko do lekcji matmy. Ale tak czy inaczej byliśmy kolegami.

Straciłem Lenę na zawsze. Strach i rozpacz, które widziałem w jej oczach, mówiły wszystko o tym, jaki ze mnie palant.

Przez chwilę fantazjowałem, że przemaluję buźkę Clarka na sino i żółto, choć ani by to nie pomogło, ani nie sprawiło, że czułbym mniejszy wstyd. To przecież ja sam byłem palantem.

Nigdy nie wspomniałem Clarkowi o jego kłamstwach. Koniec między mną a Leną wytłumaczyłem mniej więcej w taki sam sposób, w jaki on by to zrobił – mówiąc, że to

oczywiście jej wina. Chociaż nie słowami, jakich on by użył.

Wiosną coraz częściej graliśmy na flipperach. Już nie potrzebowałem tylu pieniędzy na kino, bo nie miałem kogo zapraszać. Pod koniec semestru zrobiłem się tak dobry w grze na flipperach, że Clark nie mógł już niczego mnie nauczyć. Flipperów nie dało się oszukać.

Kontynuowaliśmy lekcje matematyki w moim domu, jakby nic się nie stało. To była kwestia honoru. Ale zakazałem wszystkich rozprasających gadek o pieprzeniu. Co dziwne, zaakceptował to, jakby czuł, że coś zaszło.

Poprawił ocenę z matematyki, dostał nawet trzy z plusem.

Ale kiedy się rozstaliśmy na czas wakacji, nie tęskniłem za nim ani przez sekundę.

Sztokholm, maj 1968

Uważasz, że anachroniczne żarty nie są zbyt fortunne – że tak pozwolę sobie zacząć od tego, co chyba najmniej ważne lub też najbardziej błahe.

W 1968 – w roku Bożej łaski i Rewolucji – nie ma chyba ani jednego czytelnika (nawet w Twoich burżuazyjnych kręgach skupionych wokół dziennika „Dagens Nyheter”), który nie zrozumiałby żartu, że „wyłożony asfaltem szkolny dziedziniec z ponad siedmiuset chłopakami to nie proszony obiad”. Każdy chyba rozumie, że to aluzja do słów Mao na temat rewolucji.

Pryncypialny zarzut, że to sformułowanie w 1956 roku byłoby nie do pomyślenia, jest moim zdaniem grubą przesadą.

Zostanmy przy szkole. Uważasz, że dworuję sobie z demokratycznych nauczycieli, którzy nie potrafią utrzymać w ryzach trzydziestu sześciu chłopaków. To nieprawda. Opowiadam, jak było. Nauczyciel muzyki ze wskaźnikiem Juliuszem nie miał żadnych problemów z utrzymaniem dyscypliny. Jego młodszy, demokratycznie nastawiony zastępca, którego nazywaliśmy Kozłem, przechodził z nami piekło. Tak było.

Nie jest łatwo przełożyć Twoje bogate doświadczenie pedagogiczne, także w latach pięćdziesiątych, na męską szkołę z mnóstwem uczniów w każdej klasie, po wielkim wyżu demograficznym lat czterdziestych.

Masz zbyt wysokie kwalifikacje zarówno jako nauczycielka szwedzkiego, jak i niemieckiego. Najpierw wykładałaś na Uniwersytecie w Sztokholmie, potem w żeńskiej szkole, teraz uczysz w Norra Latin, w dwóch najwyższych klasach. To, jak sądzę, zupełnie inny świat, w którym można nawet sobie pozwolić na demokratyczne nastawienie bez ryzyka, że wszystko się zawali.

Nie jestem przeciwny demokracji. Tak samo jak nie jestem przeciwny wolnościom burżuazyjnym, może z wyjątkiem prawa własności. „Demokracja jest fatalnym ustrojem, ale jak dotąd nie wymyślono lepszego” (Churchill?). Tym niemniej, nie wierzę w demokrację w sali lekcyjnej z trzydziestoma sześcioma chłopakami. To coś zupełnie innego niż dwie najwyższe, maksymalnie dwudziestoosobowe klasy na linii łącińskiej, w większości złożone z mocno zmotywowanych do nauki kobiet.

Pomyśl o tych wszystkich Rickach, Clarkach i Charliech, którym moja matka okazywała równie jawną co nieprzyjemną pogardę klasową. W Vasa Real mieli szansę. Nawet Clark w końcu zdał maturę. Ta szansa jest dziś sabotowana przez rzekomą demokratyzację szkół. Bardziej demokratyczne było danie wszystkim Rickom i Clarkom takich samych szans, jakie miały dzieci z klas wyższych i średnich. Uważam zatem, że szkoła rozwija się obecnie w sposób niedemokratyczny właśnie poprzez wszelkie idee demokratyzacji.

Jeśli zaś chodzi o czysto polityczne analizy, jak widzisz, mam odwagę stać przy swoim, bez względu na Twoje zastrzeżenia. Rzecz jasna inaczej jest w przypadku stylu i konstrukcji opowieści.

Uważasz, że portret mojej matki z jej pogardą klasową jest nieprawdopodobny,

i wskazujesz, że to nie do końca pasuje do faktu, że wyszła za człowieka z niższej klasy.

Jak najbardziej możesz mieć rację, przynajmniej w tym, że to nie do końca spójne. Być może się da, tak jak proponujesz, spojrzeć na jej nieudane małżeństwo z Harrym Hanssonem jak na coś w rodzaju spóźnionego nastoletniego buntu przeciwko wszystkiemu, czego się oczekuje od dziewczyny z dobrego domu.

Mój problem polega oczywiście na tym, że nie mogłem wiedzieć, jaka była i w jaki sposób myślała, zanim wydorostałem na tyle, żeby zacząć rozumieć otaczający ją świat.

Jeżeli jednak nastąpiła rewolta, to nie przyszła z lewej strony. Moja matka nigdy nie ustępowała ani o cal ze swojego prawie zupełnie prawicowego stanowiska ani pogardy dla „czerwonych”, czyli klasy robotniczej. Z tego właśnie powodu nie wierzyła w powszechne prawo wyborcze. Myślę, że Carl Lauritz był podobny, ale nie dało się tego powiedzieć o bohemie artystycznej – Hansie Olafie i Alice.

I tym sposobem wracamy do zagadki, jak to możliwe, że dwie tak radykalne bojowniczkami o prawa kobiet mogły urodzić tak różne dzieci.

W tym miejscu Twoja postać mogłaby bardzo dobrze pasować do opowieści. Ty i moja matka miałyście prawie taką samą historię, można powiedzieć, że niemal identyczną, a i tak stałyście się swoimi przeciwnościami w większości spraw dotyczących moralności albo polityki. Jak to możliwe?

Przyjaźnie, ale stanowczo odmówiłaś takiego udziału w historii. Muszę to oczywiście zaakceptować. Przyjmuję argument, że byłoby ci trudno wypełniać rolę profesjonalnej mentorki, gdybyś co chwilę musiała się ustosunkowywać do obrazu samej siebie.

Powiem Ci jednak, że jeśli sama nie spiszesz historii Niebieskiej Gwiazdy, to któregoś pięknego dnia ja to zrobię.

A teraz przejdźmy do najtrudniejszej kwestii, którą – może trochę tchórzliwie – zostawiłem na koniec. Do historii Radara Davida Goldmanna.

Uważasz za nieprawdopodobne, że w 1956 roku cała klasa mogła nie wiedzieć, że jest Żydem.

Zacznę od tego, że wiedza i doświadczenie na tym polu nie mogą być bardziej odległe niż moje i Twoje. Ty brałaś udział w walce z nazizmem. Ja w dzieciństwie nie znałem słowa nazizm, a tym bardziej nie łączyłem Żydów z kontekstami innymi niż biblijne. Na pewno dobrze pamiętam, jakim przełomowym doświadczeniem było dla mnie wysłuchanie skróconej wersji historii Żydów aż do czasów Auschwitz i przenosin ocalałych do Szwecji, którą opowiedział mi ojciec Radara, Chaim Goldmann. Równie dobrze pamiętam, jak poszedłem do naszego fantastycznego nauczyciela historii Athura Nordéna i zostałem odprawiony z kwitkiem. Faktem jest także, że wiedziałem wszystko o wojnach punickich, wojnach Cezara z Galami, Gustawie II Adolfie i wikingach. Interesowałem się historią całkiem na poważnie. Ale nie wiedziałem kompletnie nic o drugiej wojnie światowej, a zwłaszcza o Holokauście, jak teraz piszemy.

I jeszcze jedno. Po wzięciu Davida Goldmanna pod ochronę w klasie, czy jakkolwiek by to nazwać, byłem bardzo wyczulony na wszelkie docinki pod jego adresem. Nie słyszałem jednak ani jednego wyzwiska czy antysemitkiej aluzji.

Dziś by tak nie było. Ale wtedy owszem.

Wniosek jest taki, że za tę niewiedzę nie można obwinić mojej prawicowej mamy. Wszyscy w klasie byli równie nieświadomi Zagłady, ale nie lądowania w Normandii. Mogę to wytłumaczyć tylko tak, że my – w latach pięćdziesiątych dzieci lub nastolatki – padliśmy ofiarą czegoś w rodzaju konspiracji źle pojętej dobrej woli. Trzymano nas w niewiedzy, jakby chcąc nam oszczędzić tego niepojętego zła.

Dopiero ostatnio, w zupełnie innych czasach, w zupełnie innej dekadzie, zaczęły się

pojawiać filmy na temat Zagłady. Część z nich jest nawet wyświetlana w szkołach. To najwyraźniej było nie do pomyślenia w mrocznych latach pięćdziesiątych.

Pracuję jak szalony, piszę co najmniej dziesięć godzin dziennie (dzięki Ritalinowi – czy takie pomoce były dostępne, kiedy Ty studiowałaś?). Jeden duży rozdział jest ukończony, ale w przyszłym tygodniu bronię pracę magisterską na wydziale prawa. Co mi przypomina, że nawet kompletnie zielony prawnik, taki jak ja, miałby sporo do powiedzenia na temat naszych rodzinnych sporów o spadek – i łajdackich adwokatów! – ale porozmawiamy o tym innym razem.

Teraz pozostaje tylko dokończyć tę opowieść. Zbliża się czerwiec i muszę z nią zdążyć przed Midsommar. Jadę wtedy do Palestyny, wszystko jest już załatwione. Teraz jednak muszę pisać dalej.

PS

Doceniam Twoją uwagę, że styl się trochę ustabilizował, dzięki czemu łatwiej jest znieść język młodego narratora. Inna sprawa, że robi się on coraz starszy. To powinno złagodzić ten problem.

I'M DREAMING OF A WHITE CHRISTMAS

Siedzieliśmy przy ławie ogrodowej. Był ciepły i jasny wieczór na początku czerwca. Morze błyszczało bielą. Frau Gisela zmywała i sprzątała w kuchni, Acke spał na dolnej pryczy w drewnitni.

Zapytałem babcię Christę, czy wie coś o tym, skąd pochodzą mój dziadek i ojciec. A ona zaczęła opowiadać na swój piękny, powolny, baśniowy sposób.

Tysiąc lat temu w Prowansji na południu, w najbardziej malowniczym i wonnym zakątku Francji, pewien człowiek modlił się do Boga o cudowny ratunek dla swojej bardzo chorej żony.

Człowiek ten, którego imię historia zapomniała, siedział przy wysokiej skale, z której można było oglądać połyskujące błękitem i zielenią Morze Śródziemne, a widoczność sięgała dziesięciu kilometrów.

Nagle, ku swojemu przerażeniu i radości, usłyszał dobiegający ze środka skały głos archaniola Gabriela. Głos ten był jak pieśń, cicha pieśń, nakazująca mu, aby przyprowadził swojego seniora, który miał jeszcze większe zmartwienie niż on.

Człowiek, rzecz jasna, postąpił tak, jak mu nakazała boska pieśń.

Kiedy senior niechętnie zjawił się na miejscu, głos archaniola znów zaczął śpiewać i ostrzegać przed Longobardami, którzy przybędą na podbój z kraju, który dziś nazywamy północną Italią.

To ostrzeżenie uratowało seniora, bo mógł się przygotować do inwazji, która w przeciwnym wypadku byłaby jak grom z jasnego nieba i przyniosłaby spustoszenie kraju.

Człowiek, którego imienia nie znamy, został wynagrodzony w dwójnasób. Bóg uzdrowił jego żonę, zesłał im obojgu długie życie i ośmioro dzieci, spośród których wszystkie przeżyły.

Senior uczynił go hrabią śpiewającej skały – w średniowiecznej francuszczyźnie Chanteroc. W późniejszych latach nazwisko rodu zostało zmienione na Chantery, a ostatni po mieczu w tej tysiącletniej linii rodowej jesteś ty.

Twój ojciec Antoine ma tytuł comte de Chantery, a ty, jako jego najstarszy syn, nawet jeśli ponownie się ożenił i miał kolejne dzieci, jesteś vicomte de Chantery, Eric Henri Letang.

O dziejach rodu w ciągu kolejnych dziewięciuset lat wiemy niewiele. Możemy tylko mieć nadzieję, że jego członkowie byli dobrymi arystokratami i nie przyłożyli ręki do represji wobec Francuzów, którzy w słusznej sprawie i z konieczności doprowadzili do rewolucji francuskiej.

Jednemu z twoich przodków udało się uniknąć gilotyny i uciec do jałowej Bretanii, tak odległej od Prowansji. Tam przyjął bretońskie nazwisko Letang.

Po restauracji Burbonów i za czasów cesarstwa dwóch twoich przodków walczyło w Wielkiej Armii Napoleona.

Jeden z nich zamarł w rosyjskiej tundrze, jak wielu żołnierzy przed nim i po nim – zarówno szwedzkich, jak i niemieckich.

Ale Napoleon nagrodził pozostałych przy życiu Letangów, pozwalając im odzyskać dawne rodowe nazwiska i tytuły, ale nie dobra skonfiskowane w czasie rewolucji.

Twój dziadek Henri i twój ojciec Antoine są nowoczesnymi, postępowymi ludźmi i rzadko używają rodowego nazwiska de Chantery, a tym bardziej tytułów szlacheckich, co jest bardzo ujmujące.

Jednak historii zmienić się nie da. Jesteś i pozostaniesz vicomte de Chantery, dopóki nie przejmiesz tytułu ojca.

Jeśli chodzi o mnie, mam nadzieję, że zawsze tak jak ojciec i dziadek będziesz się uważał przede wszystkim za citoyen, obywatela, Letanga. Tak samo jak ja się uważam za citoyenne

Moltke. Albowiem rewolucja już raz uczyniła nas równymi. I to się powtórzy.

Właśnie owego pozbawionego wydarzeń lata zacząłem się czuć Francuzem. Choć oczywiście problem polegał na tym, że nie znałem ani słowa po francusku i ku swojemu rozczarowaniu miałem rozpocząć naukę tego języka dopiero w pierwszej klasie liceum. Czyli za trzy lata. Nawet niemiecki, fizyka i chemia były przed francuskim.

Ale babcia jakby coś przeczuwała. W swojej jak zwykle pełnej podręcznej skrzyni z lekturami na lato miała każdą możliwą do znalezienia w szwedzkiej wersji książkę, która według niej mogła być dla mnie odpowiednia. Było tego sporo – od kompletnej serii o trzech muszkietierach i *Człowieka w żelaznej masce* Alexandre'a Dumasa po mniej udane pozycje, jak *Mały książę*. Najbardziej lubiłem *Hrabiego Monte Christo*. Znałem go już wcześniej, ale zupełnie czym innym było przeczytanie go jako Francuz. Wieczorami przed zaśnięciem często wyobrażałem sobie siebie w roli *citoyena* Edmunda Dantesa. Babcia nauczyła mnie wymawiać to nazwisko.

Mogłem czytać do woli na naszej prywatnej plaży. Albo na górnej pryczy w drewnitni, jeśli akurat padało. Ale czasem niestety spadały na mnie obowiązki.

Problem polegał na tym, że mama musiała prawie przez całe lato pracować jako kierowniczką sali w restauracji. Spędzała u nas co drugą sobotę i niedzielę i pojedyncze dni od czasu do czasu.

To oznaczało, że musiałem niańczyć Ackego. Ciocia Johanne kupiła sobie domek na wyspie Mōja, także na zewnętrznych szkiełach. Przez całe lato ani razu nie widziałem się z Eilertem i Henningiem. Kiedy zaproponowałem, żebyśmy pojechali ich odwiedzić, spotkałem się ze stanowczą odmową, bez żadnego wyjaśnienia. Jakbyśmy nie byli już częścią tej samej wspólnoty co wcześniej.

Tak czy inaczej, przybyło nas. Obu moim wujkom urodziły się dzieci. Wujek Hans Olaf oczywiście miał dziecko ze swoją Alice – dziewczynką, którą nazwali Ariadne Thalia. Dziwne imiona, skazane na przekształcenie w rozmaite przydomki, kiedy zaczną chodzić do szkoły. Ale nie wzięli ślubu i oczywiście wybuchł skandal. Tata Alice się jej „wyrzekł”, cokolwiek to oznaczało. W każdym razie nic dobrego.

Z kolei wujek Carl Lauritz nie zwlekał i ożenił się z panią o imieniu Ingela. Ich córka dostała imiona Solveig Marianne – te były bardziej normalne.

Ale niemowlaki to żadne towarzystwo. Utknąłem z Ackem i niewiele mogłem na to poradzić, był moim przyrodnym bratem i współczułem mu z powodu tego, co się działo z Harrym i co przecież nie było jego winą. Oczywiście sporo go nauczyłem na temat łowienia ryb. Jednak w domu przeważnie przebywało tak niewiele osób, że obfite połowy stanowiły problem. Dorsz brał jak wściekły. Jeżeli wypływaliśmy łódką w moje zwyczajowe miejsce, w najgorszym wypadku musieliśmy czekać dziesięć minut od zanurzenia węd ręcznych. Nie mogliśmy łowić więcej, niż mieściło wiadro, trzeba oszczędzać zasoby natury. Kiedy wiadro było pełne, pozostawało wiosłować z powrotem do domu.

Mogliśmy oczywiście łowić okonie na wędkę na pomoście. Ale były one dość małe i po wyfiletowaniu przypominały śledzie. Żeby przygotować z nich kolację, musieliśmy złowić od piętnastu do dwudziestu sztuk, nawet kiedy byliśmy w domu sami z babcią i Frau Giselą. To spory kłopot, bo co zrobić, jeśli się złowiło dziesięć, a potem ryba przestawała brać?

Można powiedzieć, że trochę oszukiwaliśmy, karmiliśmy mewy naszą zdobyczą albo zakopywaliśmy ją pod rabatkami różanymi jako nawóz. Dzięki temu okonie przynajmniej wracały do natury.

Łowienie fląder na harpun też nie było takie łatwe, jak się spodziewałem. Ich populacja tak bardzo się zmniejszyła, że również i ten gatunek nie dawał stuprocentowej pewności, gdy

chodziło o przygotowanie kolacji. A przecież flądra z Sandhamn *à la meunière* była popularnym daniem w rodzinie.

Musiałem krążyć w masce nurkowej około dziesięciu minut, żeby znaleźć dogodną pozycję do pchnięcia, a tego lata woda była zimna aż do sierpnia. Poza tym jak na złość trudno było je trafić harpunem – łatwiej nabiłbym je na kij ze szpikulcem. Wynikało to z załamywania się światła pod wodą. Po wycelowaniu na ukos, trafiło się w punkt wysoko nad rybą, która odpływała ponad piaszczystym dnem jak wypuszczona strzała.

Mimo wszystko każdego dnia trenowałem pływanie zgodnie z obietnicą daną Tagemu Lindströmowi, nawet jeśli padał deszcz. Nasz pomost od pomostu von Rosenów przy żółtej willi w Skärkarlshamn dzieliło dokładnie dwieście metrów, czyli cztery długości basenu w Pałacu Sportu. Robiłem sobie dwa dość ostre treningi dziennie – było zbyt zimno, żeby przepłynąć wszystko za jednym razem. Jeśli padało, postępowałem zgodnie z nową regułą: mogłem używać płetw i płynąć w stylu dowolnym. Ludzie, którzy obserwowali mnie z łądu, na pewno nie mogli uwierzyć własnym oczom.

Poza tym w lecie nie miałem zbyt wiele do roboty. Czasami Frau Gisela przygotowywała mnie i Ackemu prowiant i szliśmy do Trovill, gdzie byli wszyscy. Problem stanowiło jednak znalezienie kolegów. Ci, którzy mieszkali na osiedlu domków letniskowych w Trovill, trzymali się jednej strony plaży, a ci, którzy przychodzili ze wsi – drugiej. Kiedyś wspomniałem o tym mamie, gdy przyjechała do nas na sobotę i niedzielę. Bardzo się zdziwiła, wręcz rozzłościła.

– Mamy tutaj swój własny raj – powiedziała. – Te ich stłoczone skrzynki na jabłka, nazywane domami, choć się trzęsą przy każdym zamknięciu drzwi i nie ma w nich bieżącej wody, to nic specjalnego. A co, jeśli sąsiedzi urządzają przyjęcie? Albo sami właściciele?

Właściwie tylko raz w ciągu tego lata mama była naprawdę zła – wtedy, kiedy do nas przyjechała i opowiadała o prawdziwym skandalu z czerwonymi. Na początku lata z wizytą do Sztokholmu przybyła angielska królowa, a jedna socjalistyczna minister odmówiła dygnięcia na powitanie. Zastąpiła je komicznym ukłonem. Mama zademonstrowała, jak wyglądał. Jasne, że było to trochę dziwne i pewnie typowe dla czerwonych. Mama uważała, że to okropne.

Przy innej okazji wściekła się na włoskiego kapitana statku. Szwedzki i włoski statek pasażerski zderzyły się na środku Atlantyku, to było wręcz niewiarygodne. Włosi nie powinni zostawać kapitanami – czego dowiedli podczas wojny.

Parkiet taneczny w Klubie jednocześnie kusił i przerażał.

Chodziły tam oczywiście wszystkie dziewczyny z Sandhamn. Nie było sztuką tam się wymknąć, kiedy Acke spał.

Jednak szczerze mówiąc, nie miałem odwagi. Po pierwsze, to nie było jak gra w siostrzycę – człowiek nie mógł tak po prostu podbiec do dziewczyny i ją przytulić. Po drugie, pociły mi się dłonie za każdym razem, kiedy pomyślałem, jakim palantem byłem w domu Leny Andersson. Wstydziłem się, nawet wtedy, kiedy się wymykałem zwałić konia.

Nic już nie było takie jak dawniej.

„Beduina” sprzedano. Pozostały tylko mała łódka wiosłowa i ciężka, podwójna łódź płaskodenna, która stała pod plandeką i wysychała. Jacht motorowy „Emir” też był sprzedany.

Nie mieliśmy już służących z Norwegii, a bez ich radosnych norweskich głosów atmosfera całkiem się zmieniła. Frau Gisela pomagała we wszystkim, ale nie była prawdziwą służącą, raczej dotrzymywała babci towarzystwa. Tak samo jak babcia pochodziła ze wschodnich Niemiec, a komuniści zabrali jej tam cały dobytek. Obie mogły siedzieć godzinami przy ławie ogrodowej i rozmawiać po niemiecku – pewnie o tym, że kiedyś wszystko było lepsze.

Podczas tych wakacji, jedyny raz w życiu, już w lipcu zacząłem czekać na rozpoczęcie roku szkolnego, żeby móc pojechać do miasta.

Poza tym tego roku wszystko się odbyło zupełnie inaczej. Przed końcem sezonu bagaże babci i duża skrzynia z książkami zostały przewiezione wózkiem rowerowym. Potem płynęliśmy do Sztokholmu cztery godziny promem „Waxholm”, a na nabrzeżu nie czekał szofer, tak jak kiedyś.

Kiedy taksówka stanęła pod bramą, mama oznajmiła, że przez całe lato pracowała jak galernik i że wkrótce zrozumiemy dlaczego, bo ma dla nas niespodziankę. Wyglądała na bardzo szczęśliwą i powiedziała tylko „o kurczę”, jakby przelotnie, kiedy wchodząc po schodach, zauważyła, że poleciało jej oczko w pończosze.

Po wtaszczeniu bagaży na górę stanęliśmy przy drzwiach, żeby chwilę odsapnąć, a mama pobrzękiwała kluczami. Kiedy otworzyła, odwróciła się do nas – wyglądała na jeszcze bardziej uradowaną.

– Teraz, moi kochani chłopcy, czeka na was wieceelka niespodzianka! Wejdźcie i jej poszukajcie!

Acke pierwszy przecisnął się przez drzwi w drodze do naszego wspólnego pokoju. Ja obstawiałem, że niespodzianka jest w pokoju dziennym i tam poszedłem jej szukać. Miałem rację.

Jak tylko wszedłem, zobaczyłem odbiornik telewizyjny. Nie było to coś, czego się mogłem spodziewać. W naszej klasie tylko Joar i Johan Gabriel mówili, że jesienią będą mieli telewizor.

Stary radiogramofon, który dawniej stał w wykuszu babci i dziadka w willi Bellevue, zniknął. Zamiast niego był tam nowiutki radiogramofon z zupełnie innego gatunku drewna.

Acke wyszedł rozczarowany z naszego pokoju, w którym nie znalazł żadnej niespodzianki, i tak samo jak ja zrobił wielkie oczy na widok telewizora.

– A teraz będziemy świętować! – oznajmiła mama, wyszła do kuchni i przyniosła trzy kieliszki do szampana i dwie butelki napoju Pommac.

Wznieśliśmy uroczysty toast.

– Można teraz oglądać telewizję? – zapytał Acke.

– Tak, ale na początku jest tylko obraz kontrolny. Możemy go zobaczyć! – Mama podeszła do aparatu i poruszyła pokrętłem.

Na początku było słychać mnóstwo szumów, a potem pojawił się wizerunek Indianina.

– Nowy obraz kontrolny z dźwiękiem pojawi się trochę później – wyjaśniła mama.

Wznieśliśmy kolejny toast.

Podszedłem do radiogramofonu i podniosłem pokrywę, żeby zobaczyć talerz z igłą. Przypomniałem sobie jedno – gramofon babci i dziadka odtwarzał tylko płyty na siedemdziesiąt osiem obrotów, ale on był z epoki kamienia łupanego.

Miałem rację. W tym gramofonie dało się ustawić trzy prędkości: EP, LP i siedemdziesiąt osiem obrotów dla kamiennych krążków jaskiniowców. To naprawdę była nie byle jaka niespodzianka. O czymś takim nie mogłem nawet marzyć.

– Teraz już wiecie, kochani chłopcy, dlaczego latem tak pilnie pracowałam – powiedziała mama, promieniejąc ze szczęścia. – Za oba aparaty zapłaciłam gotówką, człowiek nie powinien się zadłużać, tak zwane raty to nie dla nas. Kupiłam też płytę gramofonową, chcecie posłuchać?

Pewnie, że chcieliśmy. Mama przez chwilę majstrowała przy płycie LP i mówiła, że to jej absolutnie najukochańsza muzyka.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Pewnie Chopina albo koncertu fortepianowego Mozarta. Ale to był big band z piosenkarzem, który się nazywał Frank Sinatra.

Każda ze stron płyty grała dwadzieścia minut, ale i tak wysłuchaliśmy ich dwa razy. Dźwięk był fantastyczny, prawie jakby orkiestra i piosenkarz znajdowali się w tym samym

pokoju.

Mama podała skwarki z cebulą i lody, które wyjęła z zamrażalnika w lodówce.

– Amerykańskie – powiedziała.

Dostaliśmy więcej pommacu, a potem trochę wina rozcieńczonego z wodą, tak samo jak za dawnych czasów. Tym razem było to bordeaux, a nie estremadura.

– *À votre santé*, kochani chłopcy. Tak się mówi po francusku, kiedy się wznosi toast – oznajmiła mama i puściła do mnie oko.

Semestr zimowy nie mógł się zacząć lepiej. Nie byłem już pierwszakiem, zaczynaliśmy fizykę z tym samym nauczycielem, który uczył nas matematyki, a u niego miałem takie przody, że wystarczyło tylko nadążyć z materiałem. Pogoda była ładna i mogliśmy dużo grać w piłkę, praktycznie za każdym razem, kiedy mieliśmy podwójną lekcję wychowania fizycznego na wciąż soczyście ciemnozielonej trawie w Vasaparken. Kiedy zjawiłem się na pierwszym treningu w Pałacu Sportu, Tage Lindström mierzył mi czas na dwadzieścia pięć i pięćdziesiąt metrów stylem dowolnym. Na obu dystansach byłem znacznie szybszy niż wcześniej. Oczywiście nie tylko dlatego, że pływałem pomiędzy naszym pomostem a pomostem von Rosenów. Po prostu urosłem i nabrałem siły. W tamtych czasach pływaliliśmy głównie siłowo, a więc człowiek z czasem robił się coraz lepszy.

Zmieniłem nazwisko na Letang. Poszło gładko. Nauczyciel Lagergren po prostu ogłosił to na pierwszej lekcji, jakby mimochodem, i na tym sprawa się zakończyła.

Na początku jesieni wszystko wyglądało bardzo dobrze. Nawet pieniądze nie były powodem do zmartwień. Mama nie tylko spłaciła to, co ode mnie pożyczyła przed pierwszą wypłatą na początku lata. Zaczęła też dawać mi tygodniówkę, więc mogłem grać na flipperach i dwa razy w tygodniu chodzić do kina.

Ale pewnej nocy wszystko nagle się zmieniło.

Acke i ja zwykle się nie budziliśmy, kiedy mama wracała nocą do domu. Na pewno starała się przemykać cicho.

Tej nocy wróciła jednak z hałasem, głośno rozmawiając i w towarzystwie mężczyzny. Kiedy się obudziłem, nie wiedziałem, co jest grane. Brzmiało to tak, jakby mama płakała, a ktoś próbował ją pocieszyć.

Kiedy wszedłem na palcach do pokoju dziennego, zobaczyłem pochyloną mamę w podartym ubraniu. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem, prowadził ją do sypialni. Kiedy mnie zobaczyli, mama kazała mi z powrotem się położyć, a mężczyzna powiedział, że tylko pomoże mamie wejść do łóżka.

Szybko usłyszałem, jak za obcym mężczyzną zamykają się drzwi. Leżałem rozbudzony w łóżku. Acke też nie spał. Od czasu do czasu z sypialni mamy dobiegał płacz. Nie dało się znieść, że nie możemy nic z tym zrobić, więc w końcu poszliśmy do jej pokoju. Leżała na łóżku w koszuli nocnej, z twarzą ukrytą w poduszce. Jej porwane ubranie było rzucone na krzesło.

Acke pierwszy odważył się podejść. Nieporadnie pogładził ją po włosach i powiedział, żeby nie płakała. Na początku na nasz widok prawie się przestraszyła, ale potem wyciągnęła do nas ręce i powiedziała, żebyśmy się wślizgnęli do niej do łóżka.

Szybko się umościliśmy z mamą w środku, objęci jej ramionami. Przestała płakać, ale powiedziała, żebyśmy jej nie zostawiali. A potem nagle zasnęła.

Leżeliśmy obudzeni po obu jej stronach, wdychaliśmy jej zapach i słuchaliśmy oddechu, który się uspokoił i wyrównał, jak tylko zasnęła. Nam nie było tak łatwo zasnąć w tej pozycji, ale obaj chyba czuliśmy, że nie możemy opuścić mamy w takiej sytuacji tylko dlatego, że jest nam trochę niewygodnie.

W końcu najwyraźniej i tak zasnęliśmy, bo kiedy zadzwonił budzik, którego, jak się

okazało, nie zapomniała nastawić, wyrwał nas ze snu. Mama nas przytuliła i wycalowała. Wkrótce znów była taka jak zwykle albo przynajmniej udawała. Żartobliwie podziękowała za towarzystwo i powiedziała, że musimy wyskakiwać z łóżka i robić śniadanie.

Dla Ackego była to oczywiście wyjątkowo wczesna pora. Ja zazwyczaj wstawałem prawie dwie godziny przed nim.

Mama owinęła go kołdrą, pocałowała i powiedziała, że może jeszcze chwilę pospać, a potem nastawiła wodę na herbatę dla siebie i dla mnie.

Moje śniadanie było łatwe do przygotowania. Składało się z masy węglowodanów w postaci musli Eterna. Według wyliczeń Tagego Lindströma spalałem trzy i pół tysiąca kalorii dziennie.

Próbowałem wypytać mamę, co się stało, ale tylko pokręciła głową i powiedziała, że najważniejsze, iż nic się nie wydało, bo nie możemy wywołać żadnego skandalu. Wtedy zobaczyłem, że ma opuchniętą twarz. Została pobita.

Kiedy znów próbowałem pytać, wbiła wzrok w filiżankę z herbatą i powiedziała, że powinniśmy porozmawiać o naszej nowej sytuacji wieczorem, po kolacji.

Dopiero kiedy popędziłem na trening, uderzyła mnie myśl, że skoro będziemy rozmawiać wieczorem po kolacji, mama nie pójdzie do Blanche.

Tak też się stało. Mama już nigdy tam nie wróciła. Ale też nigdy nie powiedziała, co się stało.

Nie wiem, czy byłoby lepiej czy gorzej, gdyby to wyjawiała. To, że się nie dowiedziałem, oznaczało, że prawda była niedozwolona dla dzieci, jak wszystkie dobre filmy.

Ci, którzy decydowali, uważali, że dobre filmy szkodzą dzieciom. W tym wypadku przynajmniej było wiadomo, że się mylą. Nie znałem nikogo, komu zaszkodziłyby wizyty w Maximie. To samo dotyczyło filmów wojennych, które pokazywano w szkolnym klubie filmowym. Tam nie uważano, że są szkodliwe, a wręcz przeciwnie – uznawano je za pozytywne i korzystne wychowawczo.

Jednak opowieść o tym, co się stało mamie, była zakazana z tajnych przyczyn. Okropne fantazje na ten temat opuściły mnie dopiero po kilku latach. Najczęściej był w nich mężczyzna albo dwóch, którzy wyglądali jak Harry i bili mamę, a ona płakała i usiłowała się bronić.

Jedynym, o czym chciała rozmawiać, była faktyczna sytuacja – to, co powiedziała już pierwszego dnia po kolacji, kiedy jeszcze miała ślady na twarzy.

Faktyczna sytuacja przedstawiała się tak, że znów byliśmy splukani. Siedemnastocalowy telewizor AGA kosztował tysiąc dwieście siedemdziesiąt pięć koron. Nowy radiogramofon, w miejsce eleganckiego, mahoniowego, niemieckiego grundiga babci i dziadka, kosztował osiemset koron.

Za wszystko, co kupiła, mama zapłaciła gotówką – dobra rodzina się nie zadłuża, a tak zwane raty są tylko innym określeniem tego samego.

Myślała, że Acke i ja będziemy tacy szczęśliwi i dumni, że już koniec z martwieniem się o pieniądze na jedzenie, czynsz czy telefon, bo co miesiąc dostanie wypłatę z Blanche.

A tymczasem wszystko się okropnie pochrzało i byliśmy z powrotem na polu numer jeden. Musiała nawet pożyczyć ode mnie moje oszczędności – niecałe czterdzieści koron.

Powiedziała, że oczywiście będzie znów szukała pracy, choć niełatwo sobie wyobrazić, co by to mogło być. Nie miała żadnego wykształcenia zawodowego, nie potrafiła nawet pisać na maszynie, więc nie mogła pracować choćby jako biurowa myszka. Branża restauracyjna to był prawdziwy łut szczęścia – dzięki urodzeniu i nawykowi miała wystarczającą wiedzę o potrawach i winach, a poza norweskim i szwedzkim znała jeszcze trzy języki.

Jednak sytuacja wyglądała tak, że nie mogła nigdy wrócić do Blanche ani jakiegokolwiek

innej dobrej restauracji.

Próbowałem protestować. Przecież znała języki, nadal potrafiła polecić odpowiednie wino do odpowiedniego posiłku, potrafiła się zachować i tak dalej.

Ucięła temat. Nigdy więcej branży restauracyjnej, nie było dyskusji. Musiała myśleć o swojej opinii.

Nie rozumiałem, o co chodzi z opinią, ale nie miałem odwagi się upierać przy kolejnych pytaniach.

Znalezienie nowej pracy zajęło jej kilka dni.

Zacząłem sobie wyobrażać różne rzeczy, które może robić człowiek, jeśli umie się zachować, wygląda reprezentacyjnie i doskonale zna trzy najważniejsze języki.

Mimo to nie zgadłbym, że zostanie ekspedientką w głównym sklepie sieci Nils Adamsson z artykułami medycznymi. Ale w ogłoszeniu rzeczywiście poszukiwano ekspedientki ze szczególnymi kompetencjami językowymi, a mama pokonała wszystkie inne kandydatki.

Pensja nie stanowiła nawet jednej czwartej tego, co zarabiała w Blanche – było to jedynie cztery pięćdziesiąt na godzinę.

Kiepską sytuację finansową pogarszało to, że rośłem jak szalony. Ubrania były dla mnie tylko denerwującymi miękkimi pakunkami otrzymywanymi na urodziny. Czymś, co kupowało się z mamą w domu towarowym NK albo jakimś sklepie z odzieżą męską i dopisywało do rachunku Lauritzenów. Mama i cała reszta tyle opowiadali, jak ważny jest dobry gust i jakość i że dżentelmen musi się nauczyć dbać o swoje ubranie, i czyścić buty. Dlatego zakładałem, że mojej garderobie nie można nic zarzucić.

Mama tak dobrze sobie radziła przy maszynie, że mogła przerobić moje ubrania dla Ackego, kiedy z nich wyrosłem. Oznaczało to jednak, że mnie trzeba było kupić nowe spodnie i buty. Znalazłem wyciętą przez mamę reklamę szkolnych spodni z wytrzymałego tweedu za dwadzieścia dziewięć pięćdziesiąt.

Nietrudno było policzyć. Jako ekspedientka w sklepie Nilsa Adamssona mama zarabiała trzydzieści sześć koron dziennie. Żeby mi kupić te cudowne spodnie – stare były już przykrótkie – będzie musiała pracować od dziewiątej rano do czwartej trzydzieści cztery po południu. Para nowych butów kosztowała tyle, ile zdoła zarobić w dwa pełne dni pracy.

Nie byłem w stanie nic na to poradzić, bo przecież nie mogłem przestać rosnąć.

Mimo to niska płaca – założyłem, że jest niska – była mniejszym zmartwieniem związanym z nową pracą mamy.

Większe polegało na tym, że sklepy Nilsa Adamssona były numerem jeden w Szwecji w zakresie artykułów medycznych.

Artykuły medyczne to eufemizm. Określenie, które rozumiałem jako jedyny z klasy, kiedy zdawaliśmy państwowy egzamin sprawdzający zasób słów.

Nie oznaczało ono plastrów i bandaży, nawet jeśli takie towary też były dostępne w sklepach Nilsa Adamssona. Oznaczało gumki. Nie można ich było sprzedawać obojętnie jak i obojętnie gdzie. Firma Nils Adamsson załatwiła sobie od władz coś w rodzaju wyłączności. Jeżeli chciało się kupić gumki, należało pójść do któregoś z jej sklepów w mieście.

„Nilsadamsson” było bardziej eleganckim określeniem na prezerwatywę.

Także zagraniczni turyści przyjeżdżający do Sztokholmu musieli iść do Nilsa Adamssona, jeśli ich prywatny zapas był na wyczerpaniu. Latem w Sztokholmie, a więc również w sklepach Nilsa Adamssona, było wyjątkowo wielu zagranicznych turystów. To prowadziło do szeregu nieporozumień językowych i zawstydzających sytuacji, bo sprzedawcy nie byli przyzwyczajeni do sprzedaży gumek w innych językach niż szwedzki. Dopóki na rozmowę o pracę nie przyszła moja mama i, o ile wiem, nie zaliczyła jej śpiewająco w języku angielskim, niemieckim

i francuskim. Dzięki temu dostała pracę w głównym sklepie.

Mieścił się przy Thorildsplan na Kungsholmen, choć trochę na uboczu, po drugiej stronie Fridhemsplan. W sporej odległości od Vasa Real, ale nie tak daleko od Hantverkargatan, żeby mama nie mogła zaoszczędzić na bilecie tramwajowym. To był plus.

Pozostawało tylko kwestią czasu, zanim w klasie się wyda, że moja mama sprzedaje gumki. Czekając na nieuniknione, musiałem więc się uzbroić.

Oczywiście w czasach, kiedy byliśmy bogaci, mama nie musiała stać za ladą i sprzedawać czegokolwiek. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi to do głowy – pamiętam, bo aż podskoczyłem. Takie słowa nie padały z naszych ust, a nawet nie pojawiały się w myślach.

Ale tak przecież musiało być. W tamtych czasach to było oczywiste, równie oczywiste jak oddychanie i tak samo niewarte wzmianki.

Ale potem Harry ukradł pieniądze mamy i zwał do Ameryki, żeby założyć big band.

Nie ukradł jednak wszystkiego. Na ścianach w domu wisiało pełno drogich obrazów. Mój ulubiony, namalowany przez Brunona Liljeforsa, przedstawiał białego zająca na śniegu, przy drewnianym ogrodzeniu. Autorami pozostałych byli głównie norwescy malarze – Gude, Munch i inni, jak im tam było.

Sam francuski zegarek mamy kosztował więcej, niż zarobiłaby przez cały rok jako ekspedientka w sklepie Nilsa Adamssona.

Ale odziedziczonych dóbr się nie sprzedaje, tak samo jak się nie pożyczają pieniędzy. I nie biegnie się do bogatych krewnych jęczeć albo żebrać. Mama powtarzała to w nieskończoność.

W sumie to wszystko było trochę tajemnicze. Wiedziałem, że jesteśmy dobrą rodziną, a i tak lada chwila moi koledzy mogli zacząć się nabijać, że moja matka musi się utrzymywać ze sprzedaży gumek. Poza tym była rozwiedziona i miała dwójkę dzieci z rozbitej rodziny.

Nie musiałem zbyt długo roztrząsać tego problemu, żeby zrozumieć, na czym stoję. Miałem najdzielniejszą mamę na świecie, byłem z niej bardzo dumny i mógłbym zabić każdego, kto twierdziłby inaczej.

Jeśli chodzi o telewizor, nie było specjalnie czym się podniecać, przynajmniej na początku. Wyświetlał wtedy głównie obraz kontrolny, a czasami obraz kontrolny z muzyką. A kiedy trochę bardziej się rozkręcił, można było obejrzeć wielu mówiących polityków, bo za dwa tygodnie, jesienią, miały się odbyć wybory parlamentarne.

Pierwszym prawdziwym programem telewizyjnym, jaki oglądaliśmy, był ten z Lennartem Hylandem. Jego głos znaliśmy lepiej niż jakikolwiek inny w Szwecji, dzięki audycjom radiowym nadawanym w sobotnie wieczory, takim jak *Karusellen* czy *Sittinitti*. Ale nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażaliśmy. Był mały i łysy. Tym razem miał pomóc zwykłej wyborczynie, niejkiej pani Dickman, która nie tylko była pospolitą dziewczuchą, ale, co gorsza, typową przedstawicielką czerwonych. Mama twierdziła, że słyhać to w jej pytaniach i zwyczajach językowych. Dla mnie brzmiała jak typowa mama z Vasastan, w każdym razie mówiła dialektem charakterystycznym dla tamtych stron.

Ale o takich rzeczach nie było sensu dyskutować z mamą. Wszędzie widziała czerwonych i uważała, że naczelnym celem telewizji jest uprawianie czerwonej propagandy – dlatego planowano uruchomić monopolistyczną telewizję bez reklam, choć każdy rozsądny człowiek wiedział, że lepsza byłaby prywatna z reklamami. A tak trzeba było płacić dwadzieścia pięć koron rocznie podatku telewizyjnego. Większość miała się na to nie zgodzić, ona również.

Po pierwszym tygodniu z Lennartem Hylandem i panią Dickman pojawiło się urozmaicenie. Poszczególni liderzy partii pojawiali się osobno i odczytywali orędzia do widzów. Mama uważała oczywiście, że wszyscy przywódcy partyjni oprócz Jarla Hjalmarsona są idiotami. Poza tym on był najprzystojniejszy i najbardziej uroczy.

Trudno mi było podzielić tę opinię – jego uszy mocno kojarzyły mi się z uszami Radara, a poza tym przemawiał piskliwym głosem. Lider partii ludowej miał więcej z dżentelmena, a przedstawiciel związku rolników wyglądał jak zabawny chytrusek.

Nasza radość z telewizji wynikała raczej stąd, że siedzieliśmy wszyscy razem, a ja masowałem mamie stopy. Bolały ją po całym dniu stąpania po cementowej podłodze sklepu, wypróbowała jedną parę angielskich spacerowych butów za drugą, ale nic nie pomagało.

Ze sklepu przyniosła wanienkę i krem do stóp. Po kolacji i zmywaniu najpierw siedziała chwilę z nogami zanurzonymi w waniencie z ciepłą wodą i solą do stóp. Potem wchodziliśmy do pokoju i siadaliśmy przed telewizorem, a ja kładłem sobie na kolanach ręcznik, na nim jej stopy, wcierałem krem i zaczynałem masować. Mówiła, że nie ma nic przyjemniejszego.

Mocno w to wątpiłem, choć robiłem, co mogłem, żeby dokładnie wypełniać jej instrukcje. Miała drobne, miękkie stopy, które nie wyglądały na przeznaczone do chodzenia przez cały dzień po cementowej podłodze.

Po wyborach do parlamentu w telewizji zamiast polityków czytających na głos pojawiły się nieco lepsze programy. Kontynuowaliśmy nasze masaże przed odbiornikiem. Na początku mama tylko narzekała na wynik wyborów. Partia prawicowa wygrała z dużą przewagą, ale mama twierdziła, że i tak będziemy mieli czerwony rząd. To zaś z winy tych przeklętych wiejskich królików, które wołały siedzieć w parlamencie z czerwonymi niż z prawicą.

W klasie panowała różnica zdań co do tego, kto wygrał wybory. Clark i Rick byli zadowoleni z wyniku. Johan Gabriel i Joar mówili, że było tak cholernie blisko, ale przynajmniej nastąpił upadek we właściwą stronę.

Upadek we właściwą stronę? Zaciekawilo mnie to i poszedłem do biblioteki szkolnej zobaczyć, co było na ten temat napisane w „Svenska Dagbladet”. Mama chwilowo zawiesiła prenumeratę, bo musieliśmy oszczędzać, dopóki nie staniemy na nogi.

Sytuacja wyglądała następująco: prawica wygrała najwięcej – to była partia człowieka w muszce, z piskliwym głosem i odstającymi uszami. Wprowadzili do parlamentu jedenastu nowych typków. Czerwonym oraz rolniczym związkowcom ubyło jedenastu. To miała na myśli mama, kiedy mówiła, że prawica wygrała wybory. Jednak nawet mimo dużego postępu prawica miała w parlamencie tylko czterdziestu dwóch typków. Czerwoni mieli stu sześciu, a rolnicy dziewiętnastu. Czyli to socjaliści wygrali, choć z mniejszą przewagą niż zwykle. Dlatego zostali. Ale nie było sensu dyskutować o tym z mamą. Po jakimś czasie uspokoiła się na tyle, że mogliśmy dalej rozmawiać o nowych programach w telewizji i jednocześnie kontynuować masaże stóp.

Niektóre były oczywiście nudne – na przykład ten, w którym dwóch nadętych facetów mówiących przez nos starało się opisać problem utraty wolności. Byli to lekarz i adwokat. Na zmianę przemawiali o tym, że czasem trzeba wysyłać ludzi do domu wariatów.

Poza tym można było zobaczyć i usłyszeć muzykę do *Egmonta* Beethovena – całość, a nie tylko uwerturę – ale to było dość nudne, choć samej muzyce nic nie brakowało. Holenderski film o Rembrandcie też był dość dobry. Na drugim miejscu umieściłbym coś, co nazwano Kroniką Filmową – pokazywano tam urywki filmów wyświetlanych tego lata w Sztokholmie.

To był fajny program (słowa „fajny” nie wolno było używać w wypracowaniach). Najlepszy z tego, co do tej pory pokazano w telewizji. Mogliśmy zobaczyć fragmenty *Trzydziestu dziewięciu kroków* Hitchcocka, *Na wschód od Edenu* z Jamesem Deanem, *Poszukiwaczy* z Johnem Wayne’em i *Gentlemana Jima* z Errolem Flynnem. Wszystkie te filmy były niedozwolone dla dzieci. Zastanawiałem się, co będzie, gdy telewizja zacznie pokazywać filmy w całości. Wszyscy mówili, że kiedyś tak się stanie. Czy wówczas będą emitować tylko filmy dozwolone dla dzieci? Pewnie nie. Ale jak można zabronić dzieciom oglądania filmu

w telewizji? To wyraźnie luka w prawie.

Zresztą z tymi zakazami można było oszaleć. W Sztokholmie działało około siedemdziesięciu kin i prawie wszystko, co wyświetlały, było niedozwolone dla dzieci, a przynajmniej większość dobrych filmów. W tej chwili w Manhattanie po drugiej stronie ulicy pokazywali *Trzydzieści dziewięć kroków*. Też nie dla dzieci. Jeżeli się miało mniej niż piętnaście lat, w zasadzie oglądało się tylko Kaczora Donalda i Sickan Carlsson, która zawsze była taka rozradowana. Kurza stopa.

Choć, gwoli sprawiedliwości, było parę dozwolonych dla dzieci filmów wartych obejrzenia. W następnym tygodniu w Manhattanie mieli zacząć grać *Ratataa* – komedię z Povelem Ramelem i Martinem Ljungiem. Moglibyśmy na to iść we troje, gdyby nie to, że akurat musieliśmy oszczędzać na wszystkim, co nie było absolutnie konieczne. Jak nowe spodnie do szkoły i buty.

Pewnie telewizja mogła się stać czymś w rodzaju rozwiązania problemu polegającego na tym, że najlepsze filmy są niedozwolone dla dzieci. Chociaż z drugiej strony, mogła pokazywać tylko stare filmy, bo nadawała w czerni i bieli.

W każdym razie w telewizji pojawił się program lepszy niż wszystkie inne, przynajmniej według mnie. Dwa razy w tygodniu emitowano kurs języka francuskiego. Siedziałem wtedy przed ekranem jak przyklejony i czasem zapomniałem nawet o stopach mamy. Od tego czasu ćwiczyłem z mamą nie tylko angielski. Kiedy powtarzała za telewizyjnym lektorem, brzmiało to identycznie.

W szkole były dwie wielkie nowiny. Po pierwsze, mieliśmy nowego, bardziej nerwowego dyrektora, który nazywał się Bertil Reineclaude. Mama powiedziała, że to nazwa zielonej śliwki, tyle że po francusku. Próbowałem wprowadzić przezwisko Śliwka, ale raczej się nie przyjęło.

Dyrektor Reineclaude sam przygotowywał co drugie poranne zebranie – określenie „poranna modlitwa” zastąpił porannym zebraniem. Nauczał wtedy o sytuacji na świecie i już na początku dał nam do zrozumienia, że wie, o czym mówi, bo dawniej był korespondentem wojennym. To brzmiało imponująco, choć nie byłem do końca pewien, co oznacza. W każdym razie miało coś wspólnego z wojną.

Sytuacja na świecie była poważna. Tak poważna, że mogła się przekształcić w wojnę światową.

– To dlatego, że Arabowie ukradli Kanał Sueski – oznajmił dyrektor podniesionym głosem i wlepił w nas wzrok.

Wtedy naprawdę się wzdrygnąłem. Nieco ponad rok wcześniej z dziadkiem i wujkiem Hansem Olafem żeglowaliśmy Kanałem Sueskim, który się ciągnął od Morza Śródziemnego przez Egipt do Morza Czerwonego. Zawsze myślałem, że jest egipski. W jaki sposób egipcyscy Arabowie mieliby go ukraść Francji i Anglii, jak twierdził dyrektor Reineclaude?

On jednak uważał, że jeśli egipcyscy Arabowie nie oddadzą kanału, Francja i Anglia będą musiały przystąpić do ataku, co samo w sobie nie było niepokojące, bo arabscy żołnierze są beznadziejni. Jednak po ich stronie stał Związek Radziecki. Ten zaś, jako kraj komunistyczny, uważał, że oni mieli prawo ukraść Kanał Sueski. Rosjanie już wcześniej grozili bombą atomową. A więc sytuacja była poważna.

Bombami atomowymi nie zaprzętałem sobie zbytnio głowy, wszyscy dorośli wciąż nimi grozili. Od czasu do czasu odbywaliśmy skromne ćwiczenia, w czasie których uczono nas chować się pod ławką podczas ataku bombą atomową.

Nie mogłem jednak przestać myśleć, co sądziłby dziadek na temat prawa Egipcjan do ich własnego kanału, przepływającego przez ich własny kraj. Kibicował Kenijczykom, kiedy się buntowali przeciwko Anglikom. Tak samo był za uwolnieniem Indochin spod panowania Francji

i wspierał Algierczyków. Pewnie by się nie zgodził z dyrektorem Reineclaude'em, że Egipcjanie ukradli kanał, który przecież już posiadali.

Zupełnie nowe pytanie brzmiało, czy ja sam mógłbym wspierać wojnę Algierczyków z nami – Francuzami. To wszystko było poplątane. Ale nowemu dyrektorowi nie ufałem, choć w przeszłości był korespondentem wojennym.

Drugą wielką nowiną z początku semestru zimowego stanowiło to, że rock'n'roll dorobił się nowego gwiazdora, którego wszyscy słuchali. Nazywał się Elvis Presley i oczywiście też był Amerykaninem.

Nowa płyta wyszła latem, kiedy byłem w Sandhamn i tylko łowiłem ryby i pływałem. Nazywała się *Heartbreak Hotel* i były na niej cztery utwory. Clark aż szalał z podniecenia, kiedy opowiadał, że rock'n'roll wystrzelił jak rakietę kosmiczną ponad grupę Bill Haley and His Comets. Podczas przerwy śniadaniowej pobiegliśmy do baru Chico, wysłuchaliśmy kilku utworów i zaraz poleciliśmy z powrotem na Vasastan. Nie musieliśmy wrzucać ani jednej własnej ćwierćkoronówki do szafy grającej – wielkiego, połyskującego na zielono i różowo wurlitzera, bo wszyscy w barze włączali w kółko te same piosenki, a zwłaszcza *Jo ejnt nafin bade haunddog* i *Ripi-dap* – w każdym razie tak się to wymawiało.

Elvis Presley okazał się nawet wybawieniem dla Kozła, gdy ten przyszedł na zastępstwo za nauczyciela muzyki. Kiedy wkroczył do klasy, zaczęliśmy wiwatować, bo czekała nas cała lekcja łobuzowania i psot, bez śladu strachu przed jakimś tam Juliuszem.

Wtedy jednak wydarzyło się coś niespodziewanego. Kozioł uniósł EP-kę, żeby każdy mógł ją zobaczyć.

– To tutaj – powiedział – to nowa płyta Elvise Presleya. Jeszcze się nie pojawiła w Szwecji, dostałem ją od kuzyna ze Stanów.

Umilkliśmy nabożnie.

– Zrobimy tak – kontynuował. – Przez pierwsze pół godziny będziemy dalej robić sprawdziany ze śpiewu – pojedynczo – im szybciej, tym lepiej. A ostatni kwadrans...

Triumfalnie zamachał EP-ką. Siedzieliśmy wyprostowani jak świece. Prawie miałem łzy w oczach. Musiałem przyznać, że biedny Kozioł odniósł zwycięstwo, choć to ja byłem autorem jego przydomka.

Nic tej jesieni i w ogóle w tym roku nie mogło się równać z chwilą, kiedy Ingemar Johansson znokautował Franca Cavicchiego w trzynastej rundzie i został mistrzem Europy w wadze ciężkiej. W tej kwestii na szkolnym dziedzińcu panowała niemal całkowita jednomyślność.

Dorównać temu wydarzeniu mógłby ewentualnie Bengt Nilsson, zdobywając złoto w skoku wzwyż podczas igrzysk olimpijskich w Melbourne, które również miały się odbyć jesienią. On także był mistrzem Europy z rekordem wynoszącym 2,11. Należał do faworytów.

Pytanie brzmiało jednak, czy olimpijskie złoto jest w stanie przyćmić osiągnięcie Ingo. Pokonał bowiem wszystkich najlepszych pięściarzy w Europie, takich jak Anglik Bygraves i Hein ten Hoff z RFN-u. Nagle zaczęło się wydawać, że następnym krokiem będzie zdobycie mistrzostwa świata w Stanach Zjednoczonych. To było wręcz niepojęte, że Szwed mógł sięgnąć po tytuł mistrza świata wagi ciężkiej.

W małej skali miałem na tapecie jeszcze jeden tytuł. Zbliżały się doroczne mistrzostwa pływackie w Vasa Real. Nadal zaliczałem się do najmłodszej klasy – juniorów C – ale zwyciężyłem w tej grupie rok wcześniej, a teraz trenowałem cały rok w prawdziwym klubie sportowym i byłem znacznie szybszy na każdym dystansie. Nie wyglądało mi to na fair play. Fajnie wygrywać wyrównane zawody, te mogły być tylko żenujące.

Zapytałem Tagego Lindströma, co robić. Najpierw tylko wybuchnął śmiechem

i powiedział, że w pływaniu sportowym chodzi o to, żeby wygrać. Kiedy nadal się upierałem, pomyślał chwilę i rzekł, że mogę wystartować z juniorami A. I tak wygram, ale nie bez wysiłku.

Poszedłem z tą propozycją do Kapra – to on decydował o wszystkich szkolnych zawodach. Z początku także nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi z fair play, przecież nic nie może być bardziej fair, niż kiedy chłopcy z tej samej grupy wiekowej płyną obok siebie na osobnych torach.

Próbowałem wytłumaczyć, że gdybym wystartował w grupie C, dystans pomiędzy mną a drugim zawodnikiem byłby bardzo duży, drugie miejsce byłoby poniżające. Gdybym jednak rywalizował z najstarszymi chłopakami, musiałbym wyteńczyć siły, żeby wygrać. To wyglądałoby bardziej naturalnie.

Kaper tak nie uważał. Stwierdził, że będzie jeszcze bardziej poniżające, jeśli chłopcy dostaną manto od kogoś o kilka lat młodszego. A ten, kto się popisuje, przysparza sobie niepotrzebnych zmartwień. Swoje zwycięstwo z basenu powinienem potwierdzić na szkolnym dziedzińcu, a z tym nie byłoby najlepiej. Mogłem płynąć w mojej kategorii wiekowej albo zrezygnować. Kaper powiedział, że robi to tylko dla mojego dobra.

Nie było łatwo, ale w końcu postanowiłem zrezygnować. Tego ranka jak zwykle uczestniczyłem w treningach, ale po południu siedziałem na trybunach i cierpiałem. Obecność we wszystkie dni zawodów była obowiązkowa. Kaper i Tage Lindström, którzy pomagali w mierzeniu czasu i sędziowaniu, dziwnie na mnie patrzyli.

Wymyślenie przezwiska Kruszyna kosztowało mnie chyba trochę drogo. Ale nie mogłem się oprzeć. Nowa nauczycielka szwedzkiego miała niecały metr czterdzieści, prawie jak karzeł. Nie dało się inaczej, aż dziwne, że nikt na to nie wpadł kilka lat wcześniej.

Od tego czasu z pewnością czekały mnie gorsze oceny ze szwedzkiego. Kiedy dostałem z powrotem pierwsze wypracowanie w tym semestrze, nie wierzyłem własnym oczom. Przez całą pierwszą klasę z wypracowań miałem piątki i tylko jedną czwórkę. Teraz w prawym górnym rogu na pierwszej stronie widniała czerwona trójka. Zaliczone, ale nic więcej. Czyżbym z najlepszego stał się teraz jednym z najgorszych?

Napisałem dość wyczerpująco o islandzkich sagach. Jedyna uwaga nauczycielki związana z treścią i kompozycją dotyczyła pytania, które postawiłem samemu sobie: czy Islandczycy naprawdę są tak surowo i bohatersko małowówni, jak w tych opowieściach, czy też jest to tylko styl narracji, podobny do tego we współczesnych komiksach o superbohaterach jak Batman.

„Mało bystre!” – brzmiał dopisek na marginesie. „Gunnara z Lidarände naprawdę (to słowo było podkreślone) nie można porównywać z czymś tak trywialnym jak Batman”.

Ocenę obniżyło to, że nauczycielka znalazła dwadzieścia siedem błędów interpunkcyjnych. Najwyraźniej była bardzo mocno przywiązana do starych zasad stawiania przecinków. Wszystkie wściekle czerwone kreski w tekście nie wyglądały zbyt mądrze.

A więc przerabialiśmy staroskandynawskie sagi. W programie były rozdziały z ćwiczeniami z czytania po duńsku i norwesku. Duńskiego nie da się naśladować inaczej jak tylko w żartach. Kiedy jednak Kruszyna zapytała, czy ktoś chce się zmierzyć z norweskim, tylko ja podniosłem rękę.

Koledzy z klasy byli zdumieni, że czytam po norwesku. W końcu znałem ten język. Ale Kruszynie nie zaimponowałem ani odrobinę.

Ktoś musiał jej wygadać. Chyba wiem kto. Johan Gabriel zaczął nagle dostawać bardzo wysokie oceny z wypracowań. Wcześniej to się nie zdarzało.

Tak czy inaczej, przezwisko Kruszyna pasowało do niej jak ulał. Mogła je sobie zatrzymać.

Poza tym w samej budzie nie pojawiło się zbyt wiele nowości. Nowy przedmiot – fizyka

– był fajny i może dlatego nie miałem problemu z nadążeniem, przynajmniej na początku.

Na angielskim trwała mała walka pomiędzy panem Lagergrenem a Rickiem i pozostałymi członkami gangu skórzanych kurtek. Przez cały czas próbowali brzmieć jak Amerykanie i za każdym razem obrywało im się za to od nieubłaganego Raczka. Amerykański akcent był nieakceptowalny i początkujący nie mieli nic na swoje usprawiedliwienie. Był brzydki i wulgarny, a my powinniśmy brzmieć jak Anglicy. Powinniśmy oglądać więcej angielskich filmów, zwłaszcza tych z wytwórni Rank, w których na początku pojawiał się mężczyzna uderzający w wielki gong. Szczególnie uważnie mieliśmy słuchać Lesliego Howarda, bo jego wymowa była perfekcyjna. *Nieuchwytny Smith* był wprawdzie niedozwolony dla dzieci, ale już *Szkarłatny kwiat* wolno było oglądać.

Clark nadal nadążał z matmą, choć było mu coraz trudniej. Oczywiście to dobrze dla niego, że nabrał pewności siebie i się nie poddawał na sam widok równania. Chodziło bardziej o to, że brakowało mu czegoś więcej niż sama mechaniczna umiejętność liczenia.

Sprawiło mi to niewielki zawód. W domu ciągle jedliśmy krwawe placki, krwawy pudding i kielbasę *falukorv* z makaronem. Zaczęliśmy robić zakupy w sieci sklepów spożywczych Konsum.

Mimo to nie martwiłem się tak bardzo o to, co będzie na kolację. Zjadałem wszystko jak koń i podczas szkolnego obiadu zawsze prosiłem o dokładkę. Ale Acke trochę marudził i mamie było wstyd.

Sprawy musiały zajść daleko, skoro zaczęła robić zakupy w Konsumie. Nie wierzyłem w wyjaśnienie, że po prostu ma tam najbliżej. Zawsze prychała, że tylko czerwoni kupują w Konsumie. W Saltsjöbaden wszyscy w klasie poza Alfem, synem policjanta, mieli zakaz kupowania w Konsumie choćby loda na patyku za dwadzieścia pięć öre.

Krótko mówiąc, musiałem zarobić pieniądze i liczyłem na to, że Clark będzie dalej potrzebował pomocy teraz, kiedy matematyka zrobiła się nieco trudniejsza. Ale moje nadzieje się rozwiały.

Znalezienie kogoś, kto mógłby zastąpić Clarka, nie należało do łatwych zadań. Tych, którzy nie radzili sobie z matmą, nie było stać na oferowaną przeze mnie połowę ceny. Albo też ich rodzice mogli sobie pozwolić na prywatne lekcje z prawdziwym nauczycielem.

Wciąż nie byłem wystarczająco dobry w grze na flipperach, żeby zarabiać na tym jak Clark. Poza tym nie miałem pieniędzy na treningi.

Sytuacja była więc trudna. Ale nie tylko dla mnie. Na świecie szykowała się wojna. Dyrektor Reineclaude przejmował coraz więcej porannych spotkań od naszych katechetów.

Śliwka – wymyślone przeze mnie przezwisko niestety się nie przyjęło – był podekscytowany przez cały ostatni tydzień października. A miało być jeszcze gorzej.

Na początku chodziło o demokrację na Bliskim Wschodzie. Francja dokonała czegoś wielkiego, zaopatrując Izrael w sześćdziesiąt bombowców typu *Mystère IV* – Śliwka potrafił to ocenić w wymiarze czysto technicznym, bo kiedyś był korespondentem wojennym. Izrael mógł więc teraz trzymać Arabów w szachu. Choć na razie znacznie ważniejszy był rozwój wypadków na Węgrzech. Węgrzy zbuntowali się przeciwko radzieckiemu uciskowi i musieliśmy zrobić wszystko, aby ich wesprzeć.

Jak dotąd wszystko było dość jasne. Jeżeli Francja włączyła się z *Mystère IV*, to pewnie słusznie. I oczywiście dobrze, że Węgrzy chcieli się uwolnić od komunistów. Ale co, jeśli wybuchnie wojna na bomby atomowe?

Musiałem się poradzić Joara. Na wieść o francuskich samolotach tylko prychnął i trochę mnie to ubodło.

– *Mystère IV* z Dassault to zwykły samolot poddźwiękowy – wyjaśnił rzeczowo. – Nie

jest nawet tej samej klasy co MiG 19. Nasze J35 Drakeny mogłyby zataczać kółka także wokół francuskich bombowców. Ale Egipcjanie mają prawie wyłącznie stare MiG-i 15 i trochę MiG-ów 17. Więc nie ma się czego bać.

Gorzej wyglądała kwestia Węgier. Rosjanie prawdopodobnie dokonają inwazji, stłumią zamieszki, a potem zgładzą wszystkich przeciwników komunizmu.

To było jednocześnie okropne i jasne jak słońce. Nie mogłem się spierać z Joarem w kwestiach wojny i samolotów. Zapytałem więc o dyrektora Śliwkę i o to, co tak naprawdę oznacza, że był korespondentem wojennym. Joar wybuchnął śmiechem i powiedział, że to bujda. Korespondent prasowy może oczywiście nazywać się korespondentem wojennym, jeśli wybuchnie wojna. Jednak żadna z dużych gazet nie miała żadnego Reineclaude'a jako korespondenta – zarówno podczas wojny, jak i pokoju. Takie nazwisko zwróciłoby uwagę. Joar pytał o to wujka – kapitana wojsk lotniczych.

Potem było kilka dni spokoju i powrót do Boga i Jezusa na porannych zebraniach. Aż nagle gruchnęło. Najpierw w Izraelu, a potem Anglia i Francja zaatakowały egipskich Arabów bombowcami i oddziałami spadochroniarzy.

Wygłaszając kazanie, dyrektor był w wyśmienitym humorze. Jako dawny tłumacz literatury angielskiej bardzo dobrze znał sposób myślenia Anglików. Uderzyli, żeby uratować dostawy ropy na kontynent europejski, co było szczególnie ważne dla nas, mieszkańców zimnej Skandynawii.

Nie było łatwo za tym nadażyć. Oczywiście kibicowałem Francji, dzięki kursowi w telewizji potrafiłem nawet trochę mówić po francusku. Ale trzymałem też kciuki za Egipt. Na własne oczy widziałem, że Kanał Sueski jest w Egipcie, a do tej pory nie zagroziło to dostawom ropy. W jaki sposób miały się one poprawić w wyniku zrucenia bomb przez Anglię, Francję i Izrael, trudno było pojąć. Jeszcze trudniej, co wspólnego z Kanałem Sueskim ma Izrael.

Dyrektor Śliwka cały czas mówił o Izraelu jak o państwie żydowskim i słyszałem uznanie w jego głosie. Czyli nie był przeciwko Żydom, co mnie cieszyło. Ale i tak wszystko stanowiło dla mnie jeden wielki galimatias.

Poszedłem do szkolnej biblioteki i w czasie okienka czytałem gazety, żeby lepiej zrozumieć całą sytuację. I tak nie było mnie stać na flippery. Ale wszystko nadal było bardzo chaotyczne. Zrozumiałem tylko, że po drugiej wojnie światowej Żydzi, którzy przeżyli, dostali kraj. Jednak dalej nie pojmowałem, co to ma wspólnego z Kanałem Sueskim. Jeszcze dziwniejsze było to, że Stany Zjednoczone i Związek Radziecki wspólnie rozkazały wszystkim trzem krajom, które napadły na Egipt, żeby dały spokój i pojechały do domu. A one posłuchały. Wprawdzie Kanał Sueski został uwolniony, ale zapchano go zaminowanymi wrakami statków, żeby żadna ropa nie mogła dotrzeć do Europy tą drogą.

Ta wojna wkrótce przestała być powodem do zmartwień, bo działy się jeszcze gorsze rzeczy. Joar miał rację – Rosjanie zaatakowali Węgry dużymi oddziałami pancernymi, żeby zatrzymać wolność i demokrację.

Dyrektor Śliwka był bardzo rozgniewany i nakręcony podczas porannych spotkań, a gazety rozpisywały się o walkach w Budapeszcie. Przeczytałem tyle, ile zdążyłem, i doszedłem do wniosku, że tę wojnę łatwiej zrozumieć. Mały dzielny kraj walczył o wolność, wielki i potężny Związek Radziecki chciał go okupować, żeby idee wolnościowe nie przeniosły się do innych krajów za żelazną kurtyną, a ja poznałem mnóstwo nowych faktów dzięki pilnej lekturze gazet.

Szóstego listopada, w dniu śmierci Gustawa II Adolfa, na naszym szkolnym dziedzińcu odbyła się parada. Wprawdzie zawsze odbywała się szóstego listopada, jednak tym razem była wyjątkowo duża i godna uwagi. Tym razem nosiliśmy nie tylko szwedzkie flagi, ale także

węgierskie. W powietrzu unosiła się mgła, tak samo jak pod Lützen w 1632 roku. Maszerowaliśmy podzieleni na klasy, w zwartym szyku, a dowódcami byliśmy my, szefowie kompanii – tak jak ćwiczyliśmy na lekcjach gimnastyki przez ostatni tydzień. Orkiestra dęta grała hymn Szwecji i drugi utwór, zapewne hymn Węgier. Dyrektor przemawiał o wolności, demokracji i poświęceniu, które nas czekało, kiedy trzeba będzie zrobić wszystko, żeby pomóc dzielnym Węgrom, w najgorszym razie z bronią w ręku. Ksiądz prosił o Boże błogosławieństwo dla nas wszystkich i naszych węgierskich braci. Potem maszerowaliśmy dookoła Vasaparken z orkiestrą dętą i poczem sztandarowym na przedzie. Zajęło to cały poranek.

Kilka dni później wojna w Budapeszcie dobiegła końca. Goliat pokonał Dawida i nikt nie uważał inaczej, przynajmniej w gazetach. Z Węgier zaczęli napływać uchodźcy. Już następnego dnia pierwsze grupy przybyły na Dworzec Główny w Malmö. Dwa dni później rozpoczęło się racjonowanie ropy naftowej.

U nas w domu nie sprawiło to zbyt wielkiej różnicy. Paliliśmy w piecach kaflowych i nie mieliśmy samochodu.

Dla nas na dziedzińcu różnica między dwiema wojnami była duża. Wydarzenia z okolic Kanału Sueskiego nie sprawiły, że przestaliśmy gadać o tym co zawsze: najnowszej muzyce rockowej, dziewczynach, zbliżających się igrzyskach olimpijskich i szansach Benkego Nilssona na złoto.

Z wojną na Węgrzech było zupełnie inaczej, o Węgrzech rozmawialiśmy na każdej przerwie. Joar choć raz zyskał dużą publikę, kiedy opowiadał, co może się stać, jeśli Rosjanie zaatakują Szwecję.

Przeszkodą była bomba atomowa.

Gdyby bowiem Rosjanie próbowali w nas uderzyć tylko konwencjonalną bronią, jak na Węgrzech, dostaliby łupnia. Nasze lotnictwo wojskowe rozniosłoby ich na strzępy, nasze samoloty szturmowe udaremniłyby wszelkie próby lądowania. Jednak gdyby użyli broni jądrowej, byłoby po zawodach. Wystarczyło tylko, żeby jeden wyposażony w taką broń tupolew 16 przedostał się przez naszą obronę powietrzną. Oznaczało to, że na gwałt potrzebujemy własnej broni jądrowej.

Przez dwa tygodnie na lekcjach muzyki słuchaliśmy muzyki węgierskiej – zarówno klasycznej, jak i ludowej.

Na lekcjach rysunku korzystaliśmy ze zdjęć w gazetach, które miały nam pomóc lepiej przedstawić walki na ulicach Budapesztu.

Na historii, zupełnie poza programem, uczono nas współczesnych dziejów Węgier.

Kruszyna zmuszała nas do nauki węgierskiej poezji w przekładzie.

Na zajęciach z wiedzy o społeczeństwie odbyliśmy powtórkowy kurs z komunizmu, a na lekcjach religii nagle zaczęliśmy się zastanawiać, co Jezus sądziłby na temat wmaszerowania Sowietów do Budapesztu.

Potem w końcu rozpoczęły się igrzyska olimpijskie w Melbourne.

Ogromnym rozczarowaniem było oczywiście to, że Benke Nilsson doznał kontuzji i odpadł już w kwalifikacjach. Czuliśmy się tak, jakby uszło z nas powietrze. To, że kajakarz Gert Eriksson zdobył złoto na tysiąc i dziesięć tysięcy metrów, było bardziej jak pocieszenie, tak samo jak złote medale żeglarzy.

Złote medale naszych w klasie Dragon same w sobie były fajne, ale oni reprezentowali GKSS, a więc dla mnie o wiele większe znaczenie miało złoto w klasie 5,5. Lasse Thörn i jego chłopcy wywodzili się przecież z KSSS-u, a ich macierzystym portem było Sandhamn. Poza tym Sture Stork pochodził z Saltsjöbaden i był dawnym kolegą wujka Carla Lauritza. Często u nas gościł w czasach, kiedy pływał w klasie Stjärnbåt. Wujek Carl Lauritz prawie zawsze wygrywał.

A raz był nawet marynarzem na pokładzie „Błysku I”, kiedy jednostka wygrała regaty w Sandhamn w klasie juniorów. A teraz ten sam Sture Stork zdobył olimpijskie złoto. Mimo woli zacząłem się zastanawiać, jak się na to zapatruje wujek Carl Lauritz. Sam pływał teraz jachtem typu folkbåt, to była najtrudniejsza konkurencja, z największą liczbą uczestników. Ale folkbåt to nie klasa olimpijska. Jednostki klasy 5,5 były oczywiście znacznie droższe.

Co dziwne, nikt, łącznie ze mną, nie interesował się piłką wodną. Jednak półfinał pomiędzy Związkiem Radzieckim a Węgrami okazał się meczem wszech czasów. W wodzie polala się krew, jak pisano w gazetach. Węgry wygrały 4:0 i zapanowała radość na całym świecie.

Australia zgarnęła złoto, srebro i brąz na sto metrów w stylu dowolnym. Czas zwycięzcy wynosił pięćdziesiąt pięć i cztery, brakowało mi do niego siedemnastu sekund. W pływaniu to ocean czasu, coś jak półtorej sekundy w biegu na sto metrów.

Związek Radziecki triumfował na igrzyskach olimpijskich, Stany Zjednoczone znalazły się daleko w tyle. Niestety, nie dało się tego wytłumaczyć inaczej jak tym, że rosyjscy sportowcy byli profesjonalistami zatrudnionymi przez państwo, a nasi, w wolnym świecie, jedynie amatorami. Wszystko zgodnie z regulaminem.

Szwecja była w każdym razie na szóstej pozycji w klasyfikacji medalowej, przed Niemcami i Wielką Brytanią. Zawsze to coś.

Francja niestety znalazła się jedynie w gronie dziesięciu najlepszych krajów, zdobyła tylko dwa lub trzy złote medale. Miło było jednak zobaczyć, że jednym z francuskich złotych medalistów został szermierz Christian d’Oriola. Najwyraźniej współczesny d’Artagnan.

Znanym sposobem na zarabianie pieniędzy przez uczniów przed świętami była sprzedaż przez kilka godzin po szkole bożonarodzeniowych gazet. Åhlén & Åkerlund adresowali nawet ogłoszenia do uczniów, kusząc, że ci, którzy w ubiegłym roku sprzedali najwięcej, otrzymali nagrody pieniężne w zawrotnej wysokości dwustu pięćdziesięciu koron, oprócz prowizji. To się wydawało zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

I takie też było. Kiedy mama pomogła mi wybrać tytuły i podpisała oświadczenie o odpowiedzialności finansowej, pełen nadziei natychmiast przystąpiłem do pracy.

W naszej klatce schodowej tylko jedna samotna kobieta zapisała się na „Såningsmannen” i krzyżówki. Wszyscy pozostali odmawiali, jak tylko usłyszeli, o co chodzi. Ponieważ jednak znali mnie jako sąsiada, przynajmniej nie trzaskali mi drzwiami przed nosem.

Robili to prawie wszyscy pozostali mieszkańcy naszej dzielnicy. Kiedy po kilku godzinach wróciłem do domu, czułem się, jakbym miał przytępiony słuch po stu trzaśnięciach drzwiami. Tylko w jednym miejscu udało mi się sprzedać coś jeszcze – „Świąteczne ozdoby Åhlén & Åkerlund” i „Świąteczną Paradę Kaczora Donalda”.

Kiedy na obolałych nogach wszedłem do pokoju dziennego, mama słuchała radia, bo był piątek – dzień, w którym telewizja nie nadawała. Oczywiście od razu zauważyła, że jestem kompletnie przybity, wyłączyła radio i nastawiła wodę. Kiedy przygotowywała herbatę, policzyłem, że tego wieczoru zarobiłem trzy dwadzieścia pięć. Równie dobrze mogłem się zakładać o grę na flipperach.

Piliśmy herbatę w pokoju dziennym, Acke już poszedł się położyć.

Mama dokładnie mnie wypytała, jak to wszystko wyglądało. Jak się zaprezentowałem, co mówiłem i co mówili ludzie przed zatrzaśnięciem drzwi. Chwilę się zastanawiała ze zmarszczonym czołem.

– Kiedy otwierasz usta, nie brzmisz tak jak wszyscy inni tutaj na Kungsholmen – powiedziała z namysłem. – Nie możemy nic na to poradzić. Ale chyba wiem, co powinieneś robić, żeby coś sprzedać prawie przy każdym drzwiach.

Mama nigdy nie kłamała. O wielu rzeczach nie mówiła, ale nigdy mnie nie okłamała. A mimo to miałem wątpliwości, czy wpadła na jakąś cudowną metodę wykraczającą poza mnie lub bardziej oczywiste porady wydawnictwa Åhlén & Åkerlund, jak na przykład ta, że człowiek powinien być zadbany i kulturalny.

– Nie próbuj sprzedawać tu na Kungsholmen – powiedziała mama. – Pójdź na Strandvägen, wiesz, tam, gdzie cumują statki pływające na szkiery. Zaczynaj tuż za Dramaten, a potem odwiedzaj dzielnicę po dzielnicę, każdą bramę między Strandvägen i Riddargatan, aż do Narvavägen.

Brzmiało to prawie tak, jakby sobie ze mnie kpiła. Ale nic z tych rzeczy, była całkowicie poważna. Zastanowiła się i dała mi szereg instrukcji.

Ignorować wszystkie tabliczki z napisem „Zebrakom i akwizytorom dziękujemy”.

Nie przejmować się komunikatami odsyłającymi kurierów do wejścia od kuchni, wchodzić od razu główną bramą i dzwonić po kolei do wszystkich drzwi – zaczynając od góry albo od dołu, wszystko jedno.

Dokładnie czytać wizytówki na drzwiach. Jeśli otworzy służąca, a tak pewnie będzie najczęściej, przedstawić się i poprosić o rozmowę z panią, której nazwisko widnieje na wizytówce. Jeżeli otworzy ona sama, powiedziec coś w rodzaju: „Domyślam się, że mam przyjemność z panią *nazwisko z wizytówki*”, a potem się przedstawić.

– Jeszcze jedno – dodała. – To może ci się nie spodobać. Musisz używać swojego dawnego nazwiska, potraktuj je jak pseudonim artystyczny. Ludzie nie znają Letanga, Lauritzen sprawdzi się znacznie lepiej w tych stronach. A poza tym zachowuj się jak zwykle. Gwarantuję, że sprzedasz dziesięć razy więcej gazet.

To była cała lekcja, więc zapamiętałem wszystko bez trudu. Choć wątpiłem w taktykę mamy, postanowiłem, że spróbuję, żeby się przekonać, czy choć trochę się sprawdzi.

Sprawdziła się świetnie.

Kiedy dzwoniłem do pierwszych drzwi przy Strandvägen, miałem wyraźnie przyśpieszony puls. Otworzyła służąca. Ukłoniłem się, powiedziałem, że jestem Eric Lauritzen i szukam pani Davén, czy jak tam się nazywała.

– Tak – odparła służąca – bardzo proszę wejść. Gdyby zechciał pan zaczekać, to zapytam, czy pani przyjmuje gości.

Podałem służącej mój płaszcz i zzułem buty, bo na dworze była plucha, a ja nie miałem kaloszy.

Służąca szybko wróciła i zameldowała, że pani przyjmuje.

Zostałem poprowadzony przez pustą jadalnię do oświetlonego ciepłym światłem salonu, w którym siedziała starsza pani. Obok niej leżała robótka ręczna.

– Dobry wieczór, pani Davén – powiedziałem. – Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę. Nazywam się Eric Lauritzen i korzystając z okazji, chciałbym zaproponować tradycyjne świąteczne tytuły Åhléna & Åkerlunda.

– Jak miło, młody człowieku – odparła. – Usiądziesz i mi pokażesz?

Nakupiła gazet za sto pięćdziesiąt koron.

A potem już poszło. Co dziwne – najdroższa gazeta, kolorowy „Rok z Rodziną Królewską”, schodziła najlepiej. Pierwszego wieczoru zdążyłem obejść tylko jedną dzielnicę – choć byłem na dworze odpowiednio długo – bo nie wolno było przeszkadzać ludziom o zbyt późnej porze.

Jeśli drzwi się otwierały, w dziewięciu przypadkach na dziesięć udawało mi się coś sprzedać, a jeżeli ktoś nie chciał nic kupić, przynajmniej nie zatrząskiwał mi drzwi przed nosem.

To był cud.

– Żaden cud – roześmiała się mama, kiedy wróciłem do domu z uśmiechem od ucha do ucha.

Oczywiście miałem mnóstwo pytań. Jak się tego wszystkiego domyśliła? Dlaczego ludzie kupowali tak dużo, również tytuły, które pewnie ich nie interesowały? Czy to dlatego, że służba wpuszczała mnie do środka? Ale przecież kiedy otwierała pani, a jeszcze rzadziej pan domu, działo się to samo. Czy akurat na Östermalmie ludzie byli tak spragnieni bożonarodzeniowej prasy? Dlaczego w takim razie inni, bardziej przebiegli ode mnie sprzedawcy nie wpadli na ten sam pomysł?

Mama solidnie się uśmieła z moich coraz dzikszych rozważań.

– To bardzo proste – powiedziała w końcu. – Większość mieszkańców Strandvägen i tamtej części dzielnicy zna nazwisko Lauritzen – mieszka tam prawie tyle samo członków KSSS co w Saltsjöbaden czy Djursholmie. Od razu widzą po tobie, że jesteś prawdziwym Lauritzenem. I to przesądza sprawę.

Przypuszczałem, że to wyjaśnienie jest prawdopodobne. Ale mimo wszystko było to dziwne. Jeżeli östermalmczycy kojarzyli nasz ród, to nie z powodu sprzedaży gazet świątecznych. Na czym tak naprawdę polegał sekret?

– Solidarność – odparła mama krótko. – Może uważają za moralne, że chłopak Lauritzenów, który naprawdę nie musi sam zarabiać pieniędzy, i tak to robi. Albo traktują ciebie, czy też nas, jak *pauvres honteux* – to z francuskiego i oznacza coś w rodzaju dobrej rodziny, która stała się niewypłacalna. Wtedy ludzie pomagają sobie nawzajem. Ja sama zarabiałabym lepiej w twojej pracy niż zarabiam, sprzedając artykuły medyczne. Nie, to zabrzmiało żałośnie. Ale takiemu słodkiemu Lauritzenowi jak ty nie sposób się oprzeć. Wielu ludzi pytało o żeglarstwo i Sandhamn?

Musiałem przyznać, że tak. Nieraz słyszałem pytanie, czy jestem z żeglarskiej rodziny.

Aż do świąt zarobiłem czterysta sześćdziesiąt trzy korony, ani razu nie wychodząc poza dzielnicę, które podsunęła mi mama. Musiała pożyczyć ode mnie dwieście koron, a i tak było mnie stać na prezenty i choinkę dla nas. Mama zrobiła z czerwonej włóczki małe mikołaje z brodami z waty.

Kiedy po świątecznej przerwie wróciłem do domu z ocenami na semestr, dostałem pierwszą burę od mamy, przynajmniej o ile dobrze pamiętam.

To miało związek z ocenami, choć nie w taki sposób, jak można by przypuszczać. Oczywiście mama się zdziwiła, że mam obniżone stopnie z języka szwedzkiego, z mówienia i pisania, z piątki na trójkę z plusem. Powiedziała, że to bardzo tajemnicza sprawa.

Opowiedziałem, może trochę nonszalancko, o przezwisku Kruszyna i o chłopaku, który naskarżył.

Mama się wściekła. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Awanturowała się przez kilka minut i mówiła, że jest jej za mnie wstyd. Nigdy, nigdy, nigdy nie wolno szydzić z ludzi z powodu ich ułomności. To, że nauczycielka była niższego wzrostu, nie znaczyło, że nie jest takim samym człowiekiem jak wszyscy. Z pewnością mocno cierpiała przez tę ułomność i było jej bardzo ciężko wstawać co rano i iść do pracy ze świadomością, że od rana do wieczora będzie wyśmiewana.

Kiedy mama przestała krzyczeć, zaczęła płakać, objęła mnie i prosiła o wybaczenie. Byłem kompletnie zaskoczony, ale wymamrotałem, że nie ma za co przepraszać, bo przecież ma rację.

Coś takiego nazywa się chyba nauczką.

Boże Narodzenie tego roku było dziwne.

Wychodziło na to, że nie możemy już spotykać się całą rodziną. Dzień przed Wigilią

mieliśmy spędzić u babci, w jej nowym mieszkaniu w Näsbypark – tylko mama, Acke i ja. W drugi dzień świąt planowaliśmy odwiedzić prastryja Sverrego przy Norr Mälarstrand i zjeść rybę w ługu, przyrządzoną w typowo norweski sposób. Mama nigdy nie wyjaśniła dlaczego, ale odnosiłem wrażenie, że ona i jej bracia są skłóceni i że tak samo jest z ciocią Johanne i ciocią Rosą.

Tym razem było mnie stać na kupno prezentów i dokładnie wiedziałem, co dam mamie i Ackemu – to było łatwe. Ale co wymyślić dla babci i prastryja Sverrego? Co sprzedawca świątecznych gazet może dać starym ludziom, którzy są bogaci i mają wszystko?

Mama pomogła mi dwiema fenomenalnymi propozycjami. Babci powinienem kupić książkę, którą koniecznie musi przeczytać, tyle że po szwedzku, bo zawsze czytała po szwedzku. Vilhelm Moberg wydał trzecią i ostatnią część serii o emigrantach, którzy zostali imigrantami. Nosiła tytuł *Osadnicy* i już stała się klasykiem, a babcia od jakiegoś czasu przyznawała, że Szwecja to jej ostateczna ojczyzna. Na pewno poczuje ironię i ciepłą myśl kryjące się za tym prezentem.

Jeśli zaś chodziło o prastryja Sverrego, mama zaproponowała tańszy i jeszcze zabawniejszy prezent.

Wyszła do kuchni i nastawiła wodę w rondlu. Po chwili wróciła z obranym migdałem.

– Weźmiesz go – powiedziała – przepięknie zapakujesz i owiniesz różową bawełną, którą mogę ci dać. Biały pakunek, czerwona jedwabna wstążka i pieczęć – tak, jak wyglądają najdroższe i najmniejsze prezenty. Na początku będzie bardzo skonfundowany, kiedy zważy paczuszkę w dłoni i poczuje, jaka jest lekka. Następnie ogromnie go to zaciekawi i otworzy pakunek trochę niedbale. A potem wybuchnie śmiechem na widok białego migdała z owsianki, rozumiesz?

Mama bywała genialna. Może tylko w niektórych dziedzinach, ale zawsze w takich, które wiązały się z prezentami i ze stylem bycia.

Oczywiście miała absolutną rację.

Babcia wybuchnęła głośnym śmiechem na widok książki Vilhelma Moberga *Osadnicy* i powiedziała, że rozumie uszczypliwość, ale prezent jest bardzo ładny. Prastryj Sverre zachował się dokładnie tak, jak mama to opisała, w najdrobniejszych szczegółach. Ale śmiał się dłużej i głośniej, niż przypuszczaliśmy.

W wigilijny poranek mama, Acke i ja jedliśmy na śniadanie tradycyjny pudding z ryżu, mleka i cynamonu. Potem wyszedłem z domu i ruszyłem przez błotnistą śnieżną breję w dół ulicą Hantverkargatan do Kungholmstorg. Tam kupiłem choinkę – w ostatnim dniu była tańsza. Wyglądało na to, że będą białe święta.

Ubraliśmy choinkę i udekorowaliśmy ją czerwonymi mikołajami mamy i czterema parami świec – zamierzaliśmy je zapalić dopiero, kiedy nadejdzie czas na rozpalenie w piecu kaflowym. Drewno też mieliśmy.

Mama kupiła najmniejszą świąteczną szynkę dostępną w Konsumie, ugotowała ją poprzedniego wieczoru, a kiedy wyszedłem po choinkę, upiekła na grillu z musztardą i w bulce tartej.

Przez chwilę siedzieliśmy tajemniczo od siebie odwróceni, pakowaliśmy prezenty i słuchaliśmy świątecznego koncertu w radiu.

Do małej szyneczki z czerwoną kapustą piliśmy reńskie wino – Acke miał w kieliszku dużo wody. Jedliśmy na udekorowanych złotem talerzach z willi Bellevue, które mama wyjmowała tylko czasami. Było trochę zimno, więc włączyliśmy kuchenkę gazową jako dodatkową świecę. Takie oświetlenie było przyjemne, gdy siedzieliśmy blisko siebie przy małym stole w kuchni.

Kupiłem mamie longplay Franka Sinatry z amerykańskimi kolędami i mały przedmiot, który się montowało na kranie z zimną wodą w kuchni. Dzięki temu woda była natleniona i smakowała jeszcze lepiej. Acker chciał tylko modele do składania, więc kupiłem mu lotniskowiec „Franklin D. Roosevelt”, największy okręt wojenny na świecie, mogący pomieścić na pokładzie pięć tysięcy ludzi. Mama dała mu nowszy i większy zestaw do budowy J35 Drakena.

Ja też dostałem płyty gramofonowe. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem pakunek, myślałem, że to cały zestaw rock’n’rollowy. Otworzyłem i w pierwszej chwili się zdziwiłem i nawet trochę rozczarowałem, ale wystarczyło kilka sekund i dotarło do mnie, że to coś lepszego nawet od Elvisa Presleya. To był kurs języka francuskiego Linguaphone dla początkujących i dla średnio zaawansowanych, nagrany przez prawdziwych Francuzów – w sumie dziesięć longplayów. A więc znów byliśmy splukani.

Oczywiście niczego nie oczekiwałem od Ackego, ale i tak byłem dość głupio rozczarowany, kiedy w paczce od niego zobaczyłem proste okulary do nurkowania. Miałem już oko cyklopa i fajkę nurkową, więc nie bardzo mogłem powiedzieć to, co dorośli zwykle mówili w takich sytuacjach: „właśnie tego potrzebowałem”.

Ale to był pomysł mamy, znacznie mądrzejszy, niż myślałem.

– Wkrótce skończysz trzynaście lat i będziesz miał podwójne treningi w tej strasznej chlorowanej wodzie. Jeśli okulary będą cię spowalniać, to używaj ich tylko do treningu, przecież nie możesz ciągle chodzić z czerwonymi oczami.

To był naprawdę dobry prezent. Wszyscy pływacy na okrągło mieli czerwone oczy.

Długo siedzieliśmy razem i słuchaliśmy kolęd Franka Sinatry, raz za razem. Świece i ogień w kominku dogasały. Mama siedziała z zamkniętymi oczyma, jakby marzyła, że jest na rozpalonej słońcem plaży gdzieś na południu. W pewnym sensie, choć to trochę dziwne, była to najlepsza Wigilia, jaką pamiętam.

SYLVIA I SPUTNIK

Pływanie w okularach było dobrym pomysłem, zwłaszcza teraz, kiedy skończyłem trzynaście lat i liczba treningów miała się podwoić.

Tage Lindström nie był jednak zachwycony moim nowym sprzętem. Okulary oczywiście spowalniały, ale mogło być i tak, że zamiast chronić oczy przed chlorem, po prostu mnie ośmieszały. Noszenie ich było trochę mięczakowate, to tak, jakby hokeiści zaczęli grać w kaskach. Gordie Howe z Detroit Red Wings był najlepszy na świecie, a nie nosił żadnego cholernego kasku.

Taka była prawda. Ale może wkładał kask na treningu? Nasze mamy już takie były. Jedyne, co miały przeciwko pływaniu, to to, że wracaliśmy wieczorem do domu jako króliki albinosy. Kilku chłopaków z klubu Kappis się ze mną zgodziło i kupiło sobie okulary do nurkowania. Tage Lindström i inni trenerzy musieli się z tym pogodzić.

Z okularami czy bez, dowiedziałem się, że w drugiej klasie zaczyna się poważny trening. Cały pierwszy rok był tylko czymś w rodzaju testu psychiki, który pozwalał trenerom się zorientować, na kogo postawić, a kogo usunąć. Nie miało to zbyt wiele wspólnego z osiąganymi czasami, choć regularnie nam je mierzono.

Tage Lindström opowiedział nam, którzy zostaliśmy z grupy dwunastolatków, jak to wygląda. W pływaniu chodziło przede wszystkim o kondycję i siłę, to było oczywiste. Ale równie ważna była siła psychiczna, choć nie dało się jej zobaczyć na pierwszy rzut oka ani zmierzyć stoperem. Dlatego wszyscy zawodnicy, którzy się zgłaszali do klubu Kappis jako juniorzy, przez cały pierwszy rok musieli po prostu pływać tam i z powrotem, ćwiczyć nogi, ręce i styl dowolny, tam i z powrotem, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. To było cholernie nudne i miało takie być.

Nie wszyscy sobie z tym radzili, niektórzy rezygnowali albo zaczynali wagarować co drugi dzień. Zostawali tylko ci, którzy mieli odporność psychiczną wymaganą do treningów na wyższym poziomie.

Dopiero teraz się o tym dowiedziałem. Ale przeszedłem do następnego etapu, zostałem nagrodzony.

Poranny trening miał pozostać taki jak wcześniej – ostre pływanie na długich dystansach. Pozostawał cały dzień lekcji, żeby dojść do siebie. Wieczorny trening zaplanowano jako znacznie bardziej zróżnicowany i nastawiony na technikę, żebyśmy nie wracali do domów wykończeni, kiedy trzeba odrabiać lekcje. Szkoła była równie ważna jak trening.

Na początek dużo startowania i zawracania. Najpierw musieliśmy się nauczyć wchodzić niemal poziomo w wodę, żeby skrócić czas pozostawania pod jej powierzchnią i jak najszybciej zacząć pracować rękoma. Trzeba było wyzbyć się strachu przed uderzeniem o powierzchnię wody, bo im ono mocniejsze, tym lepiej.

Nowa australijska technika nawrotu była znacznie trudniejsza do opanowania. Trenerzy mówili, że może minąć rok, zanim nam wejdzie w krew, a niektórzy nigdy się jej nie nauczą. Jeżeli się go wykona za szybko, można przegapić odbicie od krawędzi basenu. Jeśli za późno, można zrobić sobie krzywdę – była to jedna z nielicznych w naszym sporcie sytuacji, kiedy można doznać kontuzji.

Do techniki startu i nawrotu dochodziło szlifowanie ułożenia rąk (wyciągniętych przed siebie i skierowanych ku dołowi) i oddychanie w taki sposób, żeby za bardzo się nie obracać. Krok po kroku mieliśmy też poznawać inne style – żabkę, styl grzbietowy i motylkowy. Musieliśmy być bardzo wszechstronni, jak wszyscy wielcy pływacy. Po pierwsze, nie było wcale

pewne, że najlepiej się nadajemy do stylu dowolnego, nawet jeśli na początku wszyscy tak myśleli. Po drugie, Tage Lindström uważał, że styl zmienny – połączenie wszystkich czterech w czasie jednego wyścigu – jest najszlachetniejszy. Pływacy specjalizujący się w tym stylu byli po prostu najlepsi, mniej więcej jak dziesięciobości wśród lekkoatletów.

Z tymi wszystkimi informacjami poczuliśmy się dużo różnie. My czterej, którzy przetrwaliśmy kaźnie pierwszego roku, zadziwiająco szybko poprawialiśmy czasy. Przy lepszym starcie i nawrocie można było zaoszczędzić do czterech sekund w wyścigu na sto metrów.

Podczas porannego treningu, kiedy wciąż szlifowałem pływanie tam i z powrotem, czasem przyłapywałem się na tym, że tęsknię za treningiem wieczornym, kiedy działa się znacznie więcej. Ci, którzy zrezygnowali, nawet nie wiedzieli, ile stracili. Tak się dziwnie składało, że właśnie o to chodziło.

Telewizja wyraźnie przyspieszyła. Najlepszy był potwornie emocjonujący quiz telewizyjny nadawany w sobotnie wieczory – *Kvitt eller dobbelt*. Można w nim było wygrać dziesięć tysięcy koron – połowę rocznej pensji. Pierwszym wielkim faworytem naszej rodziny był chłopiec w moim wieku, który miał fenomenalną wiedzę na temat rybek akwariowych. Byliśmy potwornie zawiedzeni, kiedy odpadł na pytaniu, czy jakaś brzydka, idiotyczna rybka o nazwie podskoczek mułowy ma powieki, czy nie. Jego szansa na dziesięć tysięcy przepadła i prawie zrujnowało nam to sobotni wieczór.

Później się okazało, że miał rację, że te podskoczki mają powieki, czy jakoś tak. Mógł grać dalej i w końcu wygrał.

W klasie oczywiście nie rozmawialiśmy o telewizji, bo tylko trzech z nas miało odbiornik. Prawie wszystko kręciło się wokół hokeja na lodzie. W Vasaparken było piękne, duże, błyszczące lodowisko, a mistrzostwa świata w Moskwie zbliżały się wielkimi krokami. Rosjan oczywiście uważano za faworytów, zwłaszcza odkąd Kanada i Stany Zjednoczone zbojkotowały zawody w związku z sytuacją na Węgrzech.

Dziennikarze sportowi rozpisywali się o tym, że Szwecja ma szansę na zdobycie mistrzostwa świata po raz drugi, tym razem bardziej serio. Pierwszy i jedyny raz wygraliśmy w Szwajcarii cztery lata wcześniej, ale to nie były prawdziwe mistrzostwa świata, bo wystartowały tylko trzy drużyny, a w zespołach RFN i Szwajcarii grały same patałachy, których szwedzcy zawodnicy mogli pokonać na jednej łyżwie. W Moskwie ciężkie chwile czekały nas w spotkaniach z Czechosłowacją i Rosją.

Emocje rosły i po szkole prawie połowa klasy ciągnęła do Vasaparken z torbami hokejowymi.

Ja się wykręcałem treningami, mówiłem, że nie chcę wagarować i dostać bury od Tagego Lindströma. Opuszczenie treningu było równie złe jak spóźnienie na poranne zebranie.

Ale nie chodziło tylko o to.

Były też dwie inne, równie wielkie przeszkody. Po pierwsze, wyrosłem z łyżew, a po drugie, nie chciałem się natknąć na Lenę Andersson, a tym bardziej zobaczyć jej z daleka obściskującej innego chłopaka podczas gry w siostrzycę. Nadal zdarzały mi się koszmary na jawie o tym, co zaszło w jej domu.

Problem z łyżwami był również żenujący z innego powodu. Kiedy Clark zaczynał marudzić o hokeju w sobotnie popołudnia, nie miałem czym się wykręcić – wiedział, że soboty i niedziele są wolne od treningów. W końcu musiałem powiedzieć prawdę, że moje łyżwy zrobiły się za małe i nie stać mnie na kupno nowych.

Clark zdziwił się bardziej, niż można było przypuszczać. Wiedział bardzo dobrze, jakie mam łyżwy – były to kanadyjskie CCM Tacks, takie same, na jakich jeździli reprezentanci kraju. Twierdził, że można je kupić tylko w najdroższych sklepach sportowych.

I najwyraźniej w NK, dodałem w myślach. Łyżwy dostałem parę lat wcześniej pod choinkę od babci. Nie знаła się na hokeju i podczas robienia zakupów po prostu poprosiła o coś „dobrej jakości”. Poza tym specjalnie kupiła o numer za duże, żeby pasowały też jak urosnę. Przez pierwszy rok wkładałem do nich podwójne skarpety.

Clark stwierdził jednak, że ma proste rozwiązanie tego problemu. Wystarczyło, żebym wziął łyżwy i w przyszłą sobotę poszedł z nim do Abrahamsbergu.

Na osiedlu bloków, na którym mieszkał, w jednej z piwnic domu, takiego samego jak wszystkie inne w okolicy, mieścił się mały sklep rowerowy. Pracujący w nim facet oczywiście nie miał zbyt wiele do roboty z rowerami zimą, więc ostrzył łyżwy po koronie za parę, a także kupował i sprzedawał używane łyżwy i sprzęt hokejowy.

Clark kazał mi trzymać gębę na kłódkę i pozwolić jemu robić interesy. Chyba mieliśmy szczęście.

Kiedy Clark położył na ladzie moje ccm-y, facet się zdziwił, chociaż próbował tego nie okazać. Najwyraźniej takie łyżwy były dość nietypowe w Abrahamsbergu. Nigdy nie sądziłem, że są szczególnie drogie. W Saltsjöbaden większość z nas miała takie same rzeczy. Tam się nie mówiło, co ile kosztowało.

Clark kazał mi wygrzebać ze stosu używanych łyżew najlepsze, jakie potrafię znaleźć, a kiedy facet zażyczył sobie, żeby mu dorzucić pięć koron, wybuchnął śmiechem, jakby to był zabawny żart, i powiedział, że para CCM Tacks jest warta tyle, co przynajmniej trzy pary szwedzkich łyżew, ale nie będziemy tacy pazerni. Wystarczy nam jedna para, tyle że dobrze naostrzonych i dla równego rachunku hokejowe rękawiczki, żeby wszyscy byli zadowoleni. To była ostateczna oferta.

Na to facet nie chciał przystać. Powiedział, że powinniśmy się wymienić jeden do jednego, para za parę.

– No dobra – powiedział Clark i zaczął pakować moje łyżwy do torby. – No to idziemy gdzieś indziej. Cześć i czołem!

Nie zdążyliśmy nawet pokonać połowy drogi do drzwi, kiedy facet zmienił zdanie. Rękawice hokejowe, które dostałem, ku mojemu zdziwieniu zostały wyprodukowane w Pakistanie, ale wszystko było z nimi w porządku. Człowiek musiał być ciężko upośledzony, jeśli grał bez rękawiczek – każdy mógł mu odebrać krążek, uderzając kijem od dołu w nieosłonięte ręce. To potwornie bolało. Moje stare rękawiczki były zniszczone. Nie mówiłem tego Clarkowi, ale musiał zobaczyć, że brakuje ich w mojej torbie. Clark był bystry.

Kazania w czasie porannych zebrań nie dotyczyły już tak często Węgier i Kanału Sueskiego. Racjonowanie benzyny i zakaz używania samochodów w niedzielę zostały cofnięte, więc najwyraźniej nie było już o co kruszyć kopii.

Wróciliśmy zatem na stare, zwyczajowe tory – dyrektor Reineclaude i katecheci znów grzmieni z katedry na temat upadku młodzieży i wzrastającej przestępczości.

W dalszym ciągu gędzili o noworocznych zamieszkach w centrum Sztokholmu. Mówiło się, że tysiące młodocianych przestępców zaatakowały granatami i petardami policjantów i biedne policyjne konie. Na samym posterunku Klara zapuszkowano ponad stu pijanych, agresywnych młodzieńców. W gazetach pisano, że w tłumie byli ludzie w wieku od dwunastu do dwudziestu lat.

Pojawiła się więc potrzeba zastosowania ostrzejszych metod. Co do tego dyrektor i katecheci byli całkowicie zgodni. Musieliśmy mieć świadomość, że także szkoła nie będzie patrzyła na to przez palce. Jeśli ktokolwiek wylądzuje w izbie wytrzeźwień albo weźmie udział w ulicznych zamieszkach, nie będzie mógł się spodziewać niczego innego jak natychmiastowego zawieszenia w prawach ucznia. W Vasa Real robaczywe jabłka nie będą tolerowane.

W naszej klasie uważaliśmy, że groźby miotane z katedry są przesadzone. Co można było robić na mieście w noworoczną noc z trzynastką na karku? Przecież nie wejść do kina. Poza tym, o ile wiedziałem, nawet chłopacy z gangu skórzanych kurtek nie brali udziału w żadnych noworocznych rozróbach. A w naszej klasie właśnie oni byli najbliżsi dyrektorskim fantazjom o robaczywych jabłkach. Czasem w weekendy pili piwo. Bywało, że niektórzy przechwalali się w poniedziałek, że męczy ich straszny kac. Choć w wieku trzynastu czy czternastu lat, żeby móc chlać, trzeba było trafić do kogoś, kto miał wolną chatę.

W sylwestra, koło północy, mama otworzyła pół butelki szampana. Sądziłyśmy, że jak zwykle wysłuchamy w radiu poematu *Dzwony noworoczne* recytowanego przez Andersa de Wahla. Jednak akurat tego roku tradycji nie stało się zadość. Byliśmy trochę niepokieszeni, ale i tak wznieśliśmy toast i życzyliśmy sobie szczęśliwego nowego roku. Jako że do szampana nie można było dolewać wody jak do czerwonego wina, Acke dostał tylko pół kieliszka. Potem spaliśmy jak zabici.

Zaletę wielkich mrozów stanowiło to, że gdy zaczesano się włosy na mokro w amerykańską falę, jak Elvis Presley, i wyszło na zewnątrz, fryzura zamarzała – utrzymywała się, dopóki się było poza domem. Jeżeli człowiek za bardzo się zgrzał podczas gry w hokeja albo w siostrycę, fala się zapadała i przedstawiała dość przerażający widok. Wystarczyło jednak krótką chwilę postać spokojnie i znów można było ją zaczesać. Zamarzała w mniej więcej minutę.

Siostrzyca przed domem Clarka w Abrahamsbergu była kompletną nowością. Dopóki lód się utrzymywał, nie przegapiłem ani jednego sobotniego popołudnia. Clark twierdził, że mam powodzenie u dziewczyn, bo szybko jeżdżę na łyżwach i wyglądam jak obcokrajowiec. Pewnie Amerykanin. Przynajmniej dopóki zmrożona fala się utrzymywała. Żeby jeszcze bardziej zapunktować u dziewczyn, pozwoliłem Clarkowi opowiadać, że nie tylko wyglądam jak obcokrajowiec, ale też naprawdę nim jestem. Najwyraźniej nadal rzadko spotykało się obcokrajowca. W ciągu ostatniego roku w Szwecji przybyło ich dziesięć tysięcy, a w sumie było ich już ćwierć miliona. Jednak na lodowisku w Abrahamsbergu byłem jedyny.

Mimo to nie zacząłem chodzić z żadną dziewczyną. Nie wiem dlaczego. Po prostu w żadnej się nie zakochałem. Albo może było ich zbyt wiele – na przedmieściach mieszkało mnóstwo ludzi. Może w jakiś głupi sposób różniłem się od innych, mimo że byłem obcokrajowcem. Tamtejsi ludzie mówili dialektem podobnym do tego z Söder albo z jakiejś wsi, bo wielu sprowadziło się niedawno.

A może ciągle miałem poczucie winy. Nie zapomniałem o Lenie Andersson, pewnie nadal byłem w niej skrycie zakochany. Albo chodziło o coś znacznie trudniejszego: o przyznanie się przed samym sobą, że stałem się znacznie bardziej tchórzliwy w kwestii dziewczyn.

Miałem wrażenie, że Clark to wyczuwa, bo przyhamował z gadką o pieprzeniu.

Niektóre rzeczy po prostu się czuło, jak to, że w towarzystwie ludzi z przedmieść nie rozmawia się o czerwonych. Innych trzeba było po prostu się nauczyć – na przykład tego, żeby nie afiszować się z sympatią do Djurgårdens IF.

Nigdy nie kibicowałem żadnej innej drużynie hokejowej i futbolowej niż Djurgården. Saltsjöbaden należało do Nacka, a Nacka było drużyną farmerską Djurgården. Najlepsi hokeiści reprezentacji wywodzili się z Djurgården – na przykład Sven Tumba Johansson i obrońcy Lasse Björn i Roland Stoltz.

Jednak w okolicach Brommy ludzie kibicowali przeróżnym drużynom, takim jak Hammarby czy nawet AIK, oraz tym z innych części kraju, jak Leksand czy Surahammar. Może to były ich lokalne drużyny, zanim się przeprowadzili do Sztokholmu.

Z Sylvią do niczego by nie doszło, gdyby sama nie wkroczyła do akcji.

Wysłała koleżankę, żeby zapytała o szanse. Wiedziałem, o co chodzi, ale udawałem nieświadomego. Właściwie bardziej interesowała mnie ta koleżanka, dlatego ją złapałem. A ona nagle zapytała mnie prosto z mostu, czy Sylvia ma u mnie jakieś szanse.

– No tak, myślę, że tak – odparłem bez namysłu i natychmiast wypuściłem z ostrożnego uścisku pierś tej koleżanki.

Rzecz w tym, że prawie każda z dwudziestki dziewczyn na lodowisku jak najbardziej miałyby u mnie szanse, gdyby zapytała. Ale zapytała akurat Sylvia i nagle stała się dziesięć razy ważniejsza i ładniejsza od wszystkich innych. Pytanie o szanse to oczywista propozycja, którą trudno pomylić z czymś innym, uznałem. Jeśli mnie chcesz, to po prostu przyjdź.

Dlatego było to również ryzykowne posunięcie, bo jeśli odpowiedź będzie przecząca, to ten, kto pytał, poczuje się odrzucony i upokorzony. Takie rzeczy zawsze się rozchodzą. Dlatego sam nie odważyłem się spytać żadnej dziewczyny, nawet po tym, jak Clark powiedział, że mam powodzenie. Gdybym usłyszał odmowę, nie tylko najadłbym się wstydu, ale też nie mógłbym już zapytać następnej.

Ale teraz Sylvia zapytała mnie, a ja odpowiedziałem twierdząco – to była pierwsza faza. Puściłem koleżankę i wyjechałem na lód, złośliwie blisko chłopaka, który ścigał Sylvię, i zamierzałem ją złapać, kiedy się rozłączy z chłopakiem. Było mi bardzo przyjemnie.

Dobrze jeździła jak na dziewczynę, ale nie należała do najładniejszych, nie miała zbyt modnych ciuchów, tylko długi islandzki sweter i spodnie do jazdy na łyżwach. Do tego blond włosy związane w koński ogon, okulary i dość duży biust. Nic z tego nie było jednak decydujące. Nie miałem nic przeciwko okularom, wszystkie słowa o kujonach, czterookich i czytaniu zbyt wielu książek były tylko wygłupami. Zdecydowało to, że chciała ze mną być tak bardzo, że podjęła ryzyko i zapytała. To sprawiło, że była dwa razy ładniejsza od innych.

Przez resztę tego sobotniego popołudnia graliśmy w siostrzycę – szybko i w pełni zgodnie z regułami. W odpowiedniej chwili uwolniła się od trzymającego ją chłopaka, żebym mógł przyspieszyć i ją złapać.

Przez chwilę trochę ostrożnie się przytulaliśmy, a potem zapytałem, czy mogę ją odprowadzić do domu. Pojechaliśmy razem po nasze torby, usiedliśmy obok siebie na ławce i zaczęliśmy rozsznurowywać łyżwy. Kiwnąłem Clarkowi i wskazałem Sylvię, a on uniósł kciuk w górę na znak, że rozumie, ale nie robił żadnych nieprzyzwoitych gestów. Jeszcze tego by brakowało. Ona dała taki sam znak swojej koleżance i zaczęliśmy iść. Zawiązałem nasze torby na kiju hokejowym, który przerzuciłem przez ramię.

Nie mieszkała w żadnym z bloków przy lodowisku. Powiedziała tylko, że to kawałek drogi, a ja oczywiście nie miałem nic przeciwko temu, żeby z nią iść. Trochę głupio byłoby się rozstawać już po pięciu minutach.

Chodziła do klasy wyżej i jesienią zamierzała zdawać do liceum na linię łacińską. Jej ulubionym przedmiotem był szwedzki, a ulubionymi pisarzami Karin Boye, Hjalmar Söderberg i Edith Södergran. Drugim w kolejności przedmiotem była gimnastyka.

To ostatnie mnie zafrapowało. Lubiłem dziewczyny, które interesowały się sportem i były dobre z gimnastyki – zamiast zmyślać, że mają okres, i iść na papierosa w czasie lekcji, czym niektóre nawet się chwaliły.

To z Karin Boye i Hjalmarem Söderbergiem było bardziej typowe dla dziewczyn. O Edith Södergran wcześniej nie słyszałem, nawet jeśli udawałem, że wiem, kto to taki. Pomyślałem, że trzeba będzie doczytać.

Lubiła też muzykę rockową, jak wszyscy, choć nie była pewna, czy Elvis jest najlepszy. Jeśli chodziło o muzykę klasyczną, jej ulubionym kompozytorem był Chopin. Pochodziła z Uppsali, jej rodzina przeniósł się do Sztokholmu dopiero przed dwoma laty, kiedy tata dostał

nową pracę na uniwersytecie.

Jak sama powiedziała, mieszkała dość daleko i dodała, że może powinniśmy byli pojechać metrem. Ale zamiast tego dużo pogadaliśmy, głównie o niej, bo ja cały czas pytałem i opowiedziałem o sobie tylko trochę – głównie, że pływam i że mam najgorsze oceny z mojego ulubionego przedmiotu, czyli pisania. Były pytania, których najchętniej bym uniknął. Co na przykład miałbym odpowiedzieć, gdyby zapytała, co robią moi rodzice?

To, że mieszkała w dzielnicy willowej, a nie w bloku, czułem już od dobrej chwili. Dało się to usłyszeć w jej sposobie mówienia. Była tego samego pokroju co Lena Andersson.

Przystanęliśmy pod dużym zaśnieżonym klonem przed jej furtką. Spodziewałem się, że zaprosi mnie na herbatę. Ale ona przeprosiła i powiedziała, że nie da rady, bo tego dnia na kolacji będą u nich goście. Ale może jutro, jeżeli spotkamy się na lodowisku w Abrahamsbergu mniej więcej o tej samej porze?

Oczywiście, jak najbardziej.

Pocałowaliśmy się, ale delikatnie, bez jęczyczków. A potem furtka się za nią zatrzasnęła.

Stałem w miejscu. Na samym szczycie odśnieżonych kamiennych schodów przy wejściu do willi się odwróciła, jakby czuła, że ciągle stoję i na nią patrzę. Energicznie pomachała obiema rękami i przesłała mi buziaka. Miała rękawiczki z Lovikki.

Zapomniałem zapytać, gdzie jest najbliższa stacja metra.

Oczywiście przyszedłem do domu trochę spóźniony, ale w samą porę na *Kvitt eller dobbelt* w telewizji.

Mama prawie mnie skrzyczała. Jeżeli miałem się spóźnić, do dobrego tonu należało zadzwonić i o tym poinformować. Przecież budki telefoniczne są wszędzie, zwłaszcza przy stacjach metra, i mogło mi to przyjść do głowy.

Przerwała, kiedy powiedziałem prawdę. Nie miałem żadnej monety dziesięcioörowej do automatu. Tramwajem i metrem jeździło się na szkolną kartę, łyżwy były darmowe.

– Przepraszam – powiedziała mama i zamachała rękoma przy twarzy. – Zaczynamy od nowa. Możemy zjeść kolację przy telewizji w dużym pokoju, wszystko się ułoży. Po prostu mam dwie niespodzianki – jedną dużą i jedną małą.

Dużą niespodziankę chciała zostawić na potem. Mała była taka, że przygotowywała zupełnie nowe danie na kolację – spaghetti bolognese. To był ostatni krzyk mody w kilku dobrych sztokholmskich restauracjach. Mogłem pomóc mamie w siekaniu cebuli, żeby nie leciały jej łzy.

Nie miałem pojęcia, jakie to będzie jedzenie, ale mama wydawała się bardzo podekscytowana. Kiedy siekałem cebulę, smażyła na patelni mielone mięso, potem dodała pomidory, zorientowała się, że wszystko jest nie tak, przerzuciła całą breję do głębokiego naczynia, położyła na patelni świeże masło, podsmażyła moją posiekaną cebulę i wszystko ponownie wymieszała.

– Bolognese oznacza „z Bolonii” – wyjaśniła. – Włosi to jedzą dzień w dzień.

Nie zabrzmiało zbyt obiecująco. Wprawdzie Włosi byli dobrymi piłkarzami, ale beznadziejnymi hokeistami i fatalnymi żołnierzami.

Poza tym trudno się to jadło, zwłaszcza przy niskim stoliku przed telewizorem. Ale w sumie spaghetti było naprawdę dobre, kiedy już opracowałem sposób jego krojenia przed włożeniem do ust. Dostałem kieliszek wina z wodą, bo mama uważała, że do tej potrawy to niezbędne.

Program był gorszy niż zwykle. Zawodnicy odpadali już na początku, a mama denerwowała się na prowadzącego, bo był typowym przedstawicielem klasy średniej, a próbował udawać, że nie jest. Acke zasnął przed telewizorem. Nie obudziliśmy go na mycie zębów, po

prostu zaniósłem go do naszego pokoju i położyłem w łóżku. W międzyczasie mama wyłączyła telewizor.

Myślałem, że zrobimy kilka rundek kursu Linguaphone, jak zwykle w sobotę. Jednak kiedy wróciłem do pokoju i popatrzyłem na mamę, zrozumiałem, że szykuje się coś zupełnie innego.

– A teraz czas na dużą niespodziankę – powiedziała mama, zapaliła papierosa i nalała sobie kolejny kieliszek wina. – Dostałam nową pracę – powiedziała i patrząc na mnie, zrobiła długą pauzę, żeby zwiększyć napięcie. – Nie uwierzysz – dodała i zrobiła kolejną pauzę. – Zostałam prywatnym kierowcą i tłumaczką w firmie Nilsa Adamssona. Koniec z krwawym puddingiem i krwawymi plackami.

Wznieśliśmy toast – ja pustym kieliszkiem.

Syn Nilsa Adamssona, Sören – który był szefem – osobiście przyszedł w odwiedziny do głównego sklepu i oczywiście chciał trochę się zbratać z pracownikami i porozmawiać z każdym z osobna. Kiedy porozmawiał z mamą i się dowiedział, że ma prawo jazdy i perfekcyjnie mówi po niemiecku, wszystko poszło szybko. Jego najważniejszy partner w interesach znajdował się w Niemczech – było to przedsiębiorstwo, które miało wyłączność na sprzedaż w Europie niektórych amerykańskich produktów medycznych, zwłaszcza firmy Durex. Problem polegał na tym, że Niemcy kiepsko znali obce języki, a sam Sören Adamsson nie wywodził się z rodziny, w której nauka niemieckiego była czymś oczywistym. Samo odebranie niemieckich dyrektorów z lotniska Bromma stanowiło kłopot, a co dopiero rozmowy o interesach.

Wpadł więc na wspianiały pomysł, przynajmniej sam tak uważał. Poleciał mamie odebrać niemieckich gości z Brommy i zawieźć do Grand Hotelu, a podczas jazdy zabawiać ich rozmową. Później miała uczestniczyć jako tłumaczka we wszystkich spotkaniach i przejmować całą korespondencję i połączenia telefoniczne z Niemcami.

A kiedy w mieście nie przebywaliby żaden Niemcy – a prawdę mówiąc, przeważnie ich nie było – miała pracować jako osobisty kierowca szefów i wozić ich samochodem Mercedes-Benz 220 S. Firma Nils Adamsson to nowoczesne, sprywatyzowane przedsiębiorstwo, więc pierwsza kobieta szofer pasowała idealnie.

Wynagrodzenie wynosiło pięć razy więcej niż na wcześniejszej posadzie. Umowa o pracę została podpisana. Sören Adamsson na pięć tygodni urlopu od Midsommar do początku sierpnia jechał do swojej letniej willi na Resarö i nie potrzebował w tym okresie tłumacza ani kierowcy. W czasie tego przymusowego urlopu mama miała otrzymywać siedemdziesiąt pięć procent wynagrodzenia.

To było jak baśń. Tak piękne, że z trudem powstrzymywałem łzy. Moja dzielna mama, która walczyła z bólem stóp, żeby sprzedawać gumki za 4,50 na godzinę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki została wynagrodzona za to, że wytrzymała tak długo. To było sprawiedliwe.

W niedzielę w Abrahamsbergu poszło mniej więcej tak, jak na to liczyłem. Sylvia i jej koleżanka Lollo były już na lodzie, kiedy przyszedłem. Ale był też Clark i wołał grać w hokeja, niż bawić się z dziewczynami. Przynajmniej na początku, zanim wielkie chłopaki nas przepędzą. Kiedy Clark i ja jednocześnie przychodziliśmy grać, było łatwiej, bo byliśmy mniej więcej na równym poziomie. Mogliśmy od razu wskoczyć na lodowisko i nie musieliśmy się zastanawiać nad rozkładem sił. Istniało wiele tego typu niepisanych reguł mówiących o tym, kto może grać od razu, a kto musi czekać.

Kiedy włożyłem łyżwy, podjechałem do części, na której dziewczyny trenowały piruety i skoki, i powiedziałem, jak wygląda sytuacja – że muszę najpierw pograć trochę w hokeja, dopóki duże chłopaki nie zajmą lodowiska. Nie zrobiła nadąsanej miny.

Na szczęście już po trzydziestu minutach zostaliśmy odpędzeni od bramek, bo zaczęli grać starsi chłopacy. Skorzystałem z okazji i wymknąłem się z innymi, choć byłem raczej pewny, że gdybym został, wybrano by mnie do którejś drużyny. Wprawdzie nie byłbym wśród pierwszych, ale z całą pewnością również nie wśród ostatnich.

Wiedziałem, że za dwa lata to ja będę wybierał – jak w szkole podczas gry w piłkę nożną i ręczną. Teraz jednak pomknąłem na stronę dziewczyn. Clark chyba myślał, że jestem trochę pomyłony. Został, wybrano go i zagrał.

Wszyscy, których pominięto, mogli odłożyć kije i przystąpić do gry w siostrzycę. Sylvii i mnie nie było już wśród nich – nie przyszliśmy jeździć na łyżwach. Także i tym razem pokonaliśmy pieszo długą drogę do jej domu, nie wsiedliśmy do metra.

Na początku mówiłem chyba trochę za dużo o mistrzostwach świata w Moskwie. Sytuacja Szwecji wyglądała bardzo dobrze – pokonaliśmy Czechosłowację i wygraliśmy wszystkie nasze mecze. Rosjanie zremisowali z Czechosłowakami, a więc całe mistrzostwa miały się rozstrzygnąć w finale, w czasie spotkania Szwecji z Rosją. Rosja musiała wygrać, nam wystarczył remis.

Opowiadałem o tym stanowczo za długo i nagle zauważyłem, że Sylvia jest myślami gdzie indziej.

Musiałem natychmiast zmienić tor rozmowy. Nie zamierzałem poruszać jej ulubionego tematu, dopóki się trochę nie podciągnę w lekturze. Zapytałem więc bardziej neutralnie, co zwykle robi w wakacje.

Odparła, że wraz z rodziną jeździ na zachodnie wybrzeże, cholernie daleko, do miejsca, które nazywa się Torekov, bo mają tam domek letniskowy.

To było niespodziewane rozczarowanie. Ja wyjeżdżałem w przeciwnym kierunku, do Sandhamn. Przez całe wakacje mieliśmy się nie widzieć.

Chyba że zaprosiłbym ją do Sandhamn, a jej rodzice pozwoliliby jej jechać. Przecież wszyscy dorośli ciągle kogoś tam zapraszali. Musiałem jednak spytać babcię, zanim powiem za dużo. Na razie poprosiłem Sylvię, żeby opowiedziała o Torekov.

Miejsce wydawało się nudne, ale Sylvia sprawiała wrażenie, że bardzo lubi tam przebywać. Opowiedziałem trochę o Sandhamn, ale nie próbowałem jej zarzucać szczegółami na temat żeglarstwa i co lepszych piaszczystych plaż.

Marcowe niebo zrobiło się czerwone jak krew, a ostry ziąb odpuścił. Co jakiś czas stawaliśmy pod wiatą przystanku autobusowego, pod bujną wierzbą albo za zaparkowanym autobusem i się całowaliśmy, bardziej na poważnie niż poprzedniego wieczoru. Nieubłaganie dochodziliśmy do jej willi i do miejsca, w którym już nie mogliśmy się dotykać.

Tam należało się dobrze zachowywać i robić dobre wrażenie na jej mamie. Byłem raczej pewny, że to mama w rodzaju tych, z którymi łatwo sobie poradzić. To było ważne, jeśli odwiedzenie się nawzajem w domkach letniskowych miało wchodzić w grę.

I rzeczywiście, to była dokładnie taka mama, jaką sobie wyobrażałem – z herbatą, ciasteczkami, konwersacją i sprawdzaniem, czy chłopiec jest odpowiedni.

Chyba poszło lepiej niż przyzwyczajenie. Kiedy mama Sylvii – już przy trzecim łyku herbaty, wręcz obcesowo – zapytała, co robią moi rodzice, oznajmiłem, że mój ojciec jest francuskim ambasadorem w Nowej Zelandii, a mama pracuje w zarządzie firmy Nils Adamsson.

Mama Sylvii nie dała nic po sobie poznać, popatrzyła tylko na mnie z namysłem i nagle zechciała mnie sprawdzić.

– *Ça veut dire que vous êtes français vous-même, Monsieur Letang?* – wypaliła znienacka.

– *Oui, Madame* – odparłem – *en effet je suis citoyen français.*

Lekko uniosła brwi, ale nie dała za wygraną.

– *Et vous parlez français aussi bien comme un citoyen?*

– *Non, malheureusement* – wykrztusiłem – *parce que j'ai toujours vécu ici en Suède.*

Wtedy odpuściła. I całe szczęście. Te zdania ćwiczyłem z mamą, żeby móc być Francuzem niemówiącym po francusku.

A więc mama Sylvii potrafiła być podstępna. Ale chyba została unieszkodliwiona, przynajmniej na jakiś czas. Na Sylvii zrobiłem większe wrażenie. Później mi powiedziała, że byłem pierwszym chłopakiem, którego odważyła się przedstawić mamie.

W poniedziałek na przerwach rozmawialiśmy rzecz jasna wyłącznie o hokeju. Po pierwsze, o szansach Szwecji na zdobycie mistrzostwa świata w finale następnego dnia. Po drugie, o tym, ile taki tytuł mistrzowski jest wart, skoro Kanada i Stany Zjednoczone zbojkotowały turniej z powodu sprawy Węgier.

Nie dało się zaprzeczyć, że Kanada była największym mistrzem hokejowym w historii. Od 1920 roku zdobyła tytuł mistrzowski osiemnaście razy.

Ale to już tylko historia. Dominacja Kanady być może dobiegła końca. Rosjanie wygrali dwa z trzech ostatnich turniejów i teraz to Rosja była największą hokejową potęgą, jakkolwiek dziwnie to brzmiało. Więc jeśli ich pokonamy, zostaniemy wartościowymi mistrzami świata, a w każdym razie będzie to bez porównania ważniejsze dokonanie niż zwycięstwo w tych śmiesznych mistrzostwach sprzed czterech lat, w których uczestniczyliśmy tylko my i dwie drużyny patałachów.

Jednak była jeszcze jedna kwestia – najlepsi Kanadyjczycy i Amerykanie grali w profesjonalnej lidze i nie mogli brać udziału w mistrzostwach dla amatorów. Gdyby pojawiła się taka drużyna jak Toronto Maple Leafs, Chicago Black Hawks czy aktualni mistrzowie Detroit Red Wings, spraliby Rosjan osiemnaście do zera i nas też.

No tak, ale teraz trwały mistrzostwa amatorów, a nasi zawodnicy to amatorzy. I tak dalej.

Podczas przerwy śniadaniowej nie grałem na flipperach, choć już było mnie stać. Mama oddała wszystko, co ode mnie pożyczyła, i z powrotem wprowadziła najwyższą stawkę tygodniówki.

Wymknąłem się do szkolnej biblioteki. Ostatni raz byłem tam w zeszłym roku, kiedy czytałem o Węgrzech i Kanale Sueskim.

Biblioteki pilnowała nabzdyczona stara baba zwana Smokiem. Chłopców, którzy chcieli czytać, traktowała z wyraźną podejrzliwością. Jeszcze większych podejrzeń nabrała, kiedy zapytałem, czy jest coś na temat Edith Södergran, co mógłbym przeczytać. Westchnęła, podniosła się z krzesła, gniewnie pomaszerowała wzdłuż półek i wróciła z książką o współczesnych pisarzach. Z hukiem rzuciła ją na blat i wróciła do swojej lektury.

Wziąłem książkę do ręki, poszedłem usiąść kawałek dalej i zacząłem przeglądać spis treści. Znalazłem, czego szukałem, i otworzyłem książkę na odpowiedniej stronie. Niech to licho! – pomyślałem. Mamy tu chłopaka tak mądrego, że czyta swobodnie o Edith Södergran.

Jednak powaliło mnie już pierwsze zdanie. Przeczytałem je dwa razy, nie zrozumiałem ni w ząb, a potem przepisałem, żeby zapytać mamę wieczorem.

„Edith Södergran była jedną z pierwszych modernistek literatury szwedzkiej. Pozostawała pod wpływem francuskiego symbolizmu, niemieckiego ekspresjonizmu i rosyjskiego futurizmu”.

Dalej było w tym samym stylu.

Cholera. Przez chwilę sobie wyobrażałem, jak rzucam tego typu określenia, jakby mimochodem. Przecież wszyscy wiedzą, że Edith Södergran była pod silnym wpływem francuskiego symbolizmu, przynajmniej na początku. Interesujący u Södergran jest jej związek

z niemieckim ekspresjonizmem. Można się zastanawiać, jak należałoby zinterpretować wpływy rosyjskiego futuryzmu w jej twórczości.

Zarzuciłem ten pomysł. To by nigdy nie wypaliło. Ośmieszyłbym się, zamiast zaimponować Sylvii, a jeżeli czegoś chciałem uniknąć, to właśnie tego. Byłem zakochany w Sylvii, nie miałem co do tego wątpliwości. Najgorsze, co można zrobić, to ośmieszyć się przed kimś, w kim się jest zakochanym. Wiedziałem o tym aż za dobrze. To doświadczenie drogo mnie kosztowało. A gdybym przeskoczył wszystkie „-izmy” i po prostu poczytał Södergran? Mielibyśmy wtedy coś konkretnego i zrozumiałego, o czym moglibyśmy rozmawiać. Tekst.

Uskrzydłony swoim dobrym pomysłem wróciłem do Smoka, podziękowałem za wypożyczenie i powiedziałem, że chciałem tylko sprawdzić jedną rzecz. Potem zapytałem, czy w bibliotece są jakieś książki Edith Södergran.

W pierwszej chwili Smok otworzyła paszczę ze zdumienia. Ale szybko się opanowała i poprawiła okulary do czytania.

– Oczywiście, że nie! – prychnęła. – To jest szkoła dla chłopców. Edith Södergran to literatura najgorszego sortu dla licealistek.

– Aha – odparłem. – To szkoda. A czy można znaleźć jakąś książkę Södergran w sztokholmskiej Bibliotece Publicznej?

Tym razem zdawało mi się, że w oczach Smoka dostrzegłem błysk zaciekawienia. Nie wyglądała już na rozszłoszczoną.

– Oczywiście, że znajdziesz żalotne małe wytwory Södergran w Bibliotece Publicznej – odparła. – Ale mogę o coś zapytać? Dlaczego zdrowy młody człowiek jak ty jest zainteresowany Edith Södergran?

– Ja nie – przyznałem ze wstydem. – Ale mam taką... koleżankę... no, trochę więcej niż koleżankę, i ona...

– Aha! – wykrzyknęła Smok. – Tego się nie spodziewałam! Załatwimy to. Czy twoja dziewczyna ma jeszcze innych ulubionych pisarzy?

– Tak – przyznałem. – Karin Boye i Hjalmara Söderberga.

Smok się zastanawiała. Teraz wyglądała jak zupełnie inna osoba, już nie tak szara i gniewna. W końcu twarz jej się rozjaśniła, policzki nabrały koloru.

– Karin Boye to mniej więcej to samo – odparła z namysłem. – Wprawdzie lepsze, ale to samo. Nie nadaje się do męskiej konwersacji. Powinieneś się wziąć za Hjalmara Söderberga, to zadziała!

Zdecydowanym krokiem ruszyła z powrotem wzdłuż półek, natychmiast znalazła to, czego szukała, wróciła z książką i mi ją wręczyła.

– *Nieblahe igraszki* – oznajmiła. – Działa równie mocno na mężczyznę co na kobiety. O tej książce będziecie mogli rozmawiać bez końca. Możesz ją pożyczyć na tydzień. Do której klasy chodzisz? Wpiszę tylko wypożyczenie i gotowe.

Hokejowy triumf, kiedy Szwecja została mistrzem świata w Moskwie, był chyba najprzyjemniejszą sportową chwilą, jaką przeżyliśmy. Siedzieliśmy wokół małego radioodbiornika w kuchni Clarka, ścisnięci jak sardynki, i miotaliśmy się pomiędzy nadzieją a rozpaczą. Staruszek Clarka się postarał i kupił mnóstwo coca-coli, która była już dopuszczona do sprzedaży w Szwecji. Z nerwów piliśmy łapczywie.

Zaczęło się zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe – Szwecja prowadziła 2:0. Ale potem Rosjanie wyrównali i wyszli na prowadzenie 4:2. Tak wyglądała sytuacja w trzeciej tercji. Myśleliśmy, że Rosjanie nabiorą wiatru w żagle i zaczną strzelać kolejne bramki, ale Szwedzi podwyższyli wynik na 3:4 i zaczęli walczyć jak lwy. Dwanaście minut przed końcem Garvis Määttä wyrównał na 4:4.

Było coraz bliżej końcowego sygnału. Już prawie zacząłem się modlić, ale uznałem, że to nie będzie się liczyć. Nie wierzyłem w Boga, ale jeśli rzeczywiście istniał, to na pewno o wszystkim wiedział i może dojdzie do wniosku, że końcówka trzeciej tercji to idealny moment na odwrócenie ról. Poza tym bankowo miał dosyć ciołków, którzy domagali się goli albo interwencji bramkarza, gdy świat znajdował się na krawędzi wojny atomowej, która zmiecie wszystkich z powierzchni ziemi.

Kiedy rozbrzmiał końcowy sygnał, zaczęliśmy krzyczeć jak szaleni. Staruszek Clarka tak się podekscytował, że wyjął blaszany kanister z bimbrem – mogliśmy go sobie dolewać do coca-coli.

Nigdy wcześniej nie piłem alkoholu. Nie wiem, czy się upiłem, trudno to ocenić, bo po prostu krzyczeliśmy i skakaliśmy z radości. To był jedyny raz w semestrze, kiedy nie przyszedłem na wieczorny trening w klubie Kappis. Kiedy następnego ranka przeproszałem Tagego Lindströma, tylko się roześmiał i powiedział, że absolutnie nikt, nawet żaden z trenerów nie przyszedł wieczorem, kiedy Szwecja zdobyła mistrzostwo świata.

Drużyna 25A też zdobyła mistrzostwo, choć w mniejszej skali. Nie było wielkiej niespodzianki, kiedy wygraliśmy turniej juniorów C w piłce ręcznej. Udało nam się to już w pierwszej klasie, więc tym razem zwycięstwo było oczywiście jeszcze donioślejsze.

Ponieważ zostałem królem strzelców, na mecz przyszło dwóch matolów ze szkolnej drużyny, żeby zobaczyć, czy się nadają. Ale tylko pokręcili głowami i stwierdzili, że spowalniają grę. Niczego nie chwyтали. Atakowałem w środku, podskakiwałem i markowałem strzał, trzech obrońców podnosiło ręce, żeby go zablokować. Kiedy widziałem lukę, oddawałem strzał. Bywało też tak, że Laban albo Piff stali w linii prostej za mną, odbierali podanie i padała bramka. Jak po sznurku. Jakie spowalnianie gry? Przecież wygraliśmy.

Czułem się tak jak z Kruszyną. Pisałem najlepsze wypracowania, wszyscy o tym wiedzieli, ale dostawałem oceny, jakbym był jednym z najgorszych. Właściwie nie powinien to być aż tak wielki powód do zmartwień. W przyszłym roku kto inny miał nas uczyć szwedzkiego, a ja miałem grać w szkolnej drużynie. Zaciśnięcie pięści w kieszeni i przeczekanie nie powinno być dla mnie trudne. Ale czułem, że to strasznie niesprawiedliwe.

Wszystko, co miało związek z Sylwią, było jednak znacznie ważniejsze, nawet jeśli Clark się nie zgadzał, że dziewczyny mogą być ważniejsze niż sport, chyba że ktoś jest akurat strasznie napalony. Powiedział, że się ustatkował i chodzi z dziewczyną, która mieszka w jednym z sąsiednich bloków w Abrahamsbergu. To chyba była dobra wiadomość, bo skończył ze wszystkimi gadkami o tym, ile dziewczyn zaciągnął do łóżka przez sobotę i niedzielę. Ucieszyłem się, że możemy teraz rozmawiać o tym, jak to jest być naprawdę zakochanym.

Ale mieliśmy zupełnie różne opinie w kwestii mam. On uważał, że trzeba być chłopakiem, przed którym mamy ostrzegają swoje córki, i usilnie do tego dążył. „Wtedy dziewczyny za tobą szaleją” – dowodził. Ja byłem odwrotnego zdania – że należy zauroczyć mamy i przeciągnąć je na swoją stronę, bo w przeciwnym wypadku będą sabotowały spotkania z dziewczynami. Clark zareagował na to głupim rechotem i zapytał, ile razy pieprzyłem Sylwię. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że zrobię to, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Wtedy zarechotał jeszcze głośniejsze, choć nie był to złośliwy śmiech. A potem zmieniliśmy temat.

Musiałem przyznać, że przez Sylwię dużo myślałem o tym, jak sprawić, żeby nadszedł odpowiedni czas. Było mnie już stać na zaproszenie jej do kina, nawet jeśli tylko na filmy dozwolone dla dzieci. Widywaliśmy się w każdą sobotę i niedzielę – cały czas trzymaliśmy się razem. Ale kiedy nadejdzie odpowiedni czas?

Mama zrozumiała coś, czego ja się domyśliłem dopiero dużo później. Sylvia nie mogła chodzić do kina w mieście, bo powrót do willi w Brommie trwałby zbyt długo. Przynajmniej jej

mama tak to uzasadniała. A w kinach na przedmieściach w okolicach Brommy wyświetlano przeważnie stare, beznadziejne filmy.

Moja mama zadzwoniła do mamy Sylvii i powiedziała, że koło nas, po drugiej stronie ulicy, jest kino i że chętnie odwiezie Sylvię do domu po seansie i filiżance herbaty w naszym domu.

Mama wyjaśniła, że to propozycja nie do odrzucenia. I to w rodzaju tych, które muszą prowadzić do natychmiastowego rewanzu typu „w takim razie, kiedy wpadniecie, napijcie się u nas herbaty albo drinka”.

Tak też się stało.

Sylvia i ja poszliśmy do kina Manhattan na *Räkna med bråk* z Carlem-Gustafem Lindstedtem i Arnem Källerrudem. Film był jak najbardziej dozwolony dla dzieci i nawet zabawny, jeśli sędzić po tym niewielkim fragmencie, który obejrzelśmy. Siedzieliśmy na samym końcu wypełnionej w połowie sali i pozwalaliśmy sobie na trochę więcej niż zwykle.

Kiedy wyszliśmy po seansie, przy krawężniku czekał błyszczący czarny mercedes-benz 220 S. Mama nie miała jednak na sobie uniformu szofera.

Kiedy zaparkowaliśmy przed willą w Brommie, mama Sylvii spotkała się z nami przy bramie i zaprosiła nas do środka.

Wkrótce zobaczyłem zupełnie inną mamę – z czerwonym drinkiem w ręku, z nogą elegancko założoną na nogę, siedzącą na sofie w salonie. Jakby to było coś oczywistego, stawała się centrum uwagi. Żartowała o żeglarstwie, samochodach, szalonych mężczyznach za kierownicą, a mama Sylvii wybuchała śmiechem. Ale potem zmieniła temat i sprawiła, że tata Sylvii, który do tej pory przeważnie siedział w milczeniu i palił fajkę, opowiadał o przeprowadzce z Uppsali, a jej mama mówiła o tym, dlaczego tak dobrze się czuje w Brommie. Była kimś w rodzaju dyrygenta orkiestry. Potem dokładnie we właściwym momencie podziękowała za trzeciego drinka, bo właśnie obniżono kierowcom granicę dopuszczalnej zawartości alkoholu we krwi z ośmiu do pięciu dziesiątych, elegancko zdusiła papierosa w obrotowej popielniczce, powiedziała, że było bardzo miło poznać i że nie może się doczekać następnego spotkania, ale teraz musimy już jechać.

– Miła rodzina, choć typowa klasa średnia – skwitowała, kiedy wsiedliśmy do samochodu. – Ale dziewczynka jest słodka i zdolna, dbaj o nią.

Właściwie nie słyszałem wcześniej określenia „klasa średnia”, ale głupio mi było pytać, co to znaczy. Mama wypowiedziała to jak coś oczywistego.

Średnia, czyli pewnie coś pośrodku, pomiędzy klasą trzecią a pierwszą. Ktoś z dobrej rodziny należał naturalnie do klasy pierwszej. A do trzeciej? Pewnie Clark, który mieszkał w Abrahamsbergu i którego tata pracował jako listonosz. Ale listonosz zarabiał chyba więcej niż ekspedientka w sklepie Nilsa Adamssona. Czyli kiedy mama tam pracowała, odwiedziliśmy trzecią klasę, a teraz winda znów ruszyła w górę?

Mniejsza z tym. Jeśli o mnie chodziło, Sylvia mogła sobie być klasą średnią i oczywiście chciałem o nią dbać, tak jak powiedziała mama. Ale chciałem też, do diaska, stracić cnotę i Sylvia chyba też. Byłem tego prawie pewny.

Mama jeździła dobrze, ale moim zdaniem trochę za szybko.

To było najgorsze lato w Sandhamn. Od osiemdziesięciu lat tyle nie padało – od początku lipca aż do września, kiedy trzeba było iść do szkoły. Rolnicy klęli na czym świat stoi, bo deszcz niszczył im wszystkie uprawy. A woda była za zimna, żeby trenować pływanie.

Propozycja Sylvii i moja, żeby się nawzajem odwiedzić, została stanowczo odrzucona. Mamy doszły wspólnie do wniosku, że jeszcze za wcześnie. Za wcześnie na co? – chciało się zapytać. W każdym razie nie na to, o czym myśleliśmy. A przynajmniej ja.

Jeżeli jednak następnego lata nadal będziemy razem, to droga wolna. Droga do czego?

Na ścianie przy górnej pryczy w drewnitni miałem jej oprawione zdjęcie, więc w pewnym sensie co wieczór mogłem jej mówić dobranoc, a potem przez chwilę leżeć i o niej marzyć przed zaśnięciem. Bywało to jednak trochę kłopotliwe, jeśli za bardzo tęskniłem, zwłaszcza nocami, kiedy deszcz stukał o kryty papą dach. Jeśli bowiem drąg nie chciał się uspokoić, musiałem wyjść spuścić ciśnienie. Musiałem uważać, żeby nie obudzić Ackego, i starać się, żeby nie przemoczyć na wylot piżamy. Było łatwiej, kiedy wpadłem na to, żeby ściągać piżamę.

Codziennie pisałem do niej listy, ale wysyłałem je co drugi lub co trzeci dzień, żeby nie zalać biednej dziewczyny korespondencją, jak mówiła babcia.

Na początku lata pisałem trochę nieśmiałe listy, pełne rozważań o Hjalmarze Söderbergu, niepewności Arvida Stjärnbloma i o jego dziwnym wyobrażeniu, że „człowiek nie wybiera”³, jakby miłość była tylko przypadkiem. Albo zastanawiałem się nad postawą Lydii, która mówiła „mnie możesz kochać pogańską miłością”. Tak naprawdę był to tylko sposób na powiedzenie, za czym tęsknię, choć zakamuflowany pod postaciami Arvida i Lydii. Pod koniec lata, kiedy miałem za sobą lekturę *Młodości Martina Bircka*, wykorzystywałem fragmenty tej historii, zwłaszcza dotyczące jego pierwszej miłości, żeby w bardziej otwarty sposób powiedzieć, czego chcę i za czym tęsknię.

Sylvia nie odpowiadała równie szybko, może raz w tygodniu, ale się ze mną zgadzała. Wkrótce naprawdę mieliśmy się kochać. Choć nigdy nie napisała tego wprost.

Szkoda mi było mamy tego paskudnego lata, tak bardzo przemarzła. Miała pięcioletniowy urlop i sama mówiła, że nie może się doczekać prawdziwego lata z czasów dzieciństwa. Wtedy zawsze świeciło słońce. A tymczasem siedzieliśmy, drżąc z zimna pod parasolem, słyszeliśmy nad głowami stukot deszczu i patrzyliśmy na wodę, na której nie było żadnych białych żagli i słonecznych promieni. Nie widzieliśmy nawet mew.

Któregoś dnia odbyliśmy jedną z tych rozmów, których nigdy się nie zapomina. Nagle, ni z tego ni z owego, mama zapytała, czy Sylvia i ja uważamy, kiedy jesteśmy sami. Chyba się zaczerwieniłem i udawałem, że nie rozumiem pytania. Mama jak gdyby nigdy nic ciągnęła temat. Powiedziała, że lepiej poprosić ją o prezerwatywy, niż pożyczać albo kupować od kolegów. Zazartowała, że żadna mama nie ma tak szerokiego wyboru kondomów jak ona.

W pierwszej chwili byłem tak zakłopotany, że po prostu zamilkłem. Przecież mamy nie rozmawiają o takich rzeczach. Ojcowie zresztą też nie.

Jakby czytając mi w myślach, mama zapytała, czy w szkole nie ma lekcji wychowania seksualnego. W gazetach pisali, że są, a prawica była temu przeciwna, ale w tej kwestii po raz pierwszy nie zgadzała się z prawicą.

Przyznałem, że są dwie godziny w semestrze, jako część biologii, ale to niewiele daje. Można zobaczyć planszę z grubym, zwisającym siurkiem w przekroju i mniej więcej taką samą przedstawiającą waginę, a poza tym można się nauczyć o nasieniowodach, jajnikach i macicy. Tym samym realizowaliśmy program z zakresu kwiatków i pszczołek, ale człowiek gównem się dowiadywał o tym, o czym chciał wiedzieć.

– W takim razie możesz zapytać mnie – oznajmiła mama. – Co chcesz wiedzieć?

Na początku myślałem, że to nieprawda, że na pewno się przesłyszałem. Ale mama była miła i spokojna, patrzyła na mnie, jakby mogła bez wahania odpowiedzieć na każde pytanie. Oczywiście się wahałem. Nikt nas nie słyszał, byliśmy zupełnie sami na deszczu.

– Jest taka jedna rzecz – wykrztusiłem w końcu, nie miałem odwagi spojrzeć na mamę. – Skąd wiadomo, że dziewczyna ma ochotę? Samemu zawsze ma się ochotę, ale jak to jest z dziewczynami?

Zaśmiała się i pokręciła głową, więc w pierwszej chwili się zawstydzilem i wydawało mi

się, że powiedziałem coś wyjątkowo głupiego.

– Nie owijałeś w bawełnę – powiedziała mama. – Od razu zadałeś najtrudniejsze pytanie. Tak naprawdę bardzo trudno stwierdzić, czego chce dziewczyna, bo często ona sama tego nie wie. Kiedy robi jej się mokro tam na dole, to znaczy, że jej ciało chce i się przygotowuje. Ale nawet jeśli ciało chce, to wcale nie jest pewne, że ona będzie chciała. Może nie mieć odwagi, może obiecała mamie albo wręcz Bogu, że się powstrzyma, może mówi sobie, że chce być porządną dziewczyną albo nie ma ochoty robić tego akurat w tym momencie czy akurat z tym chłopakiem. To dość pogmatwane.

Spokojne i pewne zachowanie mamy sprawiło, że czułem trochę mniejszy wstyd i znów zebrałem się na odwagę.

– A jeśli jej ciało chce i się przygotowuje, to jak się dowiedzieć, czy ona sama chce?

– Jest sporo wypróbowanych kiepskich metod – odparła mama, wciąż z takim samym spokojem. – I są też lepsze. Równie powszechną co kiepską metodą jest użycie siły w połączeniu z uporczywym naleganiem. Wprawdzie są dziewczyny, a także kobiety, które stawiają opór, bo w pewnym sensie chcą zrzucić z siebie winę. Uwierz mi, wiem, o czym mówię. Ale nie da się tego odróżnić od prawdziwego oporu, więc może się to skończyć różnie i jest bardzo trudne. Dużo lepsza metoda to ta, kiedy ludzie są długo ze sobą, lubią się i po prostu się dogadują. Wypróbuj raczej tę metodę.

Moja ciekawość wygrała z nieśmiałością. Nagle miałem szansę poznać odpowiedź na najbardziej dręczące mnie pytania, więc przeszedłem do najtrudniejszej kwestii.

– Czy dziewczyny lubią, kiedy się je dotyka mocno, wkłada kilka palców naraz i tak dalej?

Żałowałem tego pytania i wstydziłem się go, ale naprawdę chciałem wiedzieć, czy jest tak, jak myślę, czy tak, jak gadają na szkolnym dziedzińcu.

Zdawało się, że mama się namyśla, przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Nigdy nie wolno ci mocno dotykać dziewczyny, zwłaszcza we wrażliwych miejscach. Możesz ją wtedy wystraszyć i wszystko zniszczysz. Przy Sylvii masz być bardzo delikatny. I oboje musicie tego chcieć. Zwłaszcza latem w przyszłym roku, jeśli wciąż będziecie razem.

To ostatnie powiedziała z niemal złośliwym uśmiechem.

Zakręciło mi się w głowie. Czyli naprawdę o to chodziło mamom, kiedy mówiły, że tego lata „jest za wcześnie”? Nie mogłem nie zapytać.

Mama odpowiedziała śmiechem.

– Nie wiem, co miała na myśli mama Sylvii. Karola nie tylko należy do klasy średniej, ale też jest bardzo religijna, pewnie sama przed sobą nie przyznaje, skąd jej się wzięło dziecko, i zrzuca winę na bociana. Ale przynajmniej mnie chodziło właśnie o to. Masz dopiero trzynaście lat. Przepraszam, trzynaście i pół. To trochę za wcześnie. Ale pamiętaj o najważniejszym – żebyście byli ostrożni.

Jedno nie pozostawiało wątpliwości. Moja mama nie była taka jak inne. Nikt w klasie na pewno tak nie rozmawiał z mamą, a już na pewno nie Clark. To była zupełnie wyjątkowa tajemnica, moja i mamy. Na wieki wieków amen.

Zanim skończył jej się urlop, mama popłynęła łodzią do miasta na dziesięć dni. Tym sposobem znowu zostałem niańką Ackego.

To, że mama popłynęła tak wcześnie, wynikało nie tylko z beznadziejnej pogody. Mieliśmy się wyprowadzić z mieszkania przy Hantverkargatan i chciała wszystko przygotować, zanim wrócimy.

Jednak w powietrzu wisiało coś jeszcze, o czym nikt nam nie mówił, a co było jednym z powodów, że nas zostawiła. Wujek Carl Lauritz i mama byli nieprzyjaciółmi, prawdopodobnie

miało to związek ze spadkiem po dziadku, choć nam, dzieciom, nikt o tym nie mówił.

W sierpniu rozpoczynały się regaty w Sandhamn, wujek Carl Lauritz chciał wystartować, nawet jeśli będzie padał rześisty deszcz. Może najchętniej wtedy, bo w trudnych warunkach był najlepszy. W każdym razie w stosunku do mnie zawsze zachowywał się w porządku. Powiedział, że musimy podtrzymać rodzinne tradycje i zdobyć łódź klasy Stjärnbåt. Można powiedzieć, że traktował mnie i Ackego, jakbyśmy byli niewinnymi dziećmi, ale przede wszystkim jakbyśmy byli rodziną.

Ostatecznie tego roku zajął drugie miejsce i obwinał za to pogodę.

Wujek Hans Olaf i Alice byli znacznie sympatyczniejsi, jak ludzie zupełnie innego pokroju. Dość powiedzieć, że używali słowa „socjaldemokraci”, a nie „czerwoni”.

Kiedy siedzieli z nami przy obiedzie, chętnie szokowali Frau Giselę – co dziwne, nie babcię. Alice jak gdyby nigdy nic karmiła piersią Ariadne i oboje mówili na przykład, że sztuka jest ważniejsza od pieniędzy, dziedziczenie powinno zostać zniesione, a większość bogatych ludzi to pasożyty. Rzucali dość odważne żarty, przy nich człowiek zawsze się śmiał, mógł ich zapytać o cokolwiek – odpowiedź zawsze była zabawna.

Jak wtedy, kiedy zapytałem, co właściwie oznacza „klasa średnia”.

– Proste! – odparła Alice. – To ludzie, którzy mają wykładziny, mieszkają w funkcjonalistycznych domach i trzymają w nich koty.

– A jak rozpoznać klasę pierwszą?

– Klasę wyższą – poprawiła mnie Alice. – To równie proste. Można ewentualnie mieć psa, ale nie kota, wykładzina w żadnym wypadku nie wchodzi w rachubę, no i to jedyni ludzie, którzy nie używają określenia „klasa wyższa”.

– My jesteśmy klasą wyższą? – odważyłem się zapytać.

– Tak jak powiedziałam – odparła Alice. – Takie określenie nigdy nie przeszłoby mi przez gardło i tobie też nie powinno, *citoyen Eric Letang, vicomte de Chantery*.

Mama czekała na nas w mercedesie Adamssona, kiedy prom dobił do brzegu przy muzeum Waxholm. Znów nadszedł czas na niespodziankę. Mama była w wyśmienitym humorze, kiedy nas obejmowała na nabrzeżu. Podczas krótkiej jazdy Birger Jarlsgatan na rogu Odengatan zdążyła nazwać przynajmniej trzech kierowców idiotami.

Okazało się, że w przeszłości kilka razy byłem bardzo blisko naszego nowego adresu. Za rogiem przy Odengatan, ściana w ścianę, mieściły się dwa kina – Broadway i Orion. Idealnie.

Nowe mieszkanie też było idealne – cztery pokoje, duża kuchnia i łazienka. Acke i ja od teraz mieliśmy osobne pokoje. Wszystko było ładne i wysprzątane. Mama przyznała, że korzystała z pomocy firmy od przeprowadzek i wynajętych sprzątaczek.

Wypiliśmy po kieliszku szampana ze szkła dziadka, a potem mama musiała się przebrać w uniform szofera, bo Sören Adamsson urządził przyjęcie na Lidingö i było wielu gości, których należało porozwozić. Ale mogliśmy zacząć się urządzać w naszych pokojach.

Jak tylko drzwi za mamą się zamknęły, podszedłem do telefonu i podniosłem słuchawkę, żeby sprawdzić, czy jest podłączony. Był – usłyszałem sygnał. Czując przyśpieszone bicie serca, zadzwoniłem do Sylvii. Nikt nie odbierał. Prawdopodobnie nie wrócili jeszcze z Torekov. Był czwartek. Szkoła miała się rozpocząć dopiero w poniedziałek.

Acke i ja zrobiliśmy kilka rundek po mieszkaniu, żeby sprawdzić wszystko raz jeszcze. W szafce w łazience stały dwa kubki na szczoteczki, opatrzone naszymi imionami. Z kranu płynęła ciepła woda. Kuchenka i piekarnik były na prąd, a nie na gaz jak dawniej. Lodówka była szwedzka, a nie amerykańska. Telewizor działał. Wszystkie obrazy wisiły równo.

Nasze pokoje wyglądały na trochę pustawe, kiedy nie musieliśmy się tłoczyć. Każdy z nas miał regał z tekowego drewna – na moim były książki, a na regale Ackego „Franklin D.

Roosevelt”, J35 Draken, Spitfire i najnowsze amerykańskie myśliwce.

Kiedy rozpakowałem i posegregowałem książki, na regale pozostał tylko mały pusty kącik. Wcisnąłem weń portret Sylvii.

Przy oknie stało nowe biurko z lampką do czytania zamontowaną na skraju blatu. Na środku leżał arabski sztylet, który dostałem od dziadka w Kolonii Adeńskiej.

Piątkowego ranka byłem kompletnie zestrachany – Tage Lindström miał zmierzyć mi czas, żeby zobaczyć, jakie rezultaty przyniósł mój samodzielny wakacyjny trening. Za bardzo się nie natrenowałem, temperatura wody rzadko przekraczała piętnaście stopni.

Wkrótce jednak mogłem odetchnąć, w podwójnym tego słowa znaczeniu. Poprawiłem rekord życiowy o całe dwie sekundy na pięćdziesiąt i o trzy sekundy na sto metrów. Tage Lindström był zadowolony i zażartował, że właśnie zakwalifikowałem się do finału kobiet w mistrzostwach Szwecji. Nie wiem, czy chciał mnie pochwalić, czy tylko się droczył.

Uratowało mnie to, że nadal rosłem i stawałem się silniejszy od samego jedzenia. To było trochę komiczne. Pomyślałem, że jak tak dalej pójdzie, niedługo doścignę w jedzeniu samego Tarzana – Weissmullera.

Z Sylwią wszystko było w porządku, dochowała mi wierności przez całe lato, tak samo jak ja jej. Ale mieliśmy coraz więcej problemów z jej mamą Karolą – zakaz tego, zakaz tamtego. Najgorzej było, kiedy do Szwecji przyjechał Tommy Steele.

Clark załatwił cztery bilety na koncert w Anglais. A nawet więcej. Pożyczył pieniądze i udało mu się kupić dwadzieścia pięć biletów – stał w kolejce osiem godzin, przez całą noc. Potem sprzedał je za podwójną cenę, oddał to, co pożyczył, z procentami, zaprosił swoją dziewczynę Kattis, Sylwię i mnie, i jeszcze zostało mu dwieście siedemdziesiąt pięć koron. Fenomenalny pomysł, Clark był bystry.

Fenomenalne było również to, że mieliśmy iść na największy i najbardziej ekscytujący koncert rock’n’rollowy, jaki kiedykolwiek odbył się w Szwecji.

To wtedy mama Sylvii stanęła okoniem. Po pierwsze, chodziło o przebywanie w centrum miasta w godzinach wieczornych. Po drugie, z jakichś powodów nie pasował jej Tommy Steele. To było nie do pojęcia. Tommy Steele był największą gwiazdą w Anglii, to jasne. Ale należał też do gwiazd rocka lubianych przez mamy, w przeciwieństwie do Elvisa. Ale mama Sylvii najwyraźniej tego nie rozumiała, niewątpliwie była przeciwna wszystkiemu, co miało związek z muzyką rockową.

Musiała wkroczyć moja mama. Nie wiem, co powiedziała o Tommym Steele’u, kiedy zadzwoniła do pani Karoli, w każdym razie zaproponowała, że po koncercie odwiedzi Sylwię do domu i była to propozycja nie do odrzucenia.

Sam koncert był taki sobie. Sporo zepsuły te wszystkie dziewczyny, które darły się jak zarzynane świnię od pierwszej do ostatniej minuty i zagłuszały prawie całą muzykę. Niepojęte, jakim cudem potrafiły robić taki hałas. Niektóre krzyczały tak głośno, że mdlały. A po wszystkim wokół całego Stureplan panował chaos. Głównie przez dziewczyny, które nie przestawały krzyczeć.

Clark i ja byliśmy zgodni, że Tommy Steele jest całkiem okej, ale oczywiście nie można go porównywać z Elvisem. Ku naszemu zdziwieniu Kattis i Sylvia uważały inaczej. Ale najwyraźniej tak już było – Tommy Steele stał się idolem dziewczyn. Ludzie zaczęli nosić przypinki, które pokazywały, czy są za Tommym, czy za Elvisem. To był kompletny bzik.

Tej jesieni nastąpiła eksplozja szwedzkiej muzyki rockowej. Nie sposób było przewidzieć, że Szwedzi okażą się tak dobrzy w naśladowaniu Amerykanów. Najlepsi byli Rock-Ragge i Little Gerhard. Odbywało się mnóstwo koncertów, najwięcej w Nalen przy Regeringsgatan. Clark i ja chodziliśmy na prawie wszystkie, ale coraz trudniej było mi zabierać

Sywią. Mogłem to robić tylko w niedzielę, kiedy koncerty w Nalen odbywały się po południu. Mówiliśmy wtedy, że idziemy do kina Högländ albo coś w tym stylu.

Sklepy z płytami pękały w szwach od nowych amerykańskich wykonawców – Paul Anka śpiewał *Dianę*, a Pat Boone *Love Letters in the Sand*, raczej pościelowy utwór. Co ciekawe, jeśli chodziło o sprzedaż płyt, wszystkich Amerykanów, nawet Elvisa, pobił na głowę Little Gerhard i jego *Buona Sera* – także pościelowa.

Na szkolnym dziedzińcu można było kupić wszelkie rockowe nowości od członków gangu skórzanych kurtek. Na początku nie rozumiałem, jak to możliwe, a kiedy już się dowiedziałem, poczułem się głupio, bo było to takie proste. Po prostu kradli płyty. W większości sklepów to, co najlepiej się sprzedawało, znajdowało się z przodu na ladzie albo na stojakach. Podczas naszych przerw śniadaniowych pracowało mniej sprzedawców, bo w sklepach była wtedy pora lunchu. Nie miałem pojęcia, że zakup takiej płyty to przestępstwo. Sam przecież nie kradłem, tylko kupowałem za połowę ceny.

W semestrze zimowym ominęły mnie szkolne mistrzostwa w pływaniu i nie musiałem sam podejmować żadnej decyzji. Kiedy trwały zawody, leżałem opatulony w łóżku z trzydziestodwujęciostopniową gorączką. Panowała epidemia grypy, która najwyraźniej przywędrowała do Szwecji wraz z angielskimi skautami. Ale samo grypsko – jak mówili ludzie – pierwotnie pochodziło z Azji. Co najmniej jedna trzecia naszej klasy pojechała tam na tydzień dzięki gorączce – a potem było po wszystkim. Żadna szczepionka nie istniała. Wiosną całą szkołę zaszczepiono na polio – to oczywiście było znacznie ważniejsze.

W klasie 35 zaczęliśmy naukę języka niemieckiego i było to całkiem fajne, nawet jeśli wolałem francuski. Ale teraz mama i ja mogliśmy się przełączać z jednego języka na drugi, kiedy wracałem do domu po treningu i robiliśmy kolację. Zachowywaliśmy kolejność angielski – francuski – niemiecki. Przy swobodnym mieszanu robił się zbyt wielki chaos.

Na początku semestru zimowego wszystko szło ustalonym torem i nie mieliśmy pojęcia, że świat się zmieni.

Kiedy próbuję sobie przypomnieć ten semestr, czuję się tak, jakby wszystko blakło w zestawieniu z tym, co się stało czwartego października, kiedy Rosjanie wystrzelili satelitę Sputnik na orbitę okołoziemską. To było jak science fiction. Człowiek zrobił pierwszy krok w kosmos. Gazety opublikowały schemat Sputnika. Pamiętam wieczór, kiedy wśród gwiazd zobaczyłem jedną szybko mknącą. Naprawdę uroczysta chwila.

Jednocześnie czułem grozę sytuacji. To Rosjanie, a nie Amerykanie byli pierwsi. Wprawdzie Amerykanie twierdzili, że też mają satelitę, ale nie był on większy od grejppfruta. A skoro Rosjanie potrafili budować rakiety, które docierały do kosmosu, to dawali sobie radę również z takimi transportującymi bomby atomowe. Równowaga w świecie została zachwiana, gazety przypominały, że Rosjanie już w sierpniu testowali raketę międzykontynentalną o zasięgu pięciu tysięcy kilometrów i celności rzędu od dziesięciu do dwudziestu kilometrów.

Rosjanie zaprezentowali się zupełnie inaczej, niż pokazywano ich w filmach – jako głupich niezgrabiaszy w zbyt wielkich kapeluszach. Nie dało się zaprzeczyć, że prowadzili w wyścigu zbrojeń. Nawet klasowy ekspert od lotnictwa nie potrafił odpowiedzieć, jak Szwecja, czy nawet Ameryka, choć miała więcej myślicieli niż kiedykolwiek wcześniej, mogłyby się obronić przed raketami nadlatującymi ze stratosfery z prędkością dwudziestu dwóch tysięcy kilometrów na godzinę.

Koszmar urósł jeszcze bardziej zaledwie miesiąc po Sputniku. Wtedy Rosjanie wysłali w kosmos psa o imieniu Łajka. Co więcej, satelita z psem ważył ponad pięćset kilogramów. A tymczasem Amerykanie nadal się męczyli z tym swoim o wielkości grejppfruta. Kiedy wreszcie mieli go wysłać w kosmos, rakietą Vanguard wzniosła się na wysokość zaledwie trzech metrów,

a potem się przewróciła i wybuchła.

Można się domyślić, co mówił dyrektor Reineclaude w związku z nowym zagrożeniem dla wolnego świata. Strach się szerzył. Mama mówiła, że przez długie chwile jest jej fizycznie niedobrze ze strachu.

A jednak życie musiało toczyć się dalej, a zwłaszcza miłość. Jeśli mieliśmy zginąć w wielkiej chmurze w kształcie grzyba, należało się śpieszyć jeszcze bardziej.

Pewnej niedzieli Sylvia i ja wreszcie dostaliśmy szansę. Mama i Acke pojechali do Näsbypark odwiedzić babcię, a ja zostałem w mieście, bo miałem uczestniczyć w sztafecie pływackiej rozgrywanej między klubem Kappis a klubem Neptun.

To nie była do końca prawda – ten konkurs już się odbył. Drużyna żeńska zebrała cięgi, ale męska wygrała.

Mamie Sylvii jak zwykle powiedzieliśmy, że idziemy na popołudniowy seans.

Wreszcie wszystko było gotowe. Rozmawialiśmy na ten temat, oboje tego chcieliśmy i mogliśmy być sami w moim pokoju przez kilka godzin. Byliśmy szczęśliwi i całowaliśmy się jak szaleni już w windzie, jadąc na górę.

Dziesięć minut później leżeliśmy całkiem nadzy w moim łóżku, oboje bardziej podnieceni niż kiedykolwiek wcześniej. To było takie niesamowite, emocjonujące i piękne.

Kiedy uznałem, że już czas na kondom, Sylvia nagle wyskoczyła z łóżka i wybiegła. Leżałem z zapakowanym fiutkiem i nic z tego nie rozumiałem. Nagle usłyszałem z łazienki odgłos spuszczonej wody i plusk w bidencie.

Zawstydziała się, że jest taka mokra, ale teraz była już zupełnie czysta. I sucha.

Nie dało się tego zrobić. Kiedy próbowałem, Sylvia piszczała, że ją boli.

Zupełnie straciliśmy nastrój. Nie mogliśmy zacząć od nowa, ale długo leżeliśmy w zupełnym bezruchu i się obejmowaliśmy. To też było przyjemne.

Sztokholm, czerwiec 1968

Wietkong wkroczył do Sajgonu, w całym mieście wybuchły zamieszki. A ja siedzę i piszę o latach pięćdziesiątych.

W zeszłym tygodniu zamordowano Roberta Kennedy'ego, James Earl Ray, zabójca Martina Luthera Kinga, został schwytany kilka dni temu, pod fabrykami Renault trwają starcia francuskiej policji ze studentami i robotnikami, generał de Gaulle odwiedził francuskie oddziały w Niemczech Zachodnich, żeby się upewnić co do ich lojalności, na wypadek gdyby miał ich użyć przeciwko ludności własnego kraju, w Sztokholmie moi koledzy najwyraźniej okupują siedzibę związku studentów.

A ja tu siedzę godzinami i piszę o moim dzieciństwie w latach pięćdziesiątych.

Rzecznik sprawiedliwości właśnie uwolnił policję od zarzutu nadużycia siły w czasie demonstracji w sprawie wojny w Wietnamie na Norra Bantorget w ubiegłym roku – byłem tam, widziałem wszystko! – a poza tym siłą rozpędu albo korzystając ze swojego dobrego humoru, uwolnił również policjantów, którzy atakowali, bili i zatrzymywali pierwszych demonstrantów w sprawie Wietnamu w 1965 roku, „kiedy demonstracja stanowiła bezpośrednie zagrożenie dla porządku publicznego”.

Chodzi o siedem, osiem osób – znam dwie z nich – które stały spokojnie na Hötorget i trzymały metrowy transparent z odręcznym napisem „USA musi opuścić Wietnam”.

Bezpośrednie zagrożenie dla porządku publicznego?

A ja siedzę tu jak pod kloszem i piszę o politycznie skamieniałych i literacko nieruchomych latach pięćdziesiątych. To surrealistyczne doświadczenie. Sam się zamieniłem w pisarza lat pięćdziesiątych w najgorszym, typowym dla tego okresu wydaniu.

Ale muszę skończyć przed podróżą, teraz to się liczy, mam do dyspozycji niecałe dwa

tygodnie.

Przejdźmy do Twojego najobszerniejszego zarzutu.

Mówisz, że obraz mojej matki jest mocno wyidealizowany. Tak, to oczywiście prawda. Ale ostrzegalem Cię: *this was her finest hour*. W ciągu tych lat była godna podziwu.

To, co Ty i pozostali opowiadaliście o jej zachowaniu w czasie, gdy mieszkała sama przy Norr Målarstrand (miała dwadzieścia lat!), ja byłem noworodkiem, a mój ojciec wybył wyzwalacz Francję, to oczywiście historia smutna w swej banalności. Najczęściej chodziła na tańce do sztokholmskich knajp, a ja leżałem zafajdany w łóżeczku ze szczebelkami i godzinami krzyczałem, aż w końcu wkroczyli sąsiedzi, wkroczyłaś Ty i moja matka została odstawiona do Salstjöbaden. Za późno. Wtedy była już w kolejnej ciąży i wraz z nią przeprowadził się przebrzydły Harry.

To również prawda. Tak samo jak to, że w późniejszym okresie życia robiła głupoty. Jak również, że nigdy nie potrafiła się uwolnić od równie odruchowych co żenujących prawicowych ciągot.

Ale teraz rzecz traktuje o latach pięćdziesiątych, takie było założenie. A poszukiwanych przez Ciebie niuansów obrazu Hélène Letang, później ponownie Lauritzen, nie da się przedstawić w pierwszej osobie, jeśli ta osoba dopiero niedawno wkroczyła w wiek nastoletni. Moje „ja” nie wiedziałoby tego ani nie mogłoby się domyślać. Jedynym sposobem na wyciągnięcie tego trupa z szafy, mniej lub bardziej nienaturalnym, byłoby wciągnięcie w opowieść plotkującego członka rodziny, na przykład niejakiej cioci Johanne. Ty już się zrzekłaś wszelkiego udziału w tym charakterze, a poza tym, gdybym się zdecydował na takie odgałęzienia, historia zrobiłaby się zagmatwana i przeładowana. Sama o tym pisałaś w tym tygodniu w recenzji, w której pastwiłaś się nad nieznanym mi duńskim pisarzem Frankiem Jaegerem. Zakończyłaś ją w taki sposób: *Widzi się przede wszystkim żywe kolory, piękne krajobrazy. Nie myśli się: „Biedny Didrik”, tylko „Dobrze odmalowane”. A myśląc w ten sposób, wydaje się zarazem surowy osąd.*

Trafiałaś w sedno! Zbyt wielki kunszt malarza może zniszczyć *raison d'être* całej historii. Właśnie od tego rodzaju francuskiego pisarstwa miałem się uwolnić. Stąd Twój rozkaz, żeby pisać w dużo bardziej wymagającej pierwszej osobie, w której żaden wszechwiedzący narrator nie może sobie malować do woli.

Kiedy kilka lat temu miałem swój najbardziej francuski okres, imitowałem Claude'a Simona i Le Clézio, Ty i ja poszliśmy do kina na *Zeszłego roku w Marienbadzie*. Pamiętasz? Chciałem iść akurat z Tobą, bo jako intelektualny gigant naszej rodziny byłaś równie zdolna do przyswojenia takiego filmu jak ja.

Poszliśmy do Czerwonego Młyna, zajęliśmy miejsca na balkonie. Pamiętam, jak się dziwiłem, że aż tylu widzów na dole siedzi opatulonych długimi szalikami jak na plakacie Toulouse-Lautreca i ma ciemne okulary. Nie jestem pewien, ale chyba żartowaliśmy na ten temat.

A potem zobaczyliśmy tę całą intelektualną krytykę, która tak jednogłośnie chwaliła film, nagrodzony między innymi Złotym Lwem na festiwalu w Wenecji. Wielkie nazwiska – reżyseria: Alain Resnais, scenariusz: Alain Robbe-Grillet, już przepelniły mnie Wielką Sztuką. Jakakolwiek inna postawa w tamtym czasie byłaby z mojej strony nie do pomyślenia. Pamiętam Twoją chłodną rezerwę, choć bez śladu ironii. Może z czystej grzeczności wobec mnie.

Z pewnością pamiętasz „przełomowe dzieło” Robbe-Grilleta *Pour un nouveaux roman*, w którym wyłożył, jak należy pisać nową powieść: żadnej intrygi, żadnej tendencyjności, żadnej charakterystyki postaci, tylko opowiadanie o tym, co „faktycznie” się dzieje w tym, co tak naprawdę się nie dzieje.

Oczywiście ze wszystkiego robi się wtedy *Zeszłego roku w Marienbadzie*, czyli kompletnie niezrozumiała, a przez to czcza literatura. Wiem, albowiem tam byłem.

Po co ta dygresja?

Żeby przypomnieć, jak bardzo zmienił się duch czasów. Ktoś, kto w cieniu wojny w Wietnamie, apartheidu w Afryce Południowej, represji stosowanych przez trzy europejskie dyktatury faszystowskie i przemianie Izraela z socjaldemokratycznej utopii w okupanta zaczęłby wyjeżdżać z genialnymi ideami Robbe-Grilleta na temat literatury, słusznie zostałby wyśmiany. Że nie wspomnę już o tym, co na temat takiej literatury mieliby do powiedzenia Göran Palm albo Jan Myrdal. A mimo to zaledwie kilka lat temu pełną parą pracowałem nad osiągnięciem tego typu genialnych nedorzeczności.

Zachodzi obawa, jak mawiamy my, prawnicy, że może być nam trudno dojść do porozumienia w kwestii sprzeczności pomiędzy biegłością językową a ciężarem treści. To, że podziwiasz wiele elementów modernizmu z lat dwudziestych i trzydziestych, wyniknęło jasno z zakończonej w ubiegłym tygodniu debaty, w której Ty i Göran Printz-Påhlson rozmawialiście na temat prądów modernistycznych w angielskiej poezji lat pięćdziesiątych. Z solidarności stwierdzam, że miałaś więcej racji od niego. Muszę jednak przyznać, że czułem się stanowczo zbyt cienki w uszach, żeby za tym nadążyć. Mniej więcej tak, jak w bibliotece szkolnej, kiedy odbiłem się od charakterystyki Edith Södergran – wówczas ewidentnie niezrozumiałej (cieszę się, że cierpkie uwagi szkolnej bibliotekarki na temat Edith Södergran i tego, jak bardzo się nie nadaje dla uczniów męskiej szkoły, Cię rozbawiły).

Skoro mowa o Göranie P-P, kilka dni temu podczas robienia porządków na regale w jednym ze starych numerów „BLM” znalazłem jego analizę na temat lat pięćdziesiątych w literaturze. „Lata pięćdziesiąte były fiaskiem” – utrzymywał. Pisał, że to „dekada indywidualizmu, a jednym z jej ulubionych motywów – pogłębianym i urozmaicanym w poszczególnych książkach, u poszczególnych autorów – była rola osoby prywatnej w zubożającym społeczeństwie: z czasem ten tendencyjny opis społeczeństwa zastygł w dawnym kształcie, uległ stagnacji albo zniknął”.

Oczywiście, w Szwecji może tak to wyglądało. We Francji rządziły egzystencjalizm i „pustka napędzana niepokojem” – historia umarła, człowiek sam w sobie jest niczym, nie ma żadnych trwałych wartości, których mógłby się trzymać, i tak dalej. A to wszystko w atomowym cieniu zimnej wojny! Miej wszystko w dupie, bądź filozofem i zapal gauloise’a. Jako pływak czułem pewien opór przed paleniem, ale francuskie papierosy to zupełnie co innego.

Czy literatura naprawdę była tylko taką ezoteryczną beznadzieją? Czasem nabieram podejrzeń wobec tego utartego obrazu. Rok 1957, który właśnie przekroczyłem w swoim tekście, to mimo wszystko rok debiutu Pera Olofa Sundmana, Svena Fagerberga i Larsa Gustafssona. Jan Myrdal jest mniej więcej z tego samego okresu. Jednak żeby utrzymywać, że „lata pięćdziesiąte były fiaskiem”, nasz historyczno-literacki establishment dyskretnie przeniósł całą tę grupę do obecnych czasów, tak że są i z pewnością pozostaną pisarzami z lat sześćdziesiątych.

Kiedy w grę wchodzi tego typu analizy lat pięćdziesiątych, które ledwo potrafię wyłuszczyć podczas zwyczajnego wywodu, jestem zadowolony, że mogę się skryć za moim pierwszoosobowym narratorem. Dziecko mogło widzieć Elvisa i zagrożenie bombą atomową, to można sobie wyobrazić. W przeciwieństwie do owych przeklętych, ale może jednocześnie oczernianych lat pięćdziesiątych w roli literackiego „fiaska”.

Łatwiej będzie opowiedzieć o mojej mamie Hélène w kolejnych latach. Wiesz, rzecz jasna, jak jej się wiodło, i rozumiem, że może Ci się nie spodobać część kolejnego odcinka. Ale taka jest prawda. Przynajmniej dopóki ta opowieść trwa.

Od teraz mam przed sobą około dwóch tygodni. Świat może poczekać.

NAGRODA ZA CNOTĘ

Byliśmy nastolatkami, nowym gatunkiem. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem to słowo, myślałem, że to jakiś nieśmieszny kalambur, oznaczający, że mamy to robić na stole.

Słowo „nastoletnie” można było mniej lub bardziej zręcznie łączyć ze wszystkimi możliwymi i niemożliwymi wyrazami i określeniami, jak: życie, ciuchy, gusta, zespoły, ideały, numerki, kłopoty, pyskówki, maniery, produkty – pomysłowość nie znała granic.

Z drugiej strony byliśmy my. Od tej chwili ludzie szczególnego rodzaju. Trudno było pojąć, że wcześniej nie istnieliśmy. Odkąd człowiek chodził na dwóch nogach, musiał zaliczać tę fazę. Ale najwyraźniej nie był wówczas nazywany nastolatkiem.

Jeden jedyny raz, naprawdę jedyny, w czasie porannego kazania dyrektora Reineclaude’a doznałem oświecenia – kiedy podjął temat nastoletniości i naprawdę go objaśnił. Wprawdzie z kilkoma groźbami i smrodkiem dydaktycznym na koniec, ale tak było zawsze, na tym polegała idea porannych kazań.

Sprawy wyglądały następująco. W dawnych czasach człowiek z dzieciństwa przechodził od razu do dorosłości. Jak tylko był wystarczająco duży, żeby pomagać w gospodarstwie jako służąca albo parobek, pracować w fabryce albo jako goniec, zaczynał dorosłe życie.

Teraz jednak pojawiła się zupełnie nowa pośrednia faza i dużo więcej czasu spędzaliśmy w szkole, więc powstawała luka – byliśmy w wieku produkcyjnym, ale nie pracowaliśmy. Zamiast tego żyliśmy z pieniędzy naszych rodziców albo ze stypendiów, zaczynaliśmy dla samej przyjemności konsumować takie bzdury jak płyty gramofonowe, niegustowne ubrania i bezwartościowe czasopisma (chodziło mu pewnie o „Bildjournalen”) oferowane na tak zwanym rynku dla nastolatków.

Ale to nas nie zwalnia od odpowiedzialności! W Vasa Real wymaga się od nas, żebyśmy się zachowywali jak dorośli ludzie i wykonywali nasze obowiązki w pocie czoła, tak jak byśmy robili, gdybyśmy poszli do pracy, której współczesność nam oszczędziła. Szkoła to nie zabawa! Ten, kto nie wykonuje należycie swojej powinności, nie szanuje przywilejów podarowanych mu przez społeczeństwo, powinien wylecieć z hukiem! I tak dalej.

Mówił, że jesteście kłopotliwi. Albowiem tym, co wyróżnia nastolatków, są lenistwo, skłonność do pyskowania i guma do żucia. Niech Bóg ma w swojej opiece tego, kto zostanie przyłapany z gumą do żucia podczas lekcji! Skończy się to uwagą wpisaną niezwłocznie czerwonym atramentem do klasowego dziennika. Do opisanego wykroczenia wystarczą tylko trzy słowa: guma do żucia!

A jeśli ktoś wystarczająco szybko nie stanie na baczność przy ławce, kiedy nauczyciel się do niego zwróci, to od tej pory będzie to niezawodna oznaka nastoletniego lenistwa.

Nie wiem, skąd mu się wzięło wyobrażenie, że my jako nastolatki staliśmy się szczególnie leniwi. Pewnie z Ameryki, jak wszystko inne. Nawet słowo nastolatek było kalką z amerykańskiego, który przecież był zakazany na naszych lekcjach angielskiego.

W każdym razie nasz styl ubierania się pochodził z amerykańskich filmów. Dziewczynom było łatwiej wyglądać po amerykańsku niż chłopakom. Wynikało to z pewnej szczególnej rzeczy.

Dziewczyny rozjaśniały włosy i układały je na głowach w małe stogi siana. Szyły i krochmaliły halki, i wkładały je warstwowo, żeby spódnica na samej górze dobrze się układała. Miały szerokie gumowe taśmy, które pozwalały im utrzymać talie osy, a w sobotę i niedzielę kiwały się na wysokich obcasach i wyglądały jak tańczące laleczki, a więc prawdziwe Amerykanki. Wszystko to potrafiły uzyskać same, nawet białawą szminkę – przy pomocy pasty

cynkowej.

Nam chłopakom było trudniej. Skórzana kurtka i biały podkoszulek jak u Marlona Brando w filmie *Na nabrzeżach* nie stanowiły problemu dla tego, kto chciał tak wyglądać. Chodziło o jedną rozstrzygającą rzecz. Żeby wyglądać jak Jankes, należało mieć prawdziwe amerykańskie džinsy. Dostać je było cholernie trudno, tylko największym szpanerom z subkultury zwanej *raggare* jakimś cudem udawało się je skombinować.

My musieliśmy wkładać szwedzką imitację z Libo w Borås, która wprawdzie nosiła nazwę džinsy, ale każdy natychmiast zauważał różnicę.

Chodziło o zmiany kolorów. Dżinsy Jamesa Deana w *Buntowniku bez powodu* albo Elvisa w *Kochając ciebie* miały różne odcienie – od jasnego po ciemny. Imitacje z Libo były jednolicie niebieskie.

O to, że nie sposób dostać prawdziwe amerykańskie džinsy, mama obwinała czerwonych. Na początku tylko się śmiałem z tego wyjaśnienia. Czerwonych można było obwinić o wiele – oszukańczy system emerytalny, obronę bez broni atomowej i straszliwie wysokie podatki. Ale uniemożliwianie nastolatkom zakupu prawdziwych amerykańskich džinsów? Bez żartów!

Mama była jednak całkowicie poważna. Szwedzki przemysł tekstylny przeżywał kryzys. Gdyby czerwoni wypuścili amerykańskie džinsy, kupiłby je każdy nastolatek. Nieprawdaż?

No tak, oczywiście.

Tylko że wtedy firma Libo z Borås poszłaby z torbami i skończyłoby się bezrobociem, a czerwoni byli zaciekłymi wrogami bezrobocia. Lepsze już było wysokie cło na džinsy.

W semestrze letnim miałem już za sobą tyle gier na flipperach, że wreszcie byłem najlepszy. Nawet Clark to przyznał. Od tamtej chwili mogłem więc szybko i w prosty sposób zarabiać pieniądze.

W każdej kawiarni w mieście, w której stały flippery, obowiązywały te same zasady. Gracze po kolei kładli ćwierćkoronówkę na szklanej krawędzi maszyny. Kiedy dany gracz skończył, mógł po prostu wrócić do picia kawy. Mógł też zaproponować grę o podwójną stawkę właścicielowi następnym w kolejności monety. Dopóki ludzie grali o pieniądze, maszyna należała do nich, a prawie wszyscy tak grali. Sztokholmscy taksówkarze kochali flippery, przed każdą kawiarnią z dobrymi maszynami zawsze stał szereg zaparkowanych taksówek.

Gdy tylko weszło się w kolejkę, ta szybko się zmniejszała. Niektórzy taksówkarze byli na tyle bystrzy, żeby się wycofywać, kiedy widzieli, że następna ćwierćkoronówka w kolejce należy do młodego chłopaka. Rozpoznawali zwłaszcza takich jak Clark. Zostawali tylko mniej bystrzy.

Jeśli chodziło o wysokość zakładu, nie było żadnych granic. Doszliśmy jednak do tego, że istnieje granica psychologiczna. Znajdowała się na wysokości czterech koron. Jeśli wygrało się cztery korony, nadchodził czas, aby przerwać, szybko zgarnąć pieniądze do kieszeni i odejść, nawet jeśli taksówkarze chcieli grać jeszcze raz, o osiem koron. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że jeśli przegrywali również tę sumę, nie chcieli płacić. Niewiele można było na to poradzić, taksiarze byli dorośli, a niektórzy nieprzyjemni.

W ciągu przerwy śniadaniowej wygrywałem średnio sześć, siedem koron. Ale musiałem też zdążyć coś zjeść – nadal spalałem prawie dwa razy tyle kalorii co inni. Poza tym nie mogłem się spóźnić na następną lekcję.

Zrobiło się trochę łatwiej, kiedy zamontowali maszynę w sąsiednim barze z kiełbaskami – w czasie gry można było wsunąć kilka kiełbas i górę frytek. Grillowane kiełbasy i frytki też stanowiły nowość, ale nazwa *pommes frites* nie mogła być amerykańska.

Ta zima była mroźna jak diabli. Dwa tygodnie z rzędu Kaper odwoływał mecz hokejowy w Vasaparken, planowany na jedyną w tygodniu podwójną godzinę gimnastyki. Zamiast tego na

pierwszej lekcji musieliśmy ćwiczyć z przyrządami, a na drugiej grać w piłkę ręczną. Mnie to nie przeszkadzało – ćwiczenia były fajne, piłka ręczna była moją ulubioną dyscypliną zaraz po pływaniu i jako jedyny z klasy 35 zostałem wybrany do szkolnej drużyny. Strzelałem o połowę mniej bramek niż ciężsi i wyżsi chłopacy, ale i tak radziłem sobie całkiem nieźle.

Najzimniejszy był marzec, kiedy już się wydawało, że zima wkrótce dobiegnie końca. Podczas największego wydarzenia od czasu koncertu Tommy'ego Steele'a było minus dziewiętnaście stopni. Nie przeszkadzało nam to, kiedy byliśmy w hali Eriksdal i rockowa gala się rozpoczęła. Ale wcześniej każdy z ponad dwóch tysięcy widzów musiał wejść, więc stanie w kolejce na mrozie trwało długo. Niektórzy mówili, że nowe nylonowe pończochy czasem przymarzają dziewczynom do nóg i trzeba je rozcinać. Ale może to było tylko takie gadanie, jak wiele innych rzeczy. Na przykład to, że niektóre dziewczyny używają prawdziwej bułki, żeby zrobić sobie na głowie bułę w kształcie stogu siana. Zdarza się, że w bułce jest robak, który potrafi im się przegryźć przez czaszkę. Koleżanka Sylvii Anna-Karin miała inną koleżankę, która widziała to na własne oczy u swojej koleżanki z klasy. Ponoć dziewczyna musiała jechać do szpitala, gdzie operacyjnie usuwano jej robaki.

W każdym razie gala rockowa jedenastego marca w hali Eriksdal była największym koncertem zorganizowanym w Szwecji. Nic dziwnego, skoro Little Gerhard i jego rockowcy wystąpili razem z Rock-Ragge and his Four Comets i dziewczyną, która nazywała się Rock-Olga.

Również wokół Rock-Raggego i Little Gerharda wytworzyły się dwa obozy, tak jak wcześniej w przypadku „Elvis czy Tommy”. Clark i ja uważaliśmy, że Rock-Ragge jest lepszy. Największe hity Little Gerharda naszym zdaniem bardziej przypominały pościelówki niż prawdziwego rocka. Rock nie powinien być czymś w rodzaju wieczoru piosenki. Tak się jednak stało, kiedy Little Gerhard zaprezentował swoje hity, jak *What You've Done to Me* czy *Buona Sera*. Dziewczyny oszalały, krzyczały bez przerwy i rzucały ubrania na scenę. Mówiono, że majtki też.

Nie wiem, którego z nich wołałaby Sylvia. Nie było jej na gali, bo mama nie pozwoliła jej przyjść.

Mimo wszystko wydawało się, że ten, który ma zostać najpopularniejszym królem rocka, musi mieć u boku krzyczące małe dziewczynki. W tej dziedzinie Little Gerhard zdecydowanie przodował. Jakiś czas później – na gali w Jordal Amfi w Oslo – został wybrany na rockowego króla całej Skandynawii. W nagrodę mógł odwiedzić Elvisa, który służył wtedy w wojsku w Niemczech Zachodnich. Ukazał się specjalny obszerny numer „Bildjournalen” na temat tego spotkania, choć po uważnej lekturze można było się zorientować, że trwało ono tylko pięć minut i że Elvis oczywiście nie miał pojęcia, kim jest Little Gerhard. To musiało być jak spotkanie Aleksandra Wielkiego z Huckleberrym Finnem.

Żeby pójść na galę rockową do hali Eriksdal, musiałem opuścić wieczorny trening w Pałacu Sportu. Po raz pierwszy od dwóch lat, bo wieczór, kiedy Szwecja zdobyła mistrzostwo świata w hokeju, się nie liczył. Oczywiście następnego ranka przeprosiłem. Ale Tage Lindström był obrażony. Twierdził, że tego, kto zaczyna wagarować, czeka rychła zguba. Do pływania potrzebna była wytrzymałość fizyczna i psychiczna. Jeśli ktoś idzie na wagary z powodu takiej dupereli jak gala rockowa, wkrótce może mieć inne powody. A wtedy nadchodzi koniec.

Za karę musiałem zacząć poranny trening od pokonania stu metrów z maksymalną prędkością. Jeśli uda mi się pobić rekord życiowy, w czasie treningu ilościowego będę mógł pływać trochę spokojniej. W przeciwnym wypadku będzie ostro jak zwykle, już on tego dopilnuje. Tylko półzarterem złapał mnie za ucho i zaprowadził na start.

Stojąc na starcie i się hiperwentylując, żeby mieć nadwyżkę tlenu, próbowałem myśleć sprytnie. Wiedziałem, że jeżeli wyteżę wszystkie siły, może dam radę zejść poniżej minuty

i pięciu setnych. Wówczas reszta porannego treningu może będzie znośna. Ale jeśli zawiodę?

Start był wyjątkowo dobry, szybko dołączyłem pracę rąk.

Nawrót na pięćdziesiątym metrze ten jeden raz wyszedł mi idealnie, wyteżyłem więc wszystkie siły i na ostatnim odcinku tylko trzy czy cztery razy zaczerpnąłem powietrza.

Przez chwilę leżałem z rękoma zarzuconymi na korkową linę i tylko oddychałem. Dopiero potem dałem radę dopłynąć do krawędzi i wejść po metalowej drabince.

Tage Lindström czekał ze stoperem w dłoni, jego twarz nie miała kompletnie żadnego wyrazu.

– Jeden i cztery – powiedział. – Gratuluję, wyrównałeś szwedzki rekord kobiet.

Nie bardzo zrozumiałem, co miał na myśli. Udało mi się poprawić mój najlepszy czas o siedem setnych sekundy. To był niespodziewanie dobry rezultat. Dlaczego mi dokuczył uwagą o rekordzie kobiet?

Najwyraźniej zauważył, że nie lubię być porównywany z dziewczynami. Zaczął się śmiać, a to nie zdarzało mu się często.

– Wiedz jedno – oznajmił. – Rekord Szwecji ustanowiony przez Kate Jobson to nie w kij dmuchał. To rekord Europy. A ona jest od ciebie o siedem lat starsza. Jeśli tylko będziesz dobrze się odżywiać, rósł i nie chodził na wagary, za kilka lat poprawisz go o dziesięć sekund. Teraz spokojnie zmyj z siebie kwas mlekowy, a potem ćwicz na pół gwizdka i daruj sobie serie nóg.

Schował stoper do kieszeni, odwrócił się na pięcie drewnianego chodaka i ruszył wzdłuż krawędzi basenu.

Kiedy wskoczyłem do wody, żeby na początek przepłynąć spokojnie kilka długości – splukać się, jak to nazywaliśmy, zaczęło do mnie docierać, co tak naprawdę powiedział Tage Lindström. Minuta i cztery sekundy minus dziesięć sekund to równe pięćdziesiąt cztery sekundy. Zwycięski czas z igrzysk w Melbourne sprzed dwóch lat wynosił pięćdziesiąt pięć i cztery dziesiąte sekundy.

Więzienny rock z Elvisem miał premierę zaledwie trzy dni po gali rockowej w hali Eriksdal. Oczywiście już pierwszego dnia bilety zostały wyprzedane na dwa tygodnie do przodu. Choć nie to było problemem – bilety zawsze można zdobyć, stojąc w kolejce, albo kupić na czarnym rynku. Fundusze też nie stanowiły problemu – pieniądze, które zarabiałem na flipperach, były bardziej niż wystarczające, kupiłem chyba więcej płyt rockowych od członków gangu skórzanych kurtek niż ktokolwiek inny w szkole.

Jednak po pierwsze *Jailhouse Rock* był niedozwolony dla dzieci. Nie z powodu morderstw, przemocy czy seksu, ale ponieważ uważano, że Elvis ma zły wpływ na młodych ludzi, zwłaszcza nastolatków. Przynajmniej tych poniżej piętnastego roku życia.

Akurat tę przeszkodę dało się pokonać. Sylvia skończyła piętnaście lat, więc mogła mieć przy sobie legitymację. Ja wyglądałem na starszego niż byłem i gdybyśmy przyszli razem, żaden kiniarz nie pomyślałby, że piętnastoletnia dziewczyna ma młodszego chłopaka.

Wielkim problemem była jej mama Karola. Zabroniła nam oglądać ten film, choć nie bardzo potrafiła wytłumaczyć dlaczego.

Nietrudno jednak było się domyślić. Nie miała nic przeciwko filmowi z Tommym Steele'em. Władze też nie, bo był dozwolony dla dzieci.

Wymykanie się wieczorem, żeby obejrzeć go w pojedynkę, wydawało mi się niewłaściwe. Sylvia i ja byliśmy przecież nierozłączni.

Musielśmy wymyślić niezawodny plan. Po pierwsze, obejrzeć film w niedzielne popołudnie. Po drugie, znaleźć jakiś odpowiedni film – alibi, który pani Karola zaakceptuje. Stańmo na komedii z Nilsem Poppem *Mistrz floty*, w której miało być dużo tańca i potykania się w stroju marynarza.

W ramach przygotowań musiałem niestety najpierw pójść i zobaczyć to nieszczęście, żeby Sylvia mogła opowiedzieć, o czym było, gdyby mama ją przesłuchiwała.

W końcu w niedzielne popołudnie znaleźliśmy się razem w kinie China przy Norrmalmstorg, podczas gdy w kinie na przedmieściach w stosownej odległości od osiedla willowego w Brommie puszczano śmieszna komedię z Nilsem Poppem w stroju Kaczora Donalda. Zostaliśmy wpuszczeni bez najmniejszego problemu. Nie tylko ja w sali nie miałem ukończonych piętnastu lat. Najwyraźniej kiniarze nie traktowali gadki o zagrażającym moralności nastolatków Elvisie równie poważnie co czerwoni. Czy ten ktoś, kto zdecydował, że powinno się zabronić dzieciom go oglądać.

Film okazał się nadspodziewanie dobry, zwłaszcza w porównaniu z *Kochaj mnie czule* – debiutem Elvisa, z rozwlekłym *Love Me Tender* jako głównym numerem.

Więzienny rock był zupełnie inny. Nawet Sylvia uznała, że w kilku piosenkach Elvis znacznie przewyższył Tommy'ego Steele'a.

Fabula oczywiście nie była szczególnie godna uwagi. Vince Everett, czyli Elvis, został skazany za nieumyślne zabójstwo jedynie na rok więzienia. W celi poznał starego piosenkarza country, który kiedyś był sławny, ale się stoczył. Reszty każdy mógł się domyślić. Po wyjściu z więzienia Elvis stał się sławny i zaczął zarabiać mnóstwo pieniędzy, ale nie zapomniał o kolegach zza krat.

Pomiędzy piosenkami było więc sporo długich fragmentów, w czasie których w kinowych ciemnościach mogliśmy się zająć innymi sprawami. Zresztą nie my jedni.

Było nam przyjemnie na widowni, jak zawsze. Ale Sylvia zaczęła mnie trochę stopować, mówiła, że niektóre rzeczy za bardzo ją podniecają i lepiej poczekać, aż zostaniemy sami i będziemy mogli pójść na całość.

Nie mogłem się sprzeciwić, ale męczyła mnie nieznośna myśl, że będziemy musieli czekać aż do lata w Torekov i w Sandhamn. Ryzyko było spore.

Mieliśmy bowiem zbyt małe grono kolegów. Im więcej kolegów, tym większa szansa, że ktoś będzie miał wolną chatę, w której da się to zrobić.

Ja jednak miałem tylko Clarka, a jego chata nigdy nie była wolna ani od rodziców, ani od rodzeństwa. Zresztą u wszystkich innych w Abrahamsbergu było podobnie. U mnie w soboty i niedziele w domu byczył się Acke, zbyt leniwy, żeby choćby pograć w piłkę.

Dopiero po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że brak kolegów ma związek z pływaniem. Po szkole, kiedy moi koledzy z klasy odwiedzali się w domach, ja szedłem do Pałacu Sportu. Dzień w dzień. Nie opuściłem ani jednego porannego treningu, jeśli nie liczyć tygodnia, w którym miałem grypę azjatycką. Tylko raz w ciągu trzech lat opuściłem wieczorny trening. Jak każdy pływak, rzecz jasna. Ale czy było warto? Tak, dopóki czas był coraz lepszy – powinno się kontynuować, dopóki człowiek wykorzystuje sto procent swoich możliwości, żeby sprawdzić, jak daleko zajdzie. Jeśli wierzyć Tagemu Lindströmowi, miałem przed sobą jeszcze długą drogę. A dlaczego miałbym mu nie wierzyć? Każdy mówił, że to najlepszy trener w kraju.

A więc w tej kwestii musiało zostać po staremu. W krótkiej perspektywie pytanie brzmiało, kiedy i jak Sylvia i ja będziemy mogli zostać sam na sam.

Do tej pory mieliśmy tylko jedną taką okazję – u mnie w domu, kiedy byliśmy za bardzo podnieceni, a Sylvia umyła się do czysta i do sucha, tak że po prostu się nie dało. To już by się nie powtórzyło, choć zamieniliśmy na ten temat tylko kilka słów, Sylvia nie chciała więcej. W każdym razie wiedzieliśmy, że latem nie przytrafi nam się powtórny sabotaż.

Najgorsze było to, że do wakacji zostało jeszcze tak ogromnie dużo czasu.

Tydzień po zakończeniu szkoły, wczesnym rankiem, wreszcie siedziałem w pociągu do Göteborga. Tam miałem się przesiąść na pociąg do Halmstad, a potem pojechać do Båstad.

Pociąg był wolnością, pociąg sprawiał, że myślałem o dziadku. Budował kolej pomiędzy Dar a jeziorem Tanganika, na sawannach, na bagnach i w lasach. Zastrzelił setki słoni, zabił lwa ludojada. To było jak fantazja, choć najzupełniej prawdziwe.

Jednak nigdy wcześniej tak to nie wyglądało. Nie było pustego przedziału pierwszej klasy z samotnym uczniakiem, szarego nieba i ulewy stukającej o szybę. Ale wciąż był to pociąg, a ja od wielu lat nie jechałem pociągiem nawet z Saltsjöbaden. Było pięknie i ekscytująco. Już krótkie przebłyki zatoki Riddarfjärden w deszczowej mgiele, kiedy wyjeżdżaliśmy z Dworca Głównego w Sztokholmie, były piękne.

Obiecałem dziadkowi, że skupię się na matematyce, i dotrzymałem słowa. Ale mama skrzyczała mnie za oceny. No, może nie do końca skrzyczała, ale była niezadowolona. Najgorsza według niej była ocena dostateczna ze sprawowania. Nie miałem zbyt wiele do powiedzenia na swoją obronę. Wystarczyły do tego trzy uwagi w semestrze. Dwie dostałem za spóźnienia po przerwie śniadaniowej, a jedną, bardziej skomplikowaną, za tak zwane nastoletnie lenistwo. Chodziło o to, że niewystarczająco szybko stanąłem na baczność, kiedy na pierwszej lekcji po porannym treningu zostałem o coś zapytany. Na dodatek była to religia, najbardziej komiczny ze wszystkich przedmiotów. Książd dorabiający jako nauczyciel należał do tych, którzy co rano grzmią z mównicy o tym, jak beznadziejni są nastolatki.

No i te wspomniane spóźnienia po przerwie śniadaniowej. Nie pamiętam, jak to wytłumaczyłem mamie, ale oczywiście nie powiedziałem prawdy. Kiedy gra się na pieniądze, nie można tak po prostu sobie pójść, trzeba poczekać, aż się wygra albo przegra.

O to, że się opuściłem o jeden stopień z języka i literatury, nie było sensu robić afery. Przez cały semestr mówiliśmy tylko o jakichś dziadach z XIX wieku, którzy pisali wiersze o wikingach, o wieczności i innych „wysublimowanych” rzeczach – tego słowa należało często używać, choć tak naprawdę znaczyło tyle co „śmiesznie wyolbrzymione”. Wiedziałem, że kiedy w przyszłym roku będziemy mieli prawdziwą literaturę, odzyskam dawną ocenę. Najważniejsze zaś było to, że jako jedyny z klasy miałem piątkę z minusem z pisania. Mama wcale się z tym nie zgadzała. Twierdziła, że wiedza ogólna jest ważna, a znajomość Tegnéra i Geijera równie oczywista jak to, że tacy jak my zawsze jeżdżą pierwszą klasą.

Uznałem za niesprawiedliwe, że moje piątki z minusem z angielskiego, niemieckiego i matematyki mama uważa za coś oczywistego, tym bardziej że narzekała na obniżone oceny z nieważnych przedmiotów, jak religia, biologia i geografia.

Zbyt często wychodziłem wieczorami, słuchałem zbyt dużo muzyki rockowej. Fakt, musiałem przyznać, że zostało mi trochę mniej czasu na pracę domową. Ale najważniejszy był z jednej strony trening, a z drugiej ważne przedmioty szkolne. A kiedy pójdę do liceum, poprawienie ocen z takich bzdurnych przedmiotów przyjdzie mi z łatwością, o ile w ogóle będzie konieczne.

Można powiedzieć, że nie do końca się zgadzaliśmy.

Ale jakie to miało znaczenie teraz, kiedy siedziałem w pociągu i patrzyłem przez okno na świat, który już zaczął się wypogadzać. Wkrótce zobaczyłem znajomą sawannę, stukot kół przywoływał jedną fantazję po drugiej – widziałem bezkresne stada gnu i zebr, lwa trzymającego się w odpowiedniej odległości, żeby ich nie przestraszyć, zanim zapadnie zmrok, rozszoszczonego nosorożca, hipopotamy pochrzakujące w wodzie, krokodyle opalające się z otwartymi paszczami, gazyłe biegnące w dużych, mieniących się kolorami grupach, przestraszone przez jakiegoś drapieżnika.

W Katrineholm otworzyły się drzwi i do przedziału weszła wyjątkowo ładna dziewczyna w moim wieku, może o kilka lat starsza. Oczywiście od razu wstałem i pomogłem jej położyć torbę na siatce u góry. Co dziwne, wydawało się, że w ogóle nie jest za to wdzięczna.

Odniosłem wrażenie, że wygląda jak postać w teatrze, jakby wystaje ponad rzeczywistość. Była ubrana w długą aksamitną sukienkę o prawie takim samym odcieniu czerwieni jak siedzenia w przedziale, miała ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy. Wyglądało to równie pięknie jak brązowe oczy u blondynek. Do tego dochodziły czarne buty na wysokim obcasie – to wszystko nie przypominało stroju na podróż, wyglądała raczej jakby jechała na przyjęcie.

Oczywiście byłem zaintrygowany, ale starałem się zbyt często na nią nie zerkać. Wyjęła plik papierów i zaczęła czytać, a ja wyjrzałem przez okno i wróciłem na sawannę w Tanganice.

Po chwili sięgnęła do podajnika z małymi kubeczkami z woskowanego papieru. Wstałem, zdjąłem karafkę z wodą i ją obsłużyłem. Z jakiegoś powodu uznała, że to fajne. Zachichotała i pokręciła głową.

Wróciłem na sawannę.

Samiec nosorożca zwiertzył dziadka, zawrócił i zaatakował oszalałym, niezdarnym galopem. Dziadek stał w krótkich spodenkach i kapeluszu z szerokim rondem, kompletnie nieruchomy. Uniósł tylko broń i czekał, aż bestia będzie w odległości piętnastu metrów od niego. Wtedy strzelił w kolano. Zwierzę się zachwiało i upadło. Dziadek bez pośpiechu podszedł i strzelił mu w tył głowy.

– Chcesz pół banana? – zapytała dziewczyna. Spostrzegłem, że pomiędzy nami trzyma banana w brunatne łaty.

– Nie, dzięki – odparłem. – Ale miałem zamiar trochę później pójść do wagonu restauracyjnego. Może mógłbym zaprosić cię na lunch?

– Nie, dzięki! – powiedziała dziewczyna i wybuchnęła niemal serdecznym śmiechem. – Ty i ja chyba nie pasowalibyśmy do siebie przy stole w restauracji.

Z jednej strony poczułem ulgę, że odmówiła, bo praktycznie byłbym zmuszony zaprosić ją na lunch, podczas gdy ona oferowała tylko banana. Poza tym nie miałem przy sobie dużej zapasowej kwoty. Z drugiej, nie rozumiałem, dlaczego mielibyśmy do siebie nie pasować przy jednym stole. Mój strój był bardziej odpowiedni na podróż niż jej, ale nie to miała na myśli. Ciekawość zwyciężyła, pomyślałem, że zapytam.

– Dlaczego nie pasowalibyśmy do siebie przy stole w restauracji?

Odpowiedziała pytaniem.

– Co sądzisz o wyniku ostatnich wyborów?

Niecały tydzień wcześniej odbyły się wybory – wybuchały kłótnie o emerytów, czerwoni wygrali, a mama była wściekła i mówiła, że nadchodzi dyktatura. Czerwoni wykorzystają fundusze emerytalne, żeby wszystko uspołecznić.

– Nie głosuję – próbowałem się wymigać.

– Tak sądziłam – odparła. – Ale co poczułeś? Byłeś zadowolony czy smutny?

Ani jedno, ani drugie, odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Nie uważałem, żeby wybory do Riksdagu były czymś, co mnie dotyczy.

– Jasne, że cię dotyczą, jesteś obywatelem jak wszyscy inni – oznajmiła z pewnością w głosie.

Dostałem kolejną szansę, żeby się wymigać.

– Nie – odparłem. – Jestem obywatelem Francji i nie mogę głosować w szwedzkich wyborach.

Teraz to ona milczała. Dziesięć sekund.

– Ale przecież mieszkasz w Szwecji, więc chyba masz jakiś pogląd? – Nie dawała za wygraną.

– Cóż – odparłem. – Czerwoni znów wygrali, moja matka uważa, że to katastrofa, ale sam

nie mam wyrobionego zdania.

– No widzisz – oznajmiła. – To dlatego nie pasujemy do siebie przy stole. Powiedziałeś „czerwoni”, a więc sprawa jest jasna. Nie jesteś z klasy robotniczej.

Prychnęła i znów zaczęła przerzucać swoje papiery.

Jasne, że było mi głupio. Powinienem był się domyślić. Wujek Hans Olaf i Alice nigdy nie używali słowa „czerwoni”. Mówiło się socjaliści albo socjaldemokraci, a oni oboje byli socjaldemokratami. Albo czymś jeszcze gorszym.

Niezwykle piękna czerwona – postanowiłem, że od tego momentu będę tak o niej myślał – miała broszkę z imitacji złota z wygrawerowanymi trzema dużymi czerwonymi literami: SSU. Socjaldemokratyczna młodzieżówka. Cholera!

Chciałem rewanżu. Wściekłem się, bo nie lubiłem przegrywać.

– Czyli ty jesteś z klasy robotniczej? – zapytałem. Chciałem utrzczyć jej nosa.

Natychmiast podniosła wzrok, radośnie żądna walki.

– Tak! – zawołała. – I jestem z tego dumna.

– To dobrze – odparłem i pomyślałem, że już ją mam. – Ale to nie twoja zasługa, tylko twoich rodziców. I to nie moja wina, że nie należę do tej samej klasy co ty. Ale oboje siedzimy w przedziale pierwszej klasy.

Zadziałało. Uznałem, że wygrałem z dużą przewagą. Dziewczyna była równie zamyślona co piękna.

Chwilę potrwało, zanim się odezwała.

– Hjalmar Branting też był z klasy wyższej, tak samo jak ty – powiedziała w końcu.

– To określenie nigdy nie przeszłoby mi przez gardło – odparłem. – No i co?

– Jesteś za szwedzką bronią atomową? – zapytała.

Nabrałem pewności siebie, a przynajmniej poczułem ulgę. Z tą szczwaną dziewczuchą nie dałbym rady debatować o emeryturach.

– Oczywiście – odparłem. – Skoro pytasz, to znaczy, że ty jesteś przeciw?

– Również: tak, oczywiście. Należę do AMSA – Akcji Przeciwko Szwedzkiej Bombie Atomowej, tak samo jak Per Anders Fogelström, Sara Lidman, Barbro Alving i inni intelektualiści. To bezsensowne militarne, politycznie nie do obrony i naganne moralnie!

Żałowałem, że nie ma ze mną Joara, załatwiłby to raz-dwa. Ale w przedziale byliśmy tylko ja i ta denerwująco piękna czerwona. Naprawdę musiałem się zastanowić.

– To sensowne militarne, bo gdyby Rosjanie chcieli zaatakować Szwecję, musieliby się liczyć z tym, że kosztowałyby ich to Leningrad – zacząłem, nadal się zastanawiając. – I dlatego jest to politycznie do obrony – ciągnąłem, a cały proces myślowy rozpoczął się w mojej głowie od nowa – a przy tym moralne, bo pozwala zachować pokój – spiąłem wszystko klamrą. Byłem całkiem zadowolony. Naprawdę nie zwykłem przegrywać dyskusji. To, że dziewczyna siedziała jakiś czas cicho, uznałem za dowód, że wie, iż przegrała.

– Powiedzmy, że Szwecja ma broń atomową – odezwała się w końcu.

– Tak – odparłem. – Powiedzmy, że Rosjanie wiedzą, iż napaść na nas będzie ich kosztowała Leningrad.

– Bynajmniej. Nigdy by nas nie napadli, gdyby nie wiedzieli, gdzie trzymamy broń atomową. Właśnie to miejsce wyeliminują na początku. W sensie czysto militarnym są obecnie silniejsi nawet od Amerykanów. Skoro mamy broń atomową, oznacza, że będziemy toczyć wojnę atomową, prawda?

Żadna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy.

– I jeszcze jedno – kontynuowała. – Im więcej krajów zbuduje broń atomową, tym większe będzie ryzyko totalnej zagłady. Wystarczająco złe jest to, że mamy równowagę terroru

między mocarstwami. Co będzie, kiedy do tego pociągu wskoczy Szwecja? Sekretarz generalny ONZ jest Szwedem. To, co robimy, wpływa na wiele innych krajów. Mamy wtedy do kompletu Indie i Pakistan, Izrael i Egipt, Chiny i Tajwan, Afrykę Południową, Brazylię i Argentynę. Od zagłady świata dzieli nas tylko naciśnięcie guzika.

Wyglądała, jakby spodziewała się natychmiastowej riposty. Ale nic mi nie przychodziło do głowy. Miałem przed oczami grzyby atomowe rosnące nad całym światem niczym ogromne kurki, tylko dlatego, że jakiś szaleniec po prostu zaczął.

Odwróciłem się i przez kilka minut myślałem nad tym, co powiedziała, żeby znaleźć kontrargument. Z pewnością widziała, że naprawdę łamię sobie nad tym głowę.

– Masz rację – odparłem w końcu.

Tylko to mogłem powiedzieć. Niech mnie diabli, dziewczyna miała rację, a do tego była śliczna jak diabli.

Wysiadła w Skövde, miała przemawiać na jakimś zebraniu SSU. Nigdy nie poznałem jej imienia.

W Båstad padało. Arne, tata Sylvii, był sam. Spotkał się ze mną koło dworca i powiedział, że Szwecja właśnie pokonała Meksyk 3:0. A więc na szczęście w samochodzie po drodze do Torekov mogliśmy rozmawiać o mistrzostwach świata w piłce nożnej. Zwykle był raczej milczący.

Uważał, że szwedzka drużyna w zasadzie nie ma umiejętności potrzebnych do gry wśród szesnastu najlepszych zespołów świata. Uczestniczyliśmy w rozgrywkach jako gospodarze. Ale zwycięstwo z Meksykiem było przekonujące, przynajmniej się nie ośmiesziliśmy. Drugi mecz – z Węgrami – będzie znacznie trudniejszy, trzeba mieć nadzieję, że Szwedzi przynajmniej polegają z honorem.

Byłem zdania, że niepotrzebnie podchodzi do tego tak pesymistycznie. Przecież mieliśmy w reprezentacji zawodowych graczy, a tacy piłkarze jak Kurre Hamrin, Nacka Skoglund, Nils Liedholm i Gunnar Gren przez długi czas byli wielkimi gwiazdami w lidze włoskiej. Sądziłem więc, że Szwecja ma szansę dojść aż do ćwierćfinału.

– No, może, nigdy nie wiadomo. Nacka Skoglund strzelił dwie pierwsze bramki, może rzeczywiście powinno się patrzeć na to z większym optymizmem – odparł ojciec Sylvii, zaciskając zęby na trzonku fajki. – Wszystkie trzy bramki w meczu z Meksykiem strzelili nasi zawodowcy.

Padła deszcz, więc jechaliśmy z zamkniętymi szybami. Wkrótce volvo było tak pełne dymu, że zacząłem się zastanawiać, jakim cudem pan Arne widzi drogę. Mama pewnie nie zaakceptowałaby go za kierownicą, nie tyle z powodu dymu, co głównie dlatego, że prowadził w kapeluszu. Twierdziła, że wszyscy mężczyźni w kapeluszach to beznadziejni kierowcy.

Mieli piękne, choć ciasne lokum w jednym z szeregu małych domków przy deptaku na plaży. Sylvia i jej mama Karola powitały nas w fartuszkach. Były zajęte ostatnimi przygotowaniami do kolacji – to dlatego Sylvia nie mogła po mnie wyjść na dworzec.

Było trochę drętwo i dziwnie. Oczywiście najpierw musiałem przywitać panią Karolę, uklonąć się, podać rękę i powiedzieć, jak szalenie miło jest przyjechać z wizytą, a dopiero potem mogłem przytulić Sylvię, ale nie miałem odwagi pocałować ją w policzek. Już od początku podejrzewałem, że coś się święci.

Pan Arne zaprowadził mnie na tył domu – znajdowała się tam mała dobudówka dla gości, w której miałem mieszkać. To może nie jest głupie, pod warunkiem że Sylvia będzie mogła wymknąć się w nocy, pomyślałem optymistycznie.

Jedliśmy kolację na ich oszklonej werandzie z widokiem na morze. Po modlitwie nadszedł czas na wędzoną makrelę, *kassler* z faszerowanym kalafiolem, placek czereśniowy na

deser i svagdrickę dla wszystkich. W porze kolacji zjawił się starszy brat Sylvii Jesper, a po deserze zniknął i nawet nie pomógł pozbierać ze stołu.

Moja jedyna próba znalezienia tematu do rozmowy podczas dość milczącego posiłku była w oczywisty sposób nieudana. Odwróciłem się do pana Arnego, który, jak wiedziałem, był zainteresowany mistrzostwami świata, i zapytałem, czy nie myślał nad sprawieniem sobie telewizora, gdyby Szwecja awansowała do ćwierćfinału. On tylko pokręcił głową i nie odpowiedział ani nawet na mnie nie spojrział.

Spojrzała za to pani Karola. Wlepiwszy we mnie wzrok, powiedziała stanowczym tonem, że żaden odbiornik telewizyjny nie znajdzie się w tym domu, bo takie nowomodne wynalazki to tylko głupie marnowanie czasu. W czasie deszczu można słuchać radia albo zająć się dobrą książką.

Nikt z rodziny, nawet Jesper, nie oponował. Jedliśmy dalej w milczeniu.

Po kolacji zaproponowałem, że pomogę w zmywaniu. Miałem nadzieję, że Sylvia i ja będziemy mieli kilka minut dla siebie. Ale to się okazało niemożliwe. Pani Karola stała pomiędzy nami jak tama. Sylvia i ja wycieraliśmy i odstawialiśmy naczynia.

Potem w dużym pokoju podano kawę i ciasteczka. Już pierwszego wieczoru przy przeklętym radioodbiorniku zacząłem rozumieć, że będzie nam trudno zostać sam na sam.

Wiedziałem jednak, że nie można się tak łatwo poddawać. Akurat padał deszcz. Ale gdyby do następnego dnia się przejaśniło, mogliśmy iść się wykąpać.

Nic z tych rzeczy. Wprawdzie następnego dnia pięknie świeciło słońce, ale cała rodzina, oprócz Jespera, który miał co innego do roboty, pojechała samochodem na wycieczkę obejrzeć formacje skalne Hovs hallar i podziwiać naturę.

Na kolejny dzień zaplanowano wycieczkę na wyspę Hallands Väderö. Co dwie godziny pływała tam niewielka łódź pasażerska z Torekov. Na wyspie była przynajmniej ładna piaskowa plaża. Rozłożyliśmy się tam z leżakami i wielkim koszem prowiantowym.

Woda była cudowna, dużo bardziej słona niż w Bałtyku, można było odnieść wrażenie, że płynie się szybciej, jakby większe zasolenie w jakiś sposób to ułatwiało.

Mogliśmy się kąpać, choć pod ciągłym nadzorem. W wodzie przynajmniej ze sobą rozmawialiśmy bez przeszkód. Na początku oczywiście zapytałem, czy nocami nie będzie mogła się wymykać do domku dla gości. Ale to również było niemożliwe.

Jej sypialnia na piętrze była na samym końcu, najdalej od schodów. Żeby zejść, musiałaby minąć sypialnię rodziców, a deski podłogowe tak skrzypiały, że nie dało się chodzić cicho, nawet na bosaka. A jej mama miała bardzo lekki sen.

Z tyłu szopy na narzędzia była drabina. Zaproponowałem, że ją przeniosę pod okno jej sypialni, żeby mogła się wymknąć. Pomysł upadł, bo mieszkała ścianę w ścianę z Jesperem. Jeśli brat zauważy drabinę, naskarzy.

Szwecja pokonała Węgry 2:1, a obie bramki strzelił Kurre Hamrin. Pan Arne, Sylvia i ja siedzieliśmy jak przyklejeni do radioodbiornika i słuchaliśmy sprawozdania Lennarta Hylanda. Jesper był u jakiegoś kolegi, który miał telewizor. Pani Karola najpierw zajęła się zakupami, bo podczas meczu w sklepach nie było kolejek, a potem trzepała dywany. Tylko podkręciliśmy głośność i ani słowem nie skomentowaliśmy trzepania, które rozpoczęła w pięćdziesiątej szóstej minucie, akurat w chwili, kiedy Kurre Hamrin strzelił drugą bramkę.

I tak to się toczyło. Jeśli pogoda sprzyjała pływaniu, pani Karola szła z nami.

Szwecja bezbramkowo zremisowała z Walią, ale to wystarczyło, żeby w ćwierćfinale stanąć naprzeciwko Związku Radzieckiego. Wówczas nie tylko Jesper poszedł do kogoś, kto miał telewizor. Pan Arne stwierdził, że ma jakąś ważną sprawę do załatwienia w Båstad i że chyba da radę posłuchać fragmentów relacji w samochodzie.

Mecz był straszliwie ekscytujący. Rozstrzygnął się dopiero dwie minuty przed końcem. Rosjanie robili wszystko, żeby wyrównać, bo Szwecja prowadziła 1:0. Wtedy wyprowadziliśmy kontrę, Agne Simonsson podwyższył na 2:0 i zwycięstwo było przesądzone.

Po powrocie do domu pan Arne się zdemaskował. Trochę zbyt szczegółowo opisał początek kontry – nieudane podanie, które jednak zakończyło się dobrze. Wiedział więcej niż my, słuchacze – bez wątpienia oglądał tego gola w telewizji. Ale udawaliśmy, że się nie domyślamy.

Jedyną dobrą rzeczą na obchodach Midsommar była pogoda. Tańczyliśmy wokół Słupa Majowego – został wzniesiony na środku wsi – dla pani Karoli. Wszystkie okoliczne małe dzieciaki tam były, podskakiwały, śpiewając o żabkach, albo brały udział w wyścigu w workach. Potem musieliśmy wracać do domu i jeść to co zawsze, ale przynajmniej z popitką w postaci svagdricki – nawet dorośli.

Kiedy Sylvia zaproponowała, żebyśmy później tego wieczoru poszli popatrzeć na tańce na parkiecie, pani Karola uznała, że to wspaniały pomysł, pod warunkiem że dotrzyma nam towarzystwa. Można było od tego oszaleć.

Tak samo jak na punkcie futbolu. Kiedy nadszedł czas na półfinałowy mecz z RFN-em, Jesper jak zwykle przepadł u kogoś, kto miał telewizor, a pan Arne znów stwierdził, że ma ważne spotkanie w Båstad. Bez problemu dało się go przejrzeć na wylot. Jaki pracownik uniwersytetu przekładałby spotkanie akurat na godzinę półfinałowego meczu Szwecji?

Sylvia była nawet na tyle odważna, że zapytała tatę, czy możemy iść z nim na to spotkanie. Posłał jej tylko krzywy uśmieszek i powiedział, że niestety nie.

A więc Sylvia i ja zostaliśmy sami przy radioodbiorniku w dużym pokoju. Pani Karola zajmowała się czymś w kuchni, żeby mieć nas na oku. Jednak przynajmniej byliśmy poza zasięgiem jej słuchu, mogliśmy porozmawiać nieco swobodniej i nie musieliśmy w tym celu wchodzić do zimnej wody w odpowiedniej odległości od plaży. Kiedy tuż po bramce RFN-u na 1:0 pani Karola wyszła wyrzucić śmieci, skorzystaliśmy z okazji i zaczęliśmy się całować, mniej lub bardziej desperacko.

Sylvia przeproszała za mamę, powiedziała, że jest jej wstyd, ja próbowałem ją pocieszać, a wtedy Lennart „Nacka” Skoglund strzelił pierwszą zasłużoną bramkę i wyrównał na 1:1. Przez resztę pierwszej połowy nic się nie działo.

Zapewniałem, że kiedy przyjedziemy do Sandhamn, będziemy mieć spokój, będziemy nawet pływać łódką na małe wysepki i będziemy tam zupełnie sami. Nawet na Sandö znaleźlibyśmy takie miejsca. Sylvia uważała jednak, że nasze mamy się umówią w sprawie podobnego nadzoru także w czasie obiecanego tygodnia w Sandhamn. Nie chciałem tłumaczyć zbyt wyczerpująco, że nasze mamy chyba są zupełnie różne, jeśli chodzi o nadzór. Wtedy Gunnar Gren podwyższył na 2:1 dla Szwecji. Poderwali się z miejsc, zaczęliśmy się ściskać i całować, aż do pokoju weszła pani Karola i odchrząknęła tak głośno, że usiedliśmy na sofie w odpowiedniej odległości od siebie.

Kiedy jednak w osiemdziesiątej siódmej minucie trzecią bramkę dla Szwecji strzelił Kurre Hamrin i Szwecja dostała się do finału mistrzostw świata, musieliśmy powtórzyć nasze niestosowne zachowanie.

Finałowy mecz mistrzostw świata przeciwko Brazylii oglądałem w restauracji w Sandhamn. Nie tylko ja wpadłem na ten wspaniały pomysł. Kiper Czar pobierał nawet opłaty za wstęp. Dach restauracji oczywiście się podniósł, kiedy już na samym początku meczu Nisse Liedholm strzelił pierwszą bramkę. Ale potem zabawa się skończyła. Brazylijczycy wbili trzy gole z rzędu i nie ulegało wątpliwości, że Szwedzi zostali zdeklasowani.

Jednak srebro w mistrzostwach świata i tak znacznie przewyższało oczekiwania. Poza

tym Szwecja miała szczęście, że nie trafiła do tej samej połówki drabinki co Francja. W meczu o trzecie miejsce Francuzi zdeklasowali RFN, z Brazylią osiągnęli taki sam wynik jak Szwecja, a poza tym mieli w drużynie króla strzelców mundialu. Zdobył w sumie trzynaście goli. Na drugim miejscu z wynikiem sześciu goli był zaledwie siedemnastoletni chłopak. Jak to się stało, że dziennikarze sportowi nie wybrali Justa Fontaine'a do drużyny sezonu, pozostawało zagadką. Trzynaście bramek w mundialu – tego w najbliższym czasie nikt nie przebije. Mogłem czuć się dumny, także jako Francuz.

Poza tym pogoda diametralnie się zmieniła. Do tej pory lato było chłodne, w Torekov temperatura wody nigdy nie przekroczyła piętnastu stopni. Teraz zaś nadciągnęła fala upałów.

Był tylko jeden powód do niepokoju – że mama Sylvii zmieni zdanie i nie pozwoli jej jechać do Sandhamn. W czasie finału mistrzostw Sylvia musiała być w Torekov, bo jej babcia obchodziła osiemdziesiąte urodziny.

Przez cały tydzień, za każdym razem kiedy odbierałem pocztę, bałem się, że zobaczę list ze stemplem z Torekov. A kiedy przyszedł, prawie nie odważyłem się go otworzyć, choć na kopercie widniało pismo Sylvii. Popłynąłem do domu z nieotwartym listem, jakbym chciał, żeby mama mogła mnie pocieszyć, gdyby przyszła odmowa. To było coś, czego najprędzej mogłem się spodziewać po przesadnie moralnej matce Sylvii.

– No i jak? – zapytała mama, kiedy siedzieliśmy przy ławie na dole i otworzyłem kopertę.
– Sylvia przyjedzie pojutrze, zgodnie z umową?

Okazało się, że tak. Nie było ani słowa, które świadczyłoby o czymś przeciwnym. Miała wyjechać nocnym pociągiem z Halmstad i być na Dworcu Głównym w Sztokholmie o siódmej czterdzieści pięć.

Czułem radość i ulgę, ale jednocześnie byłem zdumiony. Skoro pilnowanie nas w Torekov było dla matki Sylvii równie ważne jak dla eunucha pilnowanie harem, dlaczego postanowiła nas puścić samopas na ponad tydzień na puste szkierowe wysepki?

Mama odparła, że tacy chrześcijanie często są trochę zwariowani.

– Dopóki odpowiedzialność za pilnowanie waszej czystości spoczywała na jej barkach, ten obowiązek był dla niej ważniejszy niż wszystko inne. Teraz, kiedy przeszedł na mnie, ona umywa ręce, jak sami to nazywają. Albo, co jeszcze gorsze, przekazuje wasz los w ręce Boga.

Następnego dnia mama i ja popłynęliśmy promem „Waxholm” do miasta. Upał się utrzymywał, prognozy pogody co najmniej na tydzień były fantastyczne. W restauracji zjedliśmy *ångätsbiff* – stek wołowy na parze, tradycyjnie podawany na pokładach statków, i podzieliliśmy się małą butelką wina Saint Emilion. Kilku siedzących przy sąsiednim stole ludzi z osiedla domków letniskowych w Trovill zmarszczyło nos na to, że dostają wino, ale mama udawała, że tego nie zauważa.

Oznajmiła, że jest powód do świętowania. Jeszcze raz zmieniała pracę i miała zostać pośrednikiem obrotu nieruchomościami.

Nie wiedziałem, czym się zajmuje taki pośrednik. Z tego, co mówiła mama, wynikało, że chodzi o sprzedaż cudzych domów. Dlaczego właściciele nie mogli sami się tym zajmować?

Z dwóch powodów, jak wyjaśniła mama. Po pierwsze, chodziło o skomplikowane dokumenty, szczególnie skomplikowane dla tych, którzy nigdy wcześniej nie mieli do czynienia ze sprzedażą domu. Jednak opanowanie tego nie było takie trudne.

Po drugie, chodziło o cenę. Pośrednik dostawał prowizję, więc zależało mu na ustaleniu jak najwyższej ceny. Poza tym był też specjalistą od cen nieruchomości, więc kupujący nie miał takich możliwości, żeby się targować. Dość prosta psychologia.

Nowa praca również miała sporo wspólnego z psychologią czy też socjologią. Najdroższe wille znajdowały się w Saltsjöbaden, Djursholmie i na Lidingö. Ktoś, kto się tam wychowywał,

miął oczywistą przewagę nad innymi pośrednikami – mówił i zachowywał się tak samo jak sprzedający, a niejednokrotnie również kupujący, nawet jeśli niektórzy przedstawiciele klasy średniej i nowobogacy próbowali awansować towarzysko, przenosząc się w bardziej eleganckie okolice. Najważniejsze było jednak to, że w ten sposób udawało się zdobyć zaufanie sprzedawców. W ten sposób pośrednicy zdobywali nieruchomości, czyli domy.

Nie mogłem zdecydować, czy ta zmiana pracy jest tak wspaniała, jak najwyraźniej sądziła mama. Kiedy zapytałem, czy pozbędzie się mercedesa Adamssona, wybuchnęła śmiechem – niezbyt głośnym, bo siedzieliśmy przy stoliku w restauracji – nachyliła się i powiedziała szeptem, że, po pierwsze, będzie miała do dyspozycji samochód służbowy. Po drugie, obiecała, że w przyszłym roku pojedziemy samochodem na wakacje – tylko ona, Acke i ja. Będzie to nowy samochód, który sobie kupi – najlepiej biały Jankes, kabriolet z czerwoną tapicerką.

Oczywiście brzmiało to zbyt pięknie, żeby mogło być prawdą. Nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć. Biały Jankes z otwieranym dachem? Takie auta kosztowały chyba co najmniej piętnaście tysięcy koron.

Następnego ranka byłem na dworcu wystarczająco wcześnie, żeby zdążyć na przyjazd nocnego pociągu z południa. Mama przez cały dzień miała być w biurze. Potem planowaliśmy wziąć taksówkę do Stavsnäs i zdążyć na któryś z szybkich promów do Sandhamn – „Ejdern” albo „Skraken”. Powinniśmy zdążyć w sam raz na kolację.

To oznaczało, że Sylvia i ja będziemy sami przez cały dzień w Sztokholmie. Mama powiedziała trochę wymijająco, że z pewnością znajdziemy sobie jakieś zajęcie.

To także brzmiało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdą.

Sylvia wysiadła jako jedna z ostatnich. Czuję już na plecach dreszcz paniki, kiedy w końcu zobaczyłem, jak wychodzi, ciągnąc stanowczo zbyt ciężką walizkę.

Podbiegłem do niej. Z hukiem wypuściła walizkę i zaczęliśmy się całować niczym kochankowie z filmu. Ani trochę się nie przejmowaliśmy, że stoimy na peronie, otoczeni tłumem ludzi. Było tak, jakby tortura tygodnia pod nadzorem nappełniła nas uczuciami, które teraz eksplodowały w naszym uścisku.

– Jesteśmy... jesteśmy sami... przez cały dzień w Sztokholmie... i sami w domu – wydyszałem, kiedy w końcu zrobiliśmy pół kroku w tył i po prostu patrzyliśmy sobie w oczy. Sylvia promieniała, ja pękałem z tęsknoty. Tydzień w Torekov niczego między nami nie zepsuł, wręcz przeciwnie.

– Jak myślisz, co będziemy wtedy robili? – odparła ze śmiechem.

– Tak jak powiedziałem, jestem sam w domu.

– Chodź! – powiedziała. – Chodź szybko, żeby to załatwić!

Czasu mieliśmy pod dostatkiem, mama miała nas odebrać z domu około czwartej po południu, a była ósma rano.

Po wszystkim często myślałem, jak to dobrze, że mogliśmy to zrobić tak pomału i delikatnie. Rozebraliśmy się, leżeliśmy obok siebie i czuliśmy, jak wzrasta podniecenie i napięcie. Tak, jakbyśmy mogli próbować, stopniowo idąc coraz dalej. Robić inaczej, robić więcej w naszym własnym świecie pełnym czasu i prywatności. Jeżeli to była jedynie sprawa do załatwienia, jak mówiła Sylvia, to tylko za pierwszym razem. Potem cały strach zniknął bez śladu i z każdym kolejnym razem coraz lepiej się poznawaliśmy.

W naszej wieczności pojechaliśmy tramwajem do Djurgården i prawie godzinę chodziliśmy wśród letniej zieleni, zanim znów zatęskniliśmy za domem, gdzie mogliśmy od nowa zacząć to, co przerwaliśmy.

Wieczorem, kiedy jedliśmy kolację na werandzie w Sandhamn, byłem przekonany, że to najszczęśliwszy dzień mojego życia. Nigdy wcześniej nie myślałem w ten sposób, szczęście

zawsze wydawało mi się słowem zarezerwowanym dla dorosłych albo przynajmniej niemieszczącym się w moim życiu.

Wujek Hans Olaf i Alice byli w dobrej formie. Siedząc przy stole, śmialiśmy się praktycznie bez przerwy. Babcia miała doskonały humor i opowiadała przezabawne historie o pisarzach, których poznała w Berlinie. Rozmowa przy stole utrzymywała wartkie tempo, Sylvia się włączyła i było widać, że wszyscy ją lubią, bo potrafiła być zabawna. Wypiliśmy chyba więcej wina, niż zamierzaliśmy, a steki jagnięce, przywiezione z miasta przez mamę, zostały zjedzone do ostatniego plasterka. Mama mrugnęła do mnie, jakby o wszystkim wiedziała, i tak też pewnie było. To życie tak bardzo nie przypominało Torekov, jak to tylko możliwe.

TARZAN IS DOWN!

Bardzo szybko, bo zaledwie w kilka godzin, stałem się przestępcą. Powiedzieli, że skoro jestem o kilka lat starszy, grożą mi dwa lata więzienia.

Przemiana była równie definitywna, co niepojęta – równie dobrze mogłem się obudzić jako chrząszcz, leżeć na plecach, bezradnie przebierając nogami, i myśleć, że to ja, a jednak nie ja. W naszej rodzinie nie popełniało się przestępstw. Nie potrafiłem nawet czuć wstydu, to było tak nierzeczywiste.

Kiedy w połowie lekcji biologii zostałem wezwany do gabinetu dyrektora, nie bałem się ani trochę. Przecież nic nie zrobiłem, przez cały semestr nie miałem ani jednego spóźnienia. Nie potrzebowałem już poświęcać przerwy śniadaniowej na grę na flipperach, bo dużo zarobiłem na filmach reklamowych.

*A żółty nalot, każdy wie,
pastą Pepsodent usunie się*

To oczywiście był pomysł mamy. Znalazła ogłoszenie, w którym poszukiwano nastoletnich chłopaków o korzystnym wyglądzie, i już kilka tygodni później siedziałem w przestronnym holu kina Palladium w towarzystwie prawie stu innych chłopaków. Musieliśmy przejść się tam i z powrotem i pokazać zęby jak na końskim targu. Znalazłem się w gronie pięciu, którzy zostali wybrani, a potem już poszło. Reklamowałem zarówno słodczyce, jak i pastę do zębów, a nawet Monarped – próbę wprowadzenia na rynek motorowerów, podjętą przez firmę rowerową Monark. To była jedyna reklama, przez którą dokuczano mi w szkole, bo wszyscy wiedzieli, że najlepszy jest austriacki moped Puch, a „monarki robią ze starej pralki”.

Fajnie się nagrywało reklamy w miasteczku filmowym w Solnie. Nie trzeba było mieć zdolności aktora z teatru Dramaten, żeby sobie z tym poradzić, a poza tym pozwalali zatrzymać ciuchy, które się nosiło na planie. Przede wszystkim jednak bardzo dobrze płacili.

Sylvia trochę się ze mną droczyła z powodu tych reklam, ale nie do końca na poważnie. Mówiła, że zarabianie pieniędzy wyglądem to raczej niezbyt chlubne zajęcie kobiet.

Kiedy siedziałem przed gabinetem dyrektora, czekałem, aż czerwone światelko zmieni się na zielone, i błądziłem myślami, przyszły mi do głowy te słowa Sylvii. Zarabianie pieniędzy wyglądem? Niezbyt chlubne zajęcie kobiet?

Nie brzmiało to jak jej słowa. Mogliśmy teraz chodzić do wszystkich popularnych lodziarni i kawiarni, a ostatniego w sezonie wieczoru w wesołym miasteczku Gröna Lund lekką ręką wydaliśmy sto koron. Jakie niezbyt chlubne zachowanie kobiet?

Z pewnością powtarzała to po swojej religijnej mamie Karoli.

Podskoczyłem, kiedy światelko w poczekalni zmieniło się na zielone. Kiedy otworzyłem drzwi i wszedłem do dyrektora Reineclaude'a i jego dwóch gości, nadal nie miałem pojęcia, w czym rzecz. Gdybym mógł sto razy zgadywać, nawet bym się nie zbliżył do prawidłowej odpowiedzi.

– To komisarz Larsén i inspektor Hyllander z policji kryminalnej, z wydziału do spraw przestępczości nieletnich – przedstawił gości dyrektor, jakby to był teatr.

Aha. Ukłoniłem się i stałem w miejscu na rozstawionych nogach i z rękoma na plecach.

Nie czułem strachu, to było raczej ekscytujące. Dwóch prawdziwych kryminalnych, wyglądających jak gliniarze z filmu, miało szare zniszczone garnitury i czapki, które rzucili na stolik – pozostałość po dawnym dyrze.

– Oddaję głos komisarzowi Larsénowi – oznajmił dyrektor takim samym grobowym tonem jak przedtem.

– Tak, tak, dziękuję – powiedział starszy z policjantów, wziął do ręki notatnik w czarnej moleskinowej oprawie, trochę wertował i czytał, aż w końcu zadał pierwsze pytanie: – Kupiłeś przed szkołą bardzo wiele płyt gramofonowych, prawda?

Pytanie było jasne i proste, ale zadał je policjant.

Przed naszą szkołą wszyscy kupowali rzeczy od siebie nawzajem. Ale bardzo wiele płyt gramofonowych?

– To znaczy... nie wiem – odparłem.

Komisarz westchnął, jakby był bardzo zmęczony, i wskazał kciukiem przez ramię.

– Rick i Kenneth, którzy właśnie wyszli, twierdzą stanowczo, że to ty kupujesz najwięcej płyt. Mówią, że to przede wszystkim ze względu na ciebie kontynuują tę działalność. Co masz do powiedzenia na ten temat?

Te gnoje naskarżyły, pomyślałem. Nakapowały, jak sami to nazywali. Zrzucili winę na mnie?

– Tak, kupowałem płyty gramofonowe, ale wielu to robi – spróbowałem znowu.

– Jasne, ale ty najwyraźniej kupujesz ich najwięcej. Skąd masz na to pieniądze?

– Gram w reklamach – odparłem. – Żółty nalot... Żuj Toy i żyj... Brylantyna nadaje styl wszystkim chłopakom.

Ta odpowiedź powinna była poskutkować. Przecież wyraźnie słyszeli, że mam wystarczająco dużo uczciwie zarobionych pieniędzy, żeby kupić każdą płytę rockową.

– Od jak dawna masz ten dochód? – zapytał komisarz, wciąż tak samo zmęczonym głosem.

– Od sierpnia.

– Dobrze, ale ten interes działa już od dwóch lat. Jak było cię na to stać przed reklamami? Kuźwa, ależ był sprytny.

– Flippery i zakłady – wyznałem.

– Ciekawe – odparł. – Opowiedz, jak to się odbywa.

Opowiedziałem. Najpierw trzeba potrenować kilka lat, wyspecjalizować się w dwóch, najwyżej w trzech maszynach. Potem grało się w podwajanie stawki z kierowcami taksówek. Ale już z tym skończyłem. Wystarczył filmowy uśmiech – przed i po. Żółty nalot przyniósł mi więcej pieniędzy niż trzy miesiące flipperów.

Komisarz podrapał się po głowie, jakby intensywnie myślał. Siedzący za biurkiem dyrektor, ponury jak chmura burzowa, był pochylony do przodu i łączył koniuszki palców.

– Mam propozycję – odezwał się komisarz. – Najpierw pogramy sobie trochę na flipperach, a potem pojedziemy do ciebie obejrzeć twoją kolekcję płyt, oczywiście za pozwoleniem pana dyrektora.

– Oczywiście, naturalnie – odparł dyrektor.

Mieli duże czarne volvo, choć nic nie zdradzało, że to samochód gliniarzy. Na przednim siedzeniu było jednak radio. Poproszono mnie, żebym usiadł z przodu. Inspektor prowadził, a komisarz usiadł z tyłu i zaczął wertować notatki.

Pojechaliśmy do Kafé Vega, gdzie była najbliższa maszyna – niecałe dziesięć minut spacerem od szkoły. Mieli tam trzysetkę – jeden z flipperów, których byłem absolutnie pewien. Dość późnym popołudniem w kawiarni panował mały ruch. Trzysetka była wolna.

– Okej – powiedział komisarz. – Teraz, Ericu, pokaż, jak ogrywasz kolegę Hyllandera. Jesteś w formie, Hyllander?

– Się wie! – odparł kolega inspektor kryminalny. – Kolega dostanie mecz, jakiego się nie spodziewał.

Objasniłem reguły gry. Musieliśmy zacząć tak, że inspektor zajmie maszynę, a moja

ćwierćkoronówka będzie czekała w kolejce. A on potem będzie wolał zagrać o podwójną stawkę, niż oddać maszynę.

To oznaczało, że grał pierwszy.

– Proszę bardzo – powiedziałem.

Rzeczywiście grał dobrze jak na dorosłego, a kiedy zapytałem, czy kiedyś był taksówkarzem, przyznał, że od dość długiego czasu tak dorabia.

Zagrałem jak zwykle – na początku się przyczałem, a przy ostatniej kulce wyprzedziłem go o włos. Wygrana – pięćdziesiąt öre.

Tak samo za drugim razem. Wygrana – korona. I za trzecim. Wygrana – dwie korony. Kiedy graliśmy o cztery korony, dałem z siebie wszystko, zdobyłem dwa razy więcej punktów od niego i wyjaśniłem, że na tym polega taktyka. Trzeba sprawić, aby przeciwnik zrozumiał, że nie ma sensu grać jeszcze raz o osiem koron.

Dostałem mazarynkę z cukierni. Komisarz zadawał kolejne pytania i notował.

– Wygrałbyś z kolegą Hyllanderem dziesięć gier na dziesięć?

– Tak, oczywiście. Sami panowie widzieli.

– Czyli nie ma tu mowy o przypadku, szczęściu czy pechu?

– Nie przy pięciu kulkach. Przy jednej czasem można się zagapić albo mieć lekkiego pecha. Ale nie przy pięciu. Rzucający wyzwanie może przez cały czas dopasowywać się do wyniku przeciwnika.

– Ale na początku trzeba wygrywać ostrożnie i nie grać na całego?

– Tak, oczywiście. Grając na całego, da się wygrać tylko pięćdziesiąt öre od każdego przeciwnika. Aż do czterech koron muszą wierzyć, że mają szansę wygrać. Potem trzeba ich kompletnie rozwalić.

– Dlaczego? Dlaczego nie pójść dalej do ośmiu, szesnastu albo trzydziestu dwóch koron?

– Dlatego, że już po czterech pojawia się duże ryzyko, iż nie będą chcieli płacić.

Uznałem, że dobrze się razem bawiliśmy, i nie myślałem zbyt wiele o tym, że są policjantami kryminalnymi ze sztokholmskiego wydziału do spraw przestępczości nieletnich. Przede wszystkim zaś nie zdawałem sobie sprawy, że jestem przesłuchiwany jako podejrzany o przestępstwo z paragrafu czternastego w szesnastym rozdziale Kodeksu karnego.

Tak samo nie pojmowałem, co się właśnie odbywa, kiedy pojechaliśmy do mnie popatrzeć na płyty. Tymczasem była to tak zwana rewizja.

Kiedy wszedłem z policjantami do mieszkania, nikogo w nim nie było. Ów Hyllander, zdolny gracz, był bardziej zainteresowany malarstwem niż moimi płytami rockowymi, bo zaczął po kolei studiować obrazy mamy. Komisarz poszedł jednak od razu do radiogramofonu i otworzył tekowe drzwiczki. Kiedy zobaczył kolekcję płyt, jęknął i pokręcił głową.

Hyllander musiał zejść do samochodu po pusty jutowy worek. Zabrali wszystkie płyty i oznajmili, że to konfiskata. Mieli sporządzić protokół i wręczyć mi kopię przy innej okazji. Kiedy wychodzili, wyglądali na smutnych.

Zadzwoiłem do Clarka, ale jeszcze nie wrócił ze szkoły, a nie chciałem opisywać sytuacji jego mamie. Nie pozostało mi nic innego, jak powlec się na trening. Wiedziałem, że jeśli się pośpieszę, zdążę na czas.

Kiedy dwie godziny później wróciłem do domu z Pałacu Sportu, mama miała czerwone oczy, jakby płakała.

– Dzwonił dyrektor Reineclaude – powiedziała. – Zostałeś tymczasowo zawieszony w prawach ucznia. Będziesz relegowany. Jak mogłeś się w ten sposób zachować, przecież tak ciężko walczyliśmy o poprawę warunków!

– Nie należę do żadnego gangu i niczego nie ukradłem – odpowiedziałem. To była jedyna

obrona, jaka przyszła mi do głowy.

Mama weszła pierwsza do salonu. Każde z nas usiadło w swoim fotelu.

– Zajmuje się tym policja kryminalna. Trwa duże śledztwo, dyrektor mówił, że dopuściłeś się dwóch poważnych przestępstw – organizowania niedozwolonych gier hazardowych i paserstwa.

Głos mamy się załamał i zaczęła płakać.

Nawet jeśli policjanci w gabinecie dyrektora i Kafé Vega byli prawdziwi, to wszystko inne nie. To było niemożliwe, a jednak się działo naprawdę. Jeszcze poprzedniego dnia wszystko szło tak świetnie, mama wreszcie została nagrodzona za ciężką pracę i sprawiła, że zaczęliśmy obrastać w piórka, jak się wyraziła. Ja i Acke dobrze sobie radziliśmy w szkole i nie miałbym najmniejszych problemów z dostaniem się do liceum. Tak było jeszcze poprzedniego dnia, kiedy kładliśmy się do łóżek.

A tego dnia wszystko runęło. Sam prawie zacząłem płakać, kiedy zobaczyłem, w jakiej rozpacz jest mama. To wszystko była moja wina, choć nie widziałem nadciągającej katastrofy, nawet niczego nie przeczuwałem. Organizowanie gier hazardowych i paserstwo? Niepojęte, że można być przestępcą, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Nie, tak nie może być! – powiedziała nagle mama, mocno uderzyła niewielką piąstką w krawędź fotela i stukając obcasami, zdecydowanym krokiem wyszła do przedpokoju, w którym był telefon. Rozmowa trwała tylko kilka minut, słyszałem słowa „hazard” i „paserstwo”, ale nie wiedziałem, z kim rozmawia.

– Musimy szybko zjeść – oznajmiła po powrocie. – O ósmej mamy być u adwokata Peteriego.

Mama zrobiła zapiekankę rybną po francusku, jedno z moich ulubionych dań.

Zanim zeszliśmy do czekającej taksówki, zadzwoniłem do Clarka i ostrzec go, że ludzie z gangu skórzanych kurtek nas wrobili i że nie może mieć w domu żadnych płyt, na wypadek gdyby do niego też przyszli policjanci.

Kancelaria adwokata na Östermalmie była wielka, pełna ciężkich mebli, z marynistycznymi obrazami na ścianach i prawdziwymi dywanami, które tłumiły wszystkie kroki. Siedzieliśmy na skórzanych sofach typu winchester. Mecenas Peteri był starszym mężczyzną w okularach połówkach i takim samym humorystycznym błyskiem w oku, jaki miał dawny dyro Lundeqvist.

– Najpierw zajmiemy się podejrzeniem o organizowanie nielegalnych gier hazardowych. Opowiedz, co się działo, kiedy dziś wyszedłeś z policjantami. Spokojnie, ale spróbuj przypomnieć sobie wszystko.

Opowiedziałem tak szczegółowo, jak potrafiłem, o tym, jak graliśmy na trzysietce w Kafé Vega, powtórzyłem pytania komisarza i swoje odpowiedzi. Adwokat co jakiś czas wybuchał śmiechem i wyglądał na dziwnie zadowolonego.

– Z tym nie będzie żadnego problemu – oznajmił, kiedy skończyłem opowiadać. Szybko znalazł paragraf w grubym czarnym kodeksie, który leżał przed nami na angielskim mahoniowym stole, przebiegł wzrokiem tekst i z uśmiechem pokiwał głową. Potem wyjaśnił wszystko tak spokojnie i prosto, że nawet ja zrozumiałem.

Komisarz najwyraźniej miał głowę na karku. Tak naprawdę udowodnił, że nie uprawiałem hazardu. W pewnych decydujących kwestiach prawo było niezwykle precyzyjne. Hazardem nazywano – adwokat zaczął czytać z książki – „grę albo podobną działalność, której wynik w całości lub w znacznym stopniu zależy od przypadku”.

W Kafé Vega komisarz *de facto* dowiódł, że flippery są oparte na wyćwiczonych umiejętnościach, a nie przypadku. A więc pozbyliśmy się tego podejrzenia.

Gorzej było z paserstwem.

Paserstwo to nie tylko sprzedaż dóbr, ale i kupno. A dokonywałem zakupu, to był obiektywny fakt potwierdzający przestępstwo. Czy jednak policjanci zadali mi pytanie, czy zdawałem sobie sprawę, że kupuję kradzione płyty?

– Nie – odparłem. – Na pewno o to nie pytali.

– Dobrze, wyśmienicie! – zawołał adwokat. – Bo gdyby to zrobili, przyznałbyś się. Prawo mówi, że człowiek jest winny przestępstwa, jeśli zdaje sobie sprawę albo „powinien sobie zdawać sprawę”, że dobra, które nabywał, pochodzą z kradzieży. A więc prawo w tym punkcie nie pozwala nam na bezgraniczną głupotę.

– Ale w szkole każdy to wiedział – oznajmiłem.

– Uch! – odparł ze śmiechem adwokat i oburącz się opędził. – Nie chcę tego słyszeć! Ale mówiąc poważnie, w tym wypadku chyba mimo wszystko będziemy mogli się powołać na zasadę mylnego wyobrażenia co do obowiązującego prawa. Wszyscy kupowali. Nikt nie wiedział, że to jest przestępstwo. Doskonale. Mamy kilka mocnych kart, między innymi dość szczególnie sposób przesłuchania cię przez policję. Nie zostałeś powiadomiony o statusie podejrzanego?

Kiedy adwokat wyjaśnił pytanie, mogłem na nie odpowiedzieć przecząco. Wydawał się jeszcze bardziej zadowolony.

Następnego ranka miał zadzwonić do wydziału do spraw przestępczości nieletnich i do prokuratury. Przewidywał, że zarzut organizowania hazardu upadnie. Z paserstwem sprawa była trochę trudniejsza, ale również miał pewność, że oskarżenie zostanie wycofane.

Kiedy mama i ja wracaliśmy taksówką do domu, przez długi czas milczeliśmy. Najpierw jakimś sposobem uznano mnie za przestępcę, choć nie pojmowałem dlaczego. Jeśli zaś mecenas Peteri się nie mylił, wkrótce miałem zostać uwolniony od zarzutów i również nie wiedziałem dlaczego. Mamie wyraźnie poprawił się humor, co jakiś czas ścisnęła moją dłoń i mówiła, że sobie z tym poradzimy. Nie miałem odwagi patrzeć na to równie optymistycznie. Oczywiście, że tak jak wszyscy inni wiedziałem, iż płyty, które kupujemy, pochodzą z kradzieży, nawet jeśli nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nabywanie ich jest nielegalne. Jednak prawo nie jest pisane dla nastolatków.

Następny dzień był długi i trochę dziwny. Jak zwykle poszedłem na poranny trening i czułem się silny. Wiedziałem, że powinienem dać radę poprawić o kilka sekund rekord życiowy z wiosny.

Kiedy jednak po porannym treningu wyszedłem na pierwszy prawdziwy jesienny mróz, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Nie będę chodził do szkoły. Ani razu nie byłem na wagarach. A teraz miałem zakaz wstępu. Co się wtedy robi?

Poszedłem do domu i próbowałem czytać *Dzumę* zesłorocznego francuskiego noblisty, ale miałem kłopoty z koncentracją, choć akcja była ciekawa i łatwo się ją śledziło.

Wyszedłem do miasta i przez kilka godzin chodziłem bez celu, ale i tak dotarłem do Vasa Real kilka minut przed dzwonkiem na przerwę śniadaniową. Dorwałem jednego pierwszaka, dałem mu koronę i karteczkę, powiedziałem, żeby doręczył ją Clarkowi z 45A, i poszedłem do baru z kielbaskami przy Sankt Eriksgatan. Zamówiłem dwie grillowane i porcję frytek, usiadłem i czekałem.

Clark przyszedł po kwadransie. Dostał wiadomość, a więc nadal był w szkole i nie został zawieszony.

Objęliśmy się jak dorośli mężczyźni. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Powiedział, że mój wczorajszy telefon do niego to cholerny fart. Oczywiście się przeraził, bo słyszał plotki, że członkowie gangu skórzanych kurtek siedzą u gliniarzy, śpiewają jak kanarki i wrabiają każdego

biedaka, któremu kiedykolwiek sprzedawali płyty. Pięć minut po rozmowie ze mną spakował wszystkie swoje płyty do torby, popędził do kumpla i poprosił, żeby ten je przechował na poddaszu i nie pisał nikomu ani słowa. Dziesięć minut po jego powrocie do drzwi zapukał gliniarz z nakazem rewizji na papierze i zaczął przeglądać wszystkie stojaki na płyty. Oczywiście nie znalazł żadnej kradzionej płyty kupionej od gangu. Był o włos od udupienia. Powiedział, że jest mi kurewsko wdzięczny za telefon.

Nie miał bowiem żadnych problemów. Oczywiście nie obyło się bez przesłuchania przez dwóch starych gliniarzy u dyrektora. W końcu został wsypany i wskazany jako stały klient. Ale wystarczyło iść w zaparte. Wtedy jednak gliniarze zapytali, czy to nie dziwne, że koledzy z klasy go wskazali, skoro to nieprawda. Dlaczego mieliby to robić?

Co mógł na to odpowiedzieć? Chłopacy chcieli po prostu pociągnąć za sobą jak najwięcej ludzi, żeby nie wyszło na to, że tylko oni są winni?

To podziałało, ślad prowadził z powrotem do klasy. A więc nadal była szansa, że zostanie pierwszym studentem w rodzinie.

Oczywiście się cieszyłem, że mu się udało. Jednak u mnie gliniarz znalazł ponad trzydzieści płyt, które następnie skonfiskowano, więc moja przyszłość rysowała się w dość ciemnych barwach. Zawieszono mnie w prawach ucznia, a ten pieprzony śliwkowy dyrektor zagroził, że zostanę relegowany, tak jak wszyscy członkowie gangu.

Clark nagle spowaźniał.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam, po prostu tak cholernie się ucieszyłem, że ocaliłem dupę. Gdyby mnie wypieprzyli ze szkoły, to koniec, nigdzie bym się nie dostał, musiałbym zacząć pracę i zapomnieć o maturze. No to co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie wiem – odparłem. – Mam się spotkać z tym cholernym Śliwką jutro po południu w obecności adwokata. Zapewnia, że zostanę oczyszczony z zarzutów.

To była jedna z chwil, kiedy spojrzenia znaczą więcej niż słowa.

– Kurwa – zaklął Clark. – Masz adwokata?

– Tak – odparłem. – Pracuje dla naszej rodziny od wielu lat.

– Aha, aha. No, no, niektórzy są ustawieni. Słuchaj, muszę już spływać, powodzenia u dyrektora i w ogóle.

Puścił mi oko, po amerykańsku cmoknął kącikiem ust, postukał mnie w plecy i poszedł.

Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Pół roku później trochę do siebie pisaliśmy, ale nigdy więcej się nie widzieliśmy, nigdy też nie wróciłem do Abrahamsbergu. Wiem tylko, że cztery lata później Clark rzeczywiście zdał maturę.

Zdażyłem na czas do kancelarii adwokata. Mieliśmy wszystko przećwiczyć przed spotkaniem z dyrektorem Reineclaude'em. Mecenas Peteri wydawał się pozytywnie nastawiony. Znał prokuratora prowadzącego postępowanie przygotowawcze w sprawie gangu z Vasa Real. Zjedli razem lunch. Dobra wiadomość była taka, że już o nic mnie nie podejrzewano. Mniej dobra – że moje płyty z muzyką rockową pozostaną skonfiskowane. W każdym razie w świetle prawa zostałem oczyszczony z zarzutów i to było najważniejsze. Tym niemniej Kodeks karny a szkolne przepisy to dwie różne sprawy. Mieliśmy się o tym przekonać na spotkaniu z dyrektorem Reineclaude'em.

Mecenas Peteri miał bentleya z kierownicą po prawej stronie. Sam prowadził, tyle że w kapeluszu. Z tyłu siedziała sekretarka, która miała pilnować dokumentów i stenografować naszą rozmowę w gabinecie dyrektora.

Dyrektor Reineclaude był nadaśany i zły, kiedy nas przyjmował. Nie spodziewałem się niczego innego. Dało się zauważyć, że nie podoba mu się obecność sekretarki, ale nie mógł przecież nie wyrazić na to zgody.

Poprosił mecenas Peteriego i sekretarkę, ale nie mnie, żeby spoczęli na dwóch krzesłach dla gości. Ja musiałem stać naprzeciwko jego biurka.

– Mam dobre wiadomości od prokuratora generalnego Hamrella, który prowadzi w tej sprawie postępowanie przygotowawcze – oznajmił mecenas Peteri.

Skinął głową sekretarce, która wyjęła zapisaną na maszynie kartkę.

– To jest oficjalna decyzja – kontynuował adwokat. – Ericu, byłbyś tak miły i podał dokument panu dyrektorowi Reineclaude’owi?

Wziąłem papier od sekretarki i położyłem na biurku dyrektora. Przeczytał go szybko, odchylił się na oparcie, złączył palce i nic nie mówił.

– Jak wynika z tej decyzji – ciągnął adwokat – zarzuty wobec Erica Letanga, zarówno jeśli chodzi o organizowanie hazardu, jak i o paserstwo, zostały wycofane.

– No proszę. Zawsze to coś – skwitował dyrektor, jakby ta informacja była nieważna. Adwokat nie dał się zbić z tropu.

– Trzeba więc zadać sobie pytanie, jakie praktyczne działania dotyczące Erica Letanga zostaną przez pana dyrektora podjęte w związku z tą radosną informacją.

– Nie rozumiem, co pan ma na myśli, panie mecenasie.

– Sądzę, że pan dyrektor rozumie. Kiedy powiadomił pan matkę Erica, że jej syn został tymczasowo zawieszony w prawach ucznia, było to bezpośrednio związane z owymi obecnie wycofanymi podejrzeniami o popełnienie przestępstwa. Czy w takim razie decyzja nie powinna zostać odwołana?

– Bynajmniej.

– Tym razem to ja nie rozumiem, co pan ma na myśli, panie dyrektorze. Decyzja podjęta na podstawie w oczywisty sposób fałszywych przesłanek powinna chyba zostać anulowana?

– To była całkiem prawidłowa decyzja, a w dniu jutrzejszym zostanie uzupełniona o decyzję o relegowaniu ze szkoły całej tej grupy, z pańskim „klientem” włącznie!

Dyrektor znacznie podniósł głos, pociemniał na twarzy, a czarna grzywka opadła mu na czoło, dokładnie tak, jak podczas kazań, kiedy najbardziej się zapalał.

– Mimo wszystko nalegam, żeby pan dyrektor się wytłumaczył – powiedział adwokat, w dalszym ciągu ze stoickim spokojem. – Zamierza pan podjąć decyzję, która zaważy na całym życiu Erica Letanga. Eric Letang, jego matka i obrońca powinni zatem uzyskać jasny obraz pańskiego rozumowania, a w tym wypadku również jego podstawy prawnej.

Dyrektor Reineclaude wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować. Sam to zauważył i przed udzieleniem odpowiedzi próbował się uspokoić.

– W takim razie dokładnie przedstawię sytuację – zaczął i wziął głęboki wdech. – Może pani stenografować do woli. Procedury prawa karnego są całkowicie poza kompetencjami szkoły, a żaden z tych hultajów i tak nie stanie przed sądem, bo nie jest w wieku odpowiedzialności karnej. A więc tę kwestię możemy pominąć. Odpowiedzialność za grupę z klasy 45A, w której skład wchodzi Eric, ponoszą wyłącznie szkoła i służby socjalne. W Vasa Real mamy ponad siedmiuset uczniów, klasy są duże, porządek i dyscyplina konieczne i nienaruszalne. Nie możemy więc tolerować żadnych robaczywych jabłek, prowadzimy twardą politykę, wpajamy uczniom zasady, żaden z nich nie może być ich nieświadomy i...

– Przepraszam, że wejdę w słowo – odezwał się adwokat – ale pan dyrektor zdaje się przez cały czas nie zwracać uwagi na fakt, że Eric został uznany za niewinnego. Wymierzanie mu kary, która może zrujnować jego przyszłość, musi się zatem wydawać krokiem nie tylko drakońskim, ale wręcz niesłusznym.

Dyrektor Reineclaude przez kilka chwil wpatrywał się w biurko, jakby znów chciał się uspokoić, odgarnął czarną grzywkę z czoła i kontynuował – wolniej i ciszej.

– Eric może i jest niewinny w świetle prawa, dokładnie tak, jak jest napisane w tym dokumencie, i nie sposób go o nic oskarżyć. Jednak z perspektywy przepisów szkolnych sprawa wygląda inaczej. Zgodnie z tymi przepisami Eric, tak samo jak inni członkowie grupy, jest elementem nieprzystosowanym, który może wywierać szkodliwy wpływ na innych. Eric grał na pieniądze w rozmaitych prymitywnych placówkach gastronomicznych, to już jest wystarczająco złe. Poza tym udowodniono mu zakup towarów pochodzących z kradzieży, a do tego nie pasuje już nawet słowo „nieprzystosowany”. Szkołę należy pielęgnować jak kwietną rabatę, wszelkie chwasty trzeba usuwać. Decyzja zostanie podjęta na jutrzejszym kolegium o godzinie dziesiątej. Sprawę przedstawi nasza nowa pani wicedyrektor, która jest tego samego zdania co ja.

– Rozumiem – odparł mecenas Peteri. – Gdzie można się odwołać od tej decyzji?

– W kuratorium. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że walka z przestępczością wśród młodzieży w naszych szkołach jest oparta na dyrektywie rządu.

– W takim razie dziękujemy – oznajmił adwokat i wstał.

Kiedy po raz ostatni siedłem korytarzem Vasa Real w stronę wyjścia, te słowa dźwięczały mi w głowie. Rozumiałem, że zostanę wyrzucony ze szkoły i w związku z tym, jako element nieprzystosowany, nie będę mógł się kształcić w żadnej placówce w Sztokholmie. Nie rozumiałem jednak, jak można być niewinnym według jednego prawa, a winnym według drugiego.

Mecenas Peteri siedział za kierownicą milczący i zamyślony, kiedy odwoził mnie do domu. Obiecał, że opowie mamie, jak było. Późnym popołudniem wzięła wolne z pracy, żeby na nas czekać.

– Prawo to przedziwny świat – powiedział w końcu adwokat. – Odwołanie się od jutrzejszej decyzji do kuratorium nic nie da. Tam staniesz się tylko kwestią polityczną, symbolem walki państwa szwedzkiego z rzekomo wzrastającą przestępczością wśród młodzieży, i nasze prawnicze argumenty nie będą miały żadnego skutku. Polityka wygrywa z prawem.

– Naprawdę muszę odejść ze szkoły? – zapytałem. W głowie zaświtała mi szalona myśl o zostaniu gwiazdorem filmowym.

– Nie, oczywiście, że nie, to by dopiero było! – roześmiał się adwokat.

Tak, naprawdę się roześmiał.

– Sytuacja wygląda następująco – ciągnął. – Musisz dokończyć semestr zimowy, a potem zostanie ci jeszcze semestr letni w 45 i będziesz mógł się starać o przyjęcie do liceum, prawda?

– No tak, ale skoro będę wykluczony ze wszystkich szkół realnych w całym Sztokholmie?

– Jest tylko jedno rozwiązanie tego problemu, trochę drogie, ale konieczne. Na wsi jest kilka szkół prywatnych dla gorszych synów lepszych rodzin, jak to się zwykle mówi. Nie zawsze są to sympatyczne szkoły. Ale niecały rok chyba wytrzymasz. I jeszcze jedno – powiedział po chwili ciszy, kiedy już prawie byliśmy na Birger Jarlsgatan i zacząłem czuć strach przed spotkaniem z mamą. – Ten stenogram rozmowy z dyrektorem nie ma żadnej wartości prawnej. Ale dopilnuję, żebyś dostał wydruk ze wszystkim, co zostało wypowiedziane. Tam rozstrzygnął się pewien rozdział twojego życia, może kiedyś w przyszłości będzie warto to przeczytać.

Pociąg, który jedzie na południe przez piękne tereny i wszystkie kolory jesieni skąpane w ostrych promieniach słońca. I ja, który zostałem deportowany. Nie było na to innego słowa.

Całe moje życie legło w gruzach, myślałem w jednej chwili, a w następnej próbowałem się otrząsnąć i popatrzeć na sprawę także z jasnej strony. Była bowiem jasna strona. Pozostali chłopacy z gangu skórzanych kurtek nie mieli żadnego wyjścia ewakuacyjnego, zostali na zawsze wyrzuceni ze szkoły. Musieli zacząć szukać pracy i bezpośrednio wkroczyć w życie jak w czasach, kiedy nie istniał okres nastoletni. Ja wprawdzie zostałem niesłusznie skazany na wydalenie do szkoły z internatem, ale tylko na resztę semestru zimowego i semestr letni. Kiedy

się to policzyło, wychodziło nie więcej niż osiem miesięcy. Potem znów będę wolny, wrócę do Sztokholmu, żeby pokonać cztery ostatnie lata, cztery ostatnie długości dzielące mnie od egzaminu maturalnego. A więc nie powinienem narzekać. Ośmiomiesięczny okres przejściowy to nic takiego. Jak długo niesłusznie skazany Edmund Dantes siedział w Château d'If, zanim został hrabią Monte Christo?

Do wszystkiego dochodziły jednak jeszcze wstyd i poczucie, że już nigdy się go nie pozbędę. Mama walczyła o mnie i o Ackego jak lwica, a kiedy wreszcie zaczęło jej się układać, obciążyłem ją wydatkiem równym cenie amerykańskiego samochodu, tego, którym tak bardzo chciała pojechać z nami do Francji.

Najgorsze było to, że również ona musiała się wstydzić. My, relegowani, byliśmy przecież pod kuratelą służb socjalnych, jak to się mówiło. Dwie baby z socjału były u mamy w domu i z pełną powagą rozważały, czy powinienem zostać umieszczony w rodzinie zastępczej. Mamy pozostałych chłopaków to ominęło, bo nie były rozwiedzione. Chłopacy nie pochodzili z rozbitej rodziny, więc nie potrzebowali szczególnych środków, jak umieszczenie w rodzinie zastępczej. Jednak Acke i ja, jako dzieci z rozbitej rodziny, byliśmy pozostawieni sami sobie i nieodporni, a zatem władze socjalne powinny zabrać nam mamę, czy raczej odebrać nas mamie. Według tych babsztyli moje nieprzystosowanie społeczne świadczyło o tym, że mama nie potrafi się opiekować dziećmi.

Mecenas Peteri znowu wkroczył, tym razem z większym powodzeniem. Argumentował, że mam zostać deportowany do szkoły z internatem, a więc będę pod dobrą opieką, i udało mu się odwołać decyzję o rodzinie zastępczej. Siedziałem w pociągu, a babska z socjału mogły się czuć wystrychnięte na dudka.

Najgorsza nie była ich głupota – gadanie, że mama nie potrafi się zaopiekować dziećmi, brzmiało raczej śmiesznie. Najgorzej było, kiedy próbowałem sobie wyobrazić mamę na sofie z dwoma babsztylami, które mówiły to wszystko. Twierdziły, że się nie nadaje do opieki nad dziećmi, bo wzięła rozwód ze swoim oprawcą. Gdy tymczasem mamy Ricka, Kennetha i Labana były gospodyniami domowymi, a to najlepsza rola dla matki, lepsza nie tylko od ekspedientki w sklepie Nils Adamsson, ale nawet od pośredniczki obrotu nieruchomości.

Całe szczęście, że nie było mnie w domu, kiedy dyskutowały z mamą o tym, że powinienem zostać zabrany do rodziny zastępczej w Norrlandii albo do jakiegoś ośrodka opiekuńczego. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym usłyszał, że poniżają mamę w taki sposób. W najgorszym wypadku coś, co ostatecznie przekonałoby służby socjalne, że jestem szczególnie trudnym przypadkiem, którym natychmiast należy się zaopiekować.

Nielatwo było zrozumieć, jak udało jej się opanować i odbyć te rozmowy w spokoju. Opieka społeczna reprezentowała wszystko to, czego mama nienawidziła w Szwecji czerwonych – przeświadczenie, że wszystkich należy traktować jak dzieci, a państwo – to znaczy czerwoni – wie najlepiej, co jest dla każdego dobre. Na pewno krzyczała w środku.

Może tak samo krzyczała, kiedy szła sprzedać jeden ze swoich norweskich obrazów. Alternatywą byłoby pożyczanie równowartości amerykańskiego samochodu, choć chodziło tylko o rok w szkole Stjärnsberg z internatem. Mecenas Peteri powiedział, że łatwo może załatwić pożyczkę w banku, bo przy jej obecnych dochodach nie stanowi to problemu. Oczywiście stanowczo odmówiła, gdyż ludzie z dobrych rodzin nie pożyczają pieniędzy. Ale również nie sprzedają odziedziczonych obrazów. Musiała się czuć tak, jakby wybierała pomiędzy dżumą a cholera.

A wszystkiemu byłem winien ja. Wprawdzie nie popełniłem przestępstwa, ale ponosiłem winę innego rodzaju i nie sposób było temu zaprzeczyć. Zrobiłem mamie krzywdę. Temu też się nie dało zaprzeczyć. Wszystkie jej napomnienia w ostatniej chwili na Dworcu Głównym

w Sztokholmie – że to ostatnia szansa, że tym razem nie wolno mi jej zawieść, że muszę się zachowywać bez zarzutu przez ten jeden niecały rok – były, delikatnie mówiąc, niepotrzebne. Nie mogła jednak tego wiedzieć z taką pewnością jak ja. Jedno w każdym razie było pewne. Nigdy więcej jej nie zawiodę, jakkolwiek parszywa będzie ta szkoła z internatem.

W Stjärnsbergu nie było basenu – zadzwoniłem i zapytałem o to w pierwszej kolejności, kiedy zapadła decyzja o wydaleniu. Moje treningi pływackie w pierwszej chwili wydawały się tak samo zaprzepaszczone jak moja kariera w reklamie. A jednak nie, jak stwierdził Tage Lindström, kiedy z płaczem w gardle przyszedłem opowiedzieć, co się stało: że muszę wyjechać i wrócę dopiero latem. Nie, gorzej. Po zakończeniu lata.

Trochę się zmartwił, ale nie wściekł i powiedział tylko, że trzeba sobie jakoś radzić. Jednego mimo wszystko nie mogłem zaniedbać na wygnaniu w Sörmlandii. Treningu kondycyjnego. Pływałem dzięki sile i wytrzymałości, co upodobało mnie do każdego sprintera. Innymi słowy: codzienne bieganie stanowiło połowę rozwiązania. Jedną czwartą było po prostu jedzenie, rośnięcie i nabieranie masy mięśniowej. Na pozostałej ćwiartce, szlifowaniu techniki, mieliśmy się skoncentrować w przyszłym roku. Rzecz jasna solennie obiecałem, że będę się tego trzymał.

Łatwiej było się pożegnać z Sylwią. Na sobotę i niedzielę miałem wracać do domu, a spotykaliśmy się prawie wyłącznie wtedy. Nie uważała tego za zbyt wielki problem i obiecaliśmy sobie, że będziemy razem jak do tej pory.

Po zsumowaniu wszystkich za i przeciw sytuacja nie wyglądała tak źle. Mogło być znacznie gorzej. Poza tym, że skrzywdziłem mamę. Na to naprawdę nie zasługiwała.

Kiedy wysiadłem w Stjärnhov, zgodnie z umową czekała na mnie duża taksówka volvo – takie rzeczy były doliczone do rachunku. Kierowca otworzył bagażnik, ale nie pomógł mi z walizką. Może na wsi tego nie robili. Poza tym wydawał się trochę obrażony. I tak zapytałem, czy mogę usiąść z przodu.

Przez chwilę jechaliśmy, milcząc, w połyskującej jesiennej scenerii.

– Jesteś nowy w szkole, co? – zapytał nagle kierowca.

– Tak – odparłem. – Skąd pan to wie?

– Nie masz znaczka Stjärnsbergu na kieszeni marynarki. Więc wkrótce cię pewnie zawiozę do Björnlundy, zwykle tak robię z nowymi.

– Co to jest Björnlunda? – spytałem.

– Przychodnia lekarza rejonowego. On naprawi wszystko to, czego nie zszyje siostra Fjaset. Jeden mały rozwydrzeniec z wyższych sfer za drugim, a ja jestem jedynym taksówkarzem w Stjärnhov.

– Rozumiem – odparłem, choć nie rozumiałem nic a nic.

Nie miałem jednak ochoty kontynuować rozmowy, pewnie z powodu jego mowy o „rozwydrzeńcach z wyższych sfer”.

Po jakimś czasie zaczęła we mnie wzbierać ciekawość, ale pomyślałem, że jednak się powstrzymam od kolejnych pytań.

Widział mnie po raz pierwszy, a mimo to już mnie nie lubił. Dziwne.

Pokonaliśmy w milczeniu kolejnych kilka kilometrów i dotarliśmy do skupiska domów, które z pewnością były Stjärnsbergiem. Minęliśmy fantastyczne boisko piłkarskie porośnięte soczystą trawą i przygotowane na modłę boisk ligi Allsvenskan, skręciliśmy i stanęliśmy przed dużym domem, który wyglądał na budynek główny.

Kierowca otworzył bagażnik i pokazał, że sam mam wyjąć walizkę.

– Zaraz po ciebie przyjdą – oznajmił, zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, wrzucił jedynekę, zawrócił na żwirze i zniknął.

Stałem na zwirowym placu pomiędzy czterema drewnianymi domami i w zasięgu wzroku nie miałem nikogo, może dlatego, że była niedziela. Czułem się kompletnie wyzerowany, jakby moje uzalenie się nad sobą dobiegło końca w pociągu ze Sztokholmu. Teraz należało po prostu zrobić jak najlepszy użytek z sytuacji. Starszy chłopak w tweedowej marynarce z pasującą do niej czapką i zielonym szalikiem szedł szybkim krokiem po żwirze. Spojrzał na zegarek i zdjął cienką czarną rękawiczkę z prawej dłoni, żeby się przywitać.

– Przepraszam za lekkie spóźnienie – powiedział, kiedy już podaliśmy sobie dłonie. – Taksówka była trochę szybsza niż zwykle. Jestem Silverstedt, wiceprefekt. A ty to z pewnością Eric Letang?

Wymówił nazwisko Letang poprawnie, to się nie zdarzało zbyt często.

Spory kawałek od nas, po drugiej stronie zwirowego placu, zauważył dwóch chłopaków w moim wieku, trzymających w ręku rakietę tenisową. Zagwizdał na palcach i pokiwał, a oni natychmiast przybiegli. Poleciał im zanieść moją walizkę do pokoju af Wirséna w Allénie. Wskazał całą dłonią jak żołnierz wydający rozkaz. Chłopaki natychmiast posłuchali, nawet się nie skrzywiwszy.

Potem rozpoczęło się zwiedzanie, coś w rodzaju spaceru z przewodnikiem, który Silverstedt odbywał z każdym nowym. Wyjaśnił, że to należy do obowiązków służbowych wiceprefekta. Zaczęliśmy od boiska oddalonego o około dwieście metrów od głównego budynku. Wyglądało jeszcze bardziej fantastycznie, niż mi się wydawało w taksówce, powinno być dumą szkoły. Trawa była idealnie równa, doskonale przycięta, z wyraźnie narysowanymi liniami. Wokół trawiastej nawierzchni ciągnęło się osiem torów biegowych wysypanych żużlem, również idealnie równych. Były też okręgi do pchnięcia kulą i rzutu dyskiem, skocznia do skoku w dal, stojaki do skoków wzwyż i o tyczce – całe wyposażenie kompleksu sportowego Idrottsgården w Saltsjöbaden. Przy Vasa Real mieliśmy tylko sześćdziesięciometrowy tor i skocznnię do skoku w dal.

Uczniowie szkoły realnej nie mogli wchodzić na wielkie boisko – odsyłano nas na boisko treningowe kawałek dalej. Nad całym kompleksem górowała willa przypominająca folwark, tak naprawdę prywatne mieszkanie dyrektora Froskego. Balkon wyglądał jak łoża honorowa wprost nad zwyczajnymi trybunami dla widzów.

Sala gimnastyczna okazała się jednak rozczarowaniem. Ze smutkiem stwierdziłem, że jest za mała do gry w piłkę ręczną. Zamontowano tam jednak dwa kosze do koszykówki. Ten sport, bardzo popularny w Stanach Zjednoczonych, był nowością w Szwecji. Silverstedt twierdził, że wkrótce zdobędzie większą popularność niż piłka ręczna. Dowodziło to jedynie, że nie ma pojęcia o sporcie. Szwecja właśnie obroniła tytuł mistrza świata w piłce ręcznej z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Wygraliśmy finał z Czechosłowacją, deklasując ją 22:12. Piłka ręczna to sport ogólnoswiatowy, a jakaś amerykańska piłka koszykowa to dobre dla dziewczyn, które do ręcznej są za słabe.

Musiałem się wysilić, żeby nie okazać rozczarowania koszykówką. A więc w czasie pobytu w Stjärnsbergu miałem być pozbawiony nie tylko pływania, ale też sportu, który był u mnie na drugim miejscu.

Szliśmy dalej, Silverstedt pokazał mi domy i inne budynki, takie jak Olympen, w którym mieszkali czwartoklasiści, Österbo dla najmłodszych klas, stołówkę z brzydkimi malowidłami na ścianach i mniej więcej piętnastoma długimi stołami ustawionymi w poprzek, palarnię Kaxis mieszczącą się za stołówką i złożoną z dwóch poziomów – wyższy był dla członków Rady i czwartoklasistów. Trzeba jednak było mieć siedemnaście lat i pozwolenie od rodziców – w przeciwnym razie paliło się nielegalnie.

W końcu doszliśmy do kortów tenisowych i domu Allén, w którym miałem zamieszkać.

Rozdzieliliśmy się w korytarzu, kiedy Silverstedt zapukał do drzwi. Otworzył je podejrzany typ, który demonstracyjnie lustrował mnie od stóp do głów, kiedy Silverstedt nas sobie przedstawiał.

– David af Wirsén, pierwsza liceum. Eric Letang, 45B.

Podaliśmy sobie ręce. Silverstedt powiedział coś o tym, że zostawia wprowadzenie mnie mojemu koledze z pokoju, i zapytał, czy mam jeszcze jakieś pytania.

Miałem. Chyba będzie można wysłuchać wieczorem transmisji walki z Göteborga?

Obaj wybuchnęli głośnym śmiechem. Silverstedt zapewnił, że każdy w szkole będzie dziś wieczorem siedział przyklejony do odbiornika. Potem coś sobie przypomniał, wyjął z kieszeni materiałowy znaczek Stjärnsbergu i mi go wręczył. Musiałem go przyszyć sam, sprzątaczką powinna mieć igłę i nitkę.

– Aha – powiedział af Wirsén, kiedy Silverstedt sobie poszedł. – W takim razie może się poznajmy, skoro mamy mieszkać razem. Na moje nieszczęście, na szczęście dla ciebie.

Nie zwracałem sobie głowy pytaniem, dlaczego mieszkanie ze mną w pokoju miałyby być nieszczęściem, tylko zacząłem rozpakowywać walizkę dostarczoną zgodnie z poleceniem. Każdy z nas miał do dyspozycji dwie szuflady w komodzie, pół szafy i pół szafki w łazience, af Wirsén był na tyle w porządku, że ścieśnił swoje rzeczy na jednej połowie. Zacząłem się przebierać w codzienne ciuchy, ale powiedział, żebym został w szkolnym mundurku, bo jest niedziela. W przeciwnym wypadku nie zostanę wpuszczony do jadalni na kolację.

Kiedy byłem zajęty rozpakowywaniem walizki, af Wirsén usiadł na swoim łóżku plecami do ściany i zdawał się mnie lustrować wzrokiem, ironicznie się uśmiechając. Denerwowało mnie to. Kiedy się rozpakowałem, usiadłem na swoim łóżku w tej samej pozycji co on i rozłożyłem ręce, jakby na znak gotowości.

– Dobrze – powiedział. – No to trochę pogadamy. Dlaczego cię wywalili?

– Skąd wiesz, że zostałem relegowany?

– Stąd, że zjawiłeś się kawał czasu od rozpoczęcia semestru, a tatuś i tak musiał zapłacić za cały. Czyli dyscyplinarka, czyli wywalenie.

– Grałem na flipperach o pieniądze i kupowałem kradzione płyty rockowe – powiedziałem.

– O kurde, to można zostać relegowanym za takie drobnostki? Tutaj nie będzie takiego ryzyka.

– To dobrze – odparłem. – Ale co miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, że ty masz pecha, a ja szczęście, że zostaliśmy kolegami z celi?

Roześmiał się i trochę zwlekał z odpowiedzią. Jego pech polegał na tym, że stracił przywilej. Zazwyczaj tylko czwartoklasiści dostawali własne pokoje, a ponieważ on należał do Rady, miał pierwszeństwo w razie nieparzystej liczby uczniów, a było jedno puste miejsce. No i, cholera, pojawił się z opóźnieniem jakiś relegowany typ. Ja zaś miałem szczęście, bo jako kolega z pokoju trafił mi się rajca.

Nie wiedziałem, co znaczy rajca, i musiałem zapytać.

Oznaczało to członka Rady. Rada była szkolną policją i szkolnym sądem. Ktoś taki jak ja musiał bez szemrania słuchać rajcy. Gdyby na przykład kazał mi się kopnąć do sklepu po batonik Japp, musiałem tam popędzić na jednej nodze.

– W takim razie nie miałem zbyt wielkiego szczęścia, skoro wylądowałem tu jako twój służący – zaprotestowałem.

– Ależ tak – odparł ze śmiechem. – Dzięki temu unikniesz wszystkich nocnych nalotów, pokoje rajców są zawsze bezpieczne. Grasz w tenisa?

– Nie, tylko kilka razy trzymałem rakiętę.

– Żeglujesz?

Już miałem odpowiedzieć, że nie, bo miałem dość głędzenia o żeglarstwie. Ale chłopak mówił z wyraźnym göteborgskim akcentem i wyczułem szansę na to, żeby mu się przypodobać.

– Jasne, że żegluję, jak wszyscy w naszej rodzinie, jesteśmy z KSSS-u, podejrzewam, że ty należysz do pododdziału Göteborgs Kungliga Segelsällskap, czy jak on się tam nazywa.

Zaczął rechotać z żartu z rywalizacji między nami i tym samym lody zostały przełamane. Sprawdziliśmy, co wiemy nawzajem o swoich rodzinach. On na przykład wiedział bardzo dobrze, kim jest wujek Carl Lauritz, wiedział, że wygraliśmy regaty Gotland Runt, a nawet pamiętał nazwę „Beduin”. Af Wirsénowie startowali w klasie Dragon.

Czasem ma się szczęście.

Poprosiłem, żeby opowiedział, na co powinien uważać żółtodziób w Stjärnsbergu. Oczywiście wiedział wszystko na ten temat, chodził tu piąty rok i zamierzał zostać do matury. Ponieważ za wszelką cenę musiał uniknąć relegowania także ze Stjärnsbergu, zaczął od wymienienia wszystkich czterech grzechów śmiertelnych.

Palenie w budynku.

Ruchanie się z personelem sprzątającym albo kuchennym.

Uderzenie członka Rady albo czwartoklasisty.

Zostanie przyłapanym piąty raz na nielegalnym paleniu.

Jeśli chodziło o dwa spośród grzechów, nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, bo nie paliłem i nie miałem zamiaru zaczynać. Jednak dwa pozostałe ciężko było zrozumieć. Ruchanie się z personelem kuchennym?

Oczywiście w tym przepisie nie napisano o ruchaniu, była tam mowa o „fraternizowaniu się”. Wyjaśnił, że po zastanowieniu nie jest to takie dziwne. W Stjärnsbergu sprzątały i gotowały Finki, prawdopodobnie dlatego, że nie należały do niczego w rodzaju związków zawodowych i mniej im płacono. Niektóre dziewczyny były dość młode, inne dość ładne, znalazłyby się też i ładne, i młode.

– Teraz rozumiesz? – zapytał af Wirsén.

– Nie – odparłem. – Można zrozumieć pokusę, ale co z tego.

– Koszmarem dla kierownictwa szkoły i dla naszych rodziców byłoby, gdybyśmy zrobili któreś dziecko. Dlatego tak zwane „fraternizowanie się” jest najbardziej zakazane ze wszystkiego.

No tak, była w tym jakaś logika, mogłem to zrozumieć. Ale dlaczego równie poważne miałyby być uderzenie rajcy?

– Czy można zostać za to relegowanym? – zapytałem.

– Tak, oczywiście – odparł af Wirsén.

Oczywistość miała związek z tak zwanym systemem koleżeńskiego wychowania. Oznaczał on, że nauczyciele nie mieszały się do tego, co się działo poza salą lekcyjną. Uczniowie wybrani do Rady odpowiadali za wszystko: łapanie nielegalnych palaczy, rozkazywanie ludziom, żeby przestali się bić, wdrażanie nowych, skazywanie na areszt i karne prace, a później naturalnie nadzorowanie aresztowanych i organizowanie robót. Gdyby członkowie Rady nie byli nietykalni, system by się załamał.

Ja byłem nowy, a co za tym idzie automatycznie uznany za pyskatego. Trzeba mnie było rozchodzić niczym parę nowych angielskich butów. To oznaczało, że przez pierwsze tygodnie będę musiał załatwić trochę sprawunków, wypucować kilka par butów, pościelić kilka łóżek i tak dalej. Porada af Wirséna była prosta. Po prostu trzeba zacisnąć zęby i przecierpieć, a wszystko szybko się skończy. Jeśli ktoś pyskował, dostawał areszt na soboty i niedziele albo karną pracę, a wtedy można było wylądować w błędnym kole szykan, które nigdy się nie kończą. Należało wybrać właściwie i spróbować myśleć praktycznie. Czy wolałem jechać na sobotę i niedzielę do

domu i spotkać się z dziewczyną, jeśli taką miałem, lub próbować jakąś poznać, jeśli nie? Czy może raczej chciałem spędzić sobotnie popołudnie i niedzielę aż do południa w więzieniu?

Ostatnią radą do przemyślenia była japońska mądrość o samotnym drzewie, które próbowało mocno stać na wietrze. Złamała je burza. Ale trawa tylko się ugięła i następnego dnia trwała dalej, jakby nigdy nic.

Poszliśmy razem na obiad. Miałem siedzieć przy stole, którego af Wirsén był szefem, ale przy oknach, gdzie jedzenie podawano na końcu, bo byłem nowy i pyskaty.

Wszyscy mieli na sobie szkolne mundurki, jak nakazywał niedzielny zwyczaj. Dostałem burę od członka Rady. Uważał, że mam krzywo zawiązany krawat, choć w rzeczywistości tak nie było. Kazał mi schylić głowę i uderzył mnie dwiema pięściami prosto w podstawę czaszki. Bolało jak diabli.

Jakiś pierwszak odczytał modlitwę. To zadanie zawsze przypadało pierwszacom o najbardziej piskliwym głosie. Nikt nie wiedział dlaczego, ale taka była tradycja.

Obiad okazał się całkiem w porządku, zjedliśmy tradycyjny niedzielny *slottsstek* z sosem i ziemniakami, a na deser zupę owocową z kluskami.

Wielkim wydarzeniem tego wieczoru była oczywiście walka. Ci, którzy zostali w Allénie na sobotę i niedzielę, czyli mniej więcej połowa wszystkich mieszkańców, zbrali się przed radioodbiornikiem w pokoju dziennym już podczas zapowiedzi. Dostałem od sprzątaczkę igłę i nitkę i przyszywałem sobie do marynarki znaczek Stjärnsbergu. Na szczęście żaden rajca ani czwartoklasista nie zauważył, że przyszedłem na kolację bez niego – nawet ten, który mnie zdzielił, bo rzekomo zobaczył mój krzywo zawiązany krawat.

Napięcie sięgało zenitu. Eddie Machen znajdował się na drugim miejscu w rankingu zawodników wagi ciężkiej. Był Murzynem, tak samo jak mistrz świata Floyd Patterson. Gdyby Ingo wygrał, przejąłby od Machena pozycję pierwszego pretendenta i zawalczyłby o tytuł. Oczywiście liczyliśmy na to, ale w głębi serca niewielu z nas wierzyło, że Szwed będzie miał szanse z amerykańskim murzyńskim bokserem. Kiedy rozpoczęła się pierwsza runda, wszyscy siedzieli w pokoju dziennym z duszą na ramieniu. Słuchając komentatora, trudno było sobie wyobrazić, co się dzieje na ringu. Jednak wkrótce wszystko się skończyło, już w pierwszej rundzie. Na początku ze zdumienia opadły nam szczęki, a zaraz potem zaczęliśmy się bratać w szalonej radości. Ingemar Johansson z Göteborga będzie walczył o mistrzostwo świata w wadze ciężkiej. Eddie Machen nie miał żadnych szans, został znokautowany już w pierwszej rundzie!

Tego wieczoru w przyływie braterskiego szczęścia z powodu zwycięstwa Inga cieszyłem się, że przyjechałem do Stjärnsbergu, mimo że nie było tu boiska do piłki ręcznej ani basenu. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak mi się poszczęściło, że trafiłem do pokoju z rajcą i że od razu się dogadaliśmy. Choć w zasadzie była to nie tyle moja zasługa, co wujka Carla Lauritza, brata dziadka – prastryja Lauritza i „Beduina”.

Dla mnie koleżeńskie układy z af Wirsénem, o które dbałem ze wszystkich sił (nawet zacząłem się interesować tenisem), były jak posiadanie kuzyna wysoko postawionego w nowojorskiej mafii. Ochraniał mnie Lucky Luciano. Jednak żadnej z tych rzeczy nie wiedziałem pierwszego wieczoru, kiedy chodziliśmy jak pijani po nokaucie Inga w Göteborgu. Gdybyśmy mieli alkohol, zalalibyśmy się w trupa.

Łatwo było przywyknąć do nowego stałego elementu dnia i przebiegać dziesięć kilometrów przed śniadaniem na równych i porządnym torach. W końcu już od paru lat byłem przyzwyczajony do wstawiania znacznie wcześniej niż inni, żeby zdążyć do Pałacu Sportu. Istniały jednak dwie różnice. Przed przyjściem na trening pływacki spożywałem osiemset kalorii węglowodanów. Tutaj ćwiczyłem na pusty żołądek, więc znacznie bardziej dawało mi się to we

znaki. I jeszcze jedno. W Pałacu Sportu zawsze były takie same warunki i stała temperatura wody. Wrzesień okazał się bardzo ciepły, ale potem pogoda się pogorszyła, więc jednocześnie spadła temperatura. Ale zacisnąłem zęby, zacząłem zjadać przed śniadaniem kilka wafelków w czekoladzie, żeby nie być wykończonym na prawdziwym śniadaniu, na które składały się owsianka, gotowane jajka, tosty i kawa – chociaż tylko z surogatu. Nauczyłem się pokonywać poranny dystans w płaszczu przeciwdeszczowym i zydwestce, którą pożyczyłem od mojego szanownego protektora z pokoju. Potem, kiedy spadł śnieg, biegałem w dresie treningowym, rękawiczkach i wysokich butach.

Moja codzienna poranna zaprawa – czy też „zasrawa”, jak woleli niektórzy – miała jeszcze jedną nieoczekiwaną zaletę. Zapewniała mi szacunek starszych. Niewielu uczniów Stjärnsbergu było na początku traktowanych tak łagodnie jak ja. Oczywiście, musiałem wypucować kilka par butów i załatwić kilka sprawunków. Ale to się szybko skończyło, bo wykonywałem wszystkie rozkazy bez marudzenia czy krzywienia się, dokładnie tak, jak radził mi af Wirsén.

W samej szkole było na początku trochę zamieszania, bo przyjechałem bez żadnych ocen. Dyrektor Reineclaude nie zgodził się na udostępnienie wyników moich pierwszych w tym semestrze prac pisemnych w Vasa Real. Mogłem jedynie pokazać oceny z semestru letniego w 35 z trójką ze sprawowania. Nauczyciele jednak rozwiązali ten problem – miałem odwiedzić w domu każdego po kolei i pisać sprawdziany, które pozostali zaliczyli przed moim przyjazdem. W ten sposób nadgoniłem materiał.

Klasa była o połowę mniejsza niż w Vasa Real i w połowie złożona z kompletnych cymbałów, wysłanych do szkoły z internatem właśnie z powodu tępoty. Pozostali, choć było ich niewielu, znaleźli się tu z tego samego powodu co ja – zostali relegowani z dużych państwowych szkół.

Nikt w klasie nie był szczególnie bystry czy dobry w sporcie, ale wszyscy oczywiście grali w piłkę nożną. Mimo to wtopienie się w tłum nie nastręczało szczególnych trudności, bo wszyscy byliśmy tego samego sortu, mówiliśmy mniej więcej podobnie, jeśli pominąć dialekty, i mieliśmy to samo zdanie na temat czerwonych i Elvise Presleya. Czuję się tak, jakby ktoś wziął mnie, Joara i Johana Gabriela z mojej dawnej klasy i pomnożył przez pięć. Albo jak na obozie żeglarskim w Lökholmen organizowanym przez KSSS. Żadnego Kennetha, Ricka czy Clarka. Z jednej strony takie bezproblemowe towarzystwo było wygodne, ale z drugiej trochę nudne.

Wyjazd do domu na sobotę i niedzielę był nazywany przepustką i dokładnie tak się wtedy czułem – jak podczas jakiejś wojskowej procedury. Należało się ubiegać o pozwolenie. Nie można było wyjeżdżać do domu częściej niż pięć razy w semestrze, chyba że chodziło o szczególne zobowiązania rodzinne – urodziny rodziców, pogrzeb, siedemdziesiątą piątą rocznicę ślubu dziadków i podobne ceremonie.

A więc Sylvia i ja spotykaliśmy się rzadziej, niż się spodziewaliśmy, a w czasie spotkań robiliśmy to co zwykle – migdaliliśmy się w kinie. Mogliśmy teraz oglądać lepsze filmy, bo przestał nas dotyczyć problem seansów niedozwolonych dla dzieci, a te, które już się zgrały w dużych kinach w mieście, w końcu przechodziły do sal na przedmieściach, zaakceptowanych przez panią Karolę. Tej jesieni widzieliśmy *Na nabrzeżach* z Marlonem Brando i *Most na rzece Kwai* z Alekiem Guinnessem. Możliwe, że były nieco zbyt dobre, bo więcej uwagi poświęciliśmy dużemu ekranowi niż sobie.

Nie byłem bardzo zaskoczony, kiedy zerwała. Zacząłem się obawiać, że tak się zakończy, bo przestaliśmy doświadczać tych samych rzeczy, takich jak niebiańsko gorący lipcowy tydzień w Sandhamn, kiedy mogliśmy wypłynąć daleko i robić to godzinami pod gołym niebem bez

żywej duszy w pobliżu. Listopadowe ciemności, śnieżna plucha i ciągła kinowa powtarzalność były czymś zupełnie innym.

Zerwała listownie. Napisała, że w nasz związek wkradło się za dużo rutyny i że może nie należy się wiązać tak mocno w tak młodym wieku.

Kiedy czytałem te zdania, brzmiały tak, jakby zostały podyktowane jej przez panią Karolę. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mówiła o wkradającej się rutynie, nie zastanawialiśmy się nad naszym młodym wiekiem i tak dalej. Po prostu byliśmy bardzo zakochani.

Trudno powiedzieć, co sobie ubzdurzyła jej mama, ale zapewne chciała się mnie pozbyć. Nie mogło to mieć związku z tym, że nie byłbym wystarczająco dobry dla jej córki. Należeli tylko do klasy średniej, w przeciwieństwie do nas.

Może chodziło o to, że moja mama była rozwódką? Że zostałem relegowany i napiętnowany jako robaczywe jabłko? A może Sylvia była na tyle głupia, żeby odpowiedzieć szczerze, kiedy mama ją spytała, czy to robiliśmy? Jeśli tak, to fatalnie. Jeden Bóg wie, co się stało – chyba tak można to było podsumować w tym przypadku.

Opowiadanie o tym z taką ironią może się wydawać pewną nonszalancją. Tak naprawdę bardzo źle to odebrałem. Do tej pory w moim życiu tylko śmierć dziadka bardziej mnie zasmuciła. Po utracie Sylvii miałem poczucie, że w moim życiu otwiera się wielka czarna dziura. Wychodziłem na niekończące się spaceru w jesiennych ciemnościach pośrodku sörmlandzkiego pustkowia. Można powiedzieć, że od czasu do czasu dobrowolnie poddawałem się karnym marszom. Ci, których skazano na karne prace za pyskowanie i nielegalne palenie, zwykle otrzymywali rozkaz, żeby w niedzielę rano, w czasie moich porannych treningów na torach biegowych, pójść za karę do Stjärnhov i z powrotem.

Smutek wydawał się nie mieć końca. Wciąż miałem jej szkolne zdjęcie na półce String, w pokoju, który dzieliłem z af Wirsénem, mimo że w liście kazała mi je zdjąć.

Miało być jeszcze gorzej.

Clark nie był mistrzem w pisaniu, zarówno wypracowań, jak i listów. Ale w jednym z niewielu listów od niego, który przyszedł mniej więcej w okolicach dnia Świętej Łucji, napisał, co się stało z Sylwią w Talludden.

Kawiarnia Talludden za miastem była ulubionym miejscem szpanerów. Parkowali tam swoje błyszczące amerykańskie samochody, stawiali podróżne gramofony na maskach i puszczaali muzykę rockową na cały regulator, a ponieważ w pobliżu nie było żadnych sąsiadów, którzy mogliby się poskarżyć, pili piwo i wódkę pomieszane ze słodkimi napojami, które wyjmowali z przepastnych bagażników *king size*. W samej kawiarni podawano tylko coca-colę, kawę, wienerbrödy i bułki z zapieczonym serem. Tylu szpanerów w jednym miejscu to oczywiście atrakcja pod wieloma względami. Gazety rozpisywały się o skandalicznej rozwiązłości seksualnej i nieskrępowanym picciu wśród zmotoryzowanej młodzieży, wabiąc tam coraz więcej dziewczyn. Policja i służby socjalne zaczęły robić naloty w dość niejasnych celach. Szpanerzy nie byli przestępcami ani ludźmi poszukiwanymi przez policję, samochody były zadbane, a kierowcy zawsze trzeźwi. W czasie wizyt służb większość z nich siedziała w kawiarni, udawała porządnymi obywateli i starała się przeczekać zagrożenie.

Clark i ja byliśmy tam jako swego rodzaju ciekawscy turyści – oczywiście nie tylko my spośród niezmotoryzowanych młodych ludzi wpadliśmy na ten pomysł. Kto nie chciałby zobaczyć na własne oczy Sodomy i Gomory?

Tego akurat za bardzo nie zobaczyliśmy, choć było całkiem sporo chichrających się dziewczyn, które kursowały na tylne siedzenia i z powrotem. Ciekawy widok stanowiły za to wszystkie zadbane i wypolerowane samochody. Clark znał prawie wszystkie marki, a ja

pokonałem go na tym polu tylko raz, kiedy określiłem czarnego cadillaca jako rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci. Myślał, że to pięćdziesiąty czwarty, ale nie miałem najmniejszych wątpliwości.

To był stary samochód dziadka. Numeru B 414 nie dało się pomylić z żadnym innym. Nie wiedziałem, czy powinienem czuć dumę, czy wstyd, że jeden z naszych starych samochodów znalazł się w Talludden. Nowy właściciel był w każdym razie dumny jak paw. Nie wspominałem o tym Clarkowi ani słowem.

Mniej fajne w Talludden było to, że wszystkich chłopaków bez prawa jazdy wyszydzano, nazywając pieluchowymi szpanerami. To prawda – ktoś, kto musiał jechać autobusem, a potem kilka kilometrów iść na piechotę, żeby dotrzeć do Talludden, nie wyglądał na właściwego człowieka we właściwym miejscu.

Tym razem jednak Clark ubrdał sobie, że gadając ze mną szczerze jak facet z facetem, pocieszy mnie po tym, jak Sylvia ze mną zerwała. Być może w którymś liście za mocno się nad sobą użalałem.

Jego pocieszenie miało postać bogatego w szczegóły opowiadania pornograficznego na temat dziewczyny, w której byłem tak mocno zakochany. Chciał udowodnić, że takiej wywłoki nie warto opłakiwać.

Uciekła z domu, dotarła do Talludden i już pierwszego wieczoru udało jej się pobić jakiś rekord pieprzenia się bez gumki z dziesięcioma chłopakami z rzędu. Po piątym była tak cholernie naszprycowana, że ktoś musiał ją z grubsza osuszyć pakułami wyciągniętymi z szuflady na narzędzia. Potem obrobiła pięciu kolejnych i nadszedł czas na kolejną rundę osuszania.

Nie miał pojęcia, gdzie po tym wszystkim spędziła noc, ale domyślał się, że z najbardziej napalonymi spośród szpanerów z cadillaca rocznik pięćdziesiąty trzeci.

Jednak już następnego wieczoru w Talludden znów była w grze i pobiła kilka kolejnych rekordów, do których żadna dziewczyna przed nią nawet się nie zbliżyła. Tym razem zaliczyła serię z dwoma chłopakami – jednemu obciążała, a drugi w tym samym czasie brał ją od tyłu. Istniały różne wersje tego, ile par udało jej się obsłużyć, ale ponieważ na czyszczenie jej pizdy zużyto mnóstwo pakulów, z pewnością połknęła kilka litrów.

Trzeciego wieczoru zgarnęły ją gliny i opieka społeczna. Kiedy ją odciągali, wyzywała ich od pierdolonych psów, kopała i gryzła.

Okazało się, że jej supermoralna matka zgłosiła ucieczkę z domu. Kawał strasznego babsztyla. Można było pomyśleć, że Sylvia w jakiś sposób się mściła. Teraz w każdym razie siedziała gdzieś u czubków.

Zatem, według Clarka, mogłem odetchnąć z ulgą. A wydawała się taką zwykłą, fajną dziewczyną. Ale wiadomo – cicha woda. Sylto, jak ją teraz nazywano w Talludden, przeszła do legendy jak prawdziwy król strzelców. Ale jako największa dziwka, o jakiej słyszał świat, jedna z tych, których nie chce się dotknąć nawet kijem przez szmatę. Nie miałem więc powodu do rozpacz, wręcz przeciwnie, mogłem odetchnąć z ulgą, że się pozbyłem takiej zdziry, której największym życiowym osiągnięciem było to, że ustanowiła niemożliwy do pobicia seksualny rekord w Talludden.

Tak. Chciał mi napisać tylko to, że bym już się nie smucił. Aha, jeszcze jedno. Na początku, przez co najmniej trzy poranne spotkania, dyrektor głądził o oczyszczającym ogniu i chwastach, po tym jak gang skórzanych kurtek i ja zostaliśmy relegowani. No to serwus!

Przeczytałem list dwa razy, aż wrył mi się w pamięć. Potem przez chwilę siedziałem na łóżku jak sparaliżowany, a w głowie miałem tylko białą mgłę. Akurat wypadła kolej af Wirséna na korzystanie z biurka, a kiedy w połowie pracy domowej z matematyki się odwrócił i zapytał, czy dostałem jakiś fajny list, odparłem tylko „pewnie”, złożyłem kartkę, wstałem, narzuciłem

kurtkę i wyszedłem.

Był grudzień, od długiego czasu panował mrok i padał deszcz ze śniegiem. Po prostu szedłem i szedłem w stronę Malmköping, próbowałem nie myśleć, próbowałem odpędzać wizje Sylvii w Talludden, wyraźne jak film. Chyba uznałem, że już nigdy się ich nie pozbędę, że będą mnie prześladowały na jawie do końca życia.

Nie płakałem, w naszej rodzinie się nie płakało. Ale po godzinie marszu przystanąłem w ciemnościach i wyłem, aż skończyło mi się powietrze. Potem nabierałem tchu i wyłem dalej.

Kilka dni później wypadła Noc Kotów. To była noc, w czasie której wszyscy nowi, którzy przybyli w bieżącym semestrze, byli koceni. Moi koledzy z klasy, którzy już nie mieli się czego bać, bo nie byli nowi, opowiadali niezliczone historie o tym, czego mogą się spodziewać. Kocono, by tak rzec, według zasług – ten, kto był pyskаты, miał gorzej niż ten, który umiał się zachować, ale wszystkich i tak to czekało, dla zasady. Prysznic pod lodowatą wodą należały do najłagodniejszych form, biczowanie było trochę gorsze, jeszcze gorsze było smarowanie fiutka miną ołowiową, którą cholernie trudno było zmyć, albo związywanie na podłodze i szczanie na twarz, albo wciąganie związanego delikwenta na maszt, albo... historie nigdy się nie kończyły. Ta tradycja miała ponad pięćdziesiąt lat. Najgorzej było w czasie drugiej wojny światowej, bo dyrektor Froske sympatyzował z nazizmem, a poparcie dla niego wyrażała nazistowska gazeta „Dagsposten”. Obecnie nie gadało się już tyle o rasie germańskiej i takich rzeczach, ale niewątpliwie ci z ciemnymi włosami i obcokrajowcy byli mocniej koceni.

Ja byłem ciemnowłosym obcokrajowcem.

Ponieważ za najłagodniejszy stopień kocenia uważano zimny prysznic, uznałem, że właśnie tego mogę się spodziewać. Postanowiłem, że to olej. Jeśli mnie postawią pod zimnym prysznicem, po prostu się do nich wyszczerzę. Jeżeli zaciągną mnie nad jezioro i wrzucą do wody, szybko przepłynę i wyjdę.

Z drugiej strony, może to była niewłaściwa taktyka. Kocony musi cierpieć, inaczej to nie ma sensu. Zapytałem af Wirséna, jak mam się zachowywać pod strumieniem zimnej wody albo w jeziorze.

Tylko zarechotał.

– Olej to, Letang – powiedział. – Na naszych drzwiach jest znaczek rajcy. Śpij smacznie.

Niektórzy rajcy i czwartoklasiści nie uczestniczyli w koceniu, a af Wirsén był jednym z nich.

Pierwszego dnia ferii świątecznych przyjechałem w samą porę na wieczorny trening w Pałacu Sportu. Odnalazłem Tagego Lindströma w najniższym rzędzie na trybunach, przy samej krawędzi basenu. Siedział z segregatorem, przeglądał czasy i rekordy życiowe. Wyraźnie się ucieszył na mój widok i natychmiast poprosił, żebym zaczął się śmiać jak Japończyk.

To było trochę żenujące. Raz dla żartu zrobiłem taką minę, kiedy akurat patrzył. Wypiąłem brzuch, tak że przypominał małą kulkę, pochyliłem się do przodu, rozciągnąłem oczy, żeby wyglądały na skośne, wystawiłem przednie zęby znane z reklamy pepsodentu i zakryłem dolną wargą dolny rząd zębów. On się śmiał, a mnie było wstyd – żart nie staje się śmieszniejszy od wielokrotnego powtarzania, zwłaszcza na zawołanie.

Potem poprosił, żebym wstał, dotknął barków i ramion, kazał rozluźnić mięśnie ud i wykonać kilka ruchów. Oczywiście wykonałem polecenie. Zapytał, ile ważę, a ja odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że sześćdziesiąt dziewięć kilogramów. Gwizdnął i z namysłem pokiwał głową. Przytyłem trzy kilo w zaledwie cztery miesiące, i to nie od wafelków w czekoladzie, bo miałem taki sam obwód w pasie, a pasek zapinałem na tę samą dziurkę.

Poprosił, żebym opowiedział o swoich treningach biegowych. Po raz kolejny

odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że dwa razy oszukiwałem – kiedy rano była burza i kiedy padał deszcz ze śniegiem.

Chwilę się zastanawiał, a potem zapytał, co będę robił w Boże Narodzenie. Niestety, musiałem wyjechać. Mama zamierzała zabrać mnie i Ackego do Högfjällshotell w Sälen – tam mieliśmy spędzić święta.

– Niewiele można na to poradzić – odparł. – Masz w szafce kąpielówki?

Rozgrzewałem się, przepływając pomału dwie długości, podczas gdy on szedł równo ze mną wzdłuż krawędzi basenu. Potem przypomniał mi o kilku rzeczach, na przykład że górna część ciała ma być prosta, że muszę pilnować kąta przy układaniu rąk w wodzie i nie przegapić nawrotu.

– Przygotuj się – powiedział później, kiedy zaczęli się zbierać ludzie na wieczorny trening. – Nadszedł czas pokonać Tarzana, możesz tego dokonać! Daję słowo.

Przez ostatnie lata czasem tak sobie żartowaliśmy – moje zainteresowanie pływaniem miało początek nie tylko w tym, że wcześniej zacząłem, mieszkałem w Saltsjöbaden i na lato przyjeżdżałem do Sandhamn. Przede wszystkim chodziło chyba o to, żeby pewnego pięknego dnia popłynąć szybciej niż Tarzan.

Czułem doniosłość chwili, kiedy stanąłem na starcie, i pomyślałem o zaufaniu, którym obdarzył mnie Tage Lindström. Nigdy bym w to nie uwierzył, nawet teraz. Ale skoro Tage Lindström we własnej osobie uznał, że to możliwe, to miałem szansę.

Płynąc, czułem coś jakby zastrzyk pełnej odprężenia radości, po części z powodu zaufania Tagego Lindströma, ale również dlatego, że wreszcie po całym bieganiu, w najgorszym razie w ciężkich butach, byłem w miejscu, w którym czułem się tysiąc razy lepiej niż na śmiesznym boisku do koszykówki czy torze biegowym.

Już po dziesięciu metrach poczułem, że płynę szybciej. A po nawrocie nie miałem zakwasów i mogłem bez ryzyka docisnąć jeszcze mocniej.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie czułem w basenie takiego czystego szczęścia.

Kiedy dotarłem do mety, nie byłem tak wypompowany jak zwykle. Przyszło mi do głowy, że mogłem dać z siebie jeszcze więcej. Natychmiast podpłynąłem do krawędzi, podciągnąłem się jednym ruchem i podszedłem do Tagego Lindströma. Wydawało mi się, że dostrzegam szczególny błysk w jego oczach.

– *Tarzan is down!* – oznajmił z tak mocnym szwedzkim akcentem, że ledwo dało się go zrozumieć. Przed oczy podsunął mi stoper.

– Zwycięski czas Johnny’ego Weissmullera na igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie wynosił pięćdziesiąt osiem i sześć, prawda? – zapytał i rozjaśnił się w szerokim uśmiechu, nieczęsto u niego spotykany.

Stoper pokazywał pięćdziesiąt osiem i trzy.

Nie tak dawno przeżywałem jedną z dwóch najstraszliwszych chwil w życiu, czytając opowieść Clarka o Sylvii w Talludden.

A teraz to. *Tarzan is down!*

LA BELLE AMÉRICAINE

Kiedy wróciliśmy po przerwie świątecznej, wokół boiska był błyszczący, świeżo zamrożony tor łyżwiarski. Świetnie, bo dostałem pod choinkę nowe ccm-y. Do ćwiczenia kondycji późnojesienne niezdarne biegi w ciężkich butach po śnieżnej brei z pewnością były lepsze, bo bardziej wyczerpujące niż sunięcie po lodowym owalu.

Nie mogłem jednak mieć wyrzutów sumienia, że podczas normalnych treningów zamieniłem buty na łyżwy. Najważniejsza była dyscyplina, a ja każdego ranka jeździłem przez godzinę, bez względu na pogodę. Dwa powolne kółka, jedno z maksymalną prędkością, znowu dwa powolne i tak na zmianę, dopóki nie nadszedł czas na prysznic i śniadanie.

To była jedna dyscyplina. Drugą uprawiałem w Vasa Real, gdzie trzeba było wstać jak najszybciej, jeśli o coś nas pytano, i gdzie każda najdrobniejsza wypowiedź bez pozwolenia skutkowałą uwagą w dzienniku, zaś trzy uwagi równały się obniżonej ocenie ze sprawowania. W Stjärnsbergu nie było tego typu stresów, tu siedzieliśmy w klasie jak dorośli i nie witaliśmy nauczycieli w pozycji na baczność. System uwag w dzienniku został zniesiony.

W Stjärnsbergu słowo „dyscyplina” miało inne, niemal tajne znaczenie, w którym trudno było się rozeznąć. Podobieństwo do Vasa Real polegało na tym, że dyrektor Froske wydawał się równie skłonny do głoszenia kazań podczas porannych zebrań co dyrektor Reineclaude.

Przesłanie było jednak zupełnie inne. Dyrektor Froske nigdy nie mówił o przestępstwach wśród młodzieży, bo tego typu problemy dotyczyły tylko niższych warstw społecznych, więc nie mogły istnieć u nas. My byliśmy ludźmi szlachetniejszego sortu, dziedziczyliśmy dyscyplinę i mieliśmy ją w naszej germańskiej krwi. Byliśmy znacznie twardsi od innych chłopaków, potrafiliśmy zarówno wydawać, jak i przyjmować rozkazy. Wymierzać i przyjmować ciosy w twarz. Dlatego tak przewyższaliśmy inne drużyny w sporcie. Mieliśmy najlepszą drużynę lekkoatletyczną i piłkarską, ponieważ w Stjärnsbergu wychowanie fizyczne było równie ważne co duchowe. To, że nikt nie mógł pojechać do domu na przepustkę, zanim nie wyrobił dwóch obowiązkowych godzin sportu w sobotnie popołudnie, było jednym z elementów tego wychowania, które musieliśmy przyswoić bez protestów.

To, co Froske głosił na porannych zebraniach, było tak różne od tego, do czego przywykłem w Vasa Real, że nie miałem pewności, czy pojmuję, o co tak naprawdę chodzi. Kiedy zapytałem af Wirséna, który słuchał tego od pięciu lat, tylko wzruszył ramionami i powiedział, że każdy wie, iż Froske w czasie wojny był nazistą, ale po wojnie stał się zwykłym prawnikiem jak wielu innych. Dlatego zaciemnia to, co tak naprawdę chce powiedzieć na temat naszej germańskiej wyższości i pozycji jako przyszłej elity społeczeństwa. Ale to wszystko można olać. Po prostu mieliśmy lepsze zaplecze sportowe niż wszystkie inne szkoły, nawet korty tenisowe i własne boisko hokejowe z elektrycznym oświetleniem.

Można było myśleć, co się chciało, o dyrektorze Froskem i jego germańskich głupotach. I tak nie miało to znaczenia, systemu nie dało się zmienić, a ja musiałem tylko zacisnąć zęby, przestrzegać zasad i się starać, żeby mnie nie relegowano. Latem będzie po wszystkim. Ponieważ od początku nie pyskowałem i bez szemrania biegałem do kiosku, pucowałem buty i ścieliłem łóżka, obeszli się ze mną łagodnie. W drugim semestrze dostawałem takie rozkazy tylko w pojedynczych przypadkach, jakby w celu sprawdzenia, czy nadal słucham.

To było poniżające i śmieszne, ale stanowiło jedyną drogę do liceum w Sztokholmie, a poza tym powinienem się cieszyć, że tak krótko będę w tej szkole. Inni nieszczęśnicy, jak af Wirsén, musieli zaliczyć całe liceum w Stjärnsbergu, zanim mogli stamtąd wyjechać. Większość ludzi z mojej klasy była w takiej sytuacji, niektórzy dlatego, że byli za głupi, żeby sobie poradzić

w zwykłej szkole, inni dlatego, że hołdowali rodzinnej tradycji typu „trzecie pokolenie von Winckelów w Stjärnsbergu”, a jeszcze inni dlatego, że ich rodzice chcieli awansować i zostać jedną z dobrych rodzin. Szef firmy Libo z Borås umieścił swojego syna w Stjärnsbergu właśnie z tego powodu. Chłopak był oczywiście dodatkowo prowokowany i pilnowany przez rajców, a jeszcze bardziej dokuczaliśmy mu my, kiedy zaczęliśmy go kojarzyć z imitacją dzinsów produkowaną przez Libo.

Jednak tej wiosny germańska dyscyplina w Stjärnsbergu została wystawiona na niespodziewanie ciężką próbę.

Jakiś czas po rozpoczęciu semestru do równoległej klasy 45A dołączył nowy uczeń. Nazywał się Erik Ponti i nie był Germaninem, lecz kimś w rodzaju makaroniarza. A kiedy wysiadł z taksówki na szkolnym dziedzińcu, miał na sobie czerwoną jedwabną kurtkę, bez wątplenia właśnie tę czerwoną kurtkę. I, jakby ta prowokacja nie była wystarczająca, jego włosy były zaczesane w fale jak u Elvisa. Przyjechał jakiś czas po rozpoczęciu semestru, co znaczyło, że został relegowany. Pewnie niejeden żałował, że się zawczasu nie dowiedział dlaczego.

Już samo jego pojawienie się sygnalizowało, że jest wyjątkowo pyskaty, więc w pierwszych dniach rajcy i czwartoklasiści rzucili się na niego z rozkazami dotyczącymi sprawunków, pucowania butów i całej reszty.

Ale za każdym razem konsekwentnie odmawiał. Wydawało się, że nie ma znaczenia, jak bardzo mu grozili aresztem i karnymi pracami. Nie wypucował ani jednego buta.

Oczekiwania przed cotygodniowym zebraniem Rady, które miało się odbyć w środę wieczorem, były oczywiście wielkie. Mówiono, że zostanie skazany za ponad tuzin przypadków niesubordynacji. Mogło się skończyć na dwunastu tygodniach karnej pracy w sobotę i niedzielę albo na areszcie – w takim wypadku do końca semestru. Coś podobnego nigdy wcześniej się nie wydarzyło.

Kiedy af Wirsén wrócił do Alléna po zebraniu Rady, był zdenerwowany i wściekły, mamrotał coś o zagrożeniu dla całego systemu. Ponti został skazany na czternaście sobót i niedziel, czyli cały semestr karnych robót aż do wakacji, a nawet dłużej. W praktyce oznaczało to, że po jednym wyroku nabierał odporności na kary. Wymierzenie jeszcze surowszej nie miałoby żadnego sensu.

Nie można było pozwolić na to, żeby jeden jedyny uczeń szkoły realnej chodził z zadartym nosem i reagował szyderczym śmiechem na każde polecenie. System koleżeńskie wychowania byłby poważnie zagrożony. Gdyby inni uczniowie szkoły realnej zaczęli się zachowywać tak jak on, wszystko by runęło.

Należało więc rozwiązać problem siłą. Jednak to również nie było takie proste. Chłopak był bystry i doskonale zdawał sobie sprawę, że zostanie wywalony, jeśli odda rajcy albo czwartoklasiście. Odważnie zadeklarował, że nie przyszło mu to do głowy. Miał tylko dokończyć semestr. Później czekało go liceum w Sztokholmie i *goodbye Stjärnsberg*.

Ale również kary fizyczne wymagały dyscypliny. Opuść głowę i stój spokojnie! A potem padał cios dyscyplinujący, w takiej czy innej postaci, w najgorszym wypadku cios jednego szwu, zadany korkiem od karafki z octem, żeby siostra Fjaset mogła sięgnąć po igłę i nitkę. Co jednak zrobić z cholernikiem, który woli sobotę-niedzielę niż zgięcie karku?

Istniała tylko jedna odpowiedź na to pytanie. Wyzwać go na kwadrat i sprać na kwaśne jabłko. Albo, jeśli się nie odważy, ochrzcić go Szczurem i szykanować już do końca.

Słyszałem historie o kwadracie. Była to betonowa płyta za kuchnią, pod sypialnią personelu kuchennego. Miała mniej więcej takie same wymiary jak ring bokserski. Zasady były proste. Dwóch starszych chłopaków przeciwko jednemu młodszemu, który miał zostać ukarany. Wszystko było dozwolone. Kara trwała do momentu, aż młodszy chłopak wypelzał poza ring,

blagając o łaskę. Jeśli zrobił to za szybko, uznawano go za tchórze.

Już po dwóch dniach dwaj rajcy z trzeciej klasy sprowokowali Pontiego do pyskowania na schodach do jadalni, twierdząc, że chciał się wepchnąć przed starszych kolegów.

Oczekiwania były ogromne, tak samo jak ekscytacja. Cały rząd okien w pomieszczeniu służb kuchennych był zajęty, dziewczyny miały tam z góry doskonały widok, jak w pierwszym rzędzie Opery Królewskiej. Podejrzewam, że cała szkoła przyszła zobaczyć karę i wszyscy spodziewali się niezwykle krwawego widowiska. Takie też otrzymali.

Właściwie codziennie oglądałem mniej lub bardziej poważne bijatyki na dziedzińcu Vasa Real – nie tylko rutynowe kary wymierzane psikutkom, ale też znacznie ostrzejsze starcia równych sobie przeciwników. Nigdy jednak nie widziałem nic, co byłoby choć zbliżone do brutalności Erika Pontiego.

Poza tym zaczął od psychicznego niszczenia przeciwników. Kiedy prefekt wyrecytował zasady i przyszedł czas na rzucenie się na niego, Ponti spokojnie uniósł rękę, powstrzymując napastników, i oznajmił, że ma pytanie. Sztuczka zadziałała. Z czystego zaskoczenia tak zwani prefekci od kar stracili rezon. Jego pytanie brzmiało, czy obaj mają się czołgać i błagać o łaskę, czy wystarczy jeden. Rozbrzmiał wyczekujący szmer i sytuacja zrobiła się trochę nieprzyjemna. Ktoś, kto w ten sposób groził rajcom, musiał być niespełna rozumu. Chyba że jego groźby miały pokrycie.

Tak było. W ciągu minuty Ponti zmiażdżył ich obu. Systematycznie, z opanowaniem i bez najmniejszych śladów złości.

Obaj rajcowie musieli pojechać do Björnlundy, gdzie pozszywał ich lekarz rejonowy, i przez następne dwa tygodnie wyglądali tragicznie. Nikomu już nie przyszło do głowy wyzywać Erika Pontiego na kolejny pojedynek na kwadracie.

Chcąc nie chcąc, skrycie go podziwiałem i chyba nie ja jeden. Ale nikt się nie odważył jawnie okazać mu poparcia. Nauczyciele oczywiście udawali, że nie słyszeli o nieudanej karze na kwadracie, choć część robiła aluzje, że niektórym brak piątej klepki. Na szwedzkim przerabialiśmy właśnie *Opowieści chorążego Ståla* Runeberga, a nauczyciel był szczególnie zainteresowany Svenem Dufwą, żołnierzem pełniącym samotną wartę przy moście, przez który zgodnie z rozkazem nie wolno mu było nikogo przepuścić. Jednak jego odwaga wynikała z głupoty i w końcu zginął, bo „kula wiedziała, gdzie trafić”.

Nauczyciel sugerował, że sami doświadczyliśmy czegoś podobnego kilka dni wcześniej.

Ja od razu miałem zastrzeżenia, ale z braku odwagi nie wypowiedziałem ich na głos i długo tego żalowałem. Powinienem był powiedzieć prawdę. Sven Dufwa zginął, a Ponti nie. Sven Dufwa był durnowaty, nie zaprzeczam. Ale chyba mimo wszystko nie było tu podobieństwa do Pontiego. Powinienem był to powiedzieć na głos.

Zamiast tego zadręczałem się pytaniem, kto postąpił słusznie – on czy ja. Moja strategia polegała na dopasowaniu się właściwie do wszystkiego, żeby uniknąć relegowania. Ale Ponti był w takiej samej sytuacji. On też został wydalony ze sztokholmskiej szkoły i w niedługim czasie wszyscy wiedzieli dlaczego. Mianowicie właśnie z powodu zachowania, które zaprezentował na kwadracie. Wytrzymanie do końca semestru w Stjärnsbergu było równie ważne dla niego, jak dla mnie. A jednak obrał strategię polegającą na niewypelnianiu rozkazów i zyskując odporność na kary, ośmieszył cały system.

Ja też mogłem tak zrobić. Teraz było za późno, bo już mnie uznano za miłego i posłusznego. Wybrałem drogę tchórzostwa.

Z sobotnio-niedzielnymi aresztami pewnie dałbym sobie radę, przepustki i tak mnie zbytnio nie interesowały. To, co się stało z Sylwią w Talludden, tkwiło we mnie zbyt głęboko, zacząłem się bać dziewczyn. Poza tym zaczęły mi wyskakiwać pryszcze na twarzy. Siedzenie

w areszcie i zakuwanie w soboty i niedziele nie byłoby żadnym problemem.

A kwadrat?

Harry chyba tak mnie wyćwiczył, że miałem większą odporność na ból niż reszta. Mogłem dać się pobić, zachować honor i po wszystkim wyglądać jak ci dwaj trzecioklasiści, których Ponti wysłał do lekarza.

Ale tylko raz. Decydująca różnica pomiędzy mną a Pontim była taka, że on musiał się postawić tylko raz. Co bym zrobił, gdyby powtarzali tę karę raz za razem?

Nie. Moja strategia była lepsza niż jego, nawet jeśli niekoniecznie godna podziwu.

A wręcz przeciwnie.

Jego droga do celu była znacznie bardziej kręta od mojej, bo przecież rajcy nie pozwolili mu hasać wolno po odstrasającym pokazie na kwadracie. Któregoś razu napadli go na szkolnym dziedzińcu, rozpięli na czterech żelaznych drągach jak na krzyżu i zmusili jego kolegów z klasy, żeby wylewali na niego na przemian wiadra lodowatej i gorącej wody.

Robiąc to, płakali ze strachu. Przecież każdy z nas widział go na kwadracie, a nie obowiązywał żaden szczególny zakaz bicia kolegów z klasy. Ale i tak posłuchali.

Wszyscy chyba się spodziewaliśmy krwawej zemsty z jego strony. Nikt nie rozumiał, dlaczego się przed nią cofnął.

Doszedł do celu swoim sposobem. A nawet więcej. To, że w każdą sobotę i niedzielę siedział zamknięty w sali lekcyjnej z podręcznikami jako jedyną dozwoloną lekturą, najwyraźniej pomogło mu w nauce. Dostał nagrodę dla najlepszego ucznia roku. Zmartwiło mnie to, bo byłem stuprocentowo pewny, że ja ją zdobędę. Choć można spokojnie powiedzieć, że jeśli miałbym pozwolić jednemu uczniowi pokonać mnie na ostatnim metrze, to właśnie jemu.

Francuski paszport stał się dla mnie początkiem nowego świata, nowego życia i nowej tożsamości. Mama tego nie rozumiała albo udawała, że nie rozumie. Kiedy wróciłem do domu po zakończeniu roku szkolnego w Stjärnsbergu, wspomniała tylko jakby mimochodem, że mogę podskoczyć do ambasady francuskiej przy Narvavägen i odebrać mój paszport przed południem. Wszystko było już przygotowane, miałem wejść mniejszymi bocznymi drzwiami. Szwedzkie paszporty jej i Ackego były już gotowe i odebrane. Potrzebowaliśmy jednak wszystkich trzech, skoro po Midsommar mieliśmy jechać razem do Francji.

A więc jednak się udało. Mama od dawna nic o tym nie mówiła, a ja nie miałem odwagi pytać ze strachu, że wszystko zniszczyłem, ściągając jej na głowę wydatki na Stjärnsberg, dokładnie równe cenie nowego amerykańskiego samochodu.

Ten samochód był jej marzeniem. Zanim zostałem relegowany z Vasa Real, często o nim mówiła i zawsze opisywała w ten sam sposób: biały kabriolet z czerwoną tapicerką.

Najwyraźniej mieliśmy tam dotrzeć inaczej, może pociągiem. Nadal nie miałem odwagi pytać.

Przez chwilę stałem pod francuską ambasadą i patrzyłem na trójkolorową flagę z uczuciem, od którego włoski na rękach stawały dęba. Mój puls był chyba dość szybki. Otworzyłem niewielkie drzwi po lewej i wszedłem do Francji. Po raz pierwszy w życiu tak naprawdę miałem mówić po francusku, inaczej niż podczas trzy-, a właściwie prawie czteroletniego dziobania kursu Linguaphone. Miałem rozmawiać po francusku z Francuzami i wyobrażałem sobie, że tak się czuje początkujący pływak, który właśnie skończył ćwiczenia na sucho, ma wejść do wody i zacząć pływać na poważnie.

Okazało się to znacznie łatwiejsze. Przedstawiłem się i powiedziałem, że przyszedłem po paszport. Starszy mężczyzna za biurkiem poderwał się zachwycony z krzesła, uściśnił mi dłoń i zaczął opowiadać, że bardzo dobrze znał mojego dziadka w czasach sztokholmskich, kiedy należeli do Wolnych Francuzów. Co jakiś czas wtrącałem *oui Monsieur* albo *merci Monsieur*.

Niedługo potem byłem z powrotem na ulicy z francuskim paszportem i *Carte d'Identité*, którą każdy Francuz musiał mieć w tych czasach. Dopiero dużo później dotarło do mnie, że w tamtych czasach coś szczególnego sprawiało, że każdy obywatel Francji w każdej chwili musiał być gotowy na to, że zostanie wylegitymowany przez policję.

Podszedłem do ławki przy Narvavägen, usiadłem i zacząłem oglądać paszport. Miał sztywną okładkę z luką z przodu, pozwalającą przeczytać moje nazwisko zapisane odręcznie dużymi literami, i z mniejszą luką, która ukazywała numer. Moje zdjęcie w paszporcie i dowodzie było zrobione w ubiegłym roku w Vasa Real. Mama najwyraźniej odebrała je w firmie fotograficznej, w mniejszym formacie.

République Française! C'est vraiment moi, maintenant je suis définitivement un citoyen français. Et ma vie nouvelle est arrivée...

Trochę się zaplątałem, próbując sformułować zdanie w czasie przyszłym o tym, że wkrótce mama, ja i mój młodszy brat znajdziemy się we Francji.

O święcie Midsommar w Sandhamn nie da się zbyt wiele powiedzieć. Po pierwsze, zmieniło się w coś w rodzaju oczekiwania na podróż, po drugie, pogoda była kiepska, a poza tym wszystko wyglądało jak zwykle. Wielką kolację musieliśmy zjeść w domu, bo na werandzie było za zimno.

Atmosfera również była trochę dziwna. Wprawdzie wujek Hans Olaf i Alice jak zawsze potrafili zamienić kolację w festiwal śmiechu, ale dało się wyczuć, że coś nie gra, że jest jakiś temat, którego wszyscy unikają. Wujek Carl Lauritz zabrał żonę i dzieci gdzie indziej. To było tak dziwne, jakby nie przyszedł na Wigilię. Ale mama i on byli nieprzyjaciółmi, chyba w dalszym ciągu chodziło o kłótnię o spadek. Ciocia Johanne oraz kuzyni Henning i Eilert mieli teraz własny dom na Mõi. Z nimi najwyraźniej też byliśmy w nieprzyjacielskich stosunkach.

Najgorsze wydawało się to, że podróż do Francji czekała nas właściwie zaraz po Midsommar. To oznaczało, że będziemy gdzieś w Niemczech, kiedy Ingemar Johansson stanie do walki o mistrzostwo świata z Floydem Pattersonem. Komentarz mamy, że wynik z pewnością zostanie podany w dziale sportowym niemieckich gazet, stanowił niewielką pociechę. Choć właściwie nie miałem powodu do narzekania. Gdybym bowiem mógł wybrać, czy chcę usłyszeć nocną relację z walki w jakimś zagranicznym radiu z reklamami – Szwedzkie Radio było zbyt eleganckie, żeby nadawać boks – czy pojechać do Francji, decyzja i tak byłaby łatwa.

Nadal nie miałem pojęcia, że mama przygotowała nową niespodziankę. Lubiła niespodzianki i można powiedzieć, że ta pod więcej niż jednym względem była największa.

Zostawiliśmy za sobą Sandhamn i pojechaliśmy do miasta. Mieliśmy tylko zjeść pożegnalną kolację i pójść wcześniej spać, bo już o szóstej rano musieliśmy wyruszyć. Mama mówiła, że chce być wieczorem w Hamburgu. Tymczasem zamierzała pojechać taksówką po nowy samochód. W oczekiwaniu na niego Acke i ja mogliśmy nakryć do stołu i obrać ziemniaki.

Oczywiście trochę gadaliśmy o tym, cóż to za nowy samochód, kiedy obieraliśmy czy raczej skrobaliśmy dobre młode ziemniaki ze Skanii. Acke sądził, że to będzie Jankes, ale ja powiedziałem, że amerykańskie auto jest za drogie i za duże. My troje nie zajmowaliśmy aż tyle miejsca. Raczej francuskie, podsunąłem. Na przykład citra. W końcu mieliśmy jechać do Francji. Gdyby zdarzył się jakiś problem z samochodem, wszędzie były warsztaty. Biały citroën z czerwoną tapicerką, podsunął optymistycznie Acke. Zgasiłem go stwierdzeniem, że francuskie samochody z reguły nie występują w takich krzykliwych kombinacjach. Styl francuski jest bardziej elegancki i powściągliwy.

Mamy nie było dziwnie długo. Oglądaliśmy *Aktuellt*, kiedy w końcu wróciła i już z przedpokoju krzyknęła, żebyśmy szybko przyszli, bo samochód stoi na ulicy. Zbiegliśmy po schodach, a mama tupała za nami.

Stanęliśmy jak wryci i zaczęliśmy się gapić. To nie był samochód, to był statek, biały statek na kółkach.

– Oldsmobile 98, model z tego roku – wyjaśniła mama.

Oczywiście miał czerwoną tapicerkę i opuszczany dach.

Wypróbowaliśmy przednie siedzenia, bez trudu mieściliśmy się wszyscy troje. Mama uruchomiła pomrukujący silnik V8 i kawałek przejechała, a my się śmialiśmy, krzyczeliśmy i podskakiwaliśmy na sprężynowych fotelach.

– Dwieście czterdzieści koni, najnowszy silnik – informowała mama.

Acke i ja dostaliśmy do kolacji trochę wina, żeby zasnąć w letnim świetle i zdążyć się wyspać przed wczesną pobudką. Przed pójściem spać musieliśmy się jeszcze spakować – zabraliśmy płetwy, rurki do nurkowania i całą resztę przywiezioną z Sandhamn. Bagaże nie stanowiły problemu. W bagażniku amerykańskiego samochodu zmieściłaby się krowa.

Zjedliśmy sznycel cielęcy i popiliśmy bordeaux. Mama nauczyła nas tej francuskiej nazwy i powiedziała, że to małe przygotowanie przed wyjazdem do kraju najlepszych potraw i win na świecie.

I literatury, dodałem w myślach.

Mama wiedziała, że się zastanawiałem, i oczywiście rozumiała, że nie miałem odwagi zapytać. Wyjaśniła, że wyjątkowo tym razem poszczęściło jej się w życiu. W biurze odpowiadała za większość nieruchomości w Saltsjöbaden, Djursholmie albo na Lidingö. Wille były tam droższe niż gdziekolwiek indziej, stąd też wyższa prowizja. Znowu obrastaliśmy w piórka.

Płynęliśmy przez Szwecję białym pomrukującym krążownikiem. Wszyscy się odwracali i patrzyli, kiedy wyprzedzaliśmy inne samochody.

Tuż przed Jönköpingiem stanęliśmy obok przydrożnej kawiarni. Wypiliśmy wodnistą kawę i zjedliśmy kilka spotniałych, rozmiękłych bułek z serem. Mama głośno się roześmiała, kiedy wzięła pierwszy kęs, i poprosiła, żebym jej przypomniał, że mamy zrobić to samo po minięciu francuskiej granicy. Potem opuściliśmy dach i Acke, który spał z tyłu, mógł się przesiąść do nas.

Mama naprawdę się cieszyła, podśpiewywała norweskie i niemieckie piosenki dla dzieci pomieszane z Frankiem Sinatra. O ile potrafiłem ocenić, była świetnym kierowcą, a w każdym razie wszystkich wyprzedzała.

Dopłynęliśmy do Lubeki tuż przed zamknięciem sklepów, choć na promie do Travemünde było trochę nerwowo. Mama miała dla nas kolejną niespodziankę. Zatrzymaliśmy się przed dużym sklepem z licznymi krzykliwymi szyldami. Nie miałem pojęcia, co jest na nich napisane i jaki pomysł przyszedł mamie do głowy tym razem.

To był sklep z ubraniami. Ale nie tylko, mieli też prawdziwe amerykańskie dżinsy marki Lee. Acke nie rozumiał, o co w tym chodzi, i nie był zainteresowany, więc ja dostałem dwie pary, jedną włożyłem natychmiast. Wreszcie. Do diabła z Libo.

Minęliśmy Hamburg, zanim się ściemniło, i stanęliśmy w *Gasthausie*, w którym można było też zatankować. Dla żartu mama zamówiła najbardziej niemieckie danie, jakie przyszło jej do głowy – specjalne kiełbasy z kiszoną kapustą. Kiełbasy były zupełnie inne niż szwedzkie, ale dobre, musztarda smakowała dziwnie, a kapusta tak sobie. Mama przez cały czas radośnie się śmiała, choć przecież musiała być zmęczona. Jechała czternaście godzin.

– Jutro – powiedziała – opuścimy mój teren. Tutaj mówię po niemiecku równie dobrze jak wszyscy. Ale jutro będziemy już we Francji, na twoim terenie, i dostaniesz ważne zadanie, gdy będziemy musieli zatrzymać się na noc. Mamy samochód, którego żabojady nie znają, i białe tablice rejestracyjne, które można pomylić z niemieckimi. Kiedy trzeba będzie zamówić pokój, wejdiesz pierwszy, pokażesz paszport i powiesz, słuchaj mnie uważnie: „Nie jesteśmy

Niemcami! *Bonsoir Madame*, czy mają państwo jakieś wolne pokoje?”. W tej kolejności. To francuskie poczucie humoru, gdybyś się zastanawiał.

Pędziliśmy przez Niemcy. Na *Autobahnie* były trzy pasy i nie obowiązywało ograniczenie prędkości. – Przez Niemcy tylko przejedziemy – wyjaśniła mama. – Powinniśmy zdążyć do Lyonu przed wieczorem, a następnego dnia do Juan-les-Pins na Riwierze.

Wkrótce mieliśmy wypłynąć na połyskujące Morze Śródziemne i poczuć, że wszystko się skończyło. Ponieważ jednak były przed nami ciężkie dni, musieliśmy się wyspać jak stado susłów.

To było dziwne określenie, nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mama go używała, ale chyba tak właśnie zrobiliśmy.

Zjedliśmy lunch pod Frankfurtem. Acke spał na tylnym siedzeniu przez całą drogę, a ja miałem ochotę się z nim zamienić i też pospać. Autostrada była usypiająca. Ale zostawianie mamy samej wydawało mi się niewłaściwe, więc zacząłem kręcić gałką radia w jedną i drugą stronę, żeby znaleźć coś, co mnie ożywi.

Nagle usłyszałem to w Radiu Luksemburg, a może to było Radio Wolna Europa, w każdym razie w którejś z amerykańskich stacji nadających wiadomości i muzykę rockową: *AND THE NEW HEAVY WEIGHT CHAMPION OF THE WORLD IS INGEMAR JOHANSSON FROM SWEDEN.*

Mama oczywiście też to usłyszała. Kiedy reporter nawijał o siedmiokrotnym posłaniu Pattersona na deski w trzeciej rundzie, szybko zjechała na parking i się zatrzymała. Wszyscy troje wyskoczyliśmy z samochodu i odtańczyliśmy wokół niego taniec wojenny. Ingo wygrał! Był mistrzem świata!

Świętowaliśmy coca-colą i przy okazji zatankowaliśmy.

Po kolejnej godzinie jazdy na południe zaczęliśmy być głodni, ale mama powiedziała, że musimy spróbować jeszcze trochę wytrzymać. Chyba miała w zanadru jeszcze jakąś niespodziankę.

Po południu przejechaliśmy przez granicę z Francją. Po raz drugi w życiu musiałem pokazać mój francuski paszport.

– Witamy w domu, *Monsieur* – powiedział celnik, a ja poczułem dreszcz na całym ciele.

We Francji drogi były gorsze i mama zwolniła. Burczało nam w brzuchach, więc wkrótce zjechała z głównej drogi do niewielkiego miasta i zaparkowała na placu z wieloma kramami, na których sprzedawano jedzenie. Zabrała ze sobą Ackego, żeby coś kupić, a ja miałem zostać i pilnować samochodu.

Wkrótce utworzyło się wokół niego małe zgromadzenie, głównie dzieci. Założyły z góry, że nie rozumiem francuskiego, i zaczęły dyskutować na temat pięknej Amerykanki. Musiałem się wtrącić i powiedziałem, że moja mama rzeczywiście jest piękna, ale pochodzi ze Szwecji.

Chłopak w moim wieku wyjaśnił, że nie rozmawiali o mojej mamie, tylko o samochodzie, który był *une belle américaine*.

Powinienem być się domyślić. Samochód po francusku, *la voiture*, jest rodzaju żeńskiego, jak statek po szwedzku.

Kiedy mama i Acke wrócili z sześcioma brązowymi papierowymi torbami, chłopak mrugnął do mnie i powiedział, że Szwedka też jest ładna.

Zatrzymaliśmy się za małym miasteczkiem, na pustym parkingu z drewnianymi ławkami. Rozciągał się na wzgórzu z widokiem na dolinę rzeki i pasące się krowy.

– Pomyślałam, że powinnam was zaprosić na kanapkę z serem, miałaś mi zresztą o tym przypomnieć – oznajmiła mama i zaczęła wypakowywać jedzenie z torebek.

Zrobiliśmy kilka kanapek z dziwnym serem, który trochę podejrzanie pachniał,

plasterkami kielbasy i szynki. Francuski chleb był podłużny, świeży i chrupiący. Acke i ja jedliśmy zdumieni, coraz bardziej uroczyście. Czasem się mówi, że ktoś nie wierzy własnym oczom albo uszom. W tym wypadku nie wierzyliśmy własnym kubkom smakowym.

Po posiłku mama powiedziała, że to tylko camembert i époisses. To jedno ze wspomnień, które zostają na całe życie. Od tamtego czasu nie mogłem zjeść ani kawałka camemberta albo époisses, nie widząc przed sobą owego wzgórza nad rzeką w Alzacji.

– *Enfin, mon fils, bienvenu en France* – powiedziała mama i jakby wzniosła toast niebiańską kanapką.

Tak się zaczęło moje francuskie życie.

Sztokholm, czerwiec 1968

Upał jest nie do opisania, nie doświadczyłem czegoś podobnego od dzieciństwa i wyjazdu do Afryki z dziadkiem Oscarem. Trzy dni temu temperatura wzrosła do ponad trzydziestu stopni i tam się zatrzymała. Wczoraj, przy ponad trzydziestu dwóch stopniach, Sztokholm był najgorętszym miastem w Europie, a ja czytam w Twojej gazecie, że stary rekord pochodzi z roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego szóstego. Można więc spokojnie powiedzieć, że kończyłem opowieść w pocie czoła. Dziś postawię kropkę. Jutro wsiadamy do volkswagena busa i wyruszamy do Bejrutu.

Możliwe, że koniec zrobił się nieco pośpieszny i chaotyczny, ale nie wyciąłem niczego ważnego tylko po to, żeby zdążyć, i szczerze podejrzewam, że to nie budząca postrach krytyczka literacka Johanne Lauritzen z „Dagens Nyheter” domaga się więcej konkretów w opisie początków mojego francuskiego życia w Juan-les-Pins. Myślę raczej, że to moja ciekawska ciotka Johanne. Przecież tak długo byłaś nauczycielką, że na pewno przeczytałaś wystarczająco dużo szkolnych wypracowań o „moich wakacjach”?

Łatwiej jest się zgodzić z Twoją argumentacją o zostawianiu czytelnika na lodzie w kwestii mojego pływania. Chętnie Ci to opowiem prywatnie, ale nie sądzę, żeby pasowało do powieści.

Po rozpoczęciu nauki w pierwszej klasie licealnej Stockholms Samgymnasium kontynuowałem treningi. Któregoś dnia na samym początku stycznia Tage Lindström poprosił, żebym wyszedł z basenu, i przedstawił mi Birgera Buhrego, jednego z najbardziej znanych i wpływowych dziennikarzy sportowych w kraju, który chyba należał do zarządu szwedzkiej federacji pływackiej Simförbundet.

Najpierw musiałem zrobić ten przykry grymas „śmiechu Japończyka”, który Tage Lindström uważał za zabawny jak mało co, a potem przepłynąć dwie długości w maksymalnym tempie. Birger Buhre miał przy sobie stoper.

Następnie pogadał ze mną w zupełnej tajemnicy, jak się wyrazili. Zapytał, co bym powiedział na wyjazd z reprezentacją na igrzyska olimpijskie. Uznałem, że mówi o letnich igrzyskach olimpijskich w Rzymie i że miałbym tam patrzeć i się uczyć, jako tak zwana nadzieja na przyszłość.

Ale nie o to im chodziło. Mówili o igrzyskach w Tokio w 1964 roku. To oczywiście było bardziej logiczne. Za cztery lata będę już w pełni rozwinięty fizycznie. Ale wiadomość i tak mnie zaszokowała. Konkretny sens był taki, że całe liceum, aż do matury, miałem spędzić w basenie i trenować coraz ciężiej i ciężiej, pod koniec prawie cztery godziny dziennie.

To nie było warte czwartego miejsca na igrzyskach. Ani gorszego. Ani nawet niewiele lepszego, na sto metrów stylem dowolnym różnice są małe.

Myślę teraz o francuskim pływaku Alainie Gottvallèsie, o dwa lata starszym ode mnie. W 1962 roku w Lipsku został mistrzem Europy z czasem nieco ponad pięćdziesiąt pięć sekund, pokonał między innymi najlepszego wówczas szwedzkiego zawodnika Pera-Olę Lindberga.

Czy mógłbym się tam znaleźć, gdybym kontynuował treningi? Bardzo możliwe. Po wizycie w Pałacu Sportu Birger Buhre napisał, że Kappis wykształcił pięćdziesięciosześciosekundowca, który miał dopiero szesnaście lat. To był 1960 rok.

Alain Gottvallès był wielkim faworytem mistrzostw świata w Tokio, bo niedługo przedtem z dobrym zapasem pobił rekord świata na odcinku sztafety. Ale jego pewne złoto zamieniło się w piąte miejsce. Szwedzka sztafeta również była faworytem do złotego medalu na dystansie 4 x 100 metrów z Gottvallèsem na ostatnim odcinku. Ale zostali zdyskwalifikowani za minimalny falstart. Kto dziś pamięta Alaina Gottvallèsa? Albo taki sobie zwyczajny czas z Tokio – pięćdziesiąt trzy i cztery dziesiąte sekundy?

Wróćmy do Pałacu Sportu tego dnia w styczniu 1960 roku, kiedy Tage Lindström i Birger Buhre chcieli mnie namówić do startu w igrzyskach w Tokio. Miałem zatem dwie możliwości. Czteroletni ostry trening z myślą o finale mistrzostw, w którym jak najbardziej mogłem podzielić los Alaina Gottvallèsa. Albo zupełnie inne życie, moje francuskie życie. Wyszedłem stamtąd i nigdy nie wróciłem. Jeśli żałuję, to tylko podczas telewizyjnych transmisji mistrzostw świata albo Europy – czuję wtedy coś na kształt ucisku w dołku.

Zamiast pływania moje cztery lata w liceum wypełniały pieśni, Georges Brassens, Charles Aznavour, Edith Piaf, wino, egzystencjalizm, gauloises, literatura i uniwersytet w Montpellier. To było bogatsze życie niż cztery lata w chlorowanej wodzie.

Tak czy owak, ten dalszy ciąg nie dodałby wartości całej historii. Moim zadaniem były lata pięćdziesiąte. Sport zajął tak dużo miejsca, bo był typowy dla tych czasów. Tak żyliśmy, tak wówczas było. Dziś średnia waga dzieci w szkołach wzrosła o trzy, cztery kilo. Ideał był wówczas inny, styl życia prostszy i właśnie to chciałem pokazać.

Podkreślasz stanowczo, że moja historia nie nadaje się do publikacji. Muszę przyznać, że nie do końca o tym myślałem. W naszym projekcie chodziło o to, żebym wypróbował zupełnie nową technikę narracji, tak odległą od nowej powieści francuskiej, jak to tylko możliwe. Miałas stać się dla mojego pisarstwa tym, kim Tage Lindström był dla mojego pływania. Nie myślałem o tym ćwiczeniu jak o debiucie powieściowym.

Jednak to, w jaki sposób uzasadniasz, że tego tekstu nie da się wydać, jest mimo wszystko bardzo ciekawe. Bardzo dobrze rozumiem Twoje zastrzeżenia natury prawnej. Jeszcze tego by brakowało, żeby było inaczej. Dyrektorzy Froske i Reineclaude poczuliby się zniesławieni i pozwaliłyby wydawnictwo i autora. Pani Karola mogłaby złożyć pozew w swoim imieniu, jak i w imieniu napiętnowanej i oczernionej córki Sylvii. Poza tym miałyby znacznie większe szanse na wygranie procesu o zniesławienie niż dyrektorzy. Oczywiście to prawda, ale, jak wspomniałem, nie brałem pod uwagę publikacji.

Najbardziej mnie zaskoczyło, że dopiero pod koniec dotarło do Ciebie, iż nie pisałem beletrystyki, lecz trzymałem się tak blisko prawdy, jak to tylko możliwe.

Najdalej od prawdy, to znaczy czystych faktów, jeśli pominąć prawdę filozoficzną czy polityczną, odchodzi się, próbując oddać dialogi. W tym wypadku można być jedynie bliskim prawdy. Dialogi są precyzyjne tylko w rozmowie mecenasa Peteriego z dyrektorem Reineclaude'em, bo miałem zachowane stenogramy i dokładnie je skopiowałem.

A więc wszystko, co zapisałem, jest „prawdą”, na ile to możliwe. Myślałem, że wiedziałaś o tym już od samego początku, bo z perspektywy czasu znasz odpowiedzi na bardzo wiele pytań dotyczących historii naszej rodziny. Twoje oburzenie, że w takim razie powinienem był napisać „tekst dziennikarski”, trudno mi zrozumieć.

Zebrałem dużo obrazów i kawałków układanki w spójną opowieść. Weź na przykład mój obraz matki. Wszystko, co o niej napisałem, to prawda, każdy kawałeczek. Rezultat zależy jednak od wyboru, czy ma to być biała, czy czarna prawda. Gdybym ograniczył opowieść o niej

do najlepszych rzeczy, które robiła w życiu, byłyby to biała prawda. W późniejszym okresie podobna konstrukcja stworzyłaby zupełnie inną prawdę – jeśli nie czarną, to przynajmniej szarą.

Ale nie pisałem tekstu dziennikarskiego. Mamy tu po prostu do czynienia z czymś, co Truman Capote w zeszłym roku nazwał „powieścią bez fikcji”. Nie wiem, czy czytałaś *Z zimną krwią*, bo tytuł jest dość odstrasający i przywodzi na myśl nieskomplikowany kryminał, przez co sam niepotrzebnie długo zwlekałem z lekturą. Ale jak najbardziej jest to powieść. Tyle że bez fikcji. Ja próbowałem osiągnąć to samo. W tym sensie zostawiłem Francję i wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych.

W rezultacie prawo nie pozwala na opublikowanie mojej historii, bo zawiera ona pomówienia. Pozwolę sobie zauważyć, że prawdziwe pomówienia również są pomówieniami.

Twój drugi zarzut, przemawiający przeciwko publikacji, jest jeszcze zabawniejszy. Zaznaczasz, być może z ironią, że historia rozgrywająca się w mieszczańskich domach w latach pięćdziesiątych nie stanie się bestsellerem w obecnym klimacie politycznym i literackim, szczególnie jeśli autor jest nieznanym debiutantem.

Tak jest, w pełni podzielam tę opinię. Parę dni temu czytałem w „Dagens Nyheter” niewielki tekst dobrze ilustrujący właśnie ten polityczny klimat. Dotyczył wniosków na zebraniu młodzieżówki Partii Centrum, co może na pierwszy rzut oka nie brzmi zbyt ekscytująco. Ale rzecz w tym, że domagano się dyplomatycznego uznania Niemiec Wschodnich, Korei Północnej i Wietnamu Północnego, zwiększenia pomocy dla krajów słabo rozwiniętych do pięciu procent PKB (a więc pięciokrotnego!), zniesienia rejestracji poglądów politycznych w spisach powszechnych, cenzury filmowej i aresztu wojskowego, zwiększenia wsparcia dla ruchów społecznych (włącznie z grupami skupionymi wokół Wietkongu) i podniesienia podatków. Młodzieżówka Partii Centrum! Nic dziwnego, że są nazywani małymi marksistami.

Niewątpliwie do klimatu politycznego, w którym centrowa młodzieżówka jawi się jako radykalna lewica, ta powieść pasuje wyjątkowo źle. To jasne. Poza tym, być może lata pięćdziesiąte są nam jeszcze zbyt bliskie, w końcu mamy dopiero kolejną dekadę.

Wpadłem na zabawny pomysł. Manuskrypt powędruje teraz do szuflady, tak jak zakładałem od początku. Pomyśl, co by było, gdybym go wyjął znacznie później, już w bezpiecznej odległości od lat pięćdziesiątych. To, co teraz z wielu powodów jest niemożliwe do wydania, być może byłoby znacznie ciekawsze za, powiedzmy, pięćdziesiąt lat? Umówmy się, że napiszę na grubej kopercie: „Nie wydawać przed jesienią 2017 roku!”

Zwracasz uwagę, że rewolucjonista Erik Ponti ze Stjärnsbergu zasługuje na osobną powieść, a ja mogę to tylko potwierdzić. To prawda, jest równie rzeczywistą, pozbawioną fikcji postacią jak wszystkie inne w tej historii. Ale w tym wypadku mamy do czynienia z taką samą sytuacją – w obecnych czasach i warunkach próby wydania powieści o życiu w szkole z internatem dla chłopców z wyższych sfer pod koniec lat pięćdziesiątych – obojętnie: z fikcją czy bez – nie byłyby warte zachodu.

To wszystko to oczywiście sny na jawie. Teraz jest rok 1968, a ja jadę z kolegami do Libanu i Jordanii zebrać materiał, który może położyć podwaliny pod nowy szwedzki ruch solidarności. Literatura nie jest na pierwszym miejscu.

Nie oznacza to, że się poddaję. Zdobyłem wykształcenie prawnicze z dwóch powodów. Po pierwsze, równie wcześnie co poważnie zacząłem się interesować prawem, a po drugie, muszę mieć pewne źródło utrzymania, jeśli w przyszłości mam spróbować zostać pisarzem. Jeśli chodzi na przykład o powieść o Eriku Pontim w szkole z internatem, temat nie jest tak wyeksploatowany w Szwecji, jak byłby w Anglii. Ale o żadnym sukcesie komercyjnym oczywiście nie może być mowy. Nawet gdybym został słynnym adwokatem, któremu w zdobyciu rozgłosu pomagają media – jak za naszych czasów Henning Sjöström.

Jestem Ci niezmiernie wdzięczny za współpracę. To była dla mnie fantastyczna lekcja, nawet jeśli pod pewnymi względami bardzo się od siebie różnimy mimo mojego frankofilskiego podłoża literackiego. Parę dni temu w „Dagens Nyheter” pisałaś o E.M. Forsterze. Zinterpretowałem to jako pochwały, które wyraźnie ilustrują przepaść między nami:

„...jakby autor nigdy nie docierał do tego, co tak naprawdę chce powiedzieć, tylko przez cały czas poruszał się po omacku ku czemuś nieznanemu, tajemniczemu, do opisanie czego brakuje słów...”

I dalej:

„Trafiamy do świata półcieni, niejasności, niedających się zgłębić motywacji i fantazji. Nieznaczące wydarzenia mogą wyrzucić wszystko do góry nogami”.

To brzmi jak ironiczny opis niniejszym zakończzonego okresu, w którym byłem młodym literackim geniuszem typu francuskiego. W moim nowym świecie nieznaczące wydarzenia nie mogą już wywracać wszystkiego do góry nogami.

Jestem świadomy literackiej wielkości Edwarda Morgana Forstera i wiem, że przynajmniej dwunastokrotnie był typowany jako przyszły laureat Nagrody Nobla. Jeśli jednak w przyszłości z mojego pisania coś wyjdzie, nigdy nie będę potrafił tego robić w taki sposób. Nie w czasach, kiedy na Wietnam spada napalm. Nie da się również pisać jak Claude Simon czy J.M.G. Le Clézio, że wymienię moich obecnie obalonych idoli. W najlepszym wypadku można pisać jak Truman Capote.

Podejrzewam, że się wzdrygasz i marszczysz nos. Oczywiście, zarówno Claude Simon, jak i Le Clézio mogą w przyszłości zostać noblistami. Ale nie zmieni to niczego w czasach takich jak te, kiedy na Wietnam spada napalm.

Wtedy „pożądanie ciała czy nieuleczalna samotność duszy”⁴ nie są najważniejsze.

W Pradze kwitnie polityczna wiosna. To jest najważniejsze. Być może jesteśmy na drodze do odrodzenia socjalizmu z ludzką twarzą i przyszłe dni jeszcze nam zaśpiewają.

Na koniec, uważam, że prędzej czy później trzeba będzie napisać książkę o Niebieskiej Gwieździe. Najlepiej, jeśli Ty to zrobisz. W przeciwnym wypadku sam do tego przystąpię, a wtedy rezultat będzie gorszy. Ta historia jest potrzebna. W takim samym stopniu, jak niepotrzebna była historia byłego pływaka z lat sześćdziesiątych.

¹ Ewangelia wg św. Mateusza, Mt 13,12. Cytat za Biblią Tysiąclecia (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Cytat z wiersza Esaiasa Tegnéra *Karl XII* z 1818 roku.

³ Cytaty z *Niebiahych igraszek* w przekładzie Pawła Pollaka.

⁴ Cytat z dramatu *Gertruda* Hjalmara Söderberga.